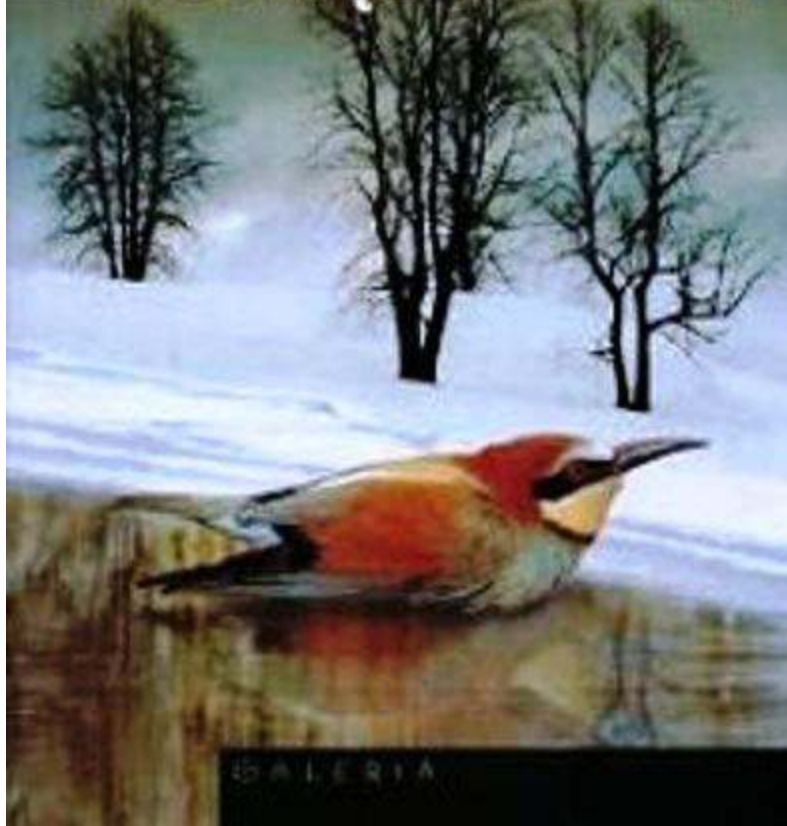


GALERIA

**CHRISTINA  
SCHWARZ**

**TONAÇA RUTH**



GALERIA

**CHRISTINA SCHWARZ**  
**TONĄCA RUTH**

Przełożyła  
ELŻBIETA ZYCHOWICZ

Warszawskie Wydawnictwo Literackie  
MUZA SA

Tytuł oryginału: Drowning Ruth

Projekt okładki:

Maciej Sadowski

Redakcja:

Anna Jutta-Walenko

Redakcja techniczna:

Zbigniew Katafiasz

Korekta:

Marianna Frankowska

© 2000 by Christina Schwarz. AU rights reserved

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2001

© for the Polish translation by Elżbieta Zychowicz

ISBN 83-7200-455-2

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2001

*Benowi,  
pamięci Louise Baecke Claeyns (1902-1999)  
oraz Marfie*

# Część pierwsza

# Rozdział pierwszy

Ruth pamiętała chwilę, gdy tonęła.

- To niemożliwe - powiedziała ciotka Amanda. - Musiało ci się przyśnić.

Ale Ruth twierdziła uparcie, że się utopiła, i powtarzała to przez wiele lat, nawet wtedy, gdy powinna już była mieć więcej rozumu w głowie.

## *A m a n d a*

Rzecz jasna, okłamałam Ruth. Była tylko dzieckiem. Co miałam powiedzieć? Że jej matka okazała się taka nieostrożna? Że musiałam ją, Ruth, ratować, dać jej nowe życie, wychować jak własną córkę? Są sprawy, o których dzieci nie powinny wiedzieć.

Przypuszczam, że ludzie obarczą mnie winą za to, co się stało, powiedzą, że gdybym nie wróciła do domu w marcu 1919 roku, Mathilda, moja jedyna siostra, nadal by żyła. Ale ja wróciłam. Według mojej oceny faktów, nie miałam wyboru.

„Dwudziesty siódmy marca 1919 roku”. To właściwy moment do rozpoczęcia opowieści. Tę datę zapisałam w prawym górnym rogu

kartki. „Kochana Mattie”. Pióro zadrżało, gdy je uniosłam, i na papier kapnął kleks. „Dwudziesty siódmy marca 1919 roku” - napisałam ponownie na czystej kartce. „Kochana Mattie”.

W końcu nie zadałam sobie trudu, żeby dokończyć list. Wiedziałam, że będę tam serdecznie przyjęta. Przecież Mattie od miesięcy błagała mnie, żebym przyjechała do domu. I co mogłam napisać? Nie miałam żadnego wytłumaczenia. Żadnego usprawiedliwienia, poza prawdą, a jej z pewnością wolałam nie zdradzać.

A prawda była taka, że szpital poprosił mnie, żebym wyjechała. Oczywiście, nie na stałe.

- Oczywiście, nie chcemy, żeby wyjechała pani na stałe, panno Starkey - powiedział doktor Nichols. Nie bardzo rozumiałam, czemu użył liczby mnogiej, albowiem poza nim i mną nikogo więcej w gabinecie nie było. Zdenerwowałam się na myśl, że inni ludzie rozmawiają o mnie, być może szepczą po korytarzach i kryją się po kątach, widząc, że się zbliżam. Prawdopodobnie zbierali się w tymże gabinecie, popijali kawę, kręcili głowami i wyrażali dezaprobatę wobec mojej osoby. Kim oni są?

Doktor Nichols przełożył jakieś papiery na biurku. Nie patrzył na mnie.

- Kiedy to minie... - Odchrząknął. - Gdy dojdzie pani do siebie, rozważymy ponownie kwestię pani zatrudnienia.

Przypuszczam, że chodziło mu o moje halucynacje, choć mógł mieć na myśli omdlenia, a nawet wypadki. Wpatrywał się przez chwilę w blat biurka, po czym westchnął i powiedział niemal serdecznie:

- Proszę mi wierzyć, poczuje się pani znacznie lepiej z dala od tego smrodu.

W szpitalu rzeczywiście panował smród. Ohydny smród zgangrenowanego ciała i wymiocin, amoniaku, przypalonych płatków

owsianych i kamfory, uryny i fekaliiów. Jednakże pielęgniarka przyzwyczają się do fetoru i do krzyków, do widoku mężczyzn, tracących kawałki własnego ciała.

A ja byłam wspaniałą pielęgniarką. Miałam właściwe podejście, wszyscy to mówili. Mężczyźni mnie uwielbiali. Ci, którzy mieli twarze, unosili je ku mnie, gdy pochylałam się nad ich łózkami. Ci, którzy mieli ręce, wyciągali je do mnie.

Lubiłam być aniołem. Ale musiałam zrezygnować.

Doktor Nichols miał rację. W pewnym sensie straciłam panowanie nad sobą. Pewnego ranka obudziłam się z przeświadczeniem, absolutnym przeświadczeniem, że amputowano mi nogi, i choć szybko zorientowałam się, że to tylko sen - moje nogi, dwie wypukłości, znajdowały się pod kocem - nie mogłam nimi poruszyć, nie mogłam ich podnieść, mimo największego wysiłku. Moja współlokalka, Eliza Fox, musiała ściągnąć mnie z łózka. Kiedy indziej znowu, wstyd się przyznać, zemdlałam, osuwając się na pierś żołnierza, którego właśnie myłam gąbką.

Kilkakrotnie musiałam wybiec z sali, by zwymiotować. Moje wnętrzości skręcały się codziennie rano i opróżniały swą zawartość do basenów, wiader sprzątaczek i do różków, pospiesznie skręconych z gazetowego papieru, oraz w zasy py śnieżne za żywoptotem z hortensji. Dwukrotnie straciłam słuch w lewym uchu, raz siedziałam przez cztery godziny na klatce schodowej, czekając, aż powróci mi wzrok. Strzykawki wyslizgiwały mi się z rąk, klując mnie. Przytrza-skiwiałam sobie palce szufladami.

Zapominałam nazwisk żołnierzy i celu poleceń. Trzy dni pod rząd zamykałam się na klucz w pokoju, który dzieliłam z Elizą. I zawsze byłam zmęczona, tak straszliwie zmęczona, że po prostu zasypiałam



na stojąco, niezależnie od tego, jak często obmywałam twarz zimną wodą i ile filiżanek czarnej kawy wypiałam. W końcu poddałam się i wymościłam sobie gniazdko między ręcznikami w magazynie. Uci-  
nałam tam drzemkę codziennie od pierwszej trzydziści do drugiej, dopóki na oddziale F nie zabrakło mydła i nie wysłano po nie Frances Patterson. W gruncie rzeczy musiałam przyznać, że mieli rację -  
zaczynałam być raczej pacjentką niż pielęgniarką. Moje ciało wzięło  
nade mną górę i nie mogłam mu dłużej ufać. Prawdę mówiąc, prze-  
stałam znać samą siebie.

Tak więc zgodziłam się pojechać do domu, nie do pensjonatu w  
Milwaukee, pełnego niezamężnych pielęgniarek, w którym podzieli-  
liśmy starannie z Elizą zimny pokój o ścianach w kolorze musztardy  
na jej stronę i moją stronę, lecz z powrotem na farmę, gdzie dorasta-  
łam, gdzie ośnieżone wzgórza jaśniały nieskalaną bielą i gdzie moja  
siostra kotysała do snu swoją małą córeczkę, siedząc przy piecu ku-  
chennym i czekając na powrót męża z wojny. Wiedziałam, że w  
domu, w którym się wychowałam, uda mi się odzyskać równowagę.

Stanąwszy przed dworcem kolejowym, wciągnęłam w płuca  
tchnienie miasta, przesycone zapachem drożdży z browarów oraz  
gorzkawo-słodkim aromatem z fabryki czekolady, i od razu poczu-  
łam się lepiej. Ściskałam mocno rączkę walizki. Nie spóźniłam się  
ani nie przyszłam za wcześnie. I po raz pierwszy od wielu tygodni  
byłam głodna, a właściwie wściekle głodna. Weszłam do środka i  
skierowałam się prosto do bufetu. Kupiłam torebkę solonych orzesz-  
ków ziemnych i filiżankę kawy, która nie parzyła mnie w język. Gdy  
skończyłam jeść orzeszki, nadal nie zaspokoiliłam głodu.

- Może mi pan zapakować pół porcji sałatki z szynką? - spyta-  
łam. - Nie, lepiej całą. I trochę kurczaka. I może kawałek placka.  
Wiśniowego.

Ktoś stojący przy bufecie pił mleczno-czekoladowy koktajl, który wyglądał bardzo apetycznie, i skusiło mnie, żeby zamówić podobny.

- To właśnie lubię - powiedział barman, wybijając cenę na kasie. - Kobieta, która potrafi jeść.

Zmieniłam więc zdanie co do koktajlu. Gdy płaciłam, zapowiedziano mój pociąg.

- Bilet w jedną stronę, panienko? - spytał konduktor, opierając się biodrem o fotel naprzeciwko mnie, dla utrzymania równowagi. - Jedzie pani do domu?

Omal nie zaczęłam mu wyjaśniać, że to nie tak, że właściwie nie jest to już mój dom, mimo że zgodnie z prawem połowa farmy należy do mnie. Teraz stanowi własność mojej siostry, ponieważ ona mieszka na niej wraz ze swoją rodziną, a ja po prostu jadę tam, by odzyskać siły, albowiem z jakiegoś powodu moje ciało zaczęło żyć własnym życiem. Chciałam wyznać, że zostałam skazana na wygnanie, gdyż zawiodłam jako pielęgniarka i nikt, łącznie ze mną, nie wierzył, że potrafię zadbać o to, by żołnierze powrócili do zdrowia, skoro nie umiem poradzić sobie z własnymi kłopotami. Nie mam jednak w zwyczaju mówić takich rzeczy na głos.

- Tak - odpowiedziałam.

Mrugnął do mnie, po czym z okrzykiem: „Bilety do kontroli!” - ruszył niepewnym krokiem korytarzem kołyszącego się wagonu.

Tego roku wiosna była nawet mniej odczuwalna na wsi niż w mieście i gdy pociąg wjechał na mały oblodzony peron w Nagaaukee, na niebie wisiały ciężkie chmury brzemienne śniegiem. Wiatr smagnał mnie w twarz, musiałam pochylić głowę. Patrzyłam pod stopy, schodząc po śliskich schodkach z peronu oraz brnąc na drugą stronę ulicy w zacinającym śniegu. Nogi zaniósły mnie kilka

budynków dalej od peronu. Stałam w progu sklepu wędkarskiego Heinzelmana - „Tuzin robaków za centa”. Weszłam do środka.

Zadźwięczał dzwonek nad drzwiami, a węgle w narożnym piecu rozżarzyły się pod wpływem nagłego przeciągu. Rozchyliła się zasłona za kontuarem i z zaplecza wynurzyła się Mary Louise Lindgren. Uśmiechnęła się na mój widok, a właściwie można powiedzieć, rozpromieniła się, wytarła ręce o fartuch w typowy dla niej nerwowy sposób i podeszła do mnie spieszenie.

- Mandy! Co robisz w domu? - Położyła mi dłonie na ramionach i przytuliła policzek do mojego policzka. - Och, zmarzałeś na sopel lodu! - Dotknęła na chwilę ciepłymi palcami mojej twarzy, po czym objęła mnie w talii i uściśnięła lekko, nie pozwalając dojść do słowa. - Podejdz bliżej do pieca. Nie mogę w to uwierzyć, po prostu nie wierzę, że to ty! Zastanawiałam się, gdy usłyszałam dzwonek, kto to może być o tej godzinie, i doszłam do wniosku, że to pewnie Harry Stoltz, ale, rzecz jasna, to nie mógł być on, ponieważ wyjechał do Watertown, a potem pomyślałam...

Plotłaby dalej, co podejrzewała, co pomyślała później i co zrobiła potem, ale przerwałam jej.

- Zrobiłam sobie wakacje - wyjaśniłam. - Postanowiłam odpocząć. - W pewnym sensie była to prawda.

- Mathilda będzie taka szczęśliwa. - Zmarszczyła brwi. - Ale czemu nic mi nie powiedziała? Była u mnie nie dalej jak dwa dni temu.

- Mattie nie wie, że przyjechałam.

Tyle tylko udało mi się wtrącić, ponieważ natychmiast mi przerwała.

- niespodzianka! Wspaniale! I, wiesz, Mandy - pochyliła się ku mnie i zniżyła głos, choć w sklepie nie było nikogo poza nami dwiema - ja również mam niespodziankę. - Odczekała, dopóki nie

upewniła się, że słucham jej uważnie. - George i ja będziemy mieli maleństwo. - Poklepała się znacząco po fartuszk.

Nie miałam pojęcia, co na to odpowiedzieć. Mary Louise zachodziła w ciążę przez pięć lat pod rząd, odkąd pobrali się z George'em Lindgrenem, i za każdym razem traciła dziecko zaledwie po kilku miesiącach. Człowiek powinien wiedzieć, kiedy się poddać, pomyślałam, a nie igrzać z nieszczęściem. Mary Louise powinna przynajmniej zachować ostrożność i panować nad pewnymi uczuciami. Ale jej obca była powściągliwość i brakowało fachowego przeszkolenia, które ja przesłam. Zachowywała się zawsze tak, jak gdyby nic złego nie mogło się zdarzyć, jak gdyby narodziny dziecka były zapisane w gwiazdach, a ona musi tylko poczekać na to błogosławione wydarzenie. Jedynie dłonie splecione opiekuńczym gestem na brzuchu zdradzały skrywany niepokój. To, co jej zdaniem tam rośnie, mogło tak łatwo stać się niczym.

- Tym razem jest jakoś inaczej - powiedziała defensywnie, mimo że nie wypowiedziałam głośno swych obaw.

- Mam nadzieję. - Doprawdy, cóż innego mogłam powiedzieć?

Zgodziłyśmy się, że powinnam ruszyć w drogę, dopóki jest jeszcze widno. Po kilku krokach obejrzałam się, wiedząc, że Mary Louise patrzy za mną. Uniosła rękę, a ja powtórzyłam ten gest, niczym jej lustrzane odbicie, myśląc o czasach, gdy obie, jednakowo szczęśliwe, że na dziś koniec szkoły, bieglyśmy i ślizgałyśmy się właśnie tą drogą, wypatrując światła reflektora na wieży w St. Michael's, które, jak wierzyłyśmy, sygnalizowało ucieczkę szaleńca. Paplałyśmy po drodze o wszystkim, co nam ślina na język przyniosła - czemu Netty Klefstaad nie rozmawia z Ramoną Mueller, skąd wiemy, że Bobby Weiss ściągał podczas dyktanda i co się robi z centem, gdy potrze się nim brodawkę - a czasami śpiewałyśmy.

Oczywiście, wszystko to było przed Mattie. Gdy moja siostra dorosła już do wieku szkolnego, Mary Louise i ja kroczyłyśmy tą samą drogą z godnością, przyciskając książki do piersi, Mathilda natomiast biegła przodem, wskakując w zasy pył śnieżne, tak jak my kiedyś.

- Patrz na mnie, Amando! Patrz, Mary Louise! - krzyczała. Albo wlokła się z tyłu, przyglądając się płatkom śniegu, tworzącym wzorki na jej rękawiczkach, i przywoływała mnie do siebie władczo: - Mandy, spójrz tylko na tę śnieżynkę! Prędeż, bo się roztopi.

Nigdy nie udało mi się przekonać mojej siostry, że mamy z Mary Louise niezwykle ważne sprawy do omówienia. Zwykle mniej więcej przez kilka minut Mathilda stała przy mnie, otulając się wraz ze mną wełnianym szalem, po czym odsuwała się, by biec i ślizgać się tak długo, aż wreszcie niemal padała z wyczerpania i błagała mnie, by ją nieść.

- Na barana! - żądała. Właśnie, żądała, choć była o wiele za ciężka.

- Jesteś na to zbyt duża, Mattie - protestowałam. Wzdychałam. Wywracałam oczy, patrząc na Mary Louise, której ośmioro braci i siostr nigdy nie sprawiało tyle kłopotu, nawet wszyscy naraz. Ale Mathilda tupiała, płakała i trzymała się mnie kurczowo, toteż w końcu ustępowałam, przyklękałam, a ona wskakiwała mi na plecy i otaczała moją szyję ramionami tak mocno, że omal mnie nie dusiła. Mathilda zawsze przeszkadzała, zawsze mnie tyranizowała, a ja zawsze ulegałam. Zawsze robiłam to, czego chciała. Zawsze. Z wyjątkiem ostatniego razu.

Gdy się urodziła, miałam osiem lat i w opinii sąsiadek nie zapowiadałam się dobrze.

- Cóż za piękne dziecko - powiedziała pani Jungbluth do pochylonych nad kotłuską Mathildy pan Tully oraz Manigold, po czym wszystkie trzy zaczęły rozpyływać się nad jej ślicznymi usteczkami

i uroczą bródką. Można by przypuszczać, że skoro same miały w sumie siedemnaścioro dzieci, zdążyły dość się już napatrzeć. Ale widocznie Mathilda była wyjątkowa.

- Amanda będzie zazdrosna o swoją śliczną siostrzyczkę, prawda? - powiedziała pani Tully.

- Nie, Amanda kocha siostrę - zaprzeczyła moja matka i dla poparcia swego twierdzenia położyła mi niemowlę na kolanach.

Dlaczego miałabym być zazdrosna? Mathilda była moja. Małeństwo, które wszystkie te kobiety chciałyby mieć, należało do mnie.

W dniu chrztu Mattie do domu przyszedł fotograf, by zrobić nam zdjęcie. Posadzono mnie w dużym zielonym fotelu - sięgałam już nogami do podłogi, o ile nie wsuwałam się zbytnio w głębię. Trzymałam Mattie na kolanach, jej biała sukienka spływała w dół, malutkie paluszki zaplątały się w koniec mojego warkocza, a tymczasem na dworze gonili się kwietniowe chmury, przesłaniając co chwila słońce, tak że w pokoju robiło się to jasno, to ciemno.

- Uśmiechnij się - prosił fotograf, ja jednak się zaparłam. Wiedziałam w domu Mary Louise obrazek Madonny z dzieciątkiem i postanowiłam, że będę wyglądała tak jak ona, poważnie i godnie.

Gdy nastąpił trzask, błysk, w powietrzu uniósł się dym, Mathilda rozplakała się. Matka podeszła, by wziąć ją ode mnie, ale ja trzymałam moje dziecko kurczowo i nie chciałam go oddać. To ja je utulę. A sama Mattie wplotła mocniej paluszki w moje włosy i nie puściła ich, dopóki matka nie rozprostowała jeden po drugim tych małych haczyków.

Skręcałam w Glacier Road, która wiedzie na szczyt wzgórza wznoszącego się nad jeziorem Nagawaukee. Gdy już tam dotarłam, wiatr smagnął mnie z całej siły, szczypiąc w policzki i rozwiewając poły płaszcza. Z trudem chwytając powietrze, brnęłam naprzód z nisko pochyloną głową, aż wreszcie dotarłam do lodowni. Postanowiłam odpocząć tam przez chwilę. Tupałam nogami w słomie, poruszałam palcami, zdjęłam szalik i strzepnęłam z niego szron powstały z mego oddechu. Zostawiłam drzwi częściowo otwarte, by wpuścić trochę światła. Przede mną rozpościerał się widok na stromy stok, przez drzewa prześwitywało zamarznięte jezioro, niczym biała szrama na ziemi. Przeniosłam spojrzenie w prawo, wyęzając wzrok, i dostrzegłam między pniami drzew znajomą ciemną plamę pośród bieli, półksiężyc, ozdobiony koronką bezlistnych gałęzi, w północno-wschodnim krańcu Taylor's Bay, wyspę, która niegdyś była moja. Wyężywszy wzrok jeszcze bardziej, dojrzałam zielony dach domu, w którym mieszkali przed wojną Mattie i Carl.

Dawno temu myślałam, że jest to jedyne takie miejsce na całym świecie, ale teraz już wiem, że to nieprawda. W tej części kraju jest mnóstwo jezior i choć mają różny kształt, w istocie są identyczne. To kropelki, kapki, plamy na ziemi. To zagłębienia i kraterzyki o powłoce zbyt cienkiej, by mogła powstrzymać zasilające je źródła. Większość z nich jest upstrzona upartymi małymi wysepkami, bryłkami lądu, które nie chcą zanurzyć głowy pod wodę.

Dla starego farmera, który sprzedał ziemię moim rodzicom, moja wyspa była niczym albo jeszcze mniej niż niczym – bezużytecznym splechem gruntu. Nie wspomniał o tym moim rodzicom, gdy popychał w ich stronę akt własności po blacie ciężkiego dębowego stołu,

stojącego w kuchni, która jeszcze przed chwilą należała do niego, a teraz była nasza.

Dopiero kilka lat później odkryli, że są właścicielami wyspy. Miałam dwanaście lat, a Mattie cztery, gdy moi rodzice rozłożyli dokumenty na tym samym stole kuchennym, by ustalić, czy źródło w północnej części, które byłoby dla nich przydatne, naprawdę jest własnością sąsiadów, jak utrzymywali Jungbluthowie.

- Co to jest, o, tutaj? - spytała matka, stuknąwszy palcem wskazującym w plamkę oznaczoną iksem, znajdującą się gdzieś pośrodku pustki.

Ojciec przyjrzał się uważnie mapie.

- No cóż, matko - powiedział - wygląda na to, że mamy własną wyspę w zatoce Taylora.

Mattie stała jak zwykle tuż obok niego, obejmując ramionami jego nogę. Ojciec wziął ją na ręce i podrzucił pod sufit.

- Co sądzisz o wyspie, panienko?

- Jeszcze raz! - pisnęła. - Jeszcze!

Podrzucił ją do góry nawet jeszcze kilka razy. Mattie popiskiwała radośnie, aż wreszcie postawił ją na podłodze, marszcząc jej przy tym sukienkę.

- Jeszcze raz! Proszę! - marudziła, ciągnąc go za nogawkę spodni. - Jeszcze! Proszę! Jeszcze!

W końcu pogroził jej ostrzegawczo palcem i Mattie wybuchnęła płaczem. Ojciec odwrócił się do mnie.

- Zajmij się siostrą - powiedział niecierpliwie. - Jesteśmy z mamą zajęci. - I wrócili do mapy, próbując nagiąć północną granicę.

Tego samego wieczora, gdy wszyscy leżeli już w łóżkach, zesłałam cichutko po schodach i rozłożyłam mapę, żeby przyjrzeć się w spokoju i samotności kształtowi wyspy. Jakże dziwnie mała i płaska



się wydawała, tak różna od skalistej, pofalowanej okolicy, którą znałam. Potarłam ją palcem. Na papierze przypominała jedynie smugę dżemu jeżynowego.

Pośród wycia wiatru usłyszałam dzwonki sań, nadjeżdżających drogą. Otuliłam szczelnie szyję szalikiem i podniosłam z podłogi torbę. Prawie już wyszłam na zewnątrz, by zawołać woźnicę, gdy zobaczyłam konia, który wjechał na szczyt wzgórza, i zorientowałam się, czyje to zwierzę. Wzdrygnęłam się i prędko zamknęłam drzwi. Za żadne skarby nie chciałam, żeby Joe Tully dowiedział się o czymś, co zrobiłam, czymś znacznie gorszym od mojego zwolnienia. Nie potrafiłam stanąć z nim twarzą w twarz, kryjąc w duszy taki wstyd. W ciemności przylgnęłam do pokrytych słomą bloków lodu i czekałam z zamkniętymi oczami, wstrzymując oddech, aż umilknie brzęk dzwonek, usłyszę jego kroki, oślepi mnie światło, albowiem z pewnością mnie zobaczył, a przynajmniej dostrzegł coś, co zwróciło jego uwagę. Joe nie był typem człowieka, który zlekceważyłby zauważonego, nawet w przelocie, intruza lub kogoś, kto mógł potrzebować jego pomocy.

Dźwięk dzwonek zbliżał się coraz bardziej, aż wreszcie usłyszałam parskanie konia i skrzywienie płóz na śniegu. Sanie minęły lodownię, dzwonienie oddalało się stopniowo, w końcu całkiem ucichło. I choć obca osoba, jaką stałam się ostatnio, poczuła ulgę, dawna Amanda dygotała z rozpaczy. Rozpłakałam się, piekące lzy spływały po moich zmarzniętych policzkach na myśl, że muszę ukrywać się przed mężczyzną, którego kiedyś kochałam.

W końcu musiałam ruszyć w dalszą drogę. Mogłabym płakać jeszcze długo, ale wkrótce miało się ściemnić i zrobiłoby się jeszcze zimniej. Chociaż wiatr był gwałtowny, porywisty, zostało mi już

do pokonania tylko jedno wzgórze. Gdy wreszcie zobaczyłam żółty budynek oraz dym, unoszący się z komina zrobionego z polnych kamieni, puściłam się biegiem, wielkimi susami, wywijając torbę, jak gdybym była po prostu dziewczyną radośnie podnieconą powrotem do domu.

Miałam właśnie zapukać do drzwi kuchennych, gdy otworzyły się gwałtownie i na progu stanęła Mathilda, z policzkami zarumienionymi od siedzenia w pobliżu ognia.

- Amando! Wróciłaś! - Musiała podnieść wysoko ramiona, żeby zarzucić mi je na szyję, o ile bowiem ja wyrosłam na gidię, Mattie pozostała drobna i delikatna jak nasza matka, mały chochlik.

Jej uścisk sprawił mi przyjemność, ale byłam mniej wylewna od mojej siostry, toteż stałam nieporadnie, nadal trzymając w ręku torbę, dopóki Mattie nie pociągnęła mnie do środka.

- Zaczekaj, Mattie, nie chcesz chyba, żebym zabrudziła śniegiem twoją czystą podłogę. - Tupnęłam i otrzepałam śnieg z ramion.

- Przynieś go do środka! - roześmiała się Mattie. - Wnieś cały, razem z sobą!

Zdejmując mi płaszcz, dźgnęła mnie żartobliwie palcem w żebra.

- Trochę się przytyło, co? Pewnie opychałaś się ciastkami? - Zachichotała wesoło.

- Parę dni na twojej kuchni i znowu zostanie ze mnie tylko skóra i kości - odgryzłam się.

- Och, teraz kiedy już przyjechałaś, nie będę więcej gotowała.

Roześmiałyśmy się obie, wiedząc, jak bardzo jest to zgodne z prawdą.

- Ależ masz buty, naprawdę fantastyczne! - wykrzyknęła, schylając się, by podziwiać moje miejskie obuwie, które dość mocno ucierpiało, gdy brnęłam przez zasy, ponieważ kompletnie nie było przystosowane do takich wędrówek.

Taka właśnie była moja Mattie. Zachwycała się nowymi butami i nawet przez myśl jej nie przeszło, by zasypać mnie kłopotliwymi pytaniami, czemu wróciłam do domu lub co zamierzam robić. Po prostu cieszyła się, że ma mnie znowu tutaj.

- A Ruthie? Gdzie jest moja malutka? - spytałam.

- Tutaj, oczywiście. - Dała nurka pod stertę skotłowanych kołder, leżących na fotelu na biegunach w pobliżu pieca, i wyciągnęła stamtąd malutką dziewczuszkę.

- Obudź się, Ruthie. Przyjechała ciocia Mandy.

- Och, nie budź jej - powiedziałam błagalnym tonem, ale było już za późno. Ruth zamrużyła powiekami i ziewnęła.

Mathilda wepchnęła mi ją w ramiona.

- Masz, trzymaj ją.

W moim obecnym stanie ducha przestraszyłam się, że dziecko zacznie płakać, ale gdy usadowiłam się w fotelu, Ruthie wtuliła się w moje ramię i zasnęła z powrotem. Było tak, jak nie ośmieliłam się nawet marzyć, nasza trójka w znajomym ciepłe domowej kuchni. Mało brakowało, a zapomniałabym spytać o Carla.

- Odzyskał całkowicie wzrok - opowiadała Mattie. - Ale w nogę wdało się jakieś zakażenie i wciąż nie wiadomo, kiedy wróci. - Pisała w listach do mnie o gazie, który go oślepił i o szrapnelu, który wyrwał mu w udzie dziurę tak dużą, że zmieściłaby się w niej cała pięść.

Zapewniałam ją, że bez wątpienia Carl całkowicie odzyska zdrowie, ona jednak wyraźnie wołała się martwić. - No, ale teraz ty tu

jesteś - powiedziała, patrząc mi w oczy i odrzucając niemal buntowniczo głowę do tyłu.

A więc zajmę się nią. Tak jest dobrze. To coś, co potrafię robić. Na chwilę prawie uwierzyłam, że wszystko jest tak jak kiedyś, jak było zawsze, zanim Carl czy ktokolwiek inny stanął między nami.

# Rozdział drugi

## *Ruth*

Ciocia Mandy kazała mi być cicho, ale ja się nie uspokoiłam. I wtedy moja mama odeszła.

## *Amanda*

- Moja siostra odeszła - powiedziałam szeryfowi.

Ziewnął i potarł dłonią twarz. Gdy nie miał do czynienia z naruszeniem prawa, na co dzień, szeryf był po prostu panem Kuhtzem, farmerem. Wyciągnęłam go z łóżka.

- Co takiego?

- Nie mogę znaleźć Mathildy. - Przeniosłam na drugie biodro Ruth, opatuloną w puchową pierzynkę, ponieważ listopadowa noc była bardzo zimna. Ręce mdlały mi ze zmęczenia, Ruth była ciężka, ale nie mogłam jej puścić. Byłam w domu od niespełna roku i straciłam siostrę.

- Od jak dawna jej nie ma?

- Od wielu godzin. Nie wiem dokładnie, od ilu. Położyłyśmy się wszystkie spać, a potem coś obudziło Ruth. Wtedy zorientowałam

się, że Mattie nie ma w jej pokoju. W ogóle nie ma jej w domu.

- Jesteście wciąż na wyspie? - Skrzywił się i uświadomiłam sobie, że Mathilda miała rację. Ludzie snuli domysły na nasz temat. - Przeszłaś już po lodzie?

W tejże chwili pojawiła się za nim pani Kuhtz.

- Czemu trzymasz je na tym zimnie, Cyrusie? - zbesztła męża. - Wejść do środka. Posiedzisz sobie, a ja przyniosę ci coś gorącego do picia. - Miała bardzo wyrazistą twarz, a w tej chwili malowała się na niej troska, kobieta była wyraźnie przejęta. - Daj mi malutką. Nie zmarzłaś, kochanie? - spytała, wyciągając ręce po Ruth.

- Nie! - odparłam, przyciskając Ruth tak mocno do siebie, że aż pisnęła. - Musimy iść do domu na wypadek, gdyby Mattie wróciła.

- Cyrus ją odnajdzie - powiedziała uspokajającym tonem pani Kuhtz. Szeryf poszedł już się ubrać. - Na pewno ją przyprowadzi.

Odwróciłam się i ruszyłam przed siebie po zamrzniętej trawie. Gdy Ruth zadrżała, rozpięłam płaszcz, żeby ogrzać ją własnym ciałem. Pod pierzynką była całkiem naga.

Dokąd idziemy? Nie byłam pewna, wbrew temu, co powiedziałam panu Kuhtzowi. Nie wrócimy na wyspę - nie, to nie do pomyslenia. Bez żadnego planu brnęłam tą samą drogą, co osiem miesięcy temu, tym razem z Ruth, ciężącą mi jak kotwica, przyciśniętą kurczowo do piersi. Mimo że oddalałyśmy się od wody, wydawało mi się, że mam jezioro pod skórą, ponieważ dosłownie ciekło ze mnie i kapało przy każdym mozolnym kroku. Mokre włosy zamrzły mi na głowie. Przód sukienki miałam przemoczony pod płaszczem, wszystko rozmazywało mi się przed oczami, ale moje nogi znały drogę, podobnie zresztą jak w marcu. Wróciłam do ciemnego,

wyżębionego domu rodziców, którego nigdy nie powinnyśmy były opuścić, gdzie wszystkie mogłybyśmy żyć bezpiecznie, gdyby nie ja.

Ruth zasnęła w drodze do domu, jej głowa majtała się na moim ramieniu. Koszulka nocna małej została na wyspie, toteż włożyłam jej jedną ze starych koszul mojego ojca i otuliłam szalem matki. Napaliłam w piecu i kołysałam dziecko na kolanach, czekając, aż woda się zagotuje. Następnie napełniłam gorącą wodą butelkę i włożyłam ją pod pikowaną narzutę obok Ruth. Na chwilę przestała oddychać i ja też wstrzymałam oddech, spodziewając się najgorszego, ona jednak tylko westchnęła i spała dalej. Ciesząc się, że jest bezpieczna, w ciepłe, wróciłam do kuchni i zdjęłam rękawiczki.

Moja ręka nie wyglądała tak źle, jak się obawiałam. Krew zaschła, ranki były niewielkie, ale niektóre dość głębokie. Zostaną mi blizny, a zwłaszcza okrągła wokół nasady kciuka. Kto by pomyślał, że taka kruszyna znajdzie w sobie tyle siły, że będzie walczyła tak zaciekle? Znalazłam whisky mojego ojca i zdezynfekowałam nią skaleczenia. Potem wypiałam szklaneczkę. Podobno whisky pomaga zapomnieć.

Gdy Ruth obudziła się nazajutrz rano w pokoju, w którym nie sypiała od miesięcy, zaczęła przywoływać mamę. Siedziałam w kuchni, czekając, aż minie noc. Moje ciało straszliwie pragnęło snu, ucieczki od stłuczeń, siniaków, obolałych mięśni, ale gdy tylko zamykałam oczy, pojawiały się natychmiast obrazy, których nie potrafiłam znieść. W świetle dziennym, pocieszałam się, wszystko będzie wyglądało inaczej. Znajdą Mathildę w domu sąsiadów, gdzieś nad jeziorem, a może nawet w lasach otaczających zatokę. Zapewne

będzie przemoczona, przemarznięta. Może nawet nabawi się przeziębienia. Sukienka będzie chyba nadawała się do wyrzucenia, ale nic gorszego się nie stanie.

Przygotuję dla niej gorącą kąpiel, upitraszę esencjonalną zupę i zapakuję ją do łóżka. Nie będziemy rozmawiały o tym, co się wydarzyło. Będziemy cieszyły się, że mamy to wszystko za sobą i możemy żyć dalej tak jak przedtem. Muszę tylko przebrnąć przez ciemność, a potem ona wróci do domu. Przyrzekłam to sobie.

A może nic się nie stało. Ukryłam dłoń między kolanami i wmaślałam sobie, że to tylko koszmar senny. Gdy wszędzie słońce, Mathilda zajrzy do kuchni, będziemy śmiały się ze zwiariowanych snów i z tego, jak realistyczne się wydają. Budzisz się, ledwie mogąc oddychać, tak mocno wali ci serce. Powie, że zachowałam się okropnie głupio, że powinnam była wślizgnąć się do jej łóżka, by mnie pocieszyła, że nie będę dobra dla nikogo, jeśli się nie wyśpię. Będzie się ze mną drażniła, że boję się własnego cienia, a potem usmażymy razem naleśniki dla Ruth.

Tak, tak, tak właśnie się stanie, gdy wszędzie słońce. Jeśli nie sprawdzę - to jest bardzo ważne - jeśli nie sprawdzę, czy Mathilda leży w łóżku, lecz zaczekam po prostu ufnie do rana, w świetle dziennym wszystko będzie wyglądało inaczej.

Toteż rankiem, gdy Ruth zawołała matkę, czekałam, nasłuchując odgłosu kroków Mathildy na górze. I usłyszałam je. Tak, byłam całkiem pewna, że je słyszę. Ale Ruth nie przestawała wołać. Rozpłakała się, w jej głosiku brzmiał zawód. Czemu Mathilda jej nie pociesza?

W końcu zdecydowałam się pójść do Ruth. Pozwolimy Mathildzie spać, pomyślałam, wchodząc po schodach. Musi być strasznie



zmęczona. Ale z każdym moim krokiem prawda docierała do mnie z całą ostrością. Poza chwilami, gdy byłam przekonana, że Mathilda bez wątpienia leży w łóżku, zdawałam sobie sprawę, że odeszła.

W głębi duszy wiedziałam o tym, ale nie chciałam spojrzeć prawdzie w oczy. Mój mózg odrzucał tę myśl. Skupiłam wzrok na kształtach odstępów między liliami na tapecie. Dostrzegłam czerwono-niebieski wzór plecionego chodniczka na szczycie schodów. Zastanawiałam się intensywnie, jakie mam zapasy w kuchni, z których mogłabym przygotować śniadanie.

Ruth pozwoliła mi wyjąć się z łóżeczka, ale gdy tylko postawiłam ją na podłodze, pobiegła prosto do pokoju Mattie.

- Gdzie jest mamusia? - spytała, taka zdezorientowana, taka ufna, że serce mi się ścisnęło z bólu.

Jak mam powiedzieć jej coś, czego nie mogę powiedzieć sobie samej? Nie potrafiłam znaleźć właściwych słów.

- Cśśś, kochanie - wyszeptalam. Wiem, że nie to trzeba było powiedzieć. Wiem! Ale powiedziałam: - Cśśś, kochanie. A teraz usmażymy trochę naleśników na śniadanie, dobrze? Chodź, ty i ja będziemy smażyły razem naleśniki.

- Chcę do mamy! - krzyknęła, a kiedy próbowałam wziąć ją za rękę i zaprowadzić do kuchni, oplotła ramionami i nogami słupek łóżka i za nic nie chciała go puścić. - Chcę do mamy! - powtarzała w kółko.

- Uspokój się - powiedziałam. - Cicho. Wszystko jest w porządku. Naprawdę, wszystko w porządku. Mamusia niedługo wróci.

Ale Ruth nie dała się oszukać. Płakała, ja zaś stałam bezradnie, pozwalając jej rozpaczać za nas obie.

Gdy łkania Ruth zaczęły cichnąć, poczułam się nagle zmęczona, tak bardzo zmęczona, że nogi się pode mną uginały. Wzięłam ją na ręce - była zbyt wyczerpana, żeby dłużej protestować - i położyłam

się z nią razem na łóżku Mathildy. Łóżko było niepościelone - tak długo przebywałyśmy z dala od tego domu, tego życia! - toteż wyciągnęłyśmy się po prostu na niebiesko-białym materacu, przytulone policzkami do starych płam. Dłoń pulsowała mi boleśnie, nie mogłam opanować dreszczy. Nakryłam nas wełnianym pledem, który leżał zwinięty w nogach łóżka, i zapadłam w sen.

Śniło mi się, że jest lato, stoję na brzegu jeziora. Po drugiej stronie migotliwej wody widzę Mathildę siedzącą na skałach, otaczających wyspę, i śpiewającą, jak to zwykły czynić syreny. A więc nic się jej nie stało! Oczywiście, jest cała i zdrowa!

- Mattie! - zawołałam z ogromną ulgą w głosie. - Mattie! Jestem tutaj! - Ale ona na mnie nie patrzyła.

Wobec tego postanowiłam przejść do niej w bród. Ruszyłam przed siebie, aż woda sięgnęła mi do pasa, a następnie po pierś. Jakże łatwo byłoby zniknąć pod tą nieodgadnioną taflą. Nie zostałby na niej nawet ślad w miejscu, gdzie się utopiłam, nie powstałyby nawet fale, które świadczyłyby o mojej walce o życie.

- Mathildo! - krzyknęłam. Gdy otworzyłam usta, broda zanurzyła mi się pod wodę. Mattie patrzyła jednak w stronę przeciwnego brzegu, jak gdyby mnie nie słyszała.

Nie mogłam dłużej wołać. Woda zalewała mi usta, nos, oczy, uszy. Ogarnął mnie strach, woda stawała się coraz cięższa, coraz trudniej było mi iść naprzód. Moje stopy z trudem znajdowały punkt oparcia na piaszczystym dnie. Zaciskałam kurczowo palce, próbując uchwycić się jeziora, ale nie miałam się czego przytrzymać. Mimo to brnęłam dalej. Mathilda była tuż przede mną. Jeszcze kilka kroków i odzyskam ją.

I wtedy usłyszałam, że płacze. O, tak, to ty, pomyślałam, prac z całych sił przez wodę w stronę tego dźwięku. Brzmiał dokładnie tak samo, jak wiele lat temu, gdy była moją małą Mattie i chciała, żebym ją utuliła.

- Już idę, Mattie - zawołałam i woda zalała mi usta.

Byłam już prawie przy niej. Płacz brzmiał coraz głośniejszy, ale nogi wrosły mi w piaszczyste dno. Pochyliłam się do przodu i wyciągnęłam ramiona. Brakowało mi tchu, ale usiłowałam jej dosięgnąć. Wytężałam siły. Będę ją miała, jest moja. I wtedy się obudziłam.

To płakała Ruth, to Ruth potrzebowała pociechy. Tonąc w rozpaczy, przytuliłam ją mocno do siebie. Teraz nie miałam już nikogo poza nią, a Ruth nie miała nikogo poza mną.



Matka Ruth utonęła. To fakt. W grudniu odnaleziono jej ciało, uwięzione pod lodem w jeziorze Nagawaukee. Doniósł o tym „Sentinel”. Amanda wycinała artykuły i wklejała je na czarnych stronicach albumu, tak żeby nie było wątpliwości, co się wydarzyło.

#### 4 GRUDNIA 1919 - ZAGINĘŁA KOBIETA

Żona pana Carla Neumanna, zamieszkała przy Glacier Road, w Nagawaukee, zgodnie z oświadczeniem jej siostry Amandy, zamieszkałej tamże, zginęła w nocy 27 listopada. Ktokolwiek wie o miejscu jej pobytu, jest proszony o kontakt z biurem szeryfa w Nagawaukee.

#### 6 GRUDNIA 1919 - ODNALEZIONO CIAŁO ZAGINIONEJ KOBIETY

Ciało żony pana Carla Neumanna zostało odnalezione wczoraj wieczorem pod lodem w jeziorze Nagawaukee przez pana C.J. Owensa oraz jego pięcioletniego syna, Arthura, zamieszkałych w Milwaukee, przy Prospect Avenue 27.

Pani Neumann zaginęła nocą dwudziestego siódmego listopada.

#### 7 GRUDNIA 1919 - POGRZEB PANI NEUMANN

Msza żałobna za duszę pani Neumann odbędzie się jutro o godzinie 18.00 w luterańskim kościele Zbawiciela w Nagawaukee. Pani Neumann pozostawiła męża, Carla, który służy obecnie w 32. Dywizji we Francji, córkę, Ruth, oraz siostrę, Amandę Starkey. Panna Starkey prosi, żeby zamiast kwiatów przekazać darowiznę na Precious Blood Children's Home w Oconomowoc.

Carl Neumann przyrzekł opiekować się Mathilda, a teraz sam wymagał opieki. Pod koniec grudnia, przeszło rok po zakończeniu wojny, napisał wreszcie, informując, że odsyłają go do domu. „Nie mogę uwierzyć - zaczynał się ostatni akapit - że za parę miesięcy będę trzymał w ramionach twoje słodkie, ciepłe ciało, mój maleńki kwiatuśku”. List nie kończył się na tych słowach, ale Amanda, rumieniąc się, złożyła pospiesznie kartkę i wcisnęła z powrotem do lichej koperty. Ostatni telegram przyszedł z Nowego Jorku: „WRA-CAM 12 LUTEGO STOP POCIĄG 15.35”. Amanda była lekko zdziwiona. Z pewnością musiał otrzymać list, który do niego wysłała, wiedział zatem, jak niewiele zostało mu w Nagawaukee. Mimo to jednak wracał.

- Pojedzie pociągiem do Paryża. A potem znowu pociągiem na wybrzeże. Tam wsiądzie na statek, taką łódź większą od domu. - Amanda wiele razy pokazywała Ruthie trasę Carla przez świat tak ogromny, że wykraczało to poza zdolność pojmowania małego dziecka. Trzymała filigranowy paluszek Ruth i wodziła nim po globusie. Ruth chciała tylko, żeby globus się kręcił, ale była ciekawa.

- Gdzie jest teraz mój tatuś? - pytała co wieczór, gdy Amanda kładła ją do wspólnego łóżka.

- W tej chwili je śniadanie - pyszne jajko na miękko. - Amandę dziwiło, że Ruth z taką łatwością przyjęła do wiadomości pojęcie różnicy czasu, jak gdyby uważała, że najdziwaczniejsze rzeczy mają prawo zdarzać się w miejscu tak odległym jak Francja lub na łodzi tak wielkiej, że może przepłynąć przez ocean.

- I co jeszcze? - spytała Ruth.
- Kawałek ryby. Z ościami. Tobie by nie smakowała.
- A co będzie robił potem?
- Nie wiem, Ruth. A teraz śpij.

Amanda żałowała, że w ogóle wspomniała Ruth o Carlu. Z każdym słowem był coraz bliżej i stawał się coraz większy.

### *A m a n d a*

Nie wiadomo, co dla Ruth oznaczały słowa: „mój tatuś”. Znała tatusia z baśni braci Grimm, ale nie był on miłą postacią. Uważałam, że Carl to również nic dobrego, mogę się do tego przyznać.

Carl i Mathilda poznali się w czasie Święta Niepodległości, gdy Mattie miała siedemnaście lat. Uparła się, żeby pojechać na paradę do Waukesha. Wybierali się tam wszyscy - Margaret Schwann, Harriet Lander, Will Audley, Fritz Kienast. Stanowili paczkę, musiała więc być razem z nimi.

- Pojedziesz, prawda, Mandy? - błagała mnie. Wiedziała, że ojciec nie pozwoli jej ruszyć się na żadną podobną imprezę bez przyzwotki.

Spóźniłyśmy się i na ulicy stały tłumy, ale Mattie przepchnęła się do przodu. Wspięła się na palce i powiewała małymi chorągiewkami, które trzymała w obu rękach, a czerwone, białe i niebieskie wstążki

fruwaly na wietrze, gdy Carl maszerowal z orkiestra zakladowa Bay-side Meatpackers Band.

Musze przyznac, ze byl przystojny. Mial delikatna chlopieca twarz, lekki, kolyszacy chod i brązowe włosy, które opadaly mu na oczy - ten rodzaj urody, który dziala na dziewczynę, jeśli trafia na podatny grunt. Omal nie pomylił kroku, nie chcąc stracic jej z oczu, i wiedzialam równie dobrze jak Mattie, że będziemy miały towarzysstwo podczas piknikowej kolacji.

Wreszcie wszyscy wysypaliśmy się na ulicę za ostatnim z idących niepewnie weteranów wojny secesyjnej i ruszyliśmy w stronę parku, uważając, by nie wdepnąć w końskie łajno. Panował upał, jak zwykle w lipcu w Waukesha, toteż nic dziwnego, że Mattie rozpięła sukienkę pod szyją i podwinęła rękawy, odsłaniając śliczne ramiona. Nie zamierzała martwić się takim drobiazgiem jak to, że jej skóra nabierze brązowego koloru. Muszę jednak przyznac, że nie oglądała się często, gdy rozłożyliśmy nasz prowiant pod wiązem, lecz nakładła wszystkim kielbaski i sałatkę ziemniaczaną, rozmawiała z Margaret, Harriet, Willem i innymi, śmiejąc się i żartując, jak gdyby wiedziała, że nie zdarzy się nic nadzwyczajnego, dopóki nie pokroją ciasta.

I, prawdę mówiąc, dla niej nie było nic niezwykłego w tym, że młody mężczyzna zauważy ją podczas marszu i prędzej czy później poprosi ją o rękę.



Rano, dwunastego lutego, Amanda wstała, gdy było jeszcze ciemno, napaliła w kuchni i poszła do obory, by nakarmić i wydoić krowy. Zamiotła skrzynię wozu, odnotowując w pamięci, żeby poprosić parobka, Rudy'ego, o rozłożenie kilku koców na dnie skrzyni, na wypadek gdyby Carl nie mógł siedzieć normalnie na ławce.

Wróciwszy do domu, gdy słońce zaczęło przeświecać słabo przez pozbawione liści drzewa, wygładziła narzutę na kanapie w bokówce, do której prowadziły drzwi z kuchni. Początkowo trudno będzie mu chodzić z powodu okaleczonej nogi, a już z pewnością nie zdoła wejść na górę po schodach.

No cóż, będzie bezradny, trudno. Strzepnęła energicznie poduszki, po czym obrzuciła pomieszczenie zadowolonym wzrokiem. Czy rana nadal wymaga ciągłej zmiany opatrunków? To możliwe. Zależy, ile mięśni rozerwał szrapnel, w jakim stopniu została zainfekowana rana i czy była należycie leczona - Amanda nie miała zaufania do francuskich szpitali. Ale przecież Carl jest młody i silny. Wyzdrowieje szybko, gdy ona się nim zajmie.

Amanda wiedziała z doświadczenia, że wąski pokój jest wygodny dla inwalidy. Jej matka kryła się w nim, gdy dopadały ją ataki migreny. Był położony daleko od sypialni na piętrze, tak że nie dochodziły doń odgłosy zabawy małej dziewczynki, zachowującej się i tak najciszej, jak potrafiła.

### *A m a n d a*

Mama dostała apopleksji w sierpniu tego samego roku, gdy Mathilda poznała Carla. Nie winię ich za to, choć wiem z całą pewnością, że mama nie pochwałała tej znajomości. Wciąż nam przypominała, że jej ojciec był kapitanem w armii Unii. Obie jej córki stać było na kogoś znacznie lepszego od zwykłego rzeźnika.

- On nie jest rzeźnikiem, mamó. Jest pakowaczem mięsa - wyjaśniłam. Pod stołem Mathilda kopnęła mnie lekko w łydkę czubkiem bucika. Ale ja tylko mówiłam prawdę.

Tak czy owak, jak powiedziałam, nie winię ich, choć szokujące zachowanie obojga bez wątpienia nie pomogło. Winna była pogoda.

Lato było bardzo upalne, upalne i tak parne, że samo chodzenie, samo podnoszenie rąk go góry po to, by wyjąć talerz z kredensu, męczyło człowieka do tego stopnia, iż marzył wyłącznie o tym, żeby usiąść.

Tamtego ranka było tak, jak gdyby ktoś ciasno otulił cały świat wełnianym kocem. Mama obudziła się w płacziwym nastroju, nie chora, lecz jakaś słaba. Nie spała dobrze - nikt nie spał dobrze, chyba od tygodni - i wszystko ją denerwowało. Kawa miała bardziej gorzki smak, brzęk talerzy drażnił jej uszy, cerata się lepiła, słońce, zagląda-  
jące przez kuchenne okna, raziło ją w oczy, buty ją cisnęły.

- Niech jedna z was sprowadzi dziś rano owce na niżej położoną łąkę - polecił ojciec, z twarzą pochyloną nad talerzem.

- Ja to zrobię - zaofiarowała się szybko Mattie.

Ojciec skinął głową. Przekroił jajko i grzankę na pół, po czym obrócił talerz, by przekroić je jeszcze raz.

- Ktoś musi zostać z matką - stwierdził, wkładając ćwierć grzanki do ust. - Nie czuje się dobrze.

Zamierzałam zrobić zakupy. Potrzebna nam była nafta, brązowe nici i cukier, ale przede wszystkim miałam nadzieję pojechać do miasta, by ochłodzić twarz podczas jazdy powozikiem i napić się przez słomkę lemoniady przy kontuarze w sklepie Baecke'a.

Matka westchnęła i zamknęła oczy.

- Zostanę - powiedziałam.

Gdy inni wyszli, sprzątnęłam ze stołu, tymczasem mama popijała kawę. Poruszałam dźwignią pompy, żeby napełnić wodą zlew, gdy usłyszałam, jak mówi:



- Chyba położę się na chwilę.

Potem usłyszałam brzęk tłuczonych naczyń. Puściłam pompę i odwróciłam się szybko. Kawałki rozbitej filiżanki i spodeczka leżały na podłodze, ściana była zachlapana kawą. Mama stała, zaciskając prawą dłoń na lewej, i patrzyła na mnie ze zdumieniem.

- Nie wiem, co się stało. Po prostu nie mogłam utrzymać filiżanki w ręku.

- Nic nie szkodzi, zaraz posprzątam - powiedziałam, sięgając po szczotkę.

- Ale co się stało? Nie rozumiem, co się stało.

Wyciągnęła rękę i oparła się na mnie ciężko, gdy pomagałam jej dojść do kanapy.

- Położę się na momencik. Potem poczuję się lepiej, prawda?

Patrzyła na mnie ufnie, z nadzieją, jak gdybym ja była osobą kompetentną.

- Oczywiście, że tak. Jesteś po prostu zmęczona - zapewniłam ją. Wierzyłam w to, co mówię, ponieważ wówczas nie przeszłam jeszcze przeszkolenia medycznego.

Wróciłam do pracy w kuchni. Gdy skończyłam zmywanie talerzy i wzięłam się za pieczenie chleba, mama spała. Od zachodu wiał lekki, gorący wiatr i pomyślałam, że to doskonały dzień na pranie pościeli.

Gdy zdejmowałam poszewki z poduszek, usłyszałam z dołu jej głos.

- Zimno mi, Amando. Amando, strasznie mi zimno.

- Jak może ci być zimno, mamó? - odrzyknęłam z góry. - Jest trzydzieści osiem stopni.

- Ale mnie jest zimno. - Ostatnie słowa wymówiła drżącym głosem.

Zdjęłam jej letni szal z wieszaka za drzwiami i zniosłam go na dół.

- Co tak długo?
- Byłam na górze.

Zirytowana, zacisnęła wargi.

- Okryj mnie. Mam takie słabe ręce.

Otuliłam ją szalem, wtykając go między jej ramię a ścianę, żeby się nie zsunął. Potem uniosłam delikatnie jej głowę i podłożyłam poduszkę.

- Nic dziwnego - wyszeptała.
- Słucham?
- Och, nic. - Zamknęła oczy.

Gdy jednak odwróciłam się, by wyjść z pokoju, odezwała się znowu.

- Pomyślałam właśnie, że to nic dziwnego, iż Joseph cię nie chciał. Jesteś taka obcesowa. Niemal jak mężczyzna.

Przez wysokie okno widziałam owce, skubiące resztkę trawy, która została w ogródku za klatką z kurczętami. Przyglądałam się im, wiedząc, że coś jest nie tak, ale nie potrafiłam dojść, co takiego, aż wreszcie mnie olśniło. Mathilda miała zapędzić owce na dolną łąkę. Gdzie ona się podziewa?

Wiedziałam doskonale, gdzie. Nie zadałam sobie trudu, by zdjąć fartuch. Gdy siatkowe drzwi zamknęły się za mną, byłam już w połowie podwórka.

Las tętnił życiem w pełni lata, rozlegało się głośnie brzęczenie, furkotanie skrzydeł, klekotanie i gruchanie. Pracowite pszczoły krążyły wokół mojej głowy, pajęczyny lepily mi się do szyi, gdy biegłam zarośniętą ścieżką. Poczułam jezioro, zanim jeszcze je zobaczyłam, chłodny powiew od wody, wrażenie przestrzeni za ostatnimi krzewami kapryfolium i krzakami jeżyn.

Tak jak przypuszczałam, naszej łodzi nie było, wiedziałam jednak, gdzie Tully'owie trzymają swoją, podążyłam więc spieszenie

brzegiem, by ją odnaleźć. Była ukryta w wodorostach, prawie nieużywana przez całe lato. Wypchnęłam ją na wodę i wdrapałam się do środka. A potem wiosłowałam, wiosłowałam energicznie w stronę mojej wyspy.

Spoglądałam przez ramię, nieporadnie, próbując ocenić, jak długą mam jeszcze drogę do przebycia, gdy nagle zauważyłam Mathildę po drugiej stronie wyspy. Tak jak myślałam, była tam, podczas gdy inni pracowali, zanurzona po pas w jeziorze, spódniczka jej kostiumu kąpielowego unosiła się wokół niej na wodzie niczym duży skórzasty liść lilii wodnej.

Rzecz jasna, byłam zła. Miałam ochotę wciągnąć ją do łodzi i zabrać do domu, żeby zajęła się swoimi obowiązkami. Ale jeszcze bardziej marzyłam o tym, by samej poczuć, jak cudowna woda obmywa mi nogi. Mogłybyśmy zająć się owcami później. Razem pójdzie nam to sprawnie. Miałam ją właśnie zawołać - moje wargi już składały się, by wypowiedzieć jej imię - gdy usłyszałam jej pisk.

Wystrzelił z wody niczym olbrzymi szczupak polujący na ważkę, rozpryskując migotliwy pył wodny. Ochlapał ją, gdy zanurzał się z powrotem w wodzie. Z okrzykiem triumfu, zręcznie uderzył otwartą dłonią w taflę jeziora, wzbijając fontannę wody, która zalała twarz Mattie. W pierwszej chwili wzdrygnęła się i pomyślałam, że rozplącze się jak dziecko, ona jednak wybuchnęła śmiechem i zanurzywszy dłonie głęboko w wodzie, nabrała jej, ile tylko mogła, i chlusnęła na niego. Nie była dla niego równorzędnym przeciwnikiem - widziałam to nawet z tak dużej odległości. Woda rozbryznięta się na wszystkie strony. Prawie by go nie zamoczyła, gdyby nie podszedł bliżej, nie pozwolił mojej siostrze chlapać na siebie, rewanżując jej się natychmiast, teraz jednak znacznie delikatniej, choć zmoczył ją całkowicie. Stali tak oboje, chlapiąc się w wodzie jak dzieci, śmiejąc się i

pokrzykując na siebie wzajemnie, jak gdyby nikt poza nimi nie istniał na całym świecie.

Nagle zapragnęłam znaleźć się daleko stąd. Rozpaczliwie myślałam tylko o tym, żeby mnie nie zauważyli, nie zorientowali się, że ich śledzę, siedząc samotnie w mojej łódce. Z całych sił starałam się zawrócić, omal nie gubiąc w zdenerwowaniu wiosła, ale w końcu się udało. Wiosłowałam tak szybko, jak tylko potrafiłam, starając się nie robić hałasu, dopóki wyspa nie przesłoniła mi ich widoku i oni też nie mogli mnie już zobaczyć. Byłam bezpieczna.

Gdy przekroczyłam próg domu, z miejsca wiedziałam, że zdarzyło się coś strasznego. Drzwi do bokówki były otwarte i zobaczyłam przez nie koniec kanapy, a na nim dziwnie skręconą stopę mojej matki. Wbiegłam tam pospiesznie i znalazłam ją. Leżała górną połową ciała na podłodze, oczy miała szeroko otwarte, poruszała ustami, ale wydobywały się z nich jedynie nieartykułowane dźwięki, dziwne, straszne dźwięki, jakie mogłoby wydawać gigantyczne niemowlę, bawiące się swoim językiem.

Wciągnęłam ją z powrotem na kanapę i otuliłam znowu szalem.

- Cicho - błagałam. - Bądź cicho, proszę cię.

A potem pobiegłam do stajni, wyprowadziłam konia i dosiadłszy go, popędziłam co tchu na zachodnie pole po ojca.



- Cśśś - powiedziała Amanda w kierunku sufitu bokówki, przygotowanej dla Carla. - Cicho.

Ale powiedziała to takim szeptem, prawie niedosłyszalnie, że Ruth, która już obudziła się na górze, nie przerwała żarliwej

rozmowy, którą sama ze sobą toczyła. Amanda weszła na piętro, by ją stamtąd zabrać, owinęła ją w koc i zniosła do ciepłej kuchni. Ruth wiedziała, że jest już dość duża na to, by chodzić samodzielnie, i chcąc to udowodnić, wierzgała trochę nóżkami, gdy ciotka znosiła ją po schodach.

- Zjemy płatków owsianych? - Amanda sypała je do miseczki, nie czekając na odpowiedź.

- Nie! - odparła Ruth.

- No to może piernika? - Amanda zamieszała płatki dużą drewnianą łyżką.

- Nie!

- A pasternaku?

- Nie!

- Wobec tego, co będziemy jadły?

- Żaby! - wykrzyknęła Ruth, wybuchając śmiechem, jak gdyby powiedziała najzabawniejszą rzecz pod słońcem. - A jak tatuś wróci do domu - spytała po chwili, zanurzając łyżkę w swojej miseczce z płatkami - pójdziemy do domu z zielonym dywanikiem?

- Jakiego domu?

- Tego z zielonym dywanikiem. Tam, gdzie jest mama.

Nagły przypływ uczuć na wspomnienie Mathildy sprawił, że Amanda omal się nie zakrztusiła, łapała z trudem oddech, próbując się opanować. Myśl o czymś innym, powtarzała sobie gorączkowo. Myśl o tym, jaką inteligencją wykazała się Ruth, opisując kwatery na cmentarzu jako dom z zielonym dywanikiem.

- Oczywiście, że możecie tam pójść - odpowiedziała wreszcie. Jej głos brzmiał spokojnie i pewnie. - Tatuś cię tam zabierze. Ale rozumiesz, kochanie, że twoja mamusia jest w niebie, prawda?

- Tak - odrzekła Ruth i włożyła dużą łyżkę płatków do ust.

- Jeśli będziesz bardzo grzeczna, pewnego dnia ty również pójdziesz do nieba.

Amanda zjadła śniadanie na stojąco, żeby móc w tym czasie wykonywać prace domowe - wytrzeła kuchenny chodnik, umyła szybę w drzwiach frontowych. Gdy myła swoją miseczkę po płatkach, na ganku rozległo się tupanie i do kuchni wszedł Rudy. Stał przy piecu, przestępując z nogi na nogę, z dłońmi wciśniętymi pod pachy.

- Zimny dzień - zauważył.

- Uważasz, że powinniśmy wziąć więcej koców?

- Nie zaszkodzi. Możemy też zwalić na kupę wszystko, co mamy.

- Zatem wyruszamy o drugiej.

- Będziemy za wcześnie.

- W każdym razie nie możemy się spóźnić.

- Tak jest, o drugiej - zsalutował Rudy.

Amanda skrzywiła się. Łatwo mu stroić żarty, ale ktoś musi czuć się odpowiedzialny. Ktoś musi dopilnować, żeby wszystko szło jak należy.

Ruth zamieszała płatki, nabrała pełną łyżkę, podniosła ją wysoko i wlała z powrotem do miseczki.

- Ruth, przestań bawić się jedzeniem.

Amanda zabrała miskę ze stołu i wytarła buzię dziecka zmywakiem do naczyń. Ruth wierciła się, cofając twarz przed przykrym zapachem.

- Siedź spokojnie.

Zwykle Amanda namawiała dziewczynkę, żeby zjadła trochę więcej, ale nie dziś. Dzisiaj nie miała czasu. Podeszła do tylnych drzwi i zawołała psy. Przybiegły szybko, przeskakując zaspę, która spiętrzyła się wysoko za płotkiem przeciwniegowym.

- Wejdźcie i ogrzejcie się - powiedziała do nich, stawiając miskę na podłodze.

Weźmie się wreszcie za obiad czy pozwoli, żeby dzień przeciekł jej między palcami? Poczwała chłód podszewki płaszcza, gdy wsuwała ręce do rękawów. Włożyła rękawiczki, wzięła kosz i wyszła na dwór. Mroźne powietrze natychmiast sparzyło jej policzki, wdarło się do nosa, a śnieg tak skrzył się w słońcu, że musiała zmrużyć oczy, a właściwie prawie je zamknąć przed oślepiającym blaskiem. Niebo było błękitne jak kwiecie lnu. Szła do ziemnej piwniczki, podnosząc wysoko nogi, a następnie zapadając się po kolana w śnieg.

Waliła łopatą w lód wokół drzwiczek do piwnicy, dopóki nie odłupała go dość, by udało się je otworzyć. Gdy zeszła na dół, nie widziała kompletnie nic w mroku piwnicy. Musiała stać przez chwilę bez ruchu, opierając się jedną ręką o wilgotną ścianę i czekając, aż jej oczy przystosują się do ciemności po słonecznym blasku dnia. Wreszcie zaczęła rozróżniać warzywa w beczkach i koszach.

Zaproponuje mu, że odkupi jego połowę farmy, myślała, układając w koszyku ziemniaki, jabłka, marchew, cebulę, potem znowu ziemniaki. Nie od razu, ale po pewnym czasie, gdy Carl całkiem dojdzie do siebie i nie będzie sobie mógł znaleźć miejsca. Z pewnością zacznie się niecierpliwić. Nie jest przecież farmerem i właściwie nie jest też ojcem. Czy nie wyjechał natychmiast, gdy tylko usłyszał brzęk oręża? Ruth zaledwie próbowała wtedy chodzić. Będzie szczęśliwy, mając trochę gotówki i wolność, co pozwoli mu zacząć nowe życie. A wtedy wszystko powróci do normy. Będzie mieszkała na farmie z Ruth - dziewczynka potrzebuje wszakże matki. Czy nie tego pragnęłaby Mathilda? Myśl o siostrze sprawiła, że Amandzie zabrakło tchu, a serce zaczęło jej bić jak szalone. W zimnej, ciemnej piwniczce nie było czym oddychać. Zapominając o warzywach, które

wysypały się jej z koszyka na polepę, wbiegła, potykając się, po schodkach z ubitej ziemi na górę, na świeże powietrze, pod promienne, błękitne niebo.

### *A m a n d a*

W kilka tygodni później, gdy mama czuła się nieco lepiej, nie mówiła wprawdzie normalnie, ale nie wydawała już tych okropnych dźwięków, powiedziałam ojcu, że widziałam Mathildę i Carla razem na wyspie.

Myślałam, że wyśle ją, żeby „przemyślała całą sprawę”, podobnie jak wysłał mnie do kuzynki Trudy, gdy Joe zalecał się do mnie, ale on tylko westchnął, przyglądając kędzierzawe włosy matki szczotką o srebrnej ręczce.

- Przydałby się zięć - powiedział w końcu. - A teraz, gdy Mathilda skończyła naukę, pomoże przy matce. Będiesz mogła pójść do szkoły pielęgniarskiej, tak jak chciałaś.

Co on sobie myśli? Nie mogę iść teraz do szkoły pielęgniarskiej! Nie teraz, kiedy mama potrzebuje mnie bardziej niż kiedykolwiek.

Pewnego dnia panna Sizer i pani Zinda zatrzymały mnie na ulicy.

- Czy to, co robią twoi rodzice dla obojga młodych, nie jest wspaniałe? - wykrzyknęły, kręcąc głowami i mlaskając z zachwytu językami. Mówiły tak, jak gdybym była jedną z nich, a nie młodą osobą, jak moja siostra. Ludzie chyba lubią śluby. Nie obchodzi ich, kto się żeni albo jak to wpłynie na życie innych.

Byłam druhną Mathildy. Życzyłam im wiele szczęścia. A potem zapisałam się do szkoły pielęgniarskiej. Tak jak zawsze pragnęłam.





Amanda obierała kartofle, wrzucając je do garnka z zimną wodą, żeby nie szcerniały.

- Jestem głodna - powiedziała Ruth, przytulając się do jej kolan.

- Trzeba było zjeść więcej na śniadanie, prawda? Nie mam czasu karmić cię przez cały dzień.

Jednakże gdy skończyła obieranie ziemniaków, posmarowała kromkę chleba masłem i grubo posypała ją brązowym cukrem.

- A teraz usiądź tutaj i zjedz - powiedziała, trzymając kanapkę nad głową Ruth, dopóki dziecko nie wdrapało się na krzesło. - Nie chcę widzieć cukru i okruszków na mojej ślicznej, czystej podłodze.

- Nie musiałaś gotować aż tyle na obiad - powiedział Rudy, zabierając się do jedzenia wieprzowych kotletów z pieczonymi ziemniakami. - Carl z pewnością będzie głodny. Mogłem zaczekać.

- Jadamy główny posiłek w południe - odparła Amanda. - On o tym wie.

- Chodziło mi o ten jeden raz.

- Jestem pewna, że Carl nie chciałby, żebyśmy zmieniali nasze zwyczaje tylko po to, żeby się do niego dostosować, Rudy. - Amanda włożyła kawałek mięsa do ust i przeżuwała go ze złością. - Czy przygotowałeś wóz?

- Prawie skończyłem - rzekł Rudy i bez dalszych komentarzy zajął się pieczonymi ziemniakami.

Gdy skończyli jeść, Rudy zabrał do stodoły dodatkowe koce, a Amanda włożyła cegły do pieca, żeby się nagrzały. Potem zawołała z podwórka Ruth, turlającą się w śniegu, i niemal siłą zaciągnęła dziewczynkę po schodach na górę, żeby ją przebrać.

Skąd się wzięły rzepy w jej włosach w środku zimy, dziwiła się Amanda, delikatnie rozdzielając splątane włosy Ruth. Nie mogła się oprzeć, by co kilka sekund nie pocierać policzkiem o niewiarygodnie gładki policzek dziewczuszki, zarumieniony od zimna.

Zdjęła wszystko, co Ruth miała na sobie, i zaczęła wkładać jej świeże ubranie. Najpierw czystą bieliznę, bawełnianą koszulkę z długimi rękawami, długie wełniane pończochy, trzy półhalki, najlepszą sukienkę, a na to wszystko długą kamizelkę. Wczorajszego wieczora, w samą porę, Amanda skończyła robić na drutach elegancki sweter dla Ruth, specjalnie na tę okazję. Na kremowym tle były wydziergane pączki róż w pięciu kolorach, wszystkie francuskim ścięciem. Zrobienie całego swetra zajęło jej kilka miesięcy. Podniosła go teraz wysoko, pokazując go dziewczynce.

- Czy nie jest przepiękny, Ruthie?

Ruth pokazała palcem kolorową plamkę.

- Podobają mi się te niebieskie - powiedziała.

- Widzisz? To kwiatki. Róże.

- Róże - powtórzyła Ruth.

- Podnieś rączki do góry.

Trudno było włożyć teraz dziecku sweter, ponieważ Ruth miała już na sobie kilka warstw ubrania, wreszcie jednak Amanda jakoś sobie poradziła i zapięła guziki pod samą brodę. Ruth wyglądała trochę sztywno, niczym lalka.

- Och, istny aniołek! - wykrzyknęła Amanda, ściskając ją mocno.

- Drapie. - Ruth szarpnęła sweter przy szyi.

- Przestań, kochanie, rozciągniesz go.

- Nie! Drapie mnie! Okropnie drapie. - Ruth wierciła się i tupiała nogami. Zaczęła rozpinać guziki.

- Ruth, uspokój się, nic cię nie drapie. - Amanda zdjęła palce dziewczynki z guzików i zapięła dwa, które małej udało się rozpiąć. - Poczekaj, aż wyjdiesz na dwór. Będzie ci wtedy ciepło i miło. Spodoba ci się.

Ruth odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła wrzeszczeć do sufitu.

- Nie! Właśnie że drapie!

Szarpnęła kołnierzyk, potem rękawy.

Amanda chwyciła ją za nadgarstek. Ruth ugięła kolana i opadła bezwładnie, kręcąc jak szalona głową i waląc piętami o podłogę.

- Ruth Sapphiro Neumann! Natychmiast wstań! Radzę ci posłuchać!

Dziewczynka była lekka i nieduża, łatwo dało się ją poskromić, mimo że stawiała zacięty opór. Jednym szybkim ruchem Amanda przełożyła ją przez kolano. Zamachnęła się mocno, ale jej dłoń odbiła się od grubej warstwy materiału, izolującego pupę dziecka. Ruth prawie nic nie poczuła, ale szok z powodu samej kary sprawił, że zaczęła wrzeszczeć jeszcze głośniej.

- Cicho bądź! - zawołała Amanda, przekrzykując Ruth. - Natychmiast! - Niespodziewanie wybuchnęła płaczem. - Cicho bądź - powtórzyła, szlochając. - Proszę cię, uspokój się. - Ruth patrzyła na nią przez chwilę ze zdziwieniem, po czym też się rozplakała.

Amanda osunęła się na podłogę obok dziewczynki i posadziła ją sobie na kolanach. Pochyliła się nad nią, tak że Ruth wyglądała jak małe zawiniątko, wpasowane idealnie w jej ciało, i przytuliła policzek do główki dziecka.

- Och, moje maleństwo - zawodziła, kołysząc dziewczynkę. - Moje biedne maleństwo.

Po chwili pociągnęła nosem i podniosła się. Sweter się poprzeręcał, wygładziła go i zapięła z powrotem guziki, które porozpinała Ruth.

- Chodź, umyjemy sobie buzie. - Ruth stanęła obok miednicy i Amanda przetarła zimną myjką najpierw jej twarz, a potem własną.

- Teraz muszę cię jeszcze raz uczesać. - Amanda podniosła Ruth i postawiła ją na krześle przed toaletką. Zobaczyła w lustrze ich odbicie - obie potargane, z obrzmiałymi powiekami. Nie był to obrazek, jaki Amanda przewidywała wcześniej. Po raz drugi w ciągu dwudziestu minut szczotkowała splątane włosy dziewczynki. - Zawiązać ci kokardę? - Podjęła ryzyko, pytając ją o to, ponieważ Ruth musiała mieć kokardę. W przeciwnym razie zostałby stracony cały efekt, strój byłby niepełny. I, oczywiście, niebieską kokardą musi być niebieska. Ale Amanda była pewna, że Ruth zechce mieć kokardę. Przyłożyła ją do czubka głowy dziewczynki, żeby ocenić całość. Doskonale.

- Czy nie wygląda prześlicznie?

- Nie.

Mimo to Amanda przypięła kokardę spinkami do pięknych ciemnych włosów Ruth.

- Biegnij do swojego pokoju i pobaw się, a ja tymczasem się przygotowuję - poleciła, zdejmując małą z krzesła. Ku jej wielkiej uldze, Ruth usłuchała.

Noga się zagoi i Carl odejdzie, rozmyślała, przesuwając szczotką po włosach. Może obieca, że będzie przysyłał pieniądze. Ruth dostanie prawdopodobnie od czasu do czasu widokówkę. A później, po roku, może dwóch, kartki przestaną przychodzić. Carl rozpocznie gdzieś nowe życie, a one obie z Ruth będą wiodły własne, w miejscu, do którego należą.

## Rozdział trzeci

Carl zobaczył je z pociągu. Czekwały na oblodzonym peronie, Amanda trzymała na biodrze małą dziewczynkę, zapewne jego córeczkę. Gdy stanął w drzwiach wagonu, Amanda pokazała na niego i nachyliła głowę do ucha dziewczynki. Mała podniosła rękę w ciepłej rękawiczce i pomachała nią od niechcenia. Patrzyła na psa w czerwonej obróżce w drugim końcu wagonu. Równie dobrze mogła machać do kogokolwiek.

Szedł powoli, wspierając się na dwóch laskach. Minęło sporo czasu, zanim dotarł do nich, przystając co chwila, stawiając niepewne kroki po peronie, usuwającym mu się spod nóg, walcząc z przejmującym wiatrem, który omal go nie przewrócił. Amanda postawiła Ruth na ziemi, ale dziewczynka nie wybiegła mu na spotkanie. Stali oboje niczym kamienne posągi, każde czekało, aż drugie do niego podejdzie.

- Przywitaj się z tatusiem. Pocałujesz tatusia? - Amanda popchnęła lekko Ruth w tył głowy, ale dziecko strząsnęło jej dłoń i schowało się za spódnicą ciotki.

- Mój tatuś jest daleko stąd.

- Nie przejmuj się, Carl - powiedziała Amanda. - Wiesz, jakie są dzieci.

On jednak nie wiedział. Nie miał pojęcia.

Na ulicy Rudy trzymał konia. Uścisnął dłoń Carlowi i pomógł mu wdrapać się na wóz. Ulżyło mu, pomyślał Carl, że w domu będzie drugi mężczyzna. Zamknął oczy, czując wagę tej odpowiedzialności.

Rudy podniósł Ruth i zamierzał posadzić ją obok Carla, gdy Amanda powstrzymała go, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Ruthie chce jechać ze mną z przodu - powiedziała.

Usiadła na ławce i odwróciła się, wyciągając ręce po swoją dziewczynkę, po czym wóz szarpnął i ruszyli.

Pociąg zagwizdał, gdy skręcali w drogę wylotową z miasta. Carl obserwował, jak wagony przesuwają się wzdłuż peronu, nabierają prędkości i wreszcie oddalają się spokojnie, wioząc ludzi do St. Paul, Sioux Falls, Pocatello i Spokane. Położył się na plecach w wozie, wymoszczonym sianem oraz kocami, i wpatrywał się w nagie gałęzie drzew, tworzące pogmatwane wzory na tle ciemniejszego nieba, toteż nie musiał śledzić znajomej trasy na farmę Starkeyów i myśleć, jak zupełnie inaczej mógł wyglądać jego powrót do domu. Rudy obejrzał się na niego kilka razy.

- Podróż go wyczerpała - powiedział do Amandy. - Daj mu parę dni. Dojdzie do siebie.

- Nie wiadomo, kiedy stanie na nogi - skwitowała Amanda.

### *A m a n d a*

Od początku było oczywiste, że Carl nie będzie mógł zająć się Ruth. Przede wszystkim, nie polubiła go. Zauważyłam to od razu. A on nie kiwnął nawet palcem, żeby to Zmienić. Był dokładnie taki, jak się spodziewałam.

Mathilda i Carl pobrali się w grudniu, w niespełna sześć miesięcy od dnia, gdy się poznali. Dziwny czas na ślub, mówili ludzie z domyślnymi uśmiechami i mieli rację, chociaż nic nie wiedzieli. Nigdy by do tego nie doszło, gdyby nasz ojciec był sobą, gdyby nasza matka nie zachorowała. Plotki roznosiły się na skrzydłach, ale ukręcałam im łeb. Ludzie powinni byli dawno wiedzieć, że Mattie jest przyzwolitą dziewczyną, tylko niecierpliwą.

Carl nie był nikim szczególnym, przynajmniej z mojego punktu widzenia. Zabierał Mathildę na wszystkie tańce i muszę przyznać, że tancerzem był niezłym, ale nie potrafił sklecić dwóch zdań na inny temat niż konie, no i nie miał nawet centa oszczędności.

- Nie wychodzisz za mąż za partnera do tańca - mówiłam Mattie, ale moja siostra była nierozważna i uparta.

Nie chciała słuchać moich rad. Cóż ja wiedziałam o przyczynach, dla których ludzie się pobierają?

Nasza matka była zbyt chora, żeby uczestniczyć w ceremonii, toteż pomogłam jej włożyć różową lizeskę i czekała, wsparta na poduszkach, żeby nowożeńcy przyszli do niej.

- Popatrz, jakie piękne kwiaty dostałam od Carla, mamó - pochwalała się Mathilda, podsuwając bukiet cieplarnianych lilii tak blisko pod nos matki, że ta odsunęła głowę, przestraszona. - Czy to nie sztuka kupić takie kwiaty w grudniu? - Trzymała lilie przed sobą, zginając wdzięcznie rękę, by podtrzymać główki kwiatów, i przybierając pozę panny młodej. - Amando - zwróciła się do mnie - zejdź na dół i przynieś wazon.

Mama próbowała coś powiedzieć. Zaciskała i rozwierała palce zdrowej ręki i poruszała ustami, wymawiając jakieś sylaby bez ładu i składu. Wreszcie wyciągnęła rękę w naszym kierunku. Ujęłam ją.

- O co chodzi, mamó? Czego chcesz?

Ona jednak pokręciła głową i wyrwała mi rękę, po czym wyciągnęła ją do Carla. Wyraźnie chciała, żeby to on ją trzymał.

- Zejdź szybko na dół, Amando, i przynieś wazon - powtórzyła Mathilda. - Chcę zostawić tutaj kwiaty dla mamy.

Wychodząc z pokoju, zatrzymałam się na chwilę na progu i spojrzałam na nich. Jaki ładny obrazek tworzyli. Mathilda podała lilie Carlowi, on zaś stał, trzymając je dla niej, i jednocześnie opowiadał mojemu ojcu, jak Frenchie sforsowała prawą przednią nogę w drodze powrotnej z miasta. Obok niego Mathilda, z opadającymi wokół twarzy lokami, które trefiłam gorącymi rurkami przez kilka godzin tamtego ranka, pochylona nad matką, wiązała wokół jej szyi własny jedwabny szal. Widocznie nie ubrałam jej dość ciepło.

Nie potrafię wyjaśnić tego, co stało się potem. Jestem zwykle taka ostrożna, zwłaszcza gdy mam do czynienia z kryształami mamy. Była ogromnie dumna z nich wszystkich - jedenastu kielichów, dzbana na wodę i wazonu ze żłobionym brzegiem. Używała ich bardzo rzadko. I jakże żałowałam, że przyszło mi wtedy na myśl, by wziąć do kwiatów właśnie tamten wazon, ale wydawał się wprost idealny na tę okazję.

Ustawiłam taboret równo, tak żeby wszystkie cztery nogi stały pewnie na podłodze, po czym wdrapałam się nań, ale nawet wtedy musiałam wspiąć się lekko na palce i wyciągnąć mocno ręce, by dosięgnąć wazonu. Trzymałam go już bezpiecznie w dłoniach, jestem tego pewna. I nagle, jakimś sposobem, upuściłam go. Moje ręce były puste, a wazon gruchnął o podłogę z hukiem, na którego wspomnienie jeszcze dziś robi mi się niedobrze.

Nadbiegli wszyscy - Mathilda, Carl i ojciec z pokoju matki, Rudy z kuchni - a ja stałam na stołku, gapiąc się na moje zawodne palce. Miałam nadzieję, że zobaczę na nich krew, że odniosłam jakieś rany,



które usprawiedliwiłyby to, co zrobiłam, ale dłonie były nietknięte, za to na całej podłodze leżały odłamki szkła.

Carl zaczął je zbierać i spytał, czy nie mamy jakiegoś kleju, a Mathilda schyliła się, by mu pomóc. Ale przyniosłam miotłę i odepchnęłam ich. Strata jest nieodwracalna. I im prędzej zdamy sobie z tego sprawę, tym lepiej.



Ze swojego łóżka Carl przyglądał się przez otwarte drzwi do kuchni, jak Ruth je bekon i rzepę. Odezwał się raz, pytając ją nienaturalnie łagodnym głosem, czy lubi rzepę. Przyznał, że sam nigdy jej nie lubił. Ciągnął ten temat zbyt długo, słuchając własnego głosu, jak gdyby należał do kogoś obcego. Ruth nie odpowiedziała. Zsunąwszy się z krzesła, przemaszerowała przez kuchnię i zatrzasnęła drzwi do bokówki Carla.

- W tym domu jest okropnie głośno - powiedziała.

Amanda zbeształa dziecko i spieszenie otworzyła drzwi z powrotem, nie wytrzymała jednak i uśmiechnęła się, słysząc własne słowa z ust małej dziewczynki. Zabrzmiało to bardzo zabawnie.

- Powiedz tatusiowi dobranoc, Ruth - rzekła Amanda, gdy już sprzątnęła ze stołu. A kiedy dziecko nie posłuchało, co łatwo było przewidzieć, Carl zauważył pełen satysfakcji uśmiech Amandy, mimo że pochyliła głowę, by go ukryć.

Słyszał drobne kroki Ruth, dwa stąpania na każdym schodku, potem skrzywienie podłogi, stuk szuflady komódki, a potem

szlochanie, dźwięk zdumiewająco różny od wysokiego, przejmującego krzyku, jaki wydobywał się z ust Ruth, gdy była niemowlęciem. Biedactwo, brakuje jej matki, która by ją pocieszyła. Pewnie boi się ciemności, pomyślał w pierwszej chwili, ale denerwujący dźwięk nasilał się, nie pomogło nawet, gdy zatkał uszy poduszką. Czemu Amanda nie robi nic, by uspokoić dziecko? I w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że Ruth wcale nie płacze, lecz się śmieje.

- Jeszcze! - wołała. - Jeszcze!

Amanda zabawiła na gorze dłuższą chwilę. Gdy wróciła na dół, by pozmywać naczynia, Carl prawie zasypiał.

- Nie powinnam była pozwolić jej, żeby tak się rozbawiła - powiedziała. - Jest pod tym względem ogromnie podobna do Mathildy, nigdy nie chce iść spać.

Carl nie miał takich wspomnień o Mathildzie. Pamiętał, jak lubił przyglądać się jej wczesnym rankiem, uśpionej, tak zagrzebanej w pościeli, że wystawał jej tylko czubek głowy. Obejmowała go ramieniem i przytulała się, nie wiedząc nawet, że to robi. Ale Amanda prawdopodobnie miała rację. Mieszkała z siostrą prawie przez dwadzieścia lat, a on był jej mężem zaledwie przez trzy, w dodatku ponad rok spędził w obcym kraju.

Amanda krzątała się sprawnie po kuchni, myła naczynia, chowała wszystko na miejsce, co przypomniało Carlowi, że nie ma pojęcia, gdzie co leży w tym domu.

- Może powinienem przenieść się z Ruth z powrotem na wyspę - zaproponował.

- To niezbyt rozsądne.

- Chyba masz rację.

Amanda strzepnęła energicznie ścierkę do naczyń.

- Postawimy cię na nogi w mgnieniu oka.

- Jasne - powiedział Carl, starając się, by jego głos brzmiał pewnie, i usiłując zachowywać się, jak gdyby wszystko miało wkrótce wrócić do normy. - Nim nadejdzie pora zasiewów, wrócę całkowicie do zdrowia.

Amanda zgasila lampę. W kuchni zapanował absolutny mrok.

- Zobaczmy - napłynął jej głos z ciemności.

Słyszał jej kroki, ciężkie stąpanie po schodach, potem skrzywienie podłogi w pokoju, nawet chrzęst materaca, gdy się na nim kładła. A potem już tylko poświst wiatru uderzającego o gonty i szyby.

### *A m a n d a*

Gdy Mathilda i Carl wzięli ślub, musiałam spać w bokówce przy kuchni. Przez całą zimę słuchałam, jak szepczą i śmieją się w nocy. Słyszałam, jak trzeszczy ich łóżko.

Później zechcieli mieć dom wyłącznie dla siebie, dom na mojej wyspie, to Mathilda wpadła na ten pomysł. Przez całą wiosnę i lato pracowali przy jego budowie, ale codziennie przyptywali z powrotem na farmę, Carl, by pomóc ojcu, a Mathilda, by odwiedzić matkę, która w dużym stopniu odzyskała zdrowie, i by odciążyć mnie od prac domowych. Nie byłam dłużej potrzebna. Uniwersytet przyjął moje podanie do szkoły pielęgniarskiej i zaczęłam pakować manatki.

Byłam naprawdę kimś tamtego dnia, gdy, w nowym kapeluszu, czekałam na peronie na przyjazd pociągu, a cała rodzina przybyła, żeby mnie pożegnać. Dostałam prezenty - srebrne pióro od rodziców, czerwony notes oprawny w marokiny od Mathildy i domek dla modraszek od Carla, co mnie zaskoczyło, ponieważ rzeczywiście lubię

ptaki, ale nigdy nie spodziewałabym się, że mężczyzna zauważy coś takiego. Rzecz jasna, podziękowałam mu. Podziwiałam misterne wykonanie i pomysłowo wystrugane gonty na daszku, małe okiennice przy wejściu, które sprawiały, że domek wyglądał jak prawdziwy. Ale jak Carlowi mogło przyjść do głowy, że będę wiozła ze sobą coś takiego do Madison? Niby co miałabym zrobić w internacie z domkiem dla ptaków? Nie będzie tam żadnej balustrady, na której mogłabym go powiesić. Prawdopodobnie spotka mnie duże szczęście, jeśli znajdzie się jakieś okno, które będę mogła nazwać „moim”.

- Przechowam go dla ciebie - powiedziała Mathilda.

Stali na peronie, gdy pociąg ruszył, wszyscy machali mi na pożegnanie, z wyjątkiem mojej siostry, która miała ręce zajęte.

Nie miałam do nich pretensji, przecież małżeństwo powinno mieć swój własny kąt. Ale gdyby nie wybudowali domu na mojej wyspie, Mathilda nie utonęłaby. Jeśli patrzy się na to jednostronnie, nasuwa się właśnie taki prosty wniosek.



Mathilda nie śniła się Carlowi często, choć bardzo się o to starał. Myślał o niej, leżąc w łóżku i próbując wywołać jej obraz w swoim śnie. Czasami myślał o dniu, w którym się poznali, jak zabrał ją na kolejkę górską w lunaparku i jak bardzo jej się to spodobało. Chciała jeździć jeszcze i jeszcze, i Carl dziękował Bogu, że ma dość pieniędzy, by zaspokoić jej zachciankę. Stwierdził już po pierwszym razie, że sam nie cierpi kolejki - gwałtowne zjazdy przyprawiały go o mdłości - ale było warto, bo Mattie przytulała się z całej siły do jego ramienia, piszcząc radośnie, a jej jedwabiste włosy muskały mu

twarz. Jeździłby tak z nią przez całe popołudnie, gdyby jej siostra, czekająca z ponurą miną na dole, z piknikowym koszykiem pod pachą, nie straciła w końcu cierpliwości.

- Dosyć to dosyć. Zawsze musisz przeholować - powiedziała Amanda i chwyciwszy mocno Mathildę za rękę pociągnęła ją za sobą tak energicznie, że ledwie zdążył się pożegnać. Gdy Mathilda odwróciła się, by mu pomachać, a tłum zamknął się za nimi, pogratulował sobie, że przyszło mu wcześniej do głowy spytać ją, gdzie mieszka.

O tym właśnie myślał przed zaśnieciem, ale jak zwykle nie zdołał jej przywołać. Wbrew jego woli, sny zaprowadziły go daleko od Mathildy, z powrotem do Francji, gdzie szary dym mieszał się z szarą mgłą, do okopu, w którym odpoczywał z Simsem i McKinleyem, dwoma kolegami z oddziału, dopóki wybuch nie powyrzucił ich z powykręcanyimi kończynami we wszystkich kierunkach na częściowo zamrażnięte błoto niczym worki z kartoflami. Pamiętał moment, gdy wylatywał w powietrze, ale nie pamiętał, jak spadał.

Otworzył oczy, słysząc czyjś jęk. Był to Pete McKinley, który jakieś sześć metrów dalej próbował się podnieść. Między nimi leżał bez ruchu Henny Sims. Carl zamierzał właśnie zawołać McKinleya, gdy zauważył, że na twarzy kolegi maluje się przerażenie. Podążył wzrokiem za jego spojrzeniem. Z brzegu okopu wpatrywało się w nich trzech Szwabów z nastawionymi bagnetami.

Drgnął mimo woli, ale Niemcy nie zwrócili w ogóle na niego uwagi. Zapewne pomyśleli, że nie żyje albo przynajmniej że jest nieprzytomny. Gramolili się już do okopu, kierując się w stronę McKinleya, któremu udało się uklęknąć. Jeden z nich zatrzymał się nad Simsem i przewrócił go bagnetem na plecy. Carl widział, że z kolegą

jest coś nie w porządku. Jego głowa wyglądała dziwnie.

- Nie żyje - powiedział Szwab i w tej chwili Carl zdał sobie sprawę, że Henny'emu brakuje pół głowy.

Mój karabin, pomyślał Carl i wydawało mu się, że sięga po niego, że nawet wstaje i składa się, by strzelić im w plecy, ale było to tylko złudzenie. Jego ciało pozostawało nieruchome, przykute do ziemi.

A potem wszystko zatonęło w czerwieni. Właśnie tak kończył się zawsze sen, który nie był snem, czerwień zalewała absolutnie wszystko.

Było jeszcze ciemno, gdy trzasnęły drzwi i do kuchni weszła, stąpając ciężko, Amanda. Policzki miała zaróżowione. Właśnie skończyła doić krowy.

- Gotów na śniadanie? - spytała, wsuwając głowę przez drzwi do pokoiku Carla. Otaczał ją obłok chłodu, ogrzewała oddechem palce.

Gdy wszedł do kuchni i opadł na krzesło, Ruthie siedziała już przy stole. Niczym pies, który pilnuje swojej miski z jedzeniem, nie spuszczała wzroku z Carla, wkładając do ust płatki kukurydziane nieporadnie trzymaną łyżką. Amanda rozbijała wprawnie jajka o brzeg niebieskiej emaliowanej miseczki.

- Jeśli chcesz pojechać najpierw na grób Mathildy, Rudy cię zawiezie - powiedziała. - Ruth jest gotowa jechać z tobą, prawda, Ruthie? - Przetarła dziewczynce twarz zmywakiem i zsadziła ją z krzesła.

Ta myśl przeraziła go. Zrozumiał, że dotąd wmawiał sobie, iż Mattie wyjechała po prostu z wizytą do kuzynki albo mieszka w domu na wyspie. Niemal oczekiwał jej powrotu.

- Chyba na razie nie dam rady.
  - Ależ, Carl - rzekła karcącym tonem Amanda - naprawdę powinnaś to zrobić. Co ludzie sobie pomyślą? Mam coś dla ciebie - dodała, wychodząc na ganek i wracając z naręczem gałązek usianych czerwonymi jagodami.
  - Pomyślałam, że może zechcesz to wziąć. Wiem, że to nie prawdziwe kwiaty, ale nie można być wybrednym o tej porze roku.
- Ruth stanęła na palcach i wyciągnęła ręce.
- Ładne - powiedziała - bardzo ładne.
  - Nie, nie, słoneczko. One nie są dla ciebie. Spójrz, jakie mają kolce. - Ukłuła się w palec, na którym ukazała się kropelka krwi. Pokazała ją Ruth, jak gdyby to była nagroda.

### *R u t h*

- Prr - powiedział Rudy i Frenchie zatrzymała się. Zobaczyłam mur, za którym były wszystkie nagrobki.
  - Hop - rzekł i znalazłam się w powietrzu, a potem na śniegu. Śnieg był twardy, jak herbatniki. Nie znaczyły go żadne ślady. Byłam ostrożna. Przesunęłam powoli stopę. Próbowałam zrobić to tak, żeby nie naruszyć śniegu. Mężczyzna, który był moim ojcem, pozwolił mi. Nie popędział mnie. Dziurawił śnieg laskami. Dźgnięcie, krok. Dźgnięcie, krok. Żałowałam, że ja nie mam laski.
- Minęliśmy skromne szare nagrobki, posąg, który spał, i ten z okrętem. Znałam drogę. Ciocia Mandy i ja byłyśmy tu wiele razy. Wdrapaliśmy się na wzgórze, a potem zesliśmy na dół z drugiej strony. Dotarliśmy do kamienia, na którym znajdowało się imię mojej mamy. Cały był oblodzony.

- Mathilda - wyszeptał, a ja wiedziałam, że ma na myśli moją mamę.

Zajrzałam za kamień, jak zawsze to robiłam. Ciocia Mandy mówiła, że mama też tam jest, ale ja nigdy jej nie widziałam.

- Gdzie ona jest? - Ciocia Mandy nigdy mi nie powie, może więc on to zrobi.

- W niebie. - Ta sama stara odpowiedź, która wcale mnie nie zadowalała. I zobaczyłam, że płacze.

Rozpłakałam się, ponieważ on płakał.

- To dlaczego nie pójdziemy tam i nie zabierzemy jej?

Niebo to było miejsce, gdzie mieszkaliśmy we trzy z ciocią Mandy, zanim moja mama odeszła i już nie wróciła.

- Kiedyś tam pójdiesz - odrzekł - ale nie tak szybko.

Położyłam dłoń na śliskim, oblodzonym kamieniu. Przesunęłam po nim rękawiczką, w górę i w dół. Czekałam, aż powie, żebyśmy lepiej wracali do domu, ale on nadal klęczał na śniegu.

- Czemu poszła do nieba?

- Ona utonęła, Ruth. Poszła pod wodę i nie mogła wypłynąć.

A więc miałam rację. Mieszkaliśmy w niebie, ponieważ tam właśnie była woda.

- Ona mnie też utopiła - powiedziałam. - Dziecko płakało i płakało.

- Jakie dziecko?

- Lodowe dziecko. Kiedy ciocia Mandy nie poczekała na nas.

- O czym ty mówisz? Kiedy Amanda nie zaczekała na was?

- Wtedy, gdy tonęłam.

Płakał i uśmiechał się jednocześnie.



- Nie martw się, Ruth. - Otarł łzy z twarzy i położył mi rękę na głowie. - Nie utonęłaś. Jesteś tutaj ze mną.

Ja byłam tutaj, ale jego tam nie było. Skąd więc mógł wiedzieć?



Gdy Carl wrócił z Ruth z cmentarza parafialnego, położył się do łóżka i pozostał w nim. Codziennie rano Amanda rozsuwała zasłony, demonstrując swoją dezaprobatę każdym szarpnięciem materiału.

- Gotów? - pytała, ale w jej zamiarze nie było to wcale pytanie.

O dziwo, już po kilku pierwszych razach był gotów. Dwukrotnie w ciągu dnia, rano i wieczorem, bezceremonialnie ściągała z niego koce, wystawiając go na lodowate powietrze, i opatrywała chorą nogę energicznie i fachowo. Następnie zginała ją, wykręcała, dźgała i uciskała długimi szczupłymi palcami, aż zaczynał jęczeć z bólu.

- Och, na litość boską - powiedziała - jeśli już musisz wrzeszczeć, to zatkaj sobie usta poduszką. Nie mogę pozwolić, żebyś przestraszył Ruth. - Owijając ranę szmatką nasączoną miodem, ostrzegła go: - Będę musiała się tobą zajmować, dopóki sam nie zaczniesz tego robić.

Skinął głową i obiecał, że się postara, ale nie był zainteresowany poprawą swego stanu zdrowia. Mógł jedynie siedzieć w fotelu i jeść jajka na miękko i zupę, którą mu Amanda przynosiła, i w tym czasie poprawiała mu poduszki i zmieniała pościel, strzepując kilkakrotnie w powietrzu czyste prześcieradła, zanim ułożyła je starannie na materacu.

Przerażała go. Wiedział, że go nie lubi, że uważała, iż nie jest dość dobry dla jej siostry. Próbował pozyskać przychylność Amandy, ofiarowując jej domek dla ptaków, ale nie udało mu się, a Mattie

narzekała potem okropnie, że musiała go targać z powrotem do domu od stacji kolejowej. Wiedział, że Amanda nie chce rozmawiać o tym, w jaki sposób poniosła śmierć Mathilda, ale ból nogi gniewał go i dodał mu odwagi.

- Amando - spytał pewnego wieczora, gdy przyniosła mu lek - czemu mieszkaliście na wyspie?

Zmierzyła go surowym spojrzeniem swych niebieskich oczu.

- Ależ, Carl, przecież to był wasz dom. Jasne, że Mattie chciała tam być. Wziąłeś lekarstwo?

- Tak. Czemu więc go opuściła? Dokąd szła? - Carl uniósł się i usiadł wsparty wysoko na poduszkach. - Wiesz, czego nie rozumiem? - mówił dalej, nie dając Amandzie czasu na odpowiedź. - Tego, że zostawiła Ruth. Dlaczego zostawiła Ruth samą w domu w nocy?

- Ruth nie była sama, Carl. Była ze mną. - Amanda podeszła do okna i stanęła do niego tyłem, jej sylwetka odbijała się w ciemnej szybie. - Poza tym wiesz, jaka Mattie była nieostrożna. Zawsze ryzykowała, zawsze robiła rzeczy, których nie powinna była robić, których jej zabraniałam. Prawdopodobnie myślała, że to wspaniała noc na łyżwy, i nie przeszło jej przez myśl, żeby sprawdzić, czy lód jest dostatecznie mocny. To do niej podobne. - Zaciągnęła zasłony i odwróciła się do niego przodem.

- Miała na nogach łyżwy? Kiedy ją znaleziono?

Z ust Amandy wyrwał się pełen rozpaczny dźwięk, machnęła ręką.

- Ona nie żyje, Carl. Co za różnica?

- Ale... ja ją kochałem - wykrztusił Carl. - Czemu nie miałbym wiedzieć? - Zdawał sobie sprawę, że zachowuje się jak mały chłopczyk, ale nie mógł nic na to poradzić.

- Skoro ją kochałeś, to powinieneś rozumieć. Miłość sprawia, że człowiek robi coś, czego potem żałuje... - Miała twarz tak ściągniętą i pełną goryczy, że przestraszony Carl podciągnął koc pod brodę. - Ale wtedy jest już za późno. Może tylko żałować. - Nastrój jej się zmienił, poklepała energicznie stopę Carla, on zaś zmusił się, by utrzymać nerwy na wodzy i nie zadrzeć pod jej dłońią. - Mam tu coś, co z pewnością chciałbyś zobaczyć.

Amanda wyszła z pokoju, wróciła jednak bardzo szybko, tak że nie zdążył nawet ochłonąć.

- Proszę. - Położyła mu na kolanach album ze zdjęciami oraz wycinkami z gazet, urażając przy tym bolącą nogę. - Popatrz. Pisali o tym w gazetach. Dowiesz się tego, co chcesz wiedzieć.

Zanim wyszła z pokoju, przystanęła na chwilę w progu.

- Carl - powiedziała - wiem, że jest ci przykro, iż ją zostawiłeś. - Po czym wyszła.

Wycinki prasowe nie miały dla Carla nic wspólnego z Mathildą. Nie wyjaśniły mu niczego, co miałyby znaczenie, co tłumaczyłyby choć częściowo całą sprawę. Mathilda zniknęła w nocy - i to kompletnie nie miało dla niego sensu. Poza tym, co Amanda miała na myśli, mówiąc, że jest mu przykro i że to miłość popycha ludzi do pewnych postępów? Czyżby Mathilda popełniła jakiś desperacki czyn właśnie dlatego, że wyjechał? Owszem, błagała go, żeby został, ale zachowywały się tak wszystkie żony, a mimo to nie szły się topić. Jej śmierć kojarzyła się w jego świadomości jedynie z faktem, że nie dostał od niej listu, na który czekał, ale to przecież była wina wojska, prawda? Nie, nie potrafił wyobrazić sobie, że Mathilda utopiła się z miłości do niego. Musi zadać Amandzie więcej pytań, kiedy poprawi jej się nastrój, a on będzie silniejszy. Być może, myślał sennie, znaleziono zamarznąętą inną kobietę i jutro lub pojutrze

albo też za kilka dni Mathilda wróci do domu.

Stanie właśnie tam, w drzwiach, wyglądając... właśnie, jak będzie wyglądała? Przebywał tak długo z dala od niej, że obraz Mathildy zatarł się w jego pamięci. Pozostały mu, bez żadnego konkretnego powodu, jedynie migawki - na przykład twarzy Mattie. Przewracał kartki albumu - Mathilda pochylona z uśmiechem uwielbienia nad maleńką Ruthie. Mathilda, dumna i zarazem rozbawiona, upozowana ze skrzyżowanymi skromnie stopami na ich portrecie ślubnym. Mattie, z gładkimi włosami, wymykającymi się z warkocza, trzecia od lewej na szkolnym zdjęciu. Maleńka Mattie na kolanach ojca. Przeglądał fotografie - których nikt nawet nie umocował w albumie - wciśnięte między kartki a okładkę. Na jednym zdjęciu Mattie i Amanda siedziały na brzegu werandy. Mattie mrużyła oczy niczym kot, jak gdyby usiłowała wypatrzeć kogoś w oddali. Carl puścił wodze fantazji, wmawiając sobie, że wypatrywała właśnie jego.

Nigdy nie nazwałby jej osobą nieostrożną. Jeśli już, to impulsywną. Z pewnością upartą. I stanowczą. Pamiętał, jak spieszyło jej się do ślubu, gdy przyjęła jego oświadczyny. Nigdy jednak nie miała wariackich pomysłów. Nie potrafił wyobrazić sobie, że błądzi po cienkim lodzie w środku nocy. Ale zamknąwszy album, Carl przypomniał sobie, że w ciągu ostatnich dwóch lat widział, jak ludzie robili wiele rzeczy, o które nigdy by ich nie podejrzewał. Czasami trudno przewidzieć, jak ktoś się zachowa. Tak czy owak, odeszła. Więcej jej nie zobaczy. Ukrywszy twarz w poduszce, Carl czekał na swój sen.

Rana Carla interesowała Amandę. Nieczęsto miała do czynienia w szpitalu z ranami, które goją się mimo infekcji spowalniających

ich leczenie. Nie spodziewała się, że Carl zechce współdziałać w kuracji, by szybciej dojść do zdrowia, ale nie miało to wielkiego znaczenia. Jego ciało samo się tym zajęło, oczyszczając ranę z ropy i zablizniając ją. On nie miał nic do powiedzenia w tej sprawie.

W ciągu dnia Ruth kręciła się pod drzwiami Carla, wścibska jak kotka. Częstokroć, gdy otwierał oczy, dostrzegał jej buzię, wciśniętą w szczelinę między drzwiami a futryną. Wpatrywała się w niego, ale zaledwie upewniła się, że ją zobaczył, natychmiast czmychała.

Zaczęła przynosić mu z dworu rozmaite drobiazgi. Kładła je w nogach łóżka, gdy myślała, że śpi: orzeszek galasowy, trzy sosnowe szyszki, hak szynowy, piórk kardynała. Uwodziła go.

- Gdzie to znalazłaś? - pytał.

Najpierw nic nie mówiła. Po chwili jąkała:

- Na dworze. - I w końcu dodawała: - Chcesz wyjść na dwór?

- Nie.

Wreszcie jednak, gdy nastał jeden z tych dni, kiedy wiosna wciśka się siłą przez szczeliny w zimie, kiedy niebo jaśnieje błękitem, a woda mknie rynsztokami, nastąpił przełom. Carl z łóżka przyglądał się Ruth, która biegała i ślizgała się po rozmokłym śniegu pokrywającym trawę na podwórku, z rozpostartymi szeroko ramionami goniąc kaczki i gęsi. Odruchowo sięgnął po jedną ze swoich lasek i postukał w szybę. Przestraszona, odwróciła się do okna. Pomachał jej, a ona, nie przestając biec, podniosła rękę, by też mu pomachać. Ponieważ grunt był nierówny i śliski, a Ruth nie miała jeszcze pełnej koordynacji ruchów, nic dziwnego, że straciła równowagę i rąbnęła z całej siły o ziemię.

Zanim zdołał pomyśleć, gwałtownie zerwał się z łóżka, po czym opadł na nie równie szybko, gdy zakręciło mu się w głowie i pociemniało w oczach. Po chwili słabość minęła i dźwignął się z wysiłkiem na nogi. Zataczając się i chwiejąc, wspierając ciężko na obu laskach, Carl wyszedł na dwór, by ratować swoją małą córeczkę. Jeśli jednak spodziewał się, że zastanie ją leżącą na ziemi, to nie znał Ruth. Znacznie wcześniej, nim on zdołał wstać, goniła już kaczkę, która przyczłapała blisko, żeby zobaczyć, co za stworzenie robi tyle hałasu. To uśmiech córeczki, jej dziecięce ząbki, zaskakująco białe w kontraście z ubrudzoną buzią, zobaczył Carl w ostatniej chwili, zanim jedna laska poleciała w lewo, druga w prawo i nagle rozciągnął się jak długi w rozmokłym śniegu, czołgając się niezdarnie w nocnej koszuli. Ruth stała nad nim, zachwycona jego pomyslową sztuczką.

- Co ty robisz, tatusiu? Co ty robisz?

Amanda wybuchnęła śmiechem na widok obojga, przemoczonych i brudnych, usiłujących wgramolić się do domu przez tylne drzwi, po chwili jednak gniewnie zacisnęła usta. W końcu Carl musi zdać sobie sprawę, ile dodał jej pracy, zbytkując z Ruth. Nie był to dzień kąpieli, a musiała teraz podgrzać wodę. Poza tym ich ubrania były w takim stanie, że czekał ją bardzo pracowity poranek przy balii, a i tak miała chyba niewielkie szanse na dopranie paltka Ruthie.

Od tamtego czasu Carl i Ruth codziennie wychodzili na dwór, żeby się pobawić, Amanda zaś, pochłonięta swoimi obowiązkami, odczuwała irytację pomieszaną z zachwytem, gdy widziała, jak lepią razem śniegowe anioły lub urządzają wyścigi patyków w lodowatej wodzie w ścieku. Musiała przyznać, że było całkiem miło mieć Carla w pobliżu, mimo że nie pomagał za wiele w pracach domowych.

Gdyby zamierzał zostać tu aż do jesieni, może farma znowu zaczęłaby funkcjonować tak jak kiedyś, a wtedy można by zawsze wynająć jeszcze jednego parobka wiosną przyszłego roku.

- Zabiorę dzisiaj Ruth do miasta - oznajmiła przy śniadaniu pewnego kwietniowego poranka - chyba że macie oboje inne plany.

- Zamierzaliśmy zacząć budowę naszego domku do zabaw, ale to może poczekać do popołudnia - powiedział Carl, nalewając sobie drugą filiżankę kawy.

- Możesz pomóc Rudy'emu naprawić wóz.
- Mogę - zgodził się Carl. - Odbierzesz pocztę?
- Zawsze to robię.

Na poczcie Ruth czekała cierpliwie na kakao, które obiecała jej Amanda. Bawiła się, rozpędzając dłońmi drobinki kurzu w strumieniu światła słonecznego. W pomieszczeniu panował przenikliwy chłód i wilgoć, pachniało drewnem i klejem.

- Zbliża się wiosna - powiedziała z ożywieniem Ramona Mueller, naczelniczka poczty. Witaa tak każdego klienta, który zjawił się tego dnia. Było to miłe i bezpiecznie obojętne.

- Mam nadzieję - odrzekła Amanda.

Ramona była zadowolona. Większość osób mówiła coś w tym rodzaju.

Amanda wzięła z lady starą ulotkę reklamową i zaczęła składać ją w harmonijkę, czekając, aż Ramona przekopie się przez stos listów.

- Słyszałam, że Carl czuje się lepiej.
- O, tak, znacznie lepiej, dziękuję.
- Ma szczęście, że pomagasz mu przy Ruth.

Amanda zaczerwieniła się. Pomaga Carlowi przy Ruth? A więc tak to widzą? Ani na jotę nie odpowiada to prawdzie.

- Cóż, dziewczynka potrzebuje matki - rzekła w końcu.

Podczas gdy kobiety rozmawiały, Ruth, stawiając stopy na desce podłogowej, jak gdyby szła po linie, podeszła do dużego, nisko umieszczonego okna poczty. Ulicą jechał powoli samochód. Ruth nie widziała w życiu wielu samochodów, a już z pewnością nigdy takiego ze specjalnym miejscem z tyłu dla osoby, która pomaga kierowcy przy cofaniu. Gdy samochód się zatrzymał, chłopiec, siedzący właśnie tam, podniósł się, ugiął kolana i zeskoczył na ziemię, a jego rozpięty płaszcz pofrunął za nim jak peleryna. Czekał przy samochodzie, polerując rękawem jego lśniącego czarnego boku, dopóki kierowca nie wysiadł i nie podszedł do niego. Zaczęli obydwoj wchodzić po schodkach wiodących do urzędu pocztowego. Ruth podbiegła szybko do Amandy.

- To chyba wszystko - powiedziała Ramona, kładąc na ladzie niewielką stertę katalogów i rachunków. - Nie ma dzisiaj listów.

Amanda włożyła korespondencję do koszyka i odwróciła się do wyjścia, ujmując Ruth za rękę. W tej chwili drzwi otworzyły się gwałtownie, wpuszczając powiew świeżego kwietniowego powietrza. Serce Amandy ścisnęło się, jak gdyby miało zamiar przestać bić właśnie tutaj, w środku amerykańskiego urzędu pocztowego.

Mężczyzna stojący w progu uśmiechnął się do niej znacząco, jak gdyby tylko oni dzielili jakiś sekret. Kąciki ust uniosły mu się lekko w górę, wokół oczu utworzyły się wesołe zmarszczki mimiczne.

- Amy - powiedział.



Zmieszana Amanda stała przez chwilę ze wzrokiem utkwionym w podłogę. W końcu, ulegając konwenansom, popchnęła lekko Ruth, tak że dziewczynka znalazła się między nią a mężczyzną.

- Powiedz dzień dobry panu Owensowi, Ruthie.

- Ddobry - rzekła posłusznie Ruth, ale wyraźnie skierowała te słowa do chłopca. Był starszy od niej, co już wystarczało, żeby wzbudził jej zainteresowanie, ale ją zafascynowało coś innego. Na jego nosie tkwiły okulary, bardzo małe, dopasowane do twarzy, i bardzo okrągłe. Ruth nie przeszło nawet przez myśl, że dzieci mogą nosić okulary. Miała ochotę je przymierzyć. Czy przez nie wszystko wygląda inaczej?

Chłopiec gapił się na nią przez swoje dwie szybki w złotych oprawkach.

- Cześć - powiedział, wyciągając dłoń z zarzucił miną. - Jestem Arthur.

- Clemencie Owens - zawołała naczelniczka zza lady - masz tyle korespondencji, że nie wiem już, gdzie to wszystko trzymać.

- Przyjechałem właśnie po to, żeby ją zabrać - odparł, ale nie ruszył się z miejsca. - Miałem nadzieję, że cię kiedyś spotkam, Amy. Muszę ci podziękować.

Amanda wpatrywała się w niego w milczeniu.

- Opowiadałaś mi takie wspaniałe rzeczy o tych stronach, że nabrałem ochoty, by tu przyjechać i zobaczyć je na własne oczy. A teraz buduję letni dom po północnej stronie. Widzisz, korzystam już z usług miejscowej poczty. To będzie fantastyczna rezydencja, z frontem wychodzącym na południową stronę i przepięknym widokiem na zachodni kraniec jeziora. Powinnaś kiedyś wpaść, żeby to zobaczyć. Myślę, że ci się spodoba. Poczekaj tylko, aż staną ściany. Dopiero wtedy będziesz mogła wyrobić sobie pojęcie o całości.

Amandzie szumiało w uszach, krew pulsowała jej w skroniach. O czym on mówi? Zresztą to absolutnie nieważne, uświadomiła sobie nagle, ona pragnie tylko wyjść stąd jak najszybciej, znaleźć się jak najdalej, nie widzieć go już nigdy więcej w życiu. Żałowała, że w ogóle go kiedyś spotkała. Uczyniła mały krok do przodu, a następnie w bok, można by niemal pomyśleć, że zamierza przemknąć się obok niego i rzucić się do ucieczki.

Jej zachowanie zaintrygowało Clementa. Nie rozstali się przecież w takich złych stosunkach, prawda? A nawet gdyby, czy to, co zdarzyło się wcześniej, nie rekompensowało tego? Byli tacy sobą oczarowani - pamiętał to doskonale. Miał w oczach jej żywy, pogodny uśmiech, wspominał, z jakim nieśmiałym zadowoleniem pozwalała mu wsuwać swoją dłoń pod ramię. Chyba nie mogła zmienić się aż tak bardzo? Co się stało, że nie potrafi traktować go przyjaźnie w miejscu publicznym? A potem sobie przypomniał.

- Amy - rzekł, kładąc jej dłoń na ramieniu. - Bardzo mi przykro z powodu twojej siostry.

Szarpnęła się gwałtownie, strącając jego rękę. Z pochyloną nisko głową, prześlizgnęła się obok niego i niemal wybiegła przez drzwi, których nadal nie zamknął. Popędziła po stopniach tak prędko, ciągnąc za sobą Ruth, że dziewczynka prawie frunęła w powietrzu, nie dotykając nogami schodów. Pomknęły ulicą, minęły zaparkowany samochód, w którym siedziała kobieta w ciemnozielonym płaszczu. Skręciły za róg i biegły dalej, nie zwalniając, nie zatrzymując się, dopóki nie dotarły do stajni, gdzie zostawiły powozik.

- Zapomniałyśmy o kakao - powiedziała z zaniepokojeniem Ruth, gdy Amanda wtaszczyła ją na siedzenie.

Amanda nie odezwała się.

Carl szedł pod górę ścieżką prowadzącą przez las od jeziora, gdy usłyszał krzyki dobiegające z domu. Kulejąc, zaczął biec najszybciej, jak potrafił, pokonując ostatnie wzniesienie. Mimo że powietrze było przenikliwie zimne, gdy wpadł wreszcie do domu, spływał potem, nogi się pod nim trzęsły, dyszał ciężko z wysiłku.

W kuchni Ruth płakała głośno, szczękając zębami i usiłując wygramolić się z wanienki. Chwytała się małymi rączkami metalowego brzegu i wspinała się na palce, próbując przełożyć nad nim nogę. Widok był naprawdę żałosny. Carl podniósł ją i owinął najlepiej, jak się dało, w ścierkę do naczyń, wiszącą obok zlewu. Przytulał ją mocno, dopóki nie przestała płakać, a następnie posadził ją sobie na biodrze i podszedł do swej szwagierki, która przez cały ten czas wyglądała przez okno, kołysząc się lekko i zaciskając palce jednej dłoni na nadgarstku drugiej.

- Amando, co tu się dzieje?

Odwróciła się do niego z uśmiechem.

- Widzisz? Mówiłam ci. Ona nie utonęła. - Wyciągnęła ramiona, by wziąć od niego Ruth, on jednak zawahał się i odsunął się z dzieckiem. - Daj mi ją! - zażądała, a potem powtórzyła piskliwym, poirytowanym głosem: - Daj mi ją natychmiast!

A gdy nadal nie wypuszczał dziecka z objęć, szarpnęła go za rękę i zaczęła walić pięściami w ramię, którym był do niej odwrócony, wyjąc:

- Mattie jest moja! Mattie jest moja! Oddaj mi ją! Mattie jest moja!

- Uspokój się, do cholery! Przestań zachowywać się jak wariatka!

Cofnął się i, trzymając dziecko na ręku, wbiegł po schodach na

górze, zwalniając dopiero na samym szczycie, gdy było jasne, że Amanda nie idzie za nimi. Gdy utulił córeczkę do snu i wrócił po półgodzinie na dół, Amandy nie było już w kuchni.

Krążył po całym domu, otwierając kolejno drzwi i powtarzając cicho jej imię.

- Amando! - zawołał szeptem, uchylając drzwi do jej pokoju. Gdy nie odpowiedziała, stał przez chwilę niezdecydowany, po czym pchnął niepewnie drzwi, otwierając je szerzej, i wsunął głowę do środka. Pokój był pusty. Walcząc z poczuciem winy i ciekawością, wszedł do sypialni szwagierki.

Amanda zajęła pokój rodziców po ich śmierci. Był duży i miał trzy okna. Dwa z nich wychodziły na rabaty kwiatowe, które teraz stanowiły szeroki pas czarnego błota - wkrótce się za nie weźmie - a przez jedno wpadało popołudniowe światło. Wszystkie trzy były wysokie i umieszczone tak nisko, że szyby zaczynały się poniżej kolan Carla. Czuł lekki zawrót głowy, stojąc przy samym oknie. Spojrzał w dół na ziemię, porażony nagłą przerażającą myślą, ale nie, okna były zamknięte.

Błat komody ozdobił bieżnik, na którym leżały srebrne przybory do czesania, na oprawce szczotki były wygrawerowane inicjały matki Amandy. Obok, w owalnej ramce, stała fotografia poważnej, siedzącej prosto dziewczynki. Z jej kolan spływała piana koronek uroczystej sukieneczki do chrztu, z której wyzierała buzia niemowlęcia.

Carl miał ochotę otworzyć jedną z szuflad komody, nie ośmielił się jednak. Zorientowałaby się, gdyby dotknął czegokolwiek, tego był absolutnie pewien. Zerknął szybko przez ramię w stronę drzwi, ale w domu panowała cisza.

W pierwszej chwili pomyślał, że wyszła, by trochę ochłonić, nie zmartwił się więc i próbował zająć się czymś po południu. Wymył

wanienkę i wytarł ścierką wodę z podłogi. Pobawił się z Ruth, gdy się obudziła. Wydoił krowy. Trudno mu było jednak skupić się na tym, co robi, gdy Amanda wciąż nie wracała. Gdzie ją poniosło? Wreszcie, o zmierzchu, poprosił Rudy'ego, żeby popilnował Ruth, i wyszedł z domu, by jej poszukać.

Przejrzał dokładnie oborę, kurnik i piwniczkę ziemną, świecąc wysoko trzymaną latarnią po wszystkich kątach. Zapukał do drzwi wygódki. Miał nadzieję, ale tak naprawdę nie spodziewał się, że znajdzie ją w którymś z tych pomieszczeń, potrzebne mu jednak było poczucie, że szuka skrupulatnie, systematycznie, poza tym rozsądek nakazywał zacząć od najbliższego, najbardziej prawdopodobnego otoczenia. Wreszcie, z wielką obawą, ruszył w stronę jeziora.

Było zimno, tak zimno, że Carl zaczął żałować, iż nie włożył rękawiczek. Po drodze często przekładał latarnię z jednej dłoni do drugiej, chowając wolną rękę do kieszeni. Gdy pokonał mniej więcej połowę odległości, zaczął biec, na ile udawało mu się to w ciemnościach i na nierównej powierzchni. Niemal po omacku przedzierał się tą samą ścieżką, którą śpieszył po południu do domu.

Wreszcie wyszedł spośród drzew. Rozpostarła się przed nim czarna tafla ogromnego jeziora, które dopiero kilka dni temu pozbyło się ostatnich spękanych resztek lodu. I, choć wydawało się to niewiarygodne, rzeczywiście była tam Amanda, niemal tak, jak wyobrażał sobie, biegnąc przez las. Nie unosiła się jednak na wodzie, lecz stała w niej, zanurzona do ramion, ciemna plama jej głowy była wyraźnie widoczna w srebrzystej księżycowej poświacie. Bez namysłu wszedł z chlupotem do jeziora, nie zatrzymując się nawet, by odłożyć latarnię, toteż gdy dotarł do Amandy, musiał wrzucić latarnię do wody, żeby chwycić kobietę obydwoma rękami. Pociągnął ją z powrotem

w stronę brzegu, z trudem utrzymując równowagę, ponieważ w paraliżująco lodowatej wodzie tracił czucie w stopach i niemal w całych nogach. Jak długo tam stała? Co chciała zrobić?

- Amando! Co ty robisz? Co ty robisz? - powtarzał bezmyślnie w kółko.

Amanda nie odpowiedziała, ale też nie stawiała mu oporu. Gdy dotarli do płyčizny, Carl uświadomił sobie, że ją niesie i będzie musiał nieść ją dalej. Nie dawała rady iść o własnych siłach.

- Bez wątpienia znajduje się w stanie hipotermii - powiedział lekarz - jestem też pewien, że ma odmrożone stopy, sądzę jednak, że dojdzie do siebie. - Spojrzał znacząco na Carla. - Niepokoi mnie natomiast bardzo stan jej umysłu.

- Tak - przyznał Carl, kiwając energicznie głową. Odczuwał ulgę, że lekarz to zauważył. - Dzieje się z nią coś niedobrego, prawda?

Lekarz zalecił St. Michael's.

- Trochę odpoczynku z pewnością dobrze jej zrobi - zapewnił Carla.

## Rozdział czwarty

W kwietniu 1920 roku, gdy Ruth miała cztery lata, jej ciocia, Amanda, wyjechała.

- Można się było tego spodziewać - mówiono. Na Cottonwood Drive i Maple Avenue, w pasmanterii i u rzeźnika, w banku, w tawernie zamienionej na herbaciarnię, i na poczcie wszyscy zgodnym chórem twierdzili, że Amanda zawsze była trochę dziwna, nawet jako mała dziewczynka.

- Zaniósł im kiedyś dużą salaterkę sałatki ziemniaczanej - powiedziała przy kawie pani Alberti do pani Zinda. - Oczywiście, było to wiele lat temu, gdy Lucy miała właśnie urodzić tę kochaną Mattie. Otworzyła drzwi Amanda - miała wtedy zaledwie siedem lub osiem lat, była jeszcze mała. Chciałam zanieść moją sałatkę do kuchni, zajrzeć do Lucy, ale ta smarkata wyjęła mi salaterkę z rąk. Miska była tak ciężka, że kości w chudych nadgarstkach Amandy omal nie przebiły skóry. „Dziękuję bardzo” - powiedziała i stopą zatrzasnęła mi drzwi przed samym nosem. Czy nie była niezdolna? Chyba nie odzyskałam nigdy mojej salaterki. Była prostokątna, naprawdę bardzo ładna. Wiesz, taka z pokrywką. Wydaje mi się, że masz podobną.

- A pamiętasz, jak się zachowała, gdy Lucy i Henry zachorowali? - spytała Trina Eschinger. - Wyrzuciła własną siostrę z maleńkim dzieckiem. A gdy rodzice zmarli, uciekła z domu.

Tak, Amanda zawsze była stuknięta. Można się było tego spodziewać.

## *A m a n d a*

Gdybym tylko mogła zatrzymać ją przy sobie blisko, taką maleńką, ale nie, nie została w tym ciemnym, przytulnym miejscu. Wydo stała się na zewnątrz, żeby zobaczyć ją cały świat, a potem, proszę, co się stało.

Jest tobą, a potem przestaje być tobą - taki jest problem z dzieckiem. Rośnie, wciąż rośnie, coraz większe. Nie możesz nic na to poradzić. Nie jesteś dla niego partnerem. Ale to przychodzi później.

Byłam taka szczęśliwa w tamtych miesiącach, gdy mama leżała na kanapie, cała moja, oczekując narodzin Mathildy. Przytulona do niej, słuchałam, jak mi czyta, i czekałam na turkot kół karety, srebrzysty śmiech wróżki, płacz Kopciuszka. Potrafiła naśladować wszystkie dźwięki. Ubierałyśmy moją lalkę Suzanne na bal w suknię udrapowaną z szala mamy - mama знаła wszystkie najbardziej interesujące miejsca, dokąd lalka mogłaby pójść, i wiedziała, co powie, gdy już się tam znajdzie. Czasami oglądałyśmy fotografię mojego brata Randolpha, który zmarł na dyfteryt wkrótce po moim urodzeniu. Miał zaledwie trzy latka. Zdjęcie zrobiono, zanim został pochowany, i mama poprosiła artystę, by namalował otwarte oczy na jego zamkniętych powiekach, ale one nie wyglądały jak prawdziwe oczy Randolpha, przynajmniej tak mi powiedziała.



Kiedy indziej znów grała na pianinie i śpiewaliśmy najgłośniej, jak tylko potrafiliśmy, tak że tata i Rudy słyszeli nas na łące.

Codziennie, gdy wychodziłam do szkoły, mama leżała na kanapie w dużym pokoju. Klękałam obok, żeby mogła zapleść moje niesforne włosy w ciasne warkocze. Gdy wracałam do domu, leżała nadal spokojnie w tym samym miejscu, tak jak się tego spodziewałam. Otwierała szeroko ramiona i czekała, żebym się nad nią pochyliła, wyszczotkowała jej włosy, narysowała małe atramentowe serduszko na jej ręce, założyła się z nią, w którą kulkę trafię. Czekala, aż narysuję papierowe ubranka, które wycinała następnie dla moich papierowych lalek, aż przyniosę dla nas z kuchni mleko i kanapki z brązowym cukrem. Była tam zawsze, cała, po prostu czekając na mnie.

Próbowały ją odwiedzać tamte kobiety ze swoimi ciastami, rabarbarami, sałatkami ziemniaczanymi. One też jej chciały. Ale ja ich nie wpuszczalam. Była moja, tylko moja.



- Słyszałaś, że Amanda Starkey jest w domu bez klamek?
- Bez klamek?
- No, w sanatorium St. Michael's. Wydawało mi się, że się znacie, toteż pomyślałam, że chciałbyś wiedzieć. - Popatrzyła na niego wyczekująco, spodziewając się pytań, on jednak ją rozczarował.
- To niedobrze - powiedział tylko, odbierając od niej plik kopert.

Wiadomość zmartwiła Clementa. Żałował, że naczelniczka poczty nie zachowała jej dla siebie. Ale właściwie, czemu miałoby go to obchodzić? Obecnie nie miał nic wspólnego z Amandą. Stał przy

samochodzie, rozcinając koperty scyzorykiem - gorszym, ponieważ zgubił ten dobry, w srebrnej oprawce z monogramem.

Czy już wtedy, pod skromnym fartuszkiem pielęgniarki, kryło się szaleństwo? Wydawała się taka prostolinijna, z sercem na dłoni, łatwo się rumieniła i wybuchała śmiechem. Zaskakiwały ją najprostsze rzeczy: kieliszek szampana, bukietek fiołków. I przez cały ten czas ukrywała chorobę psychiczną. Była dla niego kimś zupełnie innym, niż okazała się teraz. Uruchomił korbą samochód i wsiadł, zatraskując drzwi. Nie, nie zmusi go, żeby się nad nią użalał.

Siedział przez chwilę, wsłuchując się w kojący pomruk silnika. W końcu musiało to być dla niej ciężkie przeżycie. Wszystkie te śmierci, rodzice, potem siostra. Każdy mógłby się załamać.

### *A m a n d a*

Widzę, że opowiedziałam za mało. Myślałam, że mogę ominąć tę część, pozwolić, żeby osiadła w błocie, tam gdzie jest jej miejsce, ale to chyba niemożliwe. Ludzie chcą usłyszeć wszystko, prawda? Wtykają nos absolutnie wszędzie. Nie wystarczy im przesunąć palcem po bliźnie czy nawet zobaczyć, jak nóż rozcina skórę, muszą słyszeć, jak ostrze zgrzyta o osełkę. Wobec tego, dobrze, skoro tak musi być.

Poznaliśmy się, ponieważ szeregowy Buckie zaczął majaczyć w gorączce. Nieszczęsny szeregowy Buckie - nie udało mu się dotrzeć na miejsce, dostał się jedynie do Camp Grant, gdzie odkryto, że utyka, i odesłano go do domu. Nie przebył nawet stu pięćdziesięciu kilometrów, gdy musiał przerwać podróż z powodu wysokiej

gorączki. Wylądował w szpitalu - majaczył, wymachiwał rękami, wierzał, miotał głową i mówił okropne rzeczy.

Przeżyłam z nim okropne chwile. Kładłam mu kompres na czole, a on go zrywał. Gdy udawało mi się unieruchomić mu rękę, zaczynał kopać nogami.

Oczywiście, byłam tak zajęta, że nie zwróciłam uwagi na tego mężczyznę, dopóki nie stanął po drugiej stronie łóżka szeregowca Buckle'a i nie przytrzymał jego nóg, gdy tymczasem ja usiłowałam unieruchomić jego głowę. Skóra mężczyzny miała czerwonawy odcień, jak gdyby było w nim więcej krwi, niż mogło pomieścić jego ciało. Dłonie, trzymające nogi szeregowego Buckle'a w kostkach, były duże i spokojne. Uśmiechnął się do mnie, dodając mi otuchy. Przesuwając rękami wzdłuż nóg chorego, od stóp w górę, niewielkimi kolistymi ruchami, i przemawiając do niego cicho, zdołał jakimś sposobem uspokoić Buckle'a, niemal go zahipnotyzował.

- O to nam chodziło - powiedział, gdy szeregowiec leżał pod prześcieradłem, wstrząsany już tylko lekkimi dreszczami. Kompres spoczywał pewnie na jego czole, oddech się uspokoił, serce biło miarowo.

- Jest pan nowym lekarzem? - spytałam.

- Lekarzem? Och, nie. - Roześmiał się. Właśnie wtedy na oddziale zjawił się doktor Nichols.

Zdenerwowałam się na jego widok. Nigdy nie powiedziano nam wyraźnie, że nie powinnyśmy dopuszczać obcych do pacjentów, byłam jednak absolutnie pewna, że szpital tego nie pochwala. Ale doktor Nichols uśmiechał się. Poklepał mężczyznę po plecach.

- Co cię tu dzisiaj sprowadza, Owens? - spytał. Uścisnęli sobie dłonie i wyszli razem.

Później, tego samego popołudnia, gdy piłam kawę i jadłam ciasteczko w stołówce, mężczyzna pojawił się znowu.

- To - oznajmił, stawiając brązowy pojemnik na moim stoliku - zrewolucjonizuje medycynę. - Wziął krzesło i, odwróciwszy je, usiadł na nim okrakiem, kładąc łokcie na trzcinowym oparciu.

- Co to jest? - Bez wątpienia oczekiwał ode mnie tego pytania.

- Pojemnik próżniowy. Wkłada pani tutaj swoje narzędzia, skalpele, nożyczki, igły i co tam pani ma. - Wrzucił do pojemnika moją łyżeczkę. - Zamyka go pani szczelnie, o, tak. - Nacisnął dźwignkę, która przypominała zatrząsk na weku. - Następnie uruchamiamy urządzenie na trzydzieści sekund. - Pstryknął przełącznikiem i na pokrywce zapaliło się czerwone światełko. - Tak to działa. Gdy po upływie tego czasu wyjmie pani narzędzia, będą idealnie wysterylizowane.

- Czy gdybym je porządnie wyszorowała lub przemyła alkoholem, efekt nie byłby taki sam? - Wyjęłam łyżeczkę i wytarłam ją serwetką.

- Musi pani zrozumieć osiągnięcia nauki. Widzi pani, kiedy zostaną usunięte cząsteczki powietrza, zarazki po prostu nie mogą przetrwać na metalu. Efekt utrzymuje się znacznie dłużej, niż gdyby zostały usunięte za pomocą alkoholu - dowiedliśmy tego - i nie istnieje niebezpieczeństwo ponownego zakażenia brudną ścierką. - Był taki przeświadczony o swojej racji, taki entuzjastyczny, cieszył się prawie jak dziecko.

- A więc zaczniemy to stosować tutaj?

- Och, jak się pani zapewne domyśla, trzeba przeprowadzić mnóstwo rozmaitych badań, ale jestem pewien, że to tylko kwestia czasu. - Pogłaskał pieśczośliwie pokrywkę pojemnika.

- Bardzo przepraszam, ale chyba nie dosłyszałam rano pańskiego nazwiska - powiedziałam w końcu. - Zdaje się, że Owen?

- Owens. A na imię mam Clement.

Przedstawiłam się również i podałam mu rękę, którą uściśnił trochę zbyt energicznie.

Zaproponował, że przyniesie mi drugą filiżankę kawy, ale gdy stał przy bufecie, zorientowałam się, że moja przerwa skończyła się pięć minut temu. - Nie mam czasu, by go przeprosić - pomyślałam. Gdy wybiegałam ze stołówki, spostrzegłam, że zamówił całą tacę różnych ciasteczek, w tym więcej anyżowych, banany oraz lody cytrynowe. Wszystko wskazywało na to, że prawdopodobnie więcej się nie spotkamy.

Poznaliśmy się przy łóżku szeregowego Buckle'a, a potem zabiłam moich rodziców. Wspomniałam już o tym? Nie, chyba nie. Oczywiście, nie chciałam ich zabić, ale jakie znaczenie mają intencje w przypadku śmierci?

Zabiłam ich, ponieważ czułam się trochę zmęczona i nabawiłam się lekkiego, uporczywego kaszlu. Pomyślałam, że jestem przepracowana i niewyspana, postanowiłam więc pojechać na krótko do domu, po prostu na kilka dni, żeby odpocząć na wsi, w okresie dojrzewania malin i słodkiej kukurydzy. Przywiozłam z miasta szykowne wstążki, dwa pudełka czekoladek oraz śmiertelny podarunek od szeregowego Buckle'a. Zaraziłam grypą matkę, ona z kolei przekazała ją ojcu, a może kolejność była odwrotna.

Gdy zauważyłam gorączkowe wypieki na policzkach matki, kazałam Mathildzie zabrać Ruthie na wyspę, mimo że, na ile się orientowałam, i tak było już za późno.

- Ale tam jest tak samotnie - powiedziała.

- Lepsza samotność od śmierci - odparłam. Najważniejsze, to mówić bez ogródek, przekonująco. - Pomyśl o Ruthie.

Jak już wspomniałam, jestem dobrą pielęgniarką i wykorzystałam wszelkie swoje umiejętności. Stosowałam się ściśle do wszystkich zaleceń lekarza, mimo że niepotrzebne mi były żadne instrukcje. Wiedziałam, jak mam postępować. Karmiłam ich herbatą z miodem oraz rosołem z kury, żeby się wzmocnili. Podawałam im chininę o ósmej, o dwunastej, o czwartej i znów o ósmej, codziennie, dniem i nocą. Otwierałam okna w ich pokoju, żeby go starannie wywietrzyć. Otulałam ich troskliwie kołdrami, żeby dobrze się wypocili. Zmieniałam pościel dwa razy dziennie, a potem jeszcze częściej, gdy krwotoki z nosa zaczęły plamić poszewki.

- Mathilda? - pytała matka, gdy przemywałam jej twarz ręcznikiem zmoczonym ciepłą wodą.

Zapewniłam ją, że zobaczy Mathildę, gdy tylko poczuje się lepiej.

- Gdzie jest Mattie? - dopytywał się ojciec, zrzucając kołdrę na podłogę.

Próbowałam wyjaśnić, że istnieje ryzyko zarażenia, że Mattie jest bezpieczna z Ruth i że zobaczą się z nią, gdy tylko wyzdrowieją. Oni jednak majaczyli w gorączce. Nie chcieli zrozumieć

- Mathilda - wołali. - Mattie!

W końcu, gdy ich skóra zsiniała z powodu niedotlenienia, zaczęłam udawać.

- Tak, mamusiu. Tak, tatusiu - mówiłam. - Jestem tutaj.

Wtedy moja matka uśmiechnęła się. Ojciec westchnął i odprężył się. Zostali pocieszeni.

Zachodzę teraz w głowę, czy roiłam sobie wówczas, że potrafię być Mathildą. Zastanawiam się, czy sądziłam, że przynajmniej

potrafię zachowywać się tak jak ona, mieć jej wdzięk i śmiałość. Jeśli tak, powinnam być mądrzejsza. Oczywiście wtedy nie nawiedzały mnie takie myśli. Chciałam jedynie ulżyć ich cierpieniom, pomóc im wrócić do zdrowia, być dobrą pielęgniarką.

Robiłam wszystko jak należy. Wszystko. Ale to nie pomogło. Odeszli ode mnie. Mieli wodę w płucach, utonęli we własnym łóżku, najpierw moja matka, potem ojciec. Byłam bezradna, nie potrafiłam ich zatrzymać.

Pochowałyśmy z Mathildą rodziców na cmentarzu w Nagawaukee pod drzewami o czerwonych liściach, podobnymi do klonów cukrowych. Sąsiedzi i przyjaciele towarzyszyli nam przez cały ranek, ale po pogrzebie, w drodze powrotnej, powozy skręcały jeden po drugim w swoją stronę, aż wreszcie nikogo nie było ani przed nami, ani za nami - zostałyśmy całkiem same. Przy bramie zeskoczyłam z powozu i zaczęłam zmagać się z nową zasuwą.

- O, tak, w ten sposób - powiedziała Mathilda, podchodząc do mnie. Oczy miała zaczerwienione, a powieki tak zapuchnięte, że prawie nic nie widziała, mimo to jednak brama otworzyła się łatwo pod jej palcami. Przez te wszystkie miesiące, gdy mnie nie było, farma stała się jej własnością.

Wiedziałam dokładnie, co jest w kuchni, ponieważ to ja zabrałam jedzenie z progu. Był tam jasny chleb, ciemny chleb, pumpernikiel. Sałatka ziemniaczana na gorąco, sałatka ziemniaczana na zimno, zapiekanka z ziemniaków i słodkie ziemniaki. Dziczyzna, peklowana wołowina, szynka, indyk, dwa kurczaki i kaczka. Ozorek, kiełbasa wieprzowa, biała kiełbasa, kiszka kaszana, wątrobianka. Pikantne rogaliki, słodkie rogaliki, konfitura z wiśni, kalafior pod beszamelem, pory pod beszamelem, kukurydza pod beszamelem,

kandyzowana marchew, kiszona kapusta, marynowane buraki, szarlotka, placek z dyni i pudding z tapioki. Drzwi lodówki ledwie się domknęły i salaterki oraz półmiski wystawały niebezpiecznie poza brzegi kuchennego stołu, zajmowały cały bufet i siedzenia wszystkich krzeseł. Tuzin gruszek, placek rabarbarowy i słoje pomidorów znalazły się w dużym pokoju, a trzy sery i słoik ciasteczek z melasy leżały na kanapie matki w bokówce.

- Może zrobić wszystkim kanapki? - spytałam.

- Och, wyrzuć to wszystko! - wykrzyknęła Mathilda. - Jak możesz na to patrzeć?

Wbiegła z płaczem na górę, a Rudy, Ruth i ja staliśmy, nie patrząc na siebie.

- Założę się, że Ruthie jest głodna, prawda, kochanie?

Ale zachowanie Mathildy zdenerwowało małą. Wybuchnęła płaczem i pobiegła za matką.

- Zjedz coś, Rudy - powiedziałam. - Nie ma sensu, żeby się to wszystko zmarnowało.

Mój ojciec nie pochwalał marnowania jedzenia. Wysysał szpik z kości. Zjadał skórę, ścięgna oraz chrząstki i oczekiwał od nas tego samego. Nie wolno nam było „psuć kolacji”, podjadając między posiłkami, ale kiedyś, gdy miałam siedem lat, byłam tak głodna, że otworzyłam lodówkę. Pomyślałam, że samo patrzenie na żywność przyniesie ulgę mojemu żołądkowi. W kącie, z tyłu, pomiędzy mięsem a masłem, stała mała miseczka czegoś gęstego i białego. Tydzień, a może dwa tygodnie wcześniej, matka zrobiła krem mleczno-waniliowy, który był tak słodki i pyszny, że wylizywałam łyżeczkę, dopóki nie czułam już tylko srebra. Czy to możliwe, że zapomniano o tej porcji? A jeśli tak, to czy ktoś zauważy, jeżeli zjem tylko jeden kęs?



Sięgnęłam w głąb zimnego wnętrza, przesunęłam delikatnie palcem po gładkiej powierzchni i zebrałam ciekłą warstwę białej substancji, po czym włożyłam palec do ust. Ale gdy tylko dotknęłam go językiem, zorientowałam się, że to nie krem. Było to coś okropnego - oślizgłego i obrzydliwego. Wytarłam język rękawem i odwróciłam się, by umyć ręce pod pompą. Ojciec stał w progu.

- Co robisz w lodówce?

Nie można było okłamać mojego ojca

- Myślałam, że zostało trochę kremu, ale chyba się zepsuł.

- Twoja matka nie trzymałaby w lodówce zepsutej żywności - powiedział, sięgając głęboko do środka i wyjmując miseczkę z białą masą.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć. Mama rzeczywiście była bardzo gospodarna, ale ten krem miał naprawdę ohydny smak.

- Co ci mówiłem na temat jedzenia między posiłkami?

- Że to niewłaściwe.

- Skąd wiesz, że twoja matka nie zamierza wykorzystać tego kremu? - Zmarszczył brwi na widok dołka, który pozostawił mój palec.

- Zapomniała o nim.

Popatrzył na mnie groźnie. Nienawidził kłamstwa. Może nie zapomniała. Skąd miałam wiedzieć?

- Pomyślałaś, że po prostu go weźmiesz. Czy tak właśnie było? Ukradłaś go i zepsułaś kolację. Włożyłaś weń palec, żeby nikt inny nie mógł go zjeść.

Trudno powiedzieć, który z wymienionych postępów uważał za najgorsze przestępstwo. Potrząsał mi gniewnie miseczką przed nosem. Odwróciłam twarz.

- Nie, ja nie...

Niestety, to, co powiedział, było prawdą. Spróbowałam zmienić kurs.

- Byłam głodna.

Ojciec westchnął.

- Musisz nauczyć się panować nad sobą, Amando. Czy widziałś, żebym kradł jedzenie z lodówki i psuł sobie apetyt przed smaczną kolacją?

- Nie, tatusiu.

Postawił z trzaskiem miseczkę na moim miejscu przy stole. Następnie otworzył szufladę kredensu, wyjął z niej łyżkę i rzucił z brzękiem obok.

- Chciałaś tego? Proszę bardzo, jedz. Teraz.

Nawet gdyby krem miał dobry smak, kompletnie straciłam na niego ochotę. Pomysł robienia tak bezczelnie czegoś, co było zabronione, budził we mnie obrzydzenie. Czułam ściskanie w żołądku, w gardle miałam kluchę. Zbierało mi się na mdłości.

- Nie mogę.

- Trzeba było pomyśleć o tym, zanim wsadziłaś do kremu brudny palec! A teraz, jedz! - Ujął mnie za ramiona i posadził na krześle.

Powoli zanurzyłam łyżeczkę w białej masie. Przypominała lody, ale nie była tak zimna, za to bardziej śliska. Podniosłam łyżeczkę, starając się nie oddychać przez nos, i włożyłam ją do ust. Połykałam tę dziwną substancję najszybciej, jak mogłam, ale przyklejała mi się do języka. Zaczęłam nabierać duże porcje, próbując nie czuć smaku ani konsystencji, nie myśleć o tym, co robię. Ojciec przyglądał mi się, stojąc ze skrzyżowanymi ramionami i czekając.

Łyżeczka skrobnęła o dno miseczki, gdy do kuchni weszła mama.

- Amando! Co ty robisz? Henry! Co ona robi? - Wyrwała mi miseczkę i zmierzyła nas groźnym spojrzeniem.

- Napoczęła ten krem, musi więc go skończyć - odparł ojciec.

- Krem! - Podsunęła mu miseczkę pod nos. - To nie jest krem, Henry! To łój! - Teraz mama cisnęła miseczkę na stół. - Czy to nie ma okropnego smaku? - spytała. - Dlaczego chciałaś to zjeść?

- Nie chciałam. Ja... - Nie mogłam jej wyjaśnić. Nie mogłam dopuścić, żeby wszystko skrupiło się na ojcu. Tak naprawdę to on miał rację. Byłam nieposłuszna. Ukradłam jedzenie z lodówki. Gdyby to był rzeczywiście krem waniliowy, prawdopodobnie zjadłabym go. Prawdopodobnie „zepsułam kolację”, cokolwiek to oznaczało. Ojciec wahał to, co pozostało w miseczce, marszcząc brwi, jak gdyby nadal nie całkiem nam dowierzał.

Nagle dostałam okropnych skurczów żołądka. Wybiegłam przez kuchenne drzwi za dom, do lasu. Wciąż jeszcze wymiotowałam pod krzewem kapryfolium, gdy ojciec stanął obok mnie. Podał mi swoją chusteczkę.

- Przepraszam, Amando. Powinienem był cię wysłuchać - usprawiedliwił się. Odgarnął mi wilgotne pasma włosów za uszy.

O mało mnie nie skręciło, gdy to powiedział. Staralam się odepchnąć te słowa, nie słyszeć ich.

- To ja nie powinnam była grzebać w lodówce - odrzekłam.

- No cóż, więcej tego nie zrobisz, prawda?

- Nigdy, przenigdy!

- Teraz jesteś moją grzeczną córeczką.

Zjadłabym jeszcze ze sto misek łaju, byle tylko usłyszeć te słowa.



Wyszłam do przedpokoju, zdjęłam z wieszaka kurtkę ojca i wsu-  
nęłam ręce w rękawy. Mankiety zwisały znacznie poniżej moich  
dłoni. Kurtka pachniała tytoniem fajkowym i sianem, melasą

i smarem, tak jak wszystkie jego kurtki robocze, na ile potrafię sięgnąć pamięcią. Włożyłam ręce do kieszeni - okruchy tytoniu, dwie podkładki, gryzek ołówka, lista zakupów w składzie drzewnym - osiem ćwierćcalówek, cztery półcalówki, dziesięć calówek. Każda cyfra była starannie wykaligrafowana, zupełnie tak samo jak w rejestrze ojca. Jego ósemki składały się z dwóch kółek - górnego umieszczonego na szczycie dolnego. „Taki bałwanek” - powiedział, gdy usiadłam mu na kolanach, z naostrzonym przez niego ołówkiem w dłoni. Pewnie uczył mnie pisać, choć nigdy się nad tym nie zastanawiałam, uważając to po prostu za moją powinność jako dziecka. Zapamiętałam jego duże palce, zaciśnięte na moich małych. Prowadził moją dłoń - dłoń, której teraz nie uznałabym za moją - po kartce papieru, dopóki nie napisaliśmy wszystkich cyfr od zera do dziewięciu.

- Spójrz, matko, nasza córka poszła na całego - oznajmił.

Później, gdy zorientował się, że odziedzyczyłam po nim talent do rachunków, chwalił się mną, ilekroć nadarzyła się okazja.

- Mandy podsumuje całą kolumnę - mówił. - Popatrz tylko.

Podawał mi kartkę papieru z kolumną liczb, a ja po paru chwilach ogłaszałam wynik. Najbardziej jednak lubiłam wczesne poranki, gdy przepytywaliśmy się wzajemnie podczas dojenia krów. Byliśmy wtedy w dużej ciepłej oborze, tylko my we dwójkę i krowy.

Zdjęłam kurtkę, zwinęłam ją i położyłam obok drzwi frontowych. Może przyda się Rudy'emu albo któremuś z Manigoldów. Potem poszłam na górę do sypialni rodziców.

Mathilda nie odezwała się, gdy zapukałam do jej drzwi. Przeglądając zawartość szuflad i segregując rzeczy, które powinnyśmy oddać, a które powinnyśmy zatrzymać, słyszałam, jak śpiewa Ruth *Błękit lawendy* drżącym głosem, przerywanym łkaniami. Suknie mamy pachniały wodą lawendową. Przechowywała je troskliwie, wypychała rękawy i gors papierem, by zachowały kształt, okrywała ramiona na wieszakach starymi szalami, żeby się nie zakurzyły. Wyglądało to tak, jak gdyby w szafie znajdowało się sześć kopii mojej matki, każda bez głowy. Byłam za wysoka, żeby móc nosić te suknie, ale może Mattie zechce zostawić sobie jedną lub dwie. Zaniośłam je na strych i schowałam do kufra.

Tej samej nocy obudziłam się spocona, serce biło mi jak szalone.

Wspaniale, pomyślałam.

Miałam nadzieję, że ja również zachoruję. Miałam nadzieję, że umrę. Jak mogłam sprowadzić na nich takie nieszczęście, podczas gdy sama cierpiałam tylko na lekki kaszel? Skręcałam się w łóżku, rozpaczliwie modląc się, żebym dostała wysokiej gorączki, żebym majaczyła, żeby bolały mnie mięśnie i głowa, co być może przytłumiłoby ostry, wyraźny obraz tego, co się stało, nieodwracalny fakt, że ich już nie ma, ani matki, ani ojca, że odeszli na zawsze z tego świata. Ale to tylko strach przyspieszył bicie mego serca. Nie było dla mnie ratunku. Nie potrafiłam nawet płakać.

- Nie mogę zostać dłużej - powiedziałam Mathildzie nazajutrz rano. - Czekają na mnie obowiązki.

Byłam gotowa. Przepakowałam moją niedużą torbę już przed porzeczem. Mama zawsze mówiła, że nie powinno się odkładać wszystkiego na ostatnią chwilę.

- Poradzisz sobie - pocieszyłam Mathildę. - Rudy ci pomoże.

Rudy odwiózł mnie na stację. Nie obejrzałam się ani razu, chociaż czułam, że Mathilda nie spuszcza ze mnie spojrzenia zaczerwienionych, podpuchniętych oczu przez całą drogę do Nagawaukee.

Gdy znalazłam się z powrotem w naszym pokoju o ścianach koloru musztardy, Eliza była dla mnie bardzo miła. Przyniosła mi kawę, gdy się rozpakowywałam.

- Zrobiłam dla nich wszystko, co w mojej mocy - powiedziałam jej, po czym rzekłam do siebie: - Teraz muszę wracać do pracy. Moja siostra nie rozumie, jak bardzo jesteśmy tutaj zajęte.

Schowałam pod bibułką w górnej szufladzie mojej komody listę zakupów ojca w składzie drzewnym i szczotkę do włosów matki, w którą zaplątało się kilka pasemek jej włosów. I znowu obudziłam się w nocy, przerażona. Pomyślałam, że znów będę musiała zacząć życie od samego początku. Nie miałam teraz niczego za sobą, niczego, na czym mogłabym się oprzeć. I wtedy pomyślałam o Mathildzie. Uczepiłam się jej wizerunku, żeby odzyskać równowagę, by wydość się z powrotem na powierzchnię.

W ciągu dnia było lepiej. Pracowałam na dziennej zmianie i w szpitalu ranni mężczyźni wymagali mojej troski. Musiałam pamiętać dawkowanie leków i harmonogram. Musiałam bandażować, masować i pocieszać. Jak gdyby to wszystko było ważne! Jak gdyby miało jakiegokolwiek znaczenie! Teraz jestem mądrzejsza, ale wtedy po prostu robiłam to, czego ode mnie oczekiwano. Czy są inni, którzy tak jak ja wiedzą, że wszystkie nasze wysiłki mają na celu jedynie zabicie czasu, oderwanie myśli od kłopotów, pocieszenie? Przyglądałam się twarzom lekarzy i pielęgniarek, nawet sanitariuszy. Czy jestem jedyną osobą, która to rozumie?

- Nie obchodzi mnie, że ci się tam nie podoba - mawiała moja matka, gdy narzekałam na kościół lub szkołę. - Możesz zachowywać się jak należy.

I to było również prawdą. Mogłam zachowywać się jak należy i tak się zachowywałam.

Nadal więc pracowałam gorliwie, choć nie byłam już taka pewna siebie, taka pewna każdego ruchu, jak kiedyś. Zajmowałam się na ochotnika najtrudniejszymi pacjentami, najbardziej zainfekowanymi, najbardziej godnymi pożałowania rannymi, mężczyznami, którzy w napadzie furii rzucali basenami przez całą salę. Nic nie robiło na mnie wrażenia.

Minęło zaledwie kilka dni od mego powrotu do szpitala. Wchodziłam na górę po schodach, po wyjściu z apteki, gdy gdzieś między pierwszym a drugim piętrem usłyszałam znajomy głos.

- Cholera - przeklinał ktoś. - Cholera. Cholera. Cholera.

- Co się stało? - Spiesznie wbiegłam na następny podest i z miejsca zorientowałam się, na czym polega kłopot - wszędzie, na całej długości schodów, prawie do szczytu, gdzie stał Clement, leżały porozrzucane papiery.

- O rany - rzekłam współczującym tonem, ale nie potrafiłam powstrzymać lekkiego uśmiechu, gdy schyliłam się, by podnieść kartki, które leżały blisko mnie.

Clement stał nieruchomo, patrząc na mnie z przygnębieniem.

- Jedna z pielęgniarek poprosiła mnie, bym zaniósł te papiery po drodze do sutereny.

- Nie sądzę, żeby zrobiła to specjalnie po to, by pan je upuścił.

- Zgadza się. - Wybuchnął śmiechem. - I wydawało się to wtedy całkiem niezłym pomysłem.

Zszedł o kilka schodków niżej, zbliżając się do mnie, i zaczął zbierać papiery ze stopni.

- Uporządkowanie ich zajmie mi dobre kilka godzin! Widzi pani kartę choroby Zimmermana? Stuarda? O'Toole'a? - Podnosił kartki i rzucał je z powrotem na podłogę.

- Chyba nie zamierza pan robić tego w taki sposób, prawda? - spytałam. - Proszę. Nie będzie tak źle. - Zebrałam z kilku stopni karty i zaczęłam układać je alfabetycznie, tworząc zgrabne stosiki. - Może się pan przyłączyć w każdej chwili.

Jestem pewna, że gdyby nie ja, włożyłby wrzód żołądka Charlesa Bogusewskiego do teczki Petera Hallidaya, a zagazowane płuca Petera do teczki Ronalda Faculjaka.

- Tak czy owak, nikt nie zajrzy więcej do tych kart - powiedział.

Ja jednak nie mogłam dopuścić do takiego bałaganu.

- Dokładne prowadzenie kartoteki jest sprawą zasadniczą - zaprotestowałam - nawet jeśli te wszystkie teczki znajdują się w suterenie. Zdziwiłby się pan, jak często lekarze muszą wracać do karty choroby, żeby sprawdzić jej przebieg.

Nie zamierzałam być dowcipna, ale Clement się roześmiał i po chwili rozmawialiśmy i śmialiśmy się, zamiast porządkować karty. To, o czym mówiliśmy, było zbyt błahe i bezsensowne, by tu przytaczać, nawet jeśli wszystko pamiętam, ale włożyliśmy mnóstwo wysiłku w to, by się nawzajem rozbawić. Z pewnością było to najprzyjemniejsze pół godziny, jakie spędziłam kiedykolwiek na porządkowaniu papierów. Gdy skończyliśmy, pomogłam mu znieść teczki do archiwum, gdzie staliśmy jeszcze przez dziesięć minut, rozmawiając właściwie o niczym, dopóki nie spytał:

- Czy poszłabyś ze mną w czwartek na kolację?



Eliza pożyczyła mi swój futrzany szal z królików. Nie byłam gotowa o siódmej, ponieważ musiałyśmy kilka razy przeczesywać moje niesforne włosy, na szczęście jednak Clement się spóźnił i wyglądaliśmy już przez okno, gdy pojawił się na ulicy. Eliza zapewniła mnie, że dwuosobowy samochód, który prowadził, jest naprawdę ekstra.

Pojechaliśmy do klubu nocnego do Appleton.

- Podają tutaj najlepszy stek - oznajmił. - Musisz go spróbować.

Poinstruował kelnerów, jak długo należy smażyć stek i ile lodu wrzucić do szklanki.

- Raczej napiję się kawy - powiedziałam.

- Kawy! Chyba nie chcesz zepsuć takiego posiłku kawą! Poproszę dla pani szampana.

- Clement, nie mogę!

- Czemu nie? Nie lubisz szampana?

- Po prostu nigdy go nie piłam!

- Wobec tego koniecznie musisz spróbować. - Kelner już odszedł, cóż więc mogłam zrobić?

Miał rację. Teraz już wiem, czemu ludzie lubią napoje alkoholowe. Mój szampan był musujący i lekko słodki. Nie przypominał w niczym whisky, którą popijał mój ojciec w mroźne zimowe wieczory.

Po kolacji zaczęliśmy tańczyć.

- Amy - rzekł, gdy orkiestra zaczęła grać *Nad pięknym modrym Dunajem* i sunęliśmy płynnie po parkiecie w takt walca. - Będę mówił do ciebie Amy.

Takie lekkie, ładne imię. Nikt nigdy, nawet Joe, nie nazywał mnie Amy.

- Pasuje do ciebie - mówił dalej. - Oznacza po francusku „miłość”.

Twarz mnie paliła, wbiłam wzrok w parkiet, ale zachowałam tę chwilę w pamięci, żeby później analizować w kółko sam sposób, w jaki to powiedział, przypominać sobie zapach krochmalu na kołnierzyku jego koszuli i dotyk ciepłej dłoni na moich plecach.

Tak się składało, że gdy umawialiśmy się na randkę, zawsze jechaliśmy gdzieś daleko. Do Madison, do Fish Creek i do Racine, a kilka razy nawet do Chicago. Szybka jazda długimi ciemnymi drogami była romantyczna, podniecająca, podobnie jak odkrywanie tego, co znajdowało się za drzwiami, przez które mnie wprowadzał, jego dłoń, muskająca moją talię, taniec w tych nastrojowo oświetlonych lokalach przy melodyjnej muzyce, jedzenie steków i ślimaków. Byłam potem taka zmęczona, że zasypiałam w drodze do domu.

- Może zjemy dziś wieczorem bardziej kameralnie - mówiłam od czasu do czasu - i wstąpimy gdzieś w pobliżu na hamburgera?

- Jeśli masz ochotę na hamburgera - odpowiadał - to znam najlepszą w kraju restaurację, która specjalizuje się w hamburgerach. - I łądowaliśmy w Fort Atkinson, Sheboygan lub Fond du Lac.

Było tak jak kiedyś z Joem, tyle że lepiej, ponieważ tym razem nikt nie mówił: „Powinnaś to jeszcze przemyśleć” albo: „Jesteś młoda, po co tak się spieszyć?”. Gdy moja matka mówiła coś w tym rodzaju, naprawdę chciała powiedzieć: „No, cóż, możesz przyjaźnić się z katolikami, ale nie musisz od razu wychodzić za nich za mąż”. A matka Joego, mówiąc: „Oczywiście, Amanda jest uroczą dziewczyną, ale to za mało”, miała na myśli, że luteranie są wspaniałymi sąsiadami, ale niekoniecznie trzeba się żenić z ich córkami. Clement, na ile się orientowałam, nie wyznawał żadnej religii - i to mi odpowiadało. Gdy myślę o Bogu teraz, On unosi się w powietrzu gdzieś nad Francją, nie zwracając na mnie w ogóle uwagi.

W zasadzie nie pozwalałam dotykać się mężczyźnie, chyba że tańczyliśmy albo chciał mnie pocałować na dobranoc. Ale Clement dotknął mnie po raz pierwszy w samochodzie, zaparkowanym gdzieś nad jeziorem Michigan, tak bezkresnym, że nie można było dostrzec drugiego brzegu. Tamtej nocy muskał tylko palcami moją twarz - powieki, policzki, wargi - delikatnie, czule, ale zdecydowanie, jak gdyby mnie malował. Nikt nigdy nie robił mi czegoś takiego. Nie miałam pojęcia, jak zareagować, czekałam więc, co będzie się działo dalej.

Chyba przez kilka tygodni nic się nie zdarzyło, aż w końcu przyzwyczałam się do dotyku jego palców i mimo mojej nieśmiałości wysunęłam brodę do przodu, gotowa na więcej. Wtedy pogłaskał palcem mój obojczyk, tuż pod wycięciem sukienki, i pocałował mnie. Pocałunek był lekki, wzruszający i mdły jak wata cukrowa.

Gdy powiedział mi, że mnie kocha, roześmiałam się. Nie złościwie, lecz beztrosko, ostrzegając w gruncie rzeczy raczej siebie niż jego, że nie należy tego traktować zbyt serio. Trzeba podchodzić ostrożnie do uczuć. Błędem jest zbyt folgowanie im tylko dlatego, że nam się na nie zebrało. Ale, podobnie jak Mathilda, Clement potrafił zawsze postawić na swoim. Było to na krótko przedtem, zanim poddałam się i zaufałam mu, odwzajemniłam jego miłość. Wydawało się to takie nieuchronne, jak gdyby tak miało po prostu być. Zaczęłam myśleć o tym, co stanie się prędzej czy później, wyobrażałam sobie dom z rozłożystym wianem na podwórzu, słoneczną kuchnię, czystą, białą pościel, dzieci, przynajmniej czworo lub pięcioro, z jego rumianymi policzkami i moimi migdałowymi oczami. Oczywiście, będzie mi brakowało mojej pracy, ale w głębi duszy byłam

trochę zadowolona, widząc, że moje właściwe miejsce jest gdzie indziej.

Opowiedziałam mu o farmie i o jeziorze, o tym, jak świeże i chłodne powietrze jest tam przez całe lato, jak czyste i rześkie zimą. Być może na podstawie moich opowieści wyrobił sobie pogląd, że każdy dzień jest tam piknikiem, ponieważ chciałam sprawić mu przyjemność. I chyba chciałam też podbudować siebie. Odczuwałam ulgę, udając, że wszystko jest tak, jak powinno być, malując idealny obraz tego, co czeka na mnie w domu. Marzyłam o letnim popołudniu, gdy popłyniemy razem łódką na moją wyspę. Wyobrażałam sobie, jak wyskakuję z wody niczym szczupak. Ja go ochlapuję, on mi się odwzajemnia tym samym, a potem obejmuje mnie i zanurza się wraz ze mną pod wodę.

Powinnam była jednak wykazać więcej rozsądku, ponieważ domyśliłabym się wszystkiego, gdybym zwracała uwagę na pewne oznaki. Pewnego wieczora zamierzaliśmy pojechać do Chicago, co zwykle oznaczało dansing. Czekałam na bujaną kanapkę na frontowej werandzie, z dłońmi ukrytymi w mufce z fokowego futra.

- Gdzie się wypuszczacie, że się tak odpicowałeś? - spytała Thea Martins, przechodząc obok mnie. Miała chłopaka, który mieszkał przy najbliższej przecznicy i zawsze prosił ją, żeby spotkała się z nim tu czy tam, zamiast przyjść po nią, jak powinno być na prawdziwej randce.

- Och, zapewne dokądkolwiek mnie zabierze. - Ilekroć mówiłam Thei, gdzie jedziemy, zawsze stwierdzała, że tydzień temu była w lepszym lokalu.

- Cóż, baw się dobrze. - Pomachała mi ręką i zbiegła po schodkach.

Przybyło dwóch mężczyzn po swoje partnerki, potem wyszło razem pięć dziewczyn, wszystkie roześmiane, z ich ust unosiły się

obłóczki pary. Moje nowe płócienne pantofelki do tańca były bardzo ładne, ale niezbyt odpowiednie do chodzenia po dworze w ostatnich dniach października. Przespacerowałam się kilka razy po werandzie, tam i z powrotem, a potem przeszłam kilka metrów ulicą w kierunku, z którego zawsze nadjeżdżał Clement.

Wiedziałam, że mieszka po wschodniej stronie, ale uświadomiłam sobie, że nie znam dokładnego adresu.

Pomyślałam, że jeśli wejdę do środka na kilka minut, może wbiegnę na górę, żeby zmienić chustkę, do tego czasu Clement się pojawi.

Eliza leżała na łóżku, czytając po raz kolejny *Jennie Gerhardt*.

- Zadzwoń do niego do biura - powiedziała. - Zapewne ubija jakiś interes. - Słowa „ubija interes” zabrzmiały w jej ustach pogardliwie. Nie podobało jej się podejście Clementa do interesów, sposób, w jaki się rzucał na każdy nowy pomysł. Uważała, że powinien trzymać się jednego, wypróbowanego i realnego. Nie pochwałała również szampana.

Znalazłyśmy numer, który mi podał, i zesłam na dół do telefonu. Odczekałam dwadzieścia sygnałów, a potem zadzwoniłam jeszcze raz i odczekałam następne dwadzieścia. Pewnie jest już w holu, pomyślałam. A jeśli podniesie słuchawkę właśnie teraz? Ponownie wykręciłam numer i tym razem było to trzydzieści sygnałów.

- Chodźmy coś zjeść razem - zaproponowała Eliza, zamykając książkę.

Ale ja nie mogłam. Byłoby straszne, gdyby przyszedł i nie zastał mnie.

- Och, biedactwo - powiedziała Eliza, gdy wróciła z kolacji i zobaczyła mnie siedzącą przy oknie w naszym pokoju. - Pewnie umierasz z głodu.

- Nie, zjadłam kanapkę - skłamałam. Zdjęłam moje nowe pantofelki i schowałam do szafy.

- No cóż, idę spać - oznajmiła. - Takie siedzenie jest kompletnie bez sensu. - Zanim jednak zgasiła światło, dodała serdecznie: - Pewnie pomyliły ci się daty.

Obie jednak wiedziałyśmy dobrze, że nic mi się nie pomyliło. Gdy usłyszałam jej głęboki oddech, nie potrafiłam się opanować. Wstałam z łóżka i wróciłam na moje krzesło przy oknie, tam też w końcu zasnęłam.

Niepotrzebnie się martwiłam. Nazajutrz po południu do naszego pokoju zapukała Thea.

- Ktoś czeka na ciebie na dole - oznajmiła, puszczając do mnie oko. - Sprawia wrażenie bardzo skruszonego.

Zaczerwieniłam się jak piwonia i podbiegłam do lustra, by się przejrzeć.

- Wyglądasz świetnie - odezwała się Eliza, nie podnosząc oczu znad książki.

Clement stał w saloniku z ogromnym bukietem ciemnoliliowych tulipanów. W pałdzierniku były to bardzo drogie kwiaty.

- Przepraszam, Amy - powiedział, wyglądając zza nich z udawanym przestraczem, w oczekiwaniu na to, jak zareaguję.

- Denerwowałam się po prostu, że mogło ci się coś stać - odparłam, biorąc od niego tulipany. - Coś złego. - Prawdę mówiąc, nie była to jedyna ewentualność, jaka mi przyszła do głowy i której się obawiałam.

- Nagły wypadek - wyjaśnił. - Jestem inwestorem w kopalni ołowiu w Hazel Green i musiałem tam pojechać, żeby dopatrzeć pewnych spraw. Kraj potrzebuje teraz ołowiu. Spełniałem patriotyczny obowiązek.

- Nie mogłeś zatelefonować?

- Miałem obudzić wszystkich? Nie byłabyś zachwycona.

- A więc następnym razem - powiedziałam - usiądę przy aparacie i podniosę słuchawkę zaraz po pierwszym dzwonku. I przynajmniej nie będę się martwiła, że miałeś wypadek.

- Nie - zaprotestował. - Nie podoba mi się ten pomysł z czekaniem. To nie ma sensu. Poza tym zebrania strasznie się czasem przedłużają, nie wyobrażasz sobie, jak bardzo. I nie zawsze mam skąd zadzwonić, Amy. Tak to bywa w interesach. Muszę jechać, gdy trafia się okazja. Rozumiesz to, prawda? Na pewno mi wybaczysz. Jesteś kochana.

W czasie wojny ludzie muszą robić rzeczy, których nie robiliby w innych okolicznościach. To właśnie powiedziałam Elizie.

- Skoro ma takiego fioła na punkcie patriotyzmu - spytała - to czemu nie jest teraz we Francji?

Miałam na to gotową odpowiedź. Pewnej nocy, gdy pokonywaliśmy samochodem dziesiątki kilometrów, opowiedział mi, jak to próbował wstąpić do wojska przeszło rok temu, pierwszego lata. Choć zbliżał się do czterdziestki, stał w jednym szeregu z młodymi mężczyznami, którzy nie potrafili wymyślić lepszego sposobu na spożytkowanie swojej młodości, jednakże lekarz go odrzucił.

- Chyba z moim sercem jest coś nie w porządku - tłumaczył. - Powiedzieli mi, że to z powodu zapalenia stawów, które kiedyś przeszedłem.

Nie patrzył na mnie, opowiadając mi o tym, błędził wzrokiem gdzieś po ciemnych polach, jak gdyby trudno było mu się do tego przyznać. Pokochałam go jeszcze bardziej za to, że wiedząc tak wiele i mogąc zrobić tak wiele, posiadał wewnętrzną wrażliwość.

Wojna się skończyła, a Clement był wciąż zajęty. Następnym razem, gdy wystawił mnie do wiatru, zawierał transakcję zakupu nieruchomości w Oshkosh.

- Musiałem zostać i wypić drinka, w przeciwnym razie uważaliby, że ich oszukuję - rzekł, podając mi bukiet herbacianych róż. To, co mówił, wydawało się całkiem prawdopodobne. Cóż ja wiedziałam o interesach?

- Róże powinny być czerwone - powiedziała Eliza, ale coż ona wiedziała o różach?

- Każdy potrafi znaleźć czerwone róże - odparłam, układając je najlepiej, jak potrafiłam, w moim kubku do mycia zębów. - Te są szczególne. Przywożą je pociągiem z Nowego Jorku. - Musiałam oprzeć je o ścianę, żeby kubek się nie przewrócił. Niemal przez cały tydzień wypełniały nasz musztardowy pokój ciepłym złotem.

Później już opuszczałam werandę po upływie godziny i zjadałam talerz zupy w drugistorze, a następnie szłam do kina. Nie miałam najmniejszej ochoty tłumaczyć się za każdym razem przed Elizą.

Czy naprawdę było ważne, że czekałam wieczorem tu czy tam? Nie miałam przecież nic lepszego do roboty. A on miał. Załatwiał wiele ważnych spraw i jeśli od czasu do czasu nie mógł ich rzucić tylko po to, by spędzić ze mną przyjemnie czas, jakie miałam prawo się skarżyć? Wiedziałałam, że wolałby być ze mną, że bardzo mnie kocha. Tak mi powiedział, a ja z radością mu uwierzyłam.

A potem wojska lądowe Stanów Zjednoczonych zainteresowały się pojemnikiem próżniowym. Tamtego wieczora Clement wyskoczył z samochodu i wbiegł po schodach na górę.

- Dostałem się, Amy! Dostałem się!

Chwycił mnie w objęcia i okręcił dookoła. Jego oddech pachniał lekko dżinem.

Odchyliłam głowę do tyłu i roześmiałam się. Był taki podniecony, że zapomniał dać mi różowe goździki, które trzymał w dłoni.



Pociągnęłam je żartobliwie do siebie i Clement wybuchnął śmiechem, puszczając je.

- Dokąd? - spytałam od niechcienia, spodziewając się usłyszeć o kolejnej spółce, której nie rozumiem, o kolejnej inwestycji z „najbystrzejszymi facetami”, jakich kiedykolwiek poznał, o wynalazku, odkryciu czegoś, o czym nie wiedziałam, że wymaga odkrycia. Ukryłam twarz w kwiatach, które pachniały tak słodko.

- Do wojska! - odrzekł. - Zamierzają mnie wykorzystać, wysłać do Waszyngtonu, może do Francji! Założę się, że domyślasz się, dlaczego.

- Ale przecież wojna się skończyła - powiedziałam. Usiadłam z powrotem na bujanej kanapce, a Clement obok mnie.

- Wiem, że to dziwne, prawda? Wojna się skończyła, a wojsko teraz mnie chce. Ale nie domyśliłaś się dlaczego. - Objął mnie i zaczął całować w ucho.

- Clement! - odepchnęłam go, zażenowana.

- Nie przychodzi ci nic do głowy? - Sprawiał wrażenie urażonego.

Próbowałam coś wymyślić, znaleźć jakąś rozsądną albo przynajmniej zabawną odpowiedź, ale w głowie mi huczało. Machinalnie skubałam palcami sznurek, którym były związane kwiaty. Nie mogłam myśleć.

- Absolutnie nic - odpowiedziałam wreszcie. - Powiedz mi.

- Chcą mieć mój pojemnik próżniowy! Czy to nie fantastyczne? Zamierzają przetestować go w Waszyngtonie, a potem, jeśli go zaakceptują, pomogę im. Zaprezentujemy go wszędzie, w całym kraju, jak również w Europie. - Spacerował w tę i z powrotem po werandzie, ubity śnieg skrzypiał mu pod nogami. - Pomóż mi z tym sznurkiem - poprosiłam, a on wyjął z kieszeni srebrny scyzoryk i otworzył

go. Nie miał jednak dość cierpliwości, by przeciąć sznurek. Podał mi scyzoryk i zaczął znów chodzić. - Ale ja naprawdę w to wierzę - rzekł z absolutnym przekonaniem. - Wierzę, ponieważ wiem, że to coś ogromnie ważnego. - Odwrócił się znowu do mnie, położył mi ręce na ramionach i pocałował mnie.

- Kiedy?

- Co „kiedy”?

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Za tydzień. Mam okropnie mało czasu, żeby się przygotować.

- Wreszcie wyczuł chyba mój nastrój. - A zatem dzisiaj będziemy razem świętować, dobrze? - Wziął mnie za rękę, delikatnie podniósł z kanapki, przyciągnął do siebie i przytulił wargi do mojego ucha. - Może to być nasz ostatni wieczór przed bardzo długą rozłąką.

Opony szurały po cienkiej warstwie puszystego śniegu, gdy jechaliśmy przed siebie tamtej nocy. Gdy objął mnie ramieniem, zastanawiałam się, czemu do tej pory nigdy nie przytulałam się tak mocno, tak blisko do niego. Powinnam była przez cały czas trzymać się go tak kurczowo, jak gdyby żadne jutro nie istniało.

Zatrzymaliśmy się w zajeździe w Racine, gdzie wypiałam moje pierwsze martini, potem w gospodzie w Kenosha, gdzie spróbowałam drugiego, jeszcze później w Winnetka, gdzie przyszła kolej na trzecie, ale prawie nie poczułam już jego smaku.

Gdy prowadził mnie w kierunku drzwi luksusowego hotelu w Chicago, wysoka kobieta o migdałowych oczach i długiej, kształtnej szyi uśmiechnęła się do mnie sennie w szybie.

- Spójrz - powiedziałam, wskazując na nią - jaka ładna.

W pokoju, gdy zamawiał przez telefon szampana, przychodziły mi do głowy najdziwniejsze myśli. Teraz zobaczą. Tak się dzieje,

gdy zostawiają mnie całkiem samą. Omal się nie rozplakałam na tę myśl. Ale wtedy Clement odłożył słuchawkę i pociągnął mnie do okna, żebym popatrzyła na światła miasta, i zapomniałam, że jestem sama. Zapomniałam absolutnie.

Gdy już było po wszystkim, poczułam przerażenie i żal. Nie mogłam na niego patrzeć, wiedząc, co zrobiliśmy. Nie mogłam patrzeć na siebie. Wlepiłam wzrok we wzór róży stulistnej na dywanie.

- Nie powinniśmy byli - powiedziałam do róży. Powtarzałam w kółko to zdanie, siedząc na brzegu łóżka i trzymając w objęciach poduszkę. - Nie powinniśmy byli.

Ale on okrył delikatnie prześcieradłem moje ramiona. Był taki kochany. Wziął całą winę na siebie. Powiedział, że bardzo mnie kocha. Nie zdołał się powstrzymać, czy nie potrafię tego zrozumieć? Błagał, żebym mu przebaczyła, i oczywiście przebaczyłam. Zrozumiałam.

- Dobrze - odezwałam się w końcu. - Wszystko będzie dobrze. Pobierzemy się. Jutro rano. Albo dziś wieczorem, może nawet dziś wieczorem, na pewno znajdzie się ktoś...

- Wiesz, że to niemożliwe - przerwał mi, kręcąc ze smutkiem głową i głaszcząc mnie po włosach.

- No to jutro rano. Jutro z pewnością nam się uda.

- Myślałem, że rozumiesz - powiedział Clement. - Myślałem, że wiesz. Jestem już żonaty.

## Rozdział piąty

Clement i Theresa Owensowie mieszkali z trójką dzieci w ceglany domu przy Prospect Avenue. Pokoje były wysokie, nowe lampy elektryczne miały różowe klosze, a kołatka była w kształcie anioła.

Bardzo wczesnym rankiem w niedzielę Clement poczuł, jak gładkie udo Amandy ociera się o jego udo. Obudził się natychmiast i zerwał z siebie koc.

- Co się stało? - wymamrotała Theresa.

- To pewnie ta faszerowana papryka, którą kazałaś mi zjeść wczoraj wieczorem. Mówiłem ci przecież, że papryka mi nie służy.

Clement zszedł na dół, by oprzytomnieć.

Świt zastał go w kuchni. Siedział, popijając kawę i obserwując, jak dzień się budzi. W dużym sąsiednim domu paliło się światło i spojrzenie Clementa wędrowało od czasu do czasu ponad trawnikiem i żywopłotem, oddzielającym jego posesję od sąsiadów. Widział, jak kucharka pochyla się, by wyjąć coś z piekarnika, i nagle poczuł się głodny.

Amy okazała się w końcu pomyłką, pomyślał, włączając piekarnik. Oczywiście, żadna nie była zachwycona, kiedy zrywał znajomość. Jedna wybuchnęła nieprzyjemnym śmiechem, pamiętał

dobrze. Kilka mu złorzeczyło, ale większość płakała. Potrafił radzić sobie ze łzami. Nie był nieczuły. Było mu ich żal. Ale przecież wiedziały równie dobrze jak on, że każda zabawa musi się kiedyś skończyć. Czasami nawet to nie on zrywał. Nie lubił takich sytuacji, ale nigdy nie robił awantury - kobieta musi zdawać sobie sprawę ze swego położenia. Nieszczęsna Amy. Myślała, że się z nią ożeni! Skąd jej przyszedł do głowy taki pomysł? Czy od początku nie stawił sprawy jasno? No, jeśli nie całkiem jasno, to każda rozsądna osoba zorientowałaby się, co i jak. Westchnął, czując, że dziewczyna pomyliła się w ocenie jego intencji, i włożył dwie grube kromki chleba do piekarnika.

Naturalnie miał nadzieję, że jeszcze ją zobaczy. Jak bowiem wytłumaczyć inaczej to, co zrobił, przekonując Theresę, że tylko nad tym szczególnym jeziorem, w pobliżu tego szczególnego miasta, powinni wybudować letni dom? A skoro już o tym mowa, to po co im w ogóle letni dom? Krzywiąc się, przełknął łyk gorzkiej kawy.

Oczywiście, to nie było dokładnie tak, przypomniał sobie, słodząc kawę. Nie jest aż takim idiotą. Pewnego dnia pojechał po prostu do Nagawaukee z czystej ciekawości, chcąc zobaczyć miejsce, o którym mu tyle opowiadała. Czy jest coś złego w oglądaniu? Nic, prawda? A później, cóż, każdy człowiek obdarzony wyobraźnią potrafi dostrzec możliwości. W myśli przesuwają mu się słowa z folderu reklamowego - piękne jeziora, połączone ze sobą jak naszyjnik z szafirów, lub wtulone w zielone wzgórza niczym jajka wędrownego drozda. W pobliskim miasteczku było nawet zdrojowisko.

Clement sprawdził swoje grzanki, które przyrumieniły się ładnie z jednej strony. Idealne. Odwrócił kromki na drugą stronę i zamknął drzwiczki piekarnika, ostrożnie, żeby nie robić hałasu.

Schumacherowie kupili tam posiadłość, podobnie jak Kochowie i Steinmanowie. Piwowarzy, bankierzy i właściciele składów drzewnych kupowali tereny i budowali się w tej okolicy. Od kiedy pokazał Theresie rezydencję z kamienia polnego, którą wybudowali Schumacherowie nad jeziorem La Belle, chętnie pozwoliła mu wydać pieniądze na różne działki, długie pasy ziemi nad brzegiem jeziora, które do tej pory marnowały się na pastwiska dla krów. Odsprzedaż tych gruntów ludziom, którym podoba się pomysł zostania właścicielem „posiadłości”, miejsca, gdzie mogą przebywać wśród elity społecznej, na świeżym powietrzu, nad wodą, będzie łatwe. Część ziemi zatrzyma, do zagospodarowania i do wynajęcia - nie ma powodu, by ten raj miał być dostępny jedynie dla tych, których stać na kupno. Dwunastoakrową działkę przeznaczył dla swojej rodziny.

Zrobił dobry interes, ponieważ stok graniczący z jeziorem był na tej działce niebezpiecznie stromy, a jedyne miejsce, na którym mógł stanąć dom, znajdowało się zbyt blisko wody. Istniały zresztą modniejsze jeziora i bardziej chodliwe lokalizacje, nawet w samym Nagawaukee. Ale te minusy dla niego były zaletami - nigdy nie ma sensu kupować za najwyższą cenę. Pieniądze robi się wyłącznie wtedy, kiedy człowiek widzi to, czego nie dostrzegają inni. A on potrafił przewidzieć rozwój. Zaprzęgnie tę ziemię do pracy - co było jeszcze jedną przyczyną, by nie wybierać sąsiedztwa, gdzie krzywiono by się na działalność gospodarczą. Planował niewielką uprawę, może uruchomienie produkcji sera - niektórym ludziom w Janesville świetnie się powiodło z białym cheddarem - lub hodowlę kóz angorskich. I zamierzał wybudować imponujący dom.

Miał przypominać grecką świątynię, z białymi kolumnami, wznoszącymi się od szerokiej frontowej werandy aż po dach. Z powodu położenia na wzgórzu dom będzie musiał być wąski, ale to bez znaczenia, ponieważ nikt nie będzie oglądał go z boku. Liczy się fasada - i fasada będzie okazała. Postawi na trawniku przed domem białą altankę z drewnianej kraty. Będą zbierać się tam przyjaciele - mężczyźni w beżowych garniturach i kobiety z parasolkami, w letnich powiewnych sukniach, którymi będzie igrał lekki wietrzyk od jeziora.

Architekt próbował namówić go na coś skromniejszego, w brzoje i zieleni, szwajcarską chatę w lesie, umeblowaną w stylu rustykalnym.

- Może - zaproponował architekt - niektóre meble wykonałby pan sam.

Clement wcale nie wyśmiał jego sugestii. Z przyjemnością wyobraził sobie, jak piłuje drewno o balsamicznym zapachu, budując piękne, mocne meble, których jego rodzina będzie spokojnie używała przez wiele pokoleń. Poradził się nawet właściciela składu drzewnego, który zaprojektował dla niego małą komódkę i sporządził listę potrzebnych narzędzi i desek. Potem zabrał pewnego popołudnia swego najmłodszego syna, Arthura, żeby dotrzymał mu towarzystwa przy pracy na podwórku, i udało mu się przyciąć spód oraz dwa boki komódki, zanim uszkodził trzy deski i skaleczył się w palec wskazujący.

Powiedział architektowi, że nie będzie sam robił mebli, i uparł się przy swoim pierwotnym planie. Po co mu dom, którego nie będą oglądać ludzie? Theresa zgodziła się z nim. Prawdę mówiąc, Clement uważał, że jego żona ma pomysły znacznie lepsze od architekta. Rozumiała przeznaczenie domu, wiedziała, jak wiatr powinien przelatywać ze świstem od jednego końca do drugiego, jak weranda

ma zapraszać w południe gości kąpiących się w jeziorze i żegnać zachodzące słońce w porze koktajlu. Zasugerowała, żeby dom miał dwa piętra oraz przestronne poddasze. Zaprojektowała kuchnię jako oddzielny pawilon, połączony z jadalnią za pomocą krytego pasażu, żeby w głównym budynku było chłodno. Nalegała również, żeby nabyć dwie sąsiednie działki od wschodniej strony, dzięki czemu mieliby dużo miejsca na przystań, jak również ziemię dla Maynarda lub Avis albo Arthura, a może dla całej trójki, i mogliby wybudować dla nich domy. Tak robią inni, stwierdziła. Wiedział, kogo miała na myśli, mówiąc „inni” - ludzi, którzy będą go zapraszać do swoich klubów.

Cóż, wszystko dobre, co się dobrze kończy, przekonywał sam siebie Clement, smarując grubo masłem grzankę. Gdyby nie poznał Amandy, nigdy nie odkryłby tego miejsca, tego nowego otoczenia, które podziałało na niego tak ożywczo, sprawiło, że znowu poczuł się jak młodzieniec, przepelniony świeżymi nadziejami.

Do kuchni weszła kucharka, wiążąc w talii fartuszek.

- Znów pan wcześniej wstał, panie Owens.

- Ranny ptaszek z pewnością upoluje robaczka, Trudy. - Jak gdyby na poparcie swego spostrzeżenia, Clement odgryzł duży kęs posmarowanej masłem grzanki. Następnie nalał kucharce filiżankę kawy z dzbanka i uzupełnił swoją.

- Cóż, jeśli ma pan ochotę na robaczki, lepiej niech pan idzie do ogrodu - powiedziała Trudy, wyjmując pojemnik z mąką. - Ja będę smażyła racuszki.

- Któregoś dnia chyba tak zrobię - odrzekł Clement. Z filiżanką w rękę poszedł na górę, by wziąć kąpiel.

Wszystko przez ten cholerny pojemnik próżniowy, pomyślał, nupuszczając wody do wanny. Gdyby odniósł sukces, nigdy nie



wróciłby myślą do Amandy. Można by pomyśleć, że to pierwsze niepowodzenie, tak bardzo mu ono dopiekło. A Theresa... - skrzywił się do siebie w lustrze, czyżby włosy zaczęły przeredzać mu się na skroniach? - Żona powinna wspierać męża, a nie przypominać mu protekcyjnymi westchnieniami, że wydaje jej pieniądze albo że zawsze radziła mu, by nie podejmował idiotycznego ryzyka. Amanda nie uważała tego urzędnika za idiotyzm. Rozumiała możliwości, jakie daje, a była pielęgniarką, co się przecież liczy. Doceniała również jego inne projekty. Pamiętał, że interesowała się także kopalniami ołowiu. Pytała, czy używają tam kafarów. To było tamtego wieczora, gdy nie chciała jeść kawioru, który przyniósł do stolika kelner. Pod wpływem namowy Clementa spróbowała go jednak i zasmakował jej, ponieważ on powiedział, że z pewnością tak będzie. Zanurzył się w gorącej wodzie, myśląc, jak przyjemnie jest spędzić wieczór z taką kobietą, kobietą, która naprawdę w ciebie wierzy.

Ale w ciemnym urzędzie pocztowym Amanda nie przypominała ani trochę tamtej dziewczyny, którą zapamiętał. Nie przyszłoby mu nigdy do głowy, że po upływie przeszło roku nadal jest na niego zła, ale w jej spojrzeniu nie było nawet grama przyjacielskich uczuć. Wyglądała również poważniej, policzki lekko się jej zapadły, co jego zdaniem, wcale nie ujęło jej uroku. Gdyby tak mógł dotknąć jej twarzy, pomyślał, albo choćby ręki - przywróciłoby mu to ją. Niestety, nie mógł tego uczynić, ponieważ Theresa siedziała w samochodzie, a naczelniczka poczty gapiła się na nich zza kontuaru.

I co Amy robiła tam z tą małą dziewczynką? W jego pamięci Amanda nadal nosiła w dzień swój schludny fartuch, a wieczorem

siadywała skromnie na bujanej kanapce na werandzie hotelu pielęgniarskiego.

Przez drzwi Clement słyszał żonę. Odsunęła krzesło od toaletki, otworzyła szufladę, w której trzymała grzebienie i szpilki do kapeluszy, szykowała się do porannej mszy. Wiedział, jak wygląda Theresa - siedzi wyprostowana na krześle przed lustrem i czesze spokojnie włosy.

- Thereso! Zabrakło mi mydła! - zawołał, owijając kostkę, której miał zamiar użyć, w myjkę i wpychając ją pod kolano.

- Na małym stoliku - odpowiedziała i usłyszał, jak zamykają się za nią drzwi garderoby. Czy przypuszczała, że będzie stał, ociekając wodą i drżąc z zimna pośrodku łazienki, i grzebał po szufladach? A gdyby tak naprawdę zabrakło mu mydła?

Dobrze mu tak, jeśli nigdy już nie zechce nic dla niego zrobić, prawda? Clement zaczął szorować całe ciało. Myśl, że uganiał się za kobietą, która okazała się wariatką, przeraziła go trochę. Cóż, to już skończone, wszystko skończone. Theresa zobaczy, że od tej pory znów będzie między nimi tak jak kiedyś.

To dla mnie nauczka, pomyślał, ostrzeżenie. Od tej chwili będę wierny mojej żonie.

Te słowa zawsze napawały go optymizmem. Westchnął i położył się z powrotem w kojącej, ciepłej wodzie. Zamknął oczy i położył wilgotną myjkę na twarzy, żeby zmiękczyć zarost. Zaczął myśleć o aparacie, dzięki któremu można robić zdjęcia kości przez skórę. Czy nie można by go wykorzystać jakoś w przemyśle wydobywczym?

Szesnastoletnia Avis Owens przeszła cicho przez hol w szlafroku i domowych pantoflach. Niedawno, pewnego poranka, Clement poczuł się bardzo głupio, wzięwszy ją za żonę. Maynard, osiemnastolatek,

ukrył twarz w poduszce, po czym jednym zdecydowanym gwałtownym ruchem odrzucił pościel i opuścił stopy na podłogę.

Sześćcioletni Arthur obudził się całkiem dopiero wtedy, gdy woda popłynęła z pluskiem do umywalki, zamontowanej na ścianie pokoju, który dzielił z bratem. Leżał nieruchomo, z zamkniętymi oczami, słuchając, jak brat przesuwając ze zgrzytem wieszaki na drążku, wyciąga szuflady komody, nie zamykając ich jednak. Gdy Maynard wyszedł z pokoju, Arthur wstał z łóżka i kucnął w piżamie przy swoim mieście z klocków. Najlepiej budowało mu się rano, gdy zasuwka w drzwiach do łazienki otwierała się i zamykała, otwierała się i zamykała, woda płynęła z szumem rurami, wszyscy biegali z tupotem po schodach - w dół, na górę, znowu w dół - w kuchni pobrzękiwała porcelana, aż wreszcie drzwi frontowe trzaskały, trzaskały, trzaskały.

Później na jakiś czas poranne odgłosy cichły i jedynym dźwiękiem w całym domu, gdy smuga światła słonecznego wędrowała z wolna po podłodze sypialni w kierunku szafy, był lekko świszczący oddech Arthura oraz głuchy stuk drewnianych klocków. Gdy zegar w dużym pokoju wybijał godzinę ósmą, słysząc było szuranie kapci matki w holu i po chwili stawała nad nim, przeciągając się jak kot. Potem wiązała na nowo pasek, przytrzymujący podomkę, przykucała obok Arthura i przesuwając z rozmysłem klocki, jak gdyby wiedziała, gdzie powinny się znaleźć. Pozwalał jej kłaść je tam, gdzie chciała, choć, oczywiście, musiał je później przestawiać. Wreszcie, gdy nudziła jej się ta zabawa, pochylała się nad synkiem i całowała go. Jej oddech pachniał kawą, a dłonie słodkawym kremem do rąk. Zaczynał się w końcu ich zwykły dzień.

Gdy Maynard i Avis byli mali i nieciekawi, Theresa pozostawiła ich wychowywanie niańkom, ale Arthur był inny, a może ona się

zmieniała. Z drżeniem serca odpychała od siebie myśl o wrześnie, kiedy synek pójdzie do szkoły i nie będzie go już miała dla siebie przez cały dzień.

Dzisiejszego ranka, po kościele, zamierzali złożyć wizytę pani Hermanowej Kessler, która obiecała wesprzeć finansowo budowę nowej biblioteki publicznej. Theresa wiedziała, że ludzie, którzy ofiarowują pieniądze na jakiś cel, wolą spotkać się z wdzięcznym odbiorcą, niż anonimowo przesyłać czek pocztą. Na Newberry Street 62 zostali zaprowadzeni do widnego dużego pokoju, gdzie pani Kessler oraz jej przyjaciółka, pani Jones, pochylały się nad plikiem akwarel.

- Proszę, spójrz na tę! - zawołała pani Kessler, zmuszając Theresę, by podziwiała zamglony pejzaż morski, gdzie mieszały się błękit, zieleń i szarość, tworząc rodzaj błota. - Nie mam pojęcia, po kim moja Charlotte odziedziczyła talent. Ja jestem kompletnie pozbawiona zdolności rysunkowych, a Herman ledwie potrafi się podpisać.

- Śliczna - powiedziała Theresa.

- Nadzwyczajna - zgodziła się pani Jones.

- Potrafiła wspaniale uchwycić nastrój! - dodała pani Kessler, wyciągając akwarelę na długość ręki i mrużąc oczy, by skupić się kolejno na różnych aspektach obrazu. - To cechuje prawdziwego artystę.

Theresa zgodziła się uprzejmie. Później, ponieważ poznała panią Kessler i panią Jones podczas wojny, gdy pracowały w różnych komitetach Czerwonego Krzyża, zaczęły rozmawiać o tym, kiedy się ostatnio widziały, co słyszały o tej czy tamtej kobiecie, śmiały się, wspominając dzień, gdy zebrały sto pięćdziesiąt pestek brzoskwiń do masek gazowych. Arthur nie miał nic do roboty, poza częstowaniem się ciasteczkami, gdy mu je proponowano, i przewracaniem stronic

książki z obrazkami, którą przyniósł ze sobą.

- Wiesz, widziałyśmy chyba twoją córkę w klubie sportowym w Milwaukee - powiedziała wreszcie pani Jones do Theresy. - Czy dobrze pamiętam, że ma na imię Avis?

Arthur nadstawił uszu. Zawsze wydawało mu się dziwne, że ludzie, których w życiu nie widział, znają jego siostrę i brata.

- Tak, miło z twojej strony, że zapamiętałaś - odrzekła Theresa.

- Była z drugą młodą kobietą - dodała pani Kessler. - Taka dziewczyna z fatalnym nosem.

- Meta Kunkel. To prawda, nos ma okropny.

- Z pewnością to urocza dziewczyna - powiedziała pani Kessler z samozadowoleniem osoby, której córka ma prosty, zgrabny nos.

- Nie jest to moim zdaniem odpowiednia przyjaciółka dla Avis, ale dzieci nie zawsze robią to, czego chcieliby rodzice, prawda?

Theresa uważała Metę za dziewczynę fajtlapowatą, hałaśliwą i pozbawioną poczucia humoru, która nie przyciąga towarzystwa, jakiego pragnęłaby dla Avis. A szczególnie chciałaby, żeby Avis okazywała większe zainteresowanie młodymi mężczyznami z jej kręgu towarzyskiego. Martwiło ją, że córka - mająca tak wielkie możliwości i talent (mimo że Avis nigdy nie widziała zbiornika wodnego większego od jeziora Michigan, to jej pejzaże morskie oddawały ducha oceanu) - trwoni swoje szanse na szczęście. Ale, pocieszała się Theresa, Avis potrafi być naprawdę ładna, kiedy się umaluje i odpowiednio ubierze. Z pewnością nabierze właściwego stosunku do życia.

Pani Kessler nie odpowiedziała. Popijała herbatę, patrząc na Theresę znad filiżanki ze współczuciem, zadowolona z siebie.

- Maynard - mówiła dalej Theresa - mój starszy syn, dostał bardzo dobrą posadę. Pracuje w First Bank. A to wszystko, co każą mu robić! Doprawdy, czasami okropnie się denerwuję, gdy myślę o tych wszystkich pieniądzach.

Oczywiście, Maynard nie był za nic naprawdę odpowiedzialny. Głównie nosił dokumenty do podpisu z jednego gabinetu do drugiego. Ale były to bardzo ważne dokumenty. I wiceprezes banku zawsze go zapewniał, że daleko zajdzie.

- A więc nie wybiera się do college'u? - spytała pani Kessler, gryząc delikatnie biszkopt, żeby nie zdmuchnąć z niego cukru pudru.

- Nie. Nie widzi sensu. Podczas kolejnych letnich wakacji pracował w banku jako goniec i kiedy ukończył St. John's, natychmiast zaproponowano mu pracę.

- Nie mówię, że potrzebne mu wykształcenie. Bóg świadkiem, że mój Freddy wyszedł z Yale tak samo głupi, jak był przedtem, ale chodzi o przyjaźnię, które się tam zawiera, o towarzystwo. Nie możesz oczekiwać, że będzie robił karierę, jeśli nie pozna właściwych ludzi.

- Prawdopodobnie pójdzie do college'u za rok lub dwa - dodała spieszenie Theresa. - Nie dziwiłoby mnie to.

Pańi Kessler wymieniła znaczące spojrzenia z panią Jones, której syn rozpoczął jesienią studia na Uniwersytecie Colorado, i Theresa zrozumiała, że postawiła się sama w niekorzystnym położeniu.

Pani Jones zmieniła temat.

- Słyszałam, że budujecie letni dom.

- Tak - potwierdziła ostrożnie Theresa. Jaki pożytek będą mieli ze zbyt wąskiego domu na zbyt stromym zboczu po niewłaściwej stronie niewłaściwego jeziora?

- Och, gdyby tak udało mi się przekonać Hermana, żeby zrobił to samo! - jęknęła pani Kessler. - Tutaj nie da się uciec latem od

smrodu rzeki. To wprost nie do zniesienia. Ale on nie ruszy się z miasta. Gdy wyjeżdżasz, mawia, omija cię zbyt wiele okazji. Może w jego przypadku to i racja, ale jakie okazje mogą ominąć mnie? Nie myśli o Charlotte. Ona nie rozumie, dlaczego mamy zostawać w mieście - zwłaszcza gdy wszyscy jej przyjaciele wyjeżdżają. Mówię Hermanowi: „Skoro już nie możemy wyjechać, to przynajmniej kupmy działkę nad jeziorem Michigan”. Ale on i tak mnie nie posłucha. „Ten dom był dość dobry dla mojego ojca - odpowiada - i jest dość dobry dla mnie”. Jesteśmy więc całkowicie skazani na łaskę krewnych i przyjaciół, którzy mają letnie domy. - Uśmiechnęła się do Theresy.

- Gdy skończymy budowę domu, będziemy szczęśliwi, mogąc gościć was u siebie - zapewniła Theresa. - Zostaniemy członkami jachtklubu oraz klubu tenisowego i jestem pewna, że Avis i Maynard z radością będą zabierali Charlotte na rozmaite imprezy. - Wprawdzie Avis była stanowczo przeciwna wstępowaniu do klubów, które uważała za pretensjonalne, a Maynard nigdy nie miał predyspozycji do tenisa, ale Theresa wierzyła, że te drobne komplikacje rozwiążą się same, gdy tylko ich rodzina znajdzie się w nowym środowisku, w którym będą mogły swobodnie rozkwitnąć ich prawdziwe natury. Liczyła, że ten dom rozwiąże jeden ważny problem, a mianowicie niesformość jej męża. Zauważyła już zmianę w zachowaniu Clementa. Wracał co wieczór do domu punktualnie, tak że mogli razem studiować projekty. Opisywał jej swoje plany z takim samym podnieceniem, jakie okazywał w pierwszym okresie znajomości, i koniecznie chciał wiedzieć, co o nich sądzi. Często też pukał do drzwi jej sypialni. Tak, bez wątplenia wrócił do niej. Była przekonana, że ten nowy projekt, przy którego realizacji tak chętnie korzystał z jej

pomysłów oraz jej pieniędzy, podobnie jak na początku małżeństwa, będzie go trzymał przy niej blisko.

Później, gdy Theresa przystanęła na schodach domu Kesslerów i puściła dłoń Arthura, by złożyć czek i schować go do torebki, stwierdziła, że wizyta była całkiem udana. Odczuwała zwłaszcza ulgę, że pomysł budowy domu zyskał taką aprobatę. Nie była pewna, czy tak się stanie. Clement był pewny, ale on zawsze miał pozytywne nastawienie do wszystkich swoich projektów - jego entuzjazm nic nie znaczył. Florence Kessler ani Alice Jones natomiast nie zaaprobowwałyby byle czego.

Teraz Theresa mogła spokojnie wyobrażać sobie w nim swoją rodzinę. Arthur, idący brzegiem i ciągnący na sznurku mały stateczek. Kolana ma zielone od trawy, trochę zbyt długie włosy rozwichrzone. Maynard za sterem prawdziwej łodzi, spoglądający przez zmrużone powieki na oślepiająco białe żagle, może nawet zwyciężający w regatach i ofiarowujący jej potem srebrny puchar. Avis, siedząca w altance z miłym chłopcem, być może kolegą Maynarda, późnym niedzielnym popołudniem, rozkoszująca się udręką świadomości, że nie zobaczą się przynajmniej przez tydzień.

A ona i Clement? Za wcześnie, jeszcze za wcześnie, pomyślała. Nie śmiała liczyć na to. Ale pielęgnowała tę nadzieję, ogrzewała ją, niczym nasionko osłonięte przed mrozem.

Codziennie o czwartej Theresa i Arthur ucinali razem drzemkę na chłodnej atlasowej narzucie, która zaścierała jej łóżko. Zanim zasnęli, wsłuchiwali się nawzajem w swoje spokojne, równomierne oddechy i przyglądali się, jak popołudniowe cienie kładą się powoli na suficie. Czasami Arthur opierał głowę na brzuchu Teresy, zaintrygowany ciągłym bulgotaniem, którego nikt poza nim nie słyszał.



O wpół do szóstej Arthur siadał na kamiennych schodkach od frontu i czekał, aż Clement wróci do domu. Nikt nie mógł go odwiedzić od tego obowiązku, nawet w czasie najgorszej niepogody. Gdy padał deszcz lub grad, stał przyciśnięty do muru pod daszkiem nad frontowymi drzwiami. Gdy świeciło słońce lub sypał śnieg, skracał sobie czas oczekiwania, skacząc ze schodka na schodek. Czasami biegał po całym podwórku, traktując schodki tylko jako bazę. Zawsze jednak pamiętał, by mieć ulicę w polu widzenia, obawiał się bowiem, że gdyby tego nie robił, ojciec mógłby nie wrócić bezpiecznie do domu, a wiedział, że powinien wrócić, mimo że czasami wołałby nie wracać.

## Rozdział szósty

Za radą pastora Jensena Carl poprosił Hildę Grossman, kuzynkę w pierwszej linii ze strony ojca, żeby przyjechała z Tomahawk do pomocy w domu i opieki nad Ruth na czas pobytu Amandy w St. Michael's. Hilda nie ukrywała, że nie jest zachwycona tym pomysłem.

- Powiem ci prosto z mostu, Carl - rzekła ostro, ciskając torbę podróżną, tak że wylądowała z głośnym grzotnięciem u jej stóp. - Zdaję sobie sprawę, że w tym domu dzieje się coś dziwnego. Możesz sobie myśleć, że my tam, w Tomahawk, o niczym nie wiemy, ale dochodzą do nas różne wieści. Ktoś inny nie zgodziłby się przyjechać, ale znalazłeś się w kropce i należysz do rodziny, więc jestem. - Skrzyżowała ręce na bujnych piersiach i czekała na odpowiedź.

- Co masz na myśli, mówiąc „coś dziwnego”?

- Nie wiem, jestem natomiast przekonana, że przyzwoita kobieta nie ukrywa się miesiącami na wyspie, nie rozmawiając z nikim. Wiem też, że uczciwa kobieta tonie w pełnym świetle dnia, kiedy wszyscy widzą, co się dzieje, a nie potajemnie, w samym środku nocy. Tyle wiem.

Carl zmrugał oczy, jak gdyby próbował wyostrzyć sobie wzrok.

- Nie rozumiem. Do czego pijesz?

- Nie powiem ani słowa więcej. Plotki są czymś podłym. Tak mnie uczono. Chciałam tylko wyjaśnić moje stanowisko.

Ale zamiast cokolwiek wyjaśnić, tylko zagmatwała wszystko Carlowi. Co się wydarzyło podczas jego nieobecności? Powinien był przycisnąć Amandę, gdy miał po temu okazję. Teraz było to wykluczone. Tej samej nocy, w swoim pokoju, Carl sięgnął po fotografię Mathildy stojącą na jego nocnym stoliku. Ująwszy ją mocno za ramkę, potrząsnął nią, próbując... właściwie co...? zmusić Mathildę do mówienia, zmienić wyraz jej twarzy? Uśmiechała się, jak gdyby miała żyć zawsze.

Przez pierwszy tydzień lub dwa po wyjeździe Amandy Ruth była niespokojna. Błądziła po pokojach, zatrzymując się po kolei przy wszystkich oknach. Po drodze brała do rąk różne przedmioty, drobiazgi - swój kocyk, pluszowego misia, łyżeczkę, pończochę z szuflady Amandy - po czym rzucała je w roztargnieniu gdziekolwiek, toteż pod koniec dnia w całym domu panował nieporządek. Również płakała, choć naprawdę ten dźwięk przypominał bardziej kwilenie, cichy lament, który zaczynał się w gardle i wydobywał się na zewnątrz z lada powodu, a czasem w ogóle bez powodu, a wtedy nie dało się go już powstrzymać.

Raz czy dwa Hilda, klepiąc się po kolanach, wyciągnęła do dziewczuszki ręce.

- Chodź teraz do Hildy - rzekła, uśmiechając się do Carla, by dodać mu otuchy. Ale Ruth odwróciła się, nie chcąc nawet podejść bliżej. Zakłopotana Hilda wyraźnie straciła serce do dziecka. - Niektórych osób nie da się zadowolić - powiedziała, wstając gwałtownie i wygładzając spódnice.

Carl brał Ruth na ręce i kołysał ją, ale nigdy długo. Wysłizgiwała się z jego ramion, z jego kolan, jak żywe srebro, i nie udawało mu się powstrzymać jej dreptania, dopóki nie zasnęła, wyczerpana, w jakimś kąci.

Pewnego dnia, przy śniadaniu, wyciągnęła do niego szklanę, trzymaną w obu rączkach.

- Co mówisz? - spytał niecierpliwie, biorąc dzbanek z mlekiem.

Gdy nie odpowiedziała, lecz tylko podsunęła mu znów szklanę, zdał sobie sprawę, że od wielu dni nie słyszał, by odezwała się choćby słowem.

- Ruthie, co mówisz? - powtórzył surowszym tonem.

Dziewczynka nadal milczała.

- Poproszę trochę mleka - podpowiedział jej.

Ruth stuknęła mocno w stół dnem szklanki.

- Dostyc tego, Ruthie. - Carl odstawił dzbanek i chciał zabrać szklanę z rąk dziecka. Właściwie nie bardzo było wiadomo, co się stało. Czy mała upuściła szklanę celowo, czy też myślała, że ojciec zdążył już ją uchwycić?

Tak czy owak, szklanka rozbiła się z brzękiem na podłodze.

Gdy Hilda zeszła na śniadanie, Carl zamiatał odłamki szkła.

- Ruth nie dostanie dzisiaj nic, jeśli grzecznie o to nie poprosi, Hilda - zastrzegł Carl, wrzucając szkło do kosza na śmieci. - Ona potrafi mówić.

- Rozumiem - odpowiedziała Hilda, nalewając sobie kawy do filiżanki, jak gdyby kuchnia należała do niej.

Wygląda na niemal zadowoloną, że trafia jej się okazja ukarania Ruth, pomyślał Carl i przyrzekł sobie, że będzie bardziej uważał na to, co mówi.

- Nie chcę przez to powiedzieć, że masz ją zagłodzić.

Hilda popatrzyła na niego w zamyśleniu, pijąc kawę.

- Pozwalasz kobietom, żeby ci wchodziły na głowę, Carl, wiesz o tym? Nawet tej małej. Nie wyświadczasz jej przysługi, pozwalając, żeby stawiała na swoim.

Jej gadanina działała Carlowi na nerwy, ale być może Hilda ma rację, przynajmniej w przypadku Ruth. Cóż on wie o wychowywaniu małej dziewczynki? Martwił się o nią. Straciła dwie matki, nic dziwnego więc, że nie zachowuje się odpowiednio, ale co on może na to poradzić? Hilda zna się na tym lepiej, pomyślał, a przynajmniej miał taką nadzieję. Wyszedł do obory.

W południe Hilda zrobiła kanapkę z serem i wyciągnęła ją do Ruth na talerzu. Gdy dziewczynka sięgnęła po nią, Hilda podniosła talerz wysoko.

- Co mówimy?

Ruth zaczęła płakać.

- Krokodyle łyż nie robią na mnie wrażenia, młoda damo.

Hilda odgryzła kęs kanapki i żuła go ostentacyjnie. Z ust Ruth wyrwał się głośny pisk.

Hilda odłożyła kanapkę i zaczęła szperać w szufladzie. Gdy odwróciła się do Ruth, trzymała w ręku drewnianą łyżkę.

- Teraz dam ci prawdziwy powód do płaczu.

Chwyliła dziecko za ramię i dała jej cztery silne klapsy w pupę.

- To cię nauczy.

Złapała Ruth w pół, zaniósła na górę, do jej pokoju, tam ją puściła i zatrzęsnęła drzwiami.

Hilda przygotowywała dla nich kolację co wieczór, zwykle gotowane ziemniaki i kawałek mięsa, pieczony tak długo, że w końcu wysychał na wiór.

- Nie jest nawet odpowiednio nauczona - odezwała się.

- Co masz na myśli? Nauczona czego? - Carl zwykle jadł ze spuszczoną głową, żeby oszczędzić sobie widoku przeżuwającej Hildy, teraz jednak podniósł wzrok, zaskoczony.

- No, wiesz. Nauczona.

Gdy Carl, nadal nie rozumiejąc, o co chodzi, pokręcił głową, Hilda zaczerwieniła się i spuściła wzrok.

- No, moczy się.

Carl poczuł tak wielką ulgę, widząc zakłopotaną, niegroźną Hildę, że wybuchnął śmiechem. O dziwo, zawtórowała mu.

- Nie ma się z czego śmiać - zaprotestowała, ale nadal się uśmiechała. Przez kilka krótkich chwil patrzyli na siebie, pod wrażeniem nieporozumienia, ale żadne z nich nie miało pojęcia, co dalej.

- No i co z tym zrobimy? - spytał wreszcie Carl.

- Chyba potrafię nauczyć dziecko.

Metoda Hildy polegała na tym, że nie pozwalała Ruth zmienić majteczek, gdy się zmoczyła. Oczywiście, oznaczało to, że dziecku nie wolno było nigdzie w domu usiąść.

- Życia musisz uczyć się na własnych błędach - oznajmiła Hilda.

Owszem, Ruth nauczyła się utykać po kątach swoją mokrą bielinę i nie nosić nic pod spódniczką przez resztę dnia.

- Głupio mi mówić ci takie rzeczy, Carl - powiedziała Hilda, spotykając go przy kuchennych drzwiach tego dnia, gdy odkryła sztuczki Ruth - ale normalne dziecko, przyzwoite dziecko, nie biega ciągle bez majtek. Sam widzisz, że nie było właściwie wychowywane. Nic dziwnego, że twoja szwagierka trafiła do domu wariatów. Co każe zastanowić się też nad matką. Przykro mi to mówić, ale tak się rzeczy mają.

Wcale jednak nie wydawała się zmartwiona. Raczej zadowolona, triumfująca. Carl zawrzał z oburzenia.

- Nie masz prawa mówić takich rzeczy o mojej żonie ani o jej rodzinie. Jeśli takie są twoje odczucia, to możesz wracać do Tomahawk. Dam ci pieniądze na bilet.

Hildę najwyraźniej zaskoczył jego wybuch gniewu.

- I mam cię zostawić samego z tym dzieckiem? Chyba znam się lepiej na takich sprawach.

Odwróciła się ze złością, weszła do kuchni i zaczęła szurać garnkami. Carl włożył kurtkę i ruszył do stodoły, mimo że wcześniej postanowił, iż na dziś koniec z robotą. Zaczął mydlić siodło Frenchie.

Jak ona śmie, myślał, mówić takie rzeczy o Mathildzie, o jej rodzinie? Jest zawistną starą panną i tyle. Próbuje splamić pamięć innej kobiety, szczęśliwej kobiety, która miała kochającego męża. Szorował zawzięcie siodło, dopóki szmatka, której używał do jego czyszczenia, nie wypadła mu z dłoni i omal nie obtarł sobie skóry na palcach. Dlaczego niby kobieta nie mogła zwyczajnie utonąć? Ludzie topią się ciągle, tak powiedziała Amanda. Amanda, która teraz nie potrafi zawiązać sobie butów. Ale to nie ma nic do rzeczy, zapewniał sam siebie. Jasne, że ludzie toną. To nie oznacza, że coś jest nie w porządku, że trzeba się nad tym zastanawiać.

Jednakże dręczyły go wątpliwości. Sam właściwie nie bardzo wiedział, o co mu chodzi. Gdyby tak mógł porozmawiać z Mathildą, chociaż przez kilka minut. Gdyby mógł ją zobaczyć, dowiedziałaby się czegoś, jej widok dodałby mu otuchy. Ale wspomnienie o niej coraz bardziej się zacierało. Czasami zdawał sobie z niepokojem sprawę, że właściwie pamięta nie Mathildę, lecz sposób, w jaki pozowała do fotografii, której przyglądał się poprzedniego dnia. A

zatem... a zatem... może Hilda, nie wiedząc niczego z pewnością - bo niby skąd miałyby wiedzieć? - wyczuła coś, czego on nie dostrzegł, ponieważ był na to zbyt tępy.

Ruth zaczęła niszczyć różne przedmioty. Trącała patykiem doniczki z kwiatami na balustradzie werandy, dopóki nie roztrzaskały się o płyty łupkowe. Spychała ze stołu dzbanek z mlekiem. Ciskała meksykańskimi szklanymi zwierzątkami, z kolekcji babci Starkey, po jednym, o kamienie paleniska. Wyrwała kartki z książek i przedzierała na pół ryciny. Kaleczyła brzegi stołu kuchennego nożem do masła.

- Okropne, okropne dziecko! - Mimo że Hilda biegła jak najprędzej, gdy usłyszała brzęk lub trzask, rzadko udawało jej się zdążyć i schwytać mocno Ruth. Dziewczynka umykała drobnymi kroczkami, na wpół biegnąc, na wpół zjeżdżając po schodach do piwnicy, gdzie wciskała się pod zlew, służący do prania, i przytulała się do ściany, obok bielinki i ługu. Widziała przed sobą młójące jak cepami dłonie, które próbowały uchwycić ją za włosy, a potem uderzyć ze złością. Hildzie trudno było uklęknąć. Pochylała się obok szafki, przytrzymując się jedną ręką zlewu, a drugą macając na oślep w ciemnych zakamarkach. Jej piersi i rozstawione szeroko nogi blokowały małą drogę ucieczki żółtym kwiecistym murem. W końcu Hilda przesuwiała swój środek ciężkości i wciskała rękę głębiej, dopóki nie udało jej się chwycić Ruth za sukienkę lub za włosy. Wtedy wyciągała płaczące głośno dziecko spod zlewu i windowała je po schodach na górę, do szafki, gdzie znajdowała się drewniana łyżka.

Gdy przychodził Carl, Hilda witała go w drzwiach z odłamkami rozbitych przedmiotów w papierowej torbie.



Działo się to tak często, że zaczął się zastanawiać, czy w domu został jeszcze jakikolwiek kruchy przedmiot do stłuczenia. Jedyne urozmaicenie tej monotonii miało miejsce pewnego deszczowego popołudnia, gdy ręka Hildy, próbująca wyłowić Ruth spod zlewu, zawisała na moment w powietrzu. Tego właśnie dnia dziewczynka zatopiła w niej zęby, wgrzyzając się z rozkoszą w żywe ciało i czując słonawy smak skóry. Przez okamgnienie w domu panowała cisza. Hilda wpatrywała się w osłupieniu w swoją dłoń, po czym wydała przenikliwy okrzyk, niczym paw. Gdy tylko Carl wszedł na werandę, wyciągnęła ku niemu obandażowaną dłoń.

- Powinieneś wiedzieć - rzekła oskarżycielskim tonem - że chowasz dzikie zwierzę.

Carl czuł się winny. Starał się wynagrodzić Hildzie przykrość. Okazywał jej nadzwyczajną uprzejmość, nie wtrącając się do jej metod wychowywania Ruth i przenosząc jej rzeczy do najlepszej sypialni. Co poczęliby, gdyby postanowiła od nich wyjechać?

Carl stał w progu świetlicy w St. Michael's, modląc się w duchu, by jego szwagierka odzyskała równowagę psychiczną. Amanda przesunęła krzesło, odwracając się plecami do pokoju, tak że mogła patrzeć na las, gdzie wciąż uparcie zalegał śnieg, nie chcąc ustąpić wiośnie. Spędziła w sanatorium niemal rok.

Carl zauważył, że jej dłonie są w ciągłym ruchu, palce prawej miętosily nieustannie kciuk lewej. Widział, że ktoś zachęcił ją, by ubrała się sama - taktyka stosowana, gdy pacjent czuje się dość dobrze - ponieważ miała przekreconą spódnicę i krzywo zapięte guziki bluzki. Jej kędzierzawe włosy, zwykle niesforne, co mu się kiedyś

nawet podobało, teraz wyglądały, hm, jak włosy obłąkanej.

- Amando? - odezwał się, ona zaś drgnęła gwałtownie, rozplatając palce i opuszczając ręce bezwładnie.

Odwróciła się do niego i skinęła posępnie głową.

- Witaj, Carl. Jak się miewasz?

- Och, świetnie, świetnie, dziękuję - odpowiedział, siadając na sąsiednim krześle i ujmując dłoń szwagierki, by ją uścisnąć. Pozwoliła mu na to, lecz nie odwzajemniła delikatnego uścisku.

- Nie chciałabyś doprowadzić się trochę do porządku? - spytał.

Amanda przesunęła dłoń po bluzce, po włosach, jak gdyby zaskoczyła ją aluzja, że nie prezentuje się najlepiej.

- Cóż... chyba - głos jej się załamał. - Ja... eee... nie mam lustra - powiedziała ze skargą w głosie.

- Wobec tego chętnie służę ci pomocą - rzekł Carl cicho. - Guziki są źle zapięte. - Wyciągnął z wahaniem palec, najpierw w kierunku miejsca, gdzie materiał marszczył się na brzuchu, a potem, rozmyśliwszy się, dotknął rożka materiału, sterczącego zbyt wysoko przy szyi.

- Widzisz, znowu schowali mi kaptcie - poskarżyła się Amanda, na dowód pokazując Carlowi stopy w samych tylko pończochach.

Dla mężczyzny oglądanie jej długich, wąskich stóp i cienkich kostek było nawet gorsze, bardziej kłopotliwie intymne od faktu, że zobaczył skrawek stanika zza niedopiętej bluzki. Gdy Carl spuścił głowę i zaczął szukać pod krzesłami kapci, Amanda dyskretnie zapięła na nowo guziki.

- Tak jest lepiej - powiedział, narzucając jej sweter na ramiona. Żałował, że nie może przygładzić trochę jej włosów, gdy tak stał za

nią, ale nie zdobył się na odwagę, by ich dotknąć. Zresztą, co by to dało? Nie miał pojęcia, co kobiety robią ze swoimi włosami.

- Cóż, nie chcę cię zatrzymywać - rzekła Amanda, gdy się odsunął.

- Och, wcale mnie nie zatrzymujesz. - Carl rozparł się wygodnie na krześle i skrzyżował nogi. Przyjemnie mu było tutaj, z dala od Ruth, która nic nie mówiła, i od Hildy, która mówiła za dużo. Rozumiał, czemu chciała tu zostać.

- Wiem, że musisz jechać do domu - powiedziała, tym razem bardziej stanowczo.

Carl westchnął i wstał z krzesła. Obiecał Amandzie, że wróci na zajutrz, o ile nie będzie musiał czekać na kowala. Wtedy przyjedzie pojutrze. Gdy wyszedł, odchyliła głowę na oparcie krzesła, żeby powstrzymać łzy napływające jej do oczu.

### *A m a n d a*

Prosiłam cię, Mattie, żebyś wróciła, mówiłam ci. Mówiłam. Cemu nigdy mnie nie słuchałaś?

Sprawiałaś zawsze mnóstwo kłopotów, od dnia swoich urodzin. Ty tego nie pamiętasz, ale ja tak. Okropnie płakałaś w nocy, ciągle, bez przerwy, tak że rodzice nie mogli tego wytrzymać - wstawili twoją kołyskę do mojego pokoju. Nie pamiętasz tego, ale śpiewałam ci. Masowałam ci plecki. Wyjmowałam cię i kołysałam na kolanach. Brałam cię do łóżka i wtulałam twoją główkę pod brodę, lecz ty i tak nie chciałaś się uspokoić. Zасыpiałam w końcu mimo twojego płaczu, który srożył się potem niczym burza w moich snach. Tego też nie pamiętasz.

A później, tego pierwszego lata, nagle się uspokoiłaś, leżałaś niczym lalka w łóżeczku, a na całym twoim ciele wykwitły czerwone plamy. Tata pościelił mi na kanapie w bokówce. Zabronił mi wchodzić na górę, gdzie przebywałyście z mamą, w obawie, żebym się nie zaraziła. Teraz to wiem, lecz wtedy nic nie rozumiałam.

Próbowałam stosować się do zwykłego rozkładu zajęć, myłam twarz i zęby, gdy wstawałam rano oraz zanim położyłam się wieczorem do łóżka. Przez cały dzień wałęsałam się bez celu po podwórku i stodole, układałam na podłodze moje papierowe lalki. Czasami wynajęta do pomocy dziewczyna pamiętała, żeby przygotować dla mnie kanapkę. Jeśli nie, wchodziłam w porze obiadowej na stołek i sięgałam po herbatniki, które znajdowały się wysoko na półce w kredensie. Wybierałam te pokruszone, których braku nikt nie zauważy, i zanurzałam je w dżemie jeżynowym. Rano, w południe i wieczorem słyszałam, jak mama nuci nad twoją kołyską.

Pewnego popołudnia musiałam zasnąć, ponieważ obudziły mnie gorące promienie słońca, które świeciły mi prosto w twarz. Włosy, zlepione dżemem, przyłgnęły mi do policzka. Czułam się zmęczona, rozpalona i głodna. I coś było nie tak. Nie słyszałam nic, najłżejszego dźwięku z pokoju na górze.

Zaczęłam cichutko stąpać po schodach, gotowa rzucić się do ucieczki, gdy tylko usłyszę kroki mamy na podeście lub szcęk klamki, którą naciska ojciec. Ze szczytu schodów mogłam zajrzeć do sypialni, w której leżałaś, nieruchoma, samiutka. Weszłam do środka. Położyłam rękę na twoim małym czółku. Było gorące jak chleb wyjęty prosto z pieca.

I wtedy stanęła nade mną mama.

- Nie dotykaj jej! Nie dotykaj jej! Wyjdź stąd w tej chwili! - krzyknęła.

Ledwie ją poznałam. Włosy miała potargane, bluzkę poplamioną. W niczym nie przypominała schludnej, ślicznej mamy, jaką znałam. Cofnęłam gwałtownie rękę i uciekłam spiesźnie z pokoju, pokonałam pędem schody i wypadłam na dwór przez kuchenne drzwi. Przebiegłam przez podwórze i ukryłam się w lesie. Jeżyny drapały mi skórę, ale zacisnęłam zęby i nie płakałam. Drobne gałązki smagały mnie po twarzy, ale się nie zatrzymywałam. Biegłam, dopóki nie znalazłam się na brzegu jeziora. Jego zielonkawa tafla była spokojna. Ciągnęła się gładką drogą od miejsca, w którym stałam, do skupiska skał i drzew na samym środku, na wyspie. W pełnym słońcu jarzyła się bujna zieleń ich listowia.

Błądziłam po brzegu z zapartym tchem, nie spuszczać wyspy z oka. Gdybym umiała pływać, rzuciłabym się do wody i popłynęła tam. I wtedy natknęłam się na łódkę, małą drewnianą łódkę wiosłową, z której prawie całkiem oblazła farba, niebieska jak jajko drozda. Była zaryta dziobem w mule. Rufa unosiła się na wodzie, toteż nawet mnie udało się zepchnąć ją z brzegu, choć nie miałam wiele siły.

Wdrapałam się do łódki, wzięłam jedno z wiosel i odpychając się nim od brzegu, wy płynęłam na głęboką wodę. A potem wiosłowałam, wiosłowałam, wiosłowałam w kierunku mojej wyspy.

Wówczas uciekłam tam po raz pierwszy. Wierzyłam, że na wyspie będzie bezpiecznie, dobrze. Myślałam tak wtedy. Myślałam tak później. Ale później pomyliłam się.



- No, Carl, i jak ona się miewa? - spytała Hilda, podając mu miseczkę kiszonych buraków.

- Chyba nie najlepiej - odparł Carl, kręcąc głową.

Hilda przytaknęła. Odgryzła duży kęs kromki posmarowanej masłem, a następnie, z przesadną delikatnością, otarła okruszki z warg rozkiem serwetki i założyła za ucho spadające luźno pasmo włosów. Carl spostrzegł po raz pierwszy, że przechyla kokieteryjnie głowę, i odkasznął nerwowo.

- Zauważyłem, że Ruthie zachowuje się dużo grzeczniej - powiedział.

- Och, Ruth i ja świetnie się ostatnio zgadzamy, prawda, kochanie? - Hilda wyciągnęła rękę, by poklepać Ruth drętwo po głowie, ale dziewczynka uchyliła się. - To moja mała pomocnica - mówiła dalej Hilda, udając, że zamierzała jedynie zebrać kilka ziarenek groszku, które stoczyły się z talerza dziecka na ceratę. - Nie zdziwiłabym się, gdyby zaczęła uważać mnie za swoją mamusię.

Uśmiechnęła się do Carla tak marzycielsko, że natychmiast odsunął krzesło od stołu i połknął w pośpiechu resztę kawy na stojąco.

- Muszę jechać do miasta. Zabrakło mi... - Znalazł się za drzwiami, zanim dokończył zdanie.



Ruth przestała niszczyć przedmioty po tym wieczorze, gdy wyrzuciła przez balustradę ze szczytu schodów zegarek kieszonkowy.

- To był zegarek mojego ojca - powiedział do niej Carl, gładząc palcem strzaskaną tarczę, a następnie ukrył twarz w dłoniach. Przestraszona Ruth wdrapała mu się na kolana i siłą odjęła mu ręce od twarzy.

Teraz często obserwowała Hildę, śledząc ją z odległości mniej więcej dwóch metrów, papugując jej sposób chodzenia, trzymania głowy, pełen znużenia gest, jakim odgarniała włosy z czoła

grzbietem dłoni. Właśnie tego popołudnia siedziała na dywanie w pokoju Hildy, przyglądając się jej skromnej toalecie.

- Trochę dbałości o wygląd potrafi zdziałać cuda - powiedziała Hilda, przypatrując się odbiciu Ruth w lustrze i jednocześnie wklepując krem czubkami palców w zwiotczałe policzki. - Proszę - powiedziała, wyjmując z szuflady gorset, który nosiła tylko w niedzielę, pod suknią, do kościoła - czy masz czyste ręce? Dotknij tego.

Ruth przesunęła ostrożnie palcem po samym brzeжку bielizny.

- Prawdziwa belgijska koronka - pochwaliła się Hilda. - Wiesz, jaka piękna? Najwyższej jakości, jaką tylko można dostać. A to służy do upiększania twarzy - wyjaśniła, wyjmując z głębi szuflady mały słoiczek różu i czerwoną szminkę.

Gdy już zaprezentowała efekt Ruth i przejrzała się dokładnie w lustrze, starannie wytarła twarz, zanim wyszła z pokoju.

- Zaprosiłem kilka pań - powiedział Carl tego samego wieczora, wchodząc ciężkim krokiem na werandę z tyłu domu.

Hilda, pilnując, żeby na pewno zdjął ubłocone buty, zmrużyła oczy, próbując wyrzec mu przez ramię, jak gdyby się spodziewała, że na trawniku tłoczy się gromadka kobiet.

- O czym ty mówisz?

- Pomyślałem, że możesz czuć się tutaj samotna, zaprosiłem więc w przyszłym tygodniu panie na coś w rodzaju przyjęcia - rzekł, starając się, żeby zabrzmiało to całkiem swobodnie. Unikając jej spojrzenia, odwrócił się, by powiesić starannie kurtkę na wieszaku.

- Carl, nie zrobiłeś tego! - Zagroziła mu drogę do kuchni, wspierając ręce na biodrach.

- O co ci chodzi? Czy popełniłem jakiś grzech? Nie brakuje ci towarzystwa?

- Nabiegam się przez cały dzień za tym dzieciakiem. Urabiam sobie ręce po łokcie, gotując, piorąc i wykonując mnóstwo innych prac domowych. A ty chcesz, żebym jeszcze urządziła przyjęcie!

- Pomyślałem po prostu, że ucieszysz się, mogąc spotkać się z ludźmi. Pamiętam, że twoja matka co czwartek zapraszała do siebie panie.

- Co środę. I co mam robić z kobietami, których prawie nie znam?

- Skąd mogę wiedzieć, co robią kobiety na takich spotkaniach - wzruszył ramionami Carl. - Chyba grają w karty. Piją kawę. Jedzą ciasto.

- Ciasto! Chcesz, żebym upiekła ciasto? Zresztą w tym domu są trzy filiżanki na krzyż.

- No, cóż - powiedział Carl, przemykając się obok niej - dobrze. Powiem im jutro, żeby nie przychodziły.

- Żeby pomyślały, że nie potrafię zachować się w towarzystwie. Nie, dość już namąciłeś. - Westchnęła ciężko i wróciła do kuchni, gdzie zaczęła energicznie mieszać drewnianą łyżką bulgoczącą głośno masę.

Przez cały tydzień wysyłała Carla co najmniej raz dziennie do miasta, żeby zakupił specjalne drobiazgi, takie jak nowe karty do gry, pomysłowe małe bloczki papieru, dwudziestocentymetrowe ołówki od Baecke'a, orzechy, suszone owoce i cukier w kostkach od pana Pucciego. Zatrudniła Theklę Manigold, jedną z młodszych siostr Mary Louise, do pomocy po południu i kazała Rudy'emu przeżyć cały strych w poszukiwaniu stolików do gry w karty. Przez trzy



wieczory pod rząd rozmowy przy kolacji dotyczyły głównie jednego tematu, a właściwie był to monolog Hildy, która nie potrafiła się zdecydować, czy kupić u Kleina wymyślny tort, ozdobiony różowymi i żółtymi różyczkami, czy też upiec własny keks, który robił taką furorę w Tomahawk. Przyszyła nawet wstążkę do jednej ze swoich najlepszych chusteczek, robiąc z niej mały fartuszek dla Ruth, i męczyła dziewczynkę, każąc jej ćwiczyć wdzięczne poruszanie się po pokoju i przystawanie przy każdym krześle ze srebrną tacą, by podać dzbanuszek ze śmietanką i cukiernicę.

- Jeśli przyjęcie się uda - powiedziała do Ruth - nie zdziwię się, jeżeli zapoczątkujemy coś w rodzaju klubu. Należałyśmy z matką do trzech klubów karcianych w Tomahawk.

- Carl - spytała Hilda wieczorem, w przeddzień przyjęcia - przyjdiesz, prawda? - Nie odrywała spojrzenia od musu jabłkowego, który nakładała sobie na talerz. - Choćby na pół godzinki, dwadzieścia minut. Wiem, że wszystkie panie chciałyby cię zobaczyć. I Ruth tak się napracowała, żeby nauczyć się podawać do stołu - dodała.

Carl spojrzał na córkę. Od tygodni, nawet miesięcy, nie przyczyniła żadnego zmartwienia, ale nadal nie odzywała się nawet słowem. Już wolałby, żeby znowu rozrabiała - przynajmniej było w tym trochę życia, trochę ekspresji - ale co mógł na to poradzić? Nie można zmusić dziecka do mówienia. Nie można nawet zmusić go do niszczenia przedmiotów.

Żuł demonstracyjnie mięso, żeby zyskać na czasie. Wiedział, że Hilda myśli o sobie, a nie o Ruth, zapraszając go, ale w końcu to tylko pół godziny. Z pewnością może być szarmancki przez tak krótki czas, żeby sprawić jej przyjemność. Zajmuje się przecież jego

córką, najlepiej jak potrafi. Zdawał sobie sprawę, że nie może obwiniać wyłącznie Hildy za to, iż nie bardzo jej to wychodzi. Znał swoją kuzynkę jako dziecko w Tomahawk i dobrze pamiętał, jak ją wychowywano - nic dziwnego, że wyrosła na taką surową i niemiłą kobietę.

- Dobrze, przyjdę - zgodził się w końcu. - O której?

- Och, powiedzmy, o czwartej - rozpromieniła się Hilda. - Trzeba dać im trochę czasu, żeby się rozgościły.

Nazajutrz rano Hilda popędzała wszystkich przy śniadaniu. Przed porą obiadu keks był polukrowany, poduszki strzepnięte, czyste pokrowce na meble wygładzone, łyżeczki do herbaty wypolerowane i sprawdzone, czy nie ma na nich śladów palców. Żeby nie brudzić kuchni i oszczędzić czas, przygotowała wyłącznie kanapki na południowy posiłek.

- Wiem, że macie lepsze rzeczy do roboty, niż siedzieć tutaj i czekać na kilka damulek - powiedziała, gdy Carl i Rudy zbyt długo, jej zdaniem, marudzili nad kawą. Posłusznie wypili do dna i odsunęli krzesła.

- Nie zapomniałeś, mam nadzieję? - spytała Hilda Carla, który stał już w progu. - I włożysz czystą koszulę?

- Nie zapomniałem - zapewnił ją, podrzucając Ruth do góry parę razy. Popchnął leciutko dziewczynkę, żeby zajęła się swoimi sprawami. - Bądź grzeczna, dobrze?

Hilda weszła do łazienki w samej bieliźnie i Ruth przyglądała się, jak przeciera namydloną gąbką pachy i szyję, jak szcnotkuje energicznie włosy, które fruują w powietrzu, a następnie pod wprawionymi palcami Hildy zwijają się z tyłu głowy w rogalik. Wciśnięta między szafę a ścianę, Ruth patrzyła, jak Hilda wyjmuje gorset z

szafy, wsuwa ręce w ramiączka, wydyma wargi i dmucha, dmucha, aż w jej płucach nie zostaje nawet odrobina powietrza. Palce usiłowały ściągnąć razem brzegi gorsetu w pasie i na żebrach. Jedna, dwie, trzy haftki zapięte. Hilda odetchnęła płytko i znowu wypuściła powietrze. Cztery. I wówczas usłyszały dziwny trzask, jak gdyby odgłos darcia materiału. Hilda wstrzymała oddech. Dźwięk ucichł. Wciągnęła powietrze w płuca i znowu - trach! Jeden ze szwów puścił. Hilda poluzowała spieszenie haftki, żeby zmniejszyć naprężenie materiału.

- Nie, nie, nie, tylko nie to! - wyszeptała.

Niestety, stało się. Wzdłuż jednego boku powstało długie pęknięcie i nie było już czasu, by je zeszyć. Hilda opadła bezsilnie na łóżko i siedziała ze spuszczoną głową przez parę chwil, po czym wyprostowała się, zdjęła gorset i rzuciła go obok siebie.

- Szczęśliwym trafem - powiedziała do Ruth - posłuchałam matki i wydałam pieniądze na suknię w świetnym gatunku. Leży doskonale nawet bez gorsetu, prawda?

- Stanęła bokiem do lustra, wciągnęła brzuch i wygładziła materiał na biodrach. - Musi wystarczyć. Zresztą nikt dzisiaj nie nosi tych niewygodnych rzeczy. Słyszałam, jak pani Lindgren mówiła o tym w zeszłym tygodniu.

Hilda zbliżyła twarz do lustra i przyjrzała się sobie badawczo.

- Odrobinka kolorów nie zaszkodzi - oświadczyła, wkładając palec do słoiczka z różem i wcierając go kolistymi ruchami w błądy policzek.

- No i jak? - spytała, odwracając się do Ruth. Policzki miała szkarłatne od mocnego pocierania. - Jak wyglądam?

Ruth przycisnęła palce do swojej rumianej buzi.

- Założę się, że uważasz się za Bóg wie co - powiedziała Hilda, krzywiąc się. - Co ty tam masz na sukience?

Musztardę? Musisz się przebrać. Pospiesz się. Nie mam całego dnia.

Ale czasu pozostawało wciąż jeszcze bardzo dużo i gdy przyszła Thekla, na pół godziny przed spodziewanym przybyciem gości, Hilda i Ruth były gotowe. Czekwały, siedząc przy kuchennym stole, żeby nie pognieść poduszek w dużym pokoju.

Dwadzieścia po trzeciej Clara Gutenkunst oraz Ida Brummer zapukały do drzwi, a wkrótce po nich zjawiała się reszta pań, tak że o umówionej godzinie, czyli o wpół do czwartej, całe towarzystwo było już na miejscu. Thekla biegała lekko po schodach, w tę i z powrotem, nosząc płaszcze, a Hilda wprowadzała panie i wskazywała im miejsca. Zaplanowała najpierw ogólną rozmowę, zanim zasiądą do kart, a następnie do małej przekąski.

Z początku atmosfera była trochę sztywna, jak to zwykle bywa, ponieważ kobiety nie bardzo wiedziały, czy powinny kierować swoje uwagi do wszystkich obecnych w pokoju, czy też wyłącznie do paru sąsiadek. Problem jednak sam się szybko rozwiązał, ponieważ dobrze się znały i nie brakowało im tematów do konwersacji, zwłaszcza że jedna szczególna sprawa budziła ogromne zainteresowanie niemal wszystkich. I choć niektóre z nich zadawały dość śmiałe pytania i wykręcały szyje, żeby zobaczyć, ile się da, z całego domu, a inne tylko czekały, uśmiechając się uprzejmie, na odpowiedzi Hildy, tylko jedna nie przejawiała niezdrowej ciekawości, co się stało z tym miejscem „po tragedii, której świadkiem był ten dom”, i jak się mie-  
wa Amanda. Rzecz jasna, należało zachować się taktownie. W końcu to jej dom. I trzeba było uważać na Mary Louise - „to przecież takie przyjaciółki”. Mimo to, tu i ówdzie w pokoju tworzyły się ogniska plotek: „Dotarło do mnie, że obcięła sobie włosy do gołej skóry”.

„Dopiero pięciu mężczyznom udało się wyciągnąć ją z domu”. „Słyszałam, że próbowała utopić tę małą dziewczynkę”. „Ach, tę biedną sierotkę!”.

- Może zagramy w karty? - Hilda przerwała nagle rozmowy tubalnym głosem. Rozkładała już z trzaskiem nogi jednego ze składanych stolików, stawiając go na miejscu.

- O, tak. Zagrajmy! - zawtórowała jej Mary Louise.

- Jak mamy usiąść? - spytała Leota Prunerstorfen. Wszystkie panie, które przysuwały już krzesła do stolików według jakiegoś, sobie znanego porządku, zawahały się.

- Och - rzekła Hilda, powiódłszy obojętnym spojrzeniem po grupie oczekujących. - Właściwie nie zastanawiałam się nad tym.

- Myślę, że Hattie mogłaby zająć główne miejsce przy pierwszym stoliku, prawda, Hildo? - powiedziała Mary Louise. Hattie Jensen, jedna z najstarszych obecnych kobiet i zarazem żona pastora, skinęła głową i łaskawie usiadła na swoim zwykłym miejscu. - A Dolly przy drugim. Albertina chyba tutaj. - I wskazywała dalej miejsca, według schematu, jaki jej zdaniem spodobałby się Amandzie, zręcznie dzieląc kobiety na dwie dobrane grupy, zupełnie jak gdyby układała kompozycję kwiatową.

Hilda trzymała w ręku nowe talie sztywnych kart, dopóki wszystkie panie nie zajęły miejsc, po czym jedną wręczyła uroczyście Hattie Jensen, a drugą zabrała do własnego stolika. Zaczęły już rozdawać karty, gdy nagle poprzez gwar dał się słyszeć odgłos otwieranych i zamykanych drzwi kuchennych.

- Chwileczkę - powiedziała Hilda. Na jej policzki wy płynął niespodziewany rumieniec. Odeszła od stolika i pospieszyła do kuchni.

Wszedł Carl z Rudym, który stanął zakłopotany w progu, mnąc w dłoniach kapelusz. Gdy Hilda zbliżyła się do niego, powiedział cicho, bojaźliwym tonem:

- Bardzo ładnie wyglądasz.

Hilda zmierzyła go surowym spojrzeniem, a następnie odwróciła się i ująwszy Carla pod rękę, wprowadziła go do dużego pokoju.

- Oczywiście, wszystkie panie znają Carla - zaszcebiotała z nienaturalną wesołością, która sprawiła, że inne kobiety wymieniły spojrzenia nad kartami. Znad obu stolików uniósł się szmer cichego powitania. Wszystkie były zgodne, że na swój nieśmiały sposób Carl jest uroczy, wiedziały też, że odniósł poważne rany na wojnie, choć Clara oraz Ida pamiętały, że gdy nieszczęsna Mathilda wychodziła za niego, był zwykłym pakowaczem mięsa.

- Zostaniesz na poczęstunek, prawda, Carl? Może zjemy coś teraz? - zaproponowała Hilda, na co Hattie Jensen uniosła brwi, ponieważ były w połowie rozgrywki i wszystko wskazywało na to, że ma wygraną w kieszeni.

Hilda podeszła do drzwi kuchennych.

- Theklo, chętnie napijemy się kawy.

- Oczywiście - odpowiedziała dziewczyna - zaraz przyniosę. - Zamknęła czasopismo, które przeglądała, i sięgnęła do lodówki po śmietankę.

- Gdzie jest Ruth? - Hilda rozejrzała się po kuchni i pochyliła się, zaglądając pod zlew. - Myślałam, że jest z tobą.

- Dopiero gdy pani o to spytała, zorientowałam się, że nie ma jej tu od dłuższego czasu - odparła Thekla, kręcąc się po kuchni w daremnym poszukiwaniu dziewczynki.

- Powinnaś była jej pilnować. Znajdź ją, gdy przyniesiesz nam kawę, i sprawdź, czy ma dobrze założony fartuszek. Pewnie zdążyła się już ubrudzić jak prosiątko.

Gdy Hilda wróciła do gości, uśmiechała się, mimo to jednak rzucała niespokojne spojrzenia w stronę drzwi, dopóki Thekla nie ustawiła bezpiecznie wszystkich filiżanek oraz dwóch dzbanków na bocznym stoliku.

- Keks zaraz będzie - oznajmiła i zaczęła nalewać kawę.
- Z kremem i śmietanką, pani Jensen?

Leota Prunerstorfen, która nie lubiła kawy i miała nadzieję, że Thekla przyniesie z kuchni również dzbanek herbaty, pierwsza zauważyła Ruth.

- Ruth Neumann, coś ty, u diabła, na siebie włożyła?

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się, rzecz jasna, na małą dziewczynkę, stojącą w progu i dumnie trzymającą przed sobą tacę z cukiernicą i dzbanuszkami śmietanki. Szpilki sterczały z jej włosów na wszystkie strony, policzki miała wysmarowane czymś jaskrawo czerwonym, z jej drobnych ramionek zwisała na tasiemkach aż do kostek jakaś wielka część garderoby, wykończona koronką.

- Och, przecież ona ma na sobie gorset! - wykrzyknęła Leota, po czym zasłoniła szybko usta dłonią, zaszokowana własnymi słowami.

Najlepiej, pomyślał Carl, zachować się, jak gdyby to był świetny żart, i zaczął się uśmiechać, patrząc na Ruth. Teraz, gdy w niczym nie przypominała małej dziewczynki, którą znał, rozpoznał w niej nagle skłonność do figli, właściwą Mathildzie. Ta myśl zasmuciła go i zarazem pocieszyła, niemal uszczęśliwiła. Po raz pierwszy od śmierci żony pomyślał o niej i poczuł się szczęśliwy.

Hilda odstawiła ostrożnie na tacę filiżankę, którą trzymała w ręku. Nie spoglądając ani w lewo, ani w prawo, nie zatrzymując się nawet po to, by wziąć płaszcz, wymaszerowała z pokoju, a następnie przez drzwi frontowe, prosto w przejmujące zimno kwietniowego popołudnia.

Mary Louise wzięła Ruth na rękę.

- Chodź, umyjemy cię - powiedziała, taszcząc ją na górę po schodach.

- Powinnyśmy już iść - odezwała się Hattie Jensen, odsuwając się zdecydowanie z krzesłem od stolika, co zdopingowało resztę kobiet. Wstały i którejś przyszło do głowy, by posłać Theklę po palta. Ku ogromnej uldze wszystkich, było wiele hałasu i zamieszania przy przerzucaniu okryć w poszukiwaniu własnego.

- Przejdzie jej - pocieszyła Carla Ida Brummer.

- Tak - dodała Dolly Brennan, poklepując go matczynym gestem po ramieniu - do kolacji wszystko wróci do normy, zobaczysz.

Nie znały jednak Hildy. Nazajutrz o świcie czekała w kuchni ze spakowaną torbą podróżną.

- Mam pociąg pięć po siódmej.

- Ale kto się zajmie Ruth? - spytał bezradnie Carl.

Hilda zmierzyła go pogardliwym spojrzeniem.

- To diabelskie nasienie - powiedziała. - Niech on się nią zajmie.

Gdy Carl wrócił ze stacji kolejowej, promienie słońca grzały już dość mocno, choć w powietrzu czuło się jeszcze resztki zimy. Kiedy zbierał jajka i karmił świnię, Ruth rysowała patykami wzory na błocie obok chlewika. Nakarmiwszy zwierzęta, Carl podniósł Ruth z błota, zamierzając wnieść ją do domu. Zapiszczała przeraźliwie i uchwyciła się słupka ogrodzenia, wrywając się ojcu ze wszystkich sił. Buty dziewczynki pozostawiły brudne smugi na jego spodniach, poza tym narobiła w majtki, czuł to. Ma pięć lat, a zachowuje się nie lepiej niż zwierzę! Kopnął ze złości płot.

- No, to zostań tutaj!



Puścił ją i pozwolił, żeby upadła w błoto. Oddalił się tak szybko, jak pozwalała mu na to chora noga, i nie obejrzał się, dopóki nie znalazł się w domu. Następnie obserwował córkę przez okno kuchenne, parząc sobie kawę. Wyrzuciła patyk i złobiła rowki w błocie kantem dłoni, po czym je wygładzała dłonią na płask.

Słońce świeciło przez szybę, żółty zegar kuchenny tykał mu głośno nad głową. Otworzył okno i Ruth podniosła na moment wzrok, przestraszona. Wydawała się zaskoczona widokiem domu, ojca w oknie. Skrzywiła się i szybko spuściła z powrotem wzrok, jak gdyby w ogóle nie zamierzała spojrzeć w jego stronę.

Co, u diabła, ma z nią począć. Kot wskoczył na bufet i otarł się grzbietem o jego łokieć. Podniósł do ust filiżankę i połknął fusy, opłukał ją i postawił na suszarce. Ruszył ku drzwiom, ale zawrócił. Wytarł filiżankę połą koszuli i wstawił ją delikatnie do kredensu, dnem do góry.

Gdy podniósł Ruth, znowu zaczęła krzyczeć, tym razem jednak jej nie puścił. Wykąpał ją i ubrał w najlepszą sukienkę. Uczesał jej śliczne proste włosy i zawiązał dużą błękitną kokardę na czubku głowy. Potem sam włożył świeżą koszulę i zaprzągnął konia do powoziku. Ruszyli do St. Michael's.

Koła powozu wpadały niebezpiecznie w koleiny na drodze i Carl skupił całą uwagę na powożeniu. Gdy dotarli do szosy, z dobrze utrzymaną nawierzchnią, wiodącej na wzgórze, na którym znajdowało się sanatorium, zerknął na siedzącą obok Ruth. Kokarda rozwiązała się i zsunęła z głowy, a jej włosy wyglądały, jak gdyby nigdy nie były czesane. Co to za gruzeł z tyłu? Rzep? Jedna pończocha zjechała jej do kostki, bucik na drugiej nodze nie był zasnurowany. Sukienka fałdowała się dziwnie nad szarfą. Ruth rozpadała się w jego oczach. Cmoknął na Frenchie, pośpieszając ją.

Droga była przecinką w gęstym lesie, gałęzie rozszczepiały blask słoneczny na tysiące kawałków. Na szczycie wzgórza drzewa się przerzedziły i ukazał się budynek z kremowej cegły, prostokątny, czteropiętrowy. W niższym kamiennym domu po prawej stronie, wybudowanym znacznie później, mieszkał dyrektor wraz z rodziną, składającą się z żony, dwóch pulchnych synków oraz setera irlandzkiego. Dzieci i pies goniły się po zielonym trawniku, nie zwracając uwagi na Carla i Ruth, którzy weszli do środka.

W budynku mieścił się niegdyś klasztor, obecnie zaś cele mnichów zostały przerobione na jedno- lub dwuosobowe pokoje, ale poza tym, że okna i ciężkie drzwi były zamykane tylko od zewnątrz, panująca tu atmosfera przypominała raczej uzdrowisko, a przynajmniej Carl odnosił takie wrażenie. Podłogę w holu pokrywała kremowa i bordowa terakota, łatwa do utrzymania w czystości i estetyczna. Schody były wykonane z ciemnego, wypolerowanego do połysku drewna. Czasami w korytarzach odbijała się echem kakofonia dźwięków, nagły krzyk, rozbrzmiewający zbyt długo śmiech lub pasmo przekleństw, jednakże większość pacjentów, przynajmniej tych w skrzydle Amandy, dusiła swoje problemy w sobie.

Recepcjonistka знаła już Carla dobrze, podniosła więc na chwilę oczy znad listu, który właśnie pisała, uśmiechnęła się do niego i wskazała gestem dłoni schody.

- Dzisiaj jest na górze - oznajmiła.

Carl zdjął kapelusz i wszedł po niewyłożonych dywanem schodach, zatrzymując się na podeście pierwszego piętra, żeby przygłądzić włosy i poprawić krawat. Wyrzwał przez okno na chłopców, którzy właśnie próbowali dosiąść psa. Ruth wsunęła małą rączkę w jego dłoń.

Przed drzwiami pokoju 312 Carl przystanął. Ukłękł przed Ruth, próbując doprowadzić do porządku jej ubranie.

- Ruthie - powiedział - zachowuj się jak należy. Jeśli będziesz grzeczna, może Amanda wróci do domu. Dobrze? Bądź grzeczna.

Ruth wpatrywała się w drzwi do pokoju Amandy. Nie powiedziała nic. Carl westchnął, wyprostował się i zapukał.

Podobnie jak Ruth, Amanda nie odpowiedziała. Jego pukanie było raczej ostrzeżeniem niż prośbą.

Otworzył drzwi i delikatnie popchnął Ruth do pokoju przed sobą.

- Zobacz, kogo ci dzisiaj przyprowadziłem z wizytą, Amando.

Niepewnie, jak gdyby w obawie, że Ruth może być tylko złudzeniem, Amanda wstała z krzesła i wyciągnęła rękę, by dotknąć twarzy dziewczynki czubkami palców.

Ruth cofnęła się gwałtownie.

- Nienawidzę cię! - wrzasnęła. - Nienawidzę cię!

Carl wpatrywał się w nią, bardziej wstrząśnięty faktem, że przemówiła, niż tym, co powiedziała. Amandą również utkwiała spojrzenie w dziecko. Ruth, przerażona własnymi słowami, cofała się, cofała, aż - „Ruthie, uważaj!” - lecz było już za późno, straciła równowagę i spadła ze schodów, uderzając kolejno o stopnie i lądując na podłogę.

Amanda dobiegła do niej pierwsza, podniosła i zaczęła kołysać w ramionach płaczące głośno dziecko. Z rozciętej o zęby wargi dziewczynki kapała krew.

- Już dobrze, Ruthie - uspokajała ją. - Już dobrze. Przez chwilę fruwałaś w powietrzu. Widziałam to na własne oczy. Naprawdę fruwałaś.

Łkania Ruth stawały się coraz cichsze, wtuliła twarzą w ramię Amandy.

- Ciociu Mandy - wyszeptała.
- Co, Ruthie?
- Możesz już wrócić do domu. Przegoniłam ją.

### *A m a n d a*

Była nieostrożna, zupełnie jak ty, Mattie.

Gdy już nauczyłaś się chodzić, biegałaś z pokoju do pokoju, piszcząc i śmiejąc się. Ostrzegałam cię, żebyś była ostrożna, ale ty mnie nie słuchałaś. Nie przestawałaś biegać, dopóki się nie potknęłaś i nie upadłaś albo nie przycięłaś sobie palca drzwiami, a wtedy krzyczałaś i płakałaś, jak gdybyś była jedyną osobą na świecie, która kiedykolwiek doznała urazu.

Miałaś zaledwie cztery lata, gdy po raz pierwszy poszłaś za mną w zimie do lasu. Znajdowałam się już w połowie zamarzniętego jeziora, gdy usłyszałam twój głos.

- Zaczekaj, Mandy! Zaczekaj!

Odwrociłam się i zobaczyłam cię, taką niezgrabną w kilku warstwach grubych wełnianych ubrań, daszek twojej brązowej aksamitnej czapki opadał ci na oczy, gdy biegałaś z trudem w moją stronę po lodzie.

- Odejdź! - zawołałam, mój głos poniósł się nad szklistą taflą jeziora. - Zostaw mnie w spokoju!

Ale ty nigdy mnie nie słuchałaś, prawda? Nie, kiedy chciałaś postawić na swoim. Posuwałaś się dalej naprzód, twoje buty szurały po ośnieżonym lodzie. Zawrociłam, żeby zaciągnąć cię z powrotem do domu. Dlaczego miałam dzielić z tobą moją wyspę? Ty jednak dotarłaś do mnie, zanim uszłam dziesięć kroków, i chwyciłaś mnie za nogę rączkami w jednopalczastych rękawiczkach, żeby utrzymać równowagę.

- Mandy, proszę, zabierz mnie ze sobą.

Nie potrafiłam ci odmówić.

Wyspa była lepsza, znacznie lepsza, gdy przebywałyśmy tam we dwie. Pamiętasz mały szalaś, który na niej zbudowałyśmy? Pamiętasz nasz ogródek, nasze uprawy? Chciałaś mieć rzodkiewki, a ja uważałam, że powinnyśmy posiać nasturcje. Zasiałyśmy w końcu jedno i drugie, pamiętasz?

A pamiętasz, jak byłaś królową? Zrobiłaś sobie koronę z kapryfolum. Wymalowałaś kolorki na policzkach płatkami maków.

- Lećcie do Suscatoon - mówiłaś do ważek - i przynieście mi szczyptę soli... Jak ma na imię królowa? - spytałaś mnie. Włosy miałaś potargane, buzię brudną. - Jak powinnam się nazywać, skoro jestem królową?

- Imogena - odpowiedziałam. Podałam pierwsze imię, które mi przyszło do głowy, ale ty stwierdziłaś, że jest to najpiękniejsze imię, jakie kiedykolwiek słyszałaś. Od tamtej pory, ilekroć byłyśmy na wyspie, chciałaś, żebym tak się do ciebie zwracała, pamiętasz? Królowa Imogena.

Pamiętasz?

Wchodziłyśmy do wody, żeby się pluskać, a gdy stawała się dla ciebie zbyt głęboka, przywieralaś do mnie jak pijawka. Obejmowałaś mnie drobnymi ramionkami za szyję, chudziutkimi nóżkami w pasie. Woda cię unosiła, nie ważyłaś w niej prawie nic. Uwielbiałam, gdy się mnie w ten sposób kurczowo chwytowałaś, gdy potrzebowałaś, żebym cię podtrzymywała. Czułaś się przy mnie bezpieczna. Wiedziałaś, że się tobą zaopiekuję.

A potem, jakimś sposobem, zaczynałaś odpływać. Najpierw o kilkanaście centymetrów - puszczałaś nogi, ale ręce miałaś nadal zaciśnięte wokół mojej szyi albo puszczałaś ręce, ale nogami nadal

obejmowałaś mnie w pasie. Zabraniałam ci tak robić. Kazałam trzymać się mocno. Ale ty nie słuchałaś. Zaczęłaś puszczać się całkiem, na chwilę tu, na chwilę tam, nurkowałaś pod wodę, a potem znów się mnie chwyciłaś, jedną ręką ocierając wodę z oczu i kaszląc. Besztawałam cię. Przytulałam mocno twoje gładkie, śliskie ciało.

- To niebezpieczne - mówiłam ci. - Zostań ze mną. - Nie pozwalałam ci odpłynąć. Nie puszczałam cię.

Powinnaś była posłuchać mnie, Mattie, gdy kazałam ci wracać. Powinnaś była zostawić mnie samą. Ty i Ruth, z waszymi jękami i głośnym płaczem - informujące cały świat o moich sprawach - czemu nie pozwoliliście mi odejść?

Czemu mnie puściłaś, Mattie? Kazałam ci się trzymać. Nigdy nie pozwoliłabym ci odejść, ale mnie do tego zmusiłaś. Ty sama. Zmusiłaś! Nigdy ci nie wybaczę. Nigdy!

Zaczekaj, Mattie - nie jestem zła. Nie obawiaj się - nie złajam cię. Śmieję się, widzisz? Już dobrze. Wcale tak nie myślałam. Możesz teraz wrócić, Mattie. Słyszysz? Wracaj.

# Rozdział siódmy

## *A m a n d a*

Cała tamta historia z Clementem Owensem była już tylko wspomnieniem, gdy mniej więcej w miesiąc później, w marcu 1919 roku pojechałam do domu, by zacząć wszystko od początku, zacząć nowe życie z Mattie i jej córeczką, Ruth.

Cały problem polegał na tym, że nie czułam się wiele lepiej w domu, niż pracując w szpitalu, a po tym, co zdarzyło się ostatnim razem, gdy przyjechałam do rodziców chora, byłam ostrożna.

- Lepiej zbytnio się nie zbliżaj - ostrzegłam Mattie nazajutrz rano, gdy zataczając się, wracałam z obory po dojeniu. Zwymiotowałam moje śniadanie za oborą.

Nie miałam jednak gorączki i teraz, gdy już znalazłam się z daleka od szpitala, byłam pewna, że wkrótce poczuję się lepiej.

- Nic mi nie jest - parsknęłam na Mattie, gdy trzeciego lub czwartego dnia Mattie zaproponowała, bym odwiedziła doktora Karblera. - Jestem pielęgniarką, prawda? Nie sądzisz, że znam się na tym?

Mimo obietnic, jakie złożyłam pierwszego wieczora, stroniłam od prac kuchennych, zajęłam się natomiast różnymi pracami na dworze,

ponieważ na myśl o jedzeniu robiło mi się niedobrze, a świeże powietrze wyraźnie mi pomagało. W piątek Mattie oznajmiła, że przygotowała specjalnie dla mnie coś pysznego.

- To ci przywróci apetyt - zapewniła, wyjmując z piekarnika teatralnym gestem półmisek z okoniem, który trzymała tam w ciepłe.

Okoń zawsze był moją ulubioną potrawą, ale tego wieczora zlałam się zimnym potem i ledwie zdążyłam wybiec na dwór.

- Niedobrze - powiedziała później Mattie, karmiąc mnie herbatnikami i serem. - Ale Pickles była zachwycona. Zjadła całą rybę. - Wybuchnęła śmiechem.

- Z czego się śmiejesz?

- Och, pomyślałam sobie, że ostatnim razem, kiedy dostałam mdłości po zjedzeniu okonia, byłam w ciąży z Ruth. Biedny Carl. Przysięgł, że nigdy więcej nie wybierze się na ryby. - Uśmiechnęła się.

Mnie jednak nie było do śmiechu, ponieważ słowa Mattie dały mi wiele do myślenia. Gdy siostra poszła do swego pokoju, starałam się je zbagatelizować. Wstałam i zaczęłam chodzić. Otworzyłam okno i wystawiłam twarz na zimne powietrze, im bardziej jednak chowałam głowę w piasek, tym dobitniej docierała do mnie prawda.

Mimo to próbowałam udawać, że nic się nie stało. Wmawiałam sobie, że to tylko zmartwienie, smutek i samotność wywoływały zawroty głowy i mdłości. Ale nie musiałam być pielęgniarką, żeby zdawać sobie sprawę, iż rośnie we mnie coś znacznie bardziej konkretnego od nieszczęścia.

Chciałam wrócić do dawnej sytuacji, ale nie było to możliwe. Przyjazd do domu nie może zmienić mnie znów w taką dziewczynę, jaką byłam kiedyś.



Jedyne, co mi przyszło do głowy, to ucieczka. Gdy upewniłam się, że Mattie i Ruth już śpią, spakowałam torbę podróżną i usiadłam na brzegu łóżka z jedną ręką przyciśniętą do brzucha, zastanawiając się, dokąd mam uciec od tego wszystkiego.

Wiedziałam, że są miejsca, gdzie siostry zakonne przyjmują cię aż do rozwiązania, nawet jeśli nie jesteś katoliczką. Słyszałam kiedyś o innej pielęgniarce, która znalazła się w takim miejscu. Wzdrygnęłam się, pamiętając, jaką wtedy czułam do niej odrazę i pogardę. Miała na imię Frieda. Może tak właśnie będę się teraz nazywać.

Pojadę tam. Siostry nauczą mnie, jak się modlić. Niewykluczone, że już stamtąd nie wrócę, zostanę zakonnica. Ale prawdopodobnie mi na to nie pozwolą. Na myśl, że nigdy nie zostanę mniszką, wybuchnęłam płaczem. To był idiotyzm płakać z tego powodu - nigdy nawet nie chciałam zostać zakonnica. Mimo to szlochałam z twarzą ukrytą w poduszce. Potem leżałam jeszcze długo na przemoczonej poszewce. Przynajmniej rodzice się nie dowiedzą, pomyślałam. Przynajmniej oni nie najedzą się wstydu z powodu mojej hańby.

Podciągnęłam nogi na łóżko, nie zdejmując butów. Na dole Mathilda grała na pianinie i śpiewała: „Cześć, mała. Cześć, kochanie. Cześć, moja ragtimowa dziewczyno”. Od czasu do czasu dźwięczała fałszywa nuta i domyśliłam się, że Ruth siedzi jej na kolanach, uderzając małymi rączkami w klawisze, ponieważ dawno temu ja też siadywałam w taki sposób na kolanach mojej matki. Poczulałam się nagle zmęczona, tak bardzo zmęczona, że postanowiłam spędzić jeszcze jedną noc w domu. Nikt nie zna prawdy. Nikt nie pozna jej raczej przez wiele miesięcy. Mogę sobie pozwolić na odrobinę snu.

Mama zawsze udawała się do bokówki, kiedy czuła, że zbliża się okres menstruacji. Zaciągała zasłony i kładła się na kanapie, odwrócona twarzą do ściany. Zasłaniała uszy poduszką, żeby nie słyszeć dzwonięcia cykad i świergotu ptaków. Ojciec zamykał drzwi.

- Widzisz, jak mama źle się czuje, gdy nie zachowujesz się jak należy - mówił do mnie. - Teraz bądź grzeczna i baw się cicho. - Po czym wychodził z domu.

Staralam się być grzeczna i bawić się cicho. Szłam na górę do mojego pokoju i wyciągałam lalkę albo oglądałam książkę z obrazkami, po chwili jednak ogarniał mnie strach na myśl, że moja matka leży sama w ciemnym pokoju, być może płacze albo nie żyje, a może odeszła. Skradałam się więc na paluszkach po schodach, ostrożnie, po cichutku naciskałam klamkę i leciutko uchylałam drzwi, żeby tylko ją zobaczyć, upewnić się, że wszystko jest w porządku.

I, oczywiście, ona zawsze tam była, odwrócona tyłem do pokoju, z głową ukrytą w poduszce. Ale pewnego razu jej tam nie znalazłam.

Kanapa była pusta. Koc, którym zwykle była nakryta, leżał zmięty na podłodze. Pokój był mały, ale wpadłam do środka i położyłam się na podłodze, by zajrzeć pod meble. Nie, mama zniknęła.

Szukałam jej w sypialniach, w szafkach kuchennych, w garderobie, w spiżarni. Spytałam pomoc domową, która wykręcała pranie na werandzie od podwórka.

- Gdzie moja mama, Gert?

- Musi gdzieś być. Może pojechała do miasta.

Gert nie znała mamy tak dobrze jak ja. Mama nigdy nie pojechałaby do miasta, gdy była niedysponowana. Nie pojechałaby tam, nic mi nie mówiąc.

Spróbowałam otworzyć podnoszone drzwi na strych. Myślałam o tym, że mogły ją porwać chochliki i czarownice. Wyobrażałam sobie,

że woła mnie, przerażona, wyciąga do mnie ramiona z jakiegoś miejsca, którego nie mogę zobaczyć. Pomyślałam w końcu o wielce prawdopodobnym miejscu - zabudowaniach gospodarczych - ale tam jej również nie było. Sprawdziłam w oborze, nawoływałam ją, na próżno jednak.

Wreszcie, gdy już wróciłam do domu, zauważyłam, że drzwi do piwnicy są otwarte. Zeszłam powoli na dół, w wilgotną ciemność, trzymając się blisko ściany, żeby przypadkiem nie spaść ze schodów od niezabezpieczonej strony. Znalazłam mamę na dole. Siedziała na ziemi, z czołem przyciśniętym do wilgotnego kamienia.

Odwróciła się do mnie, jej twarz białała dziwnie w półmroku. Ale to nie była moja matka. „Mamo! Mamo” - przedrzeźniała mnie, szydząc z moich nawoływań. Potem wywróciła oczy, wlepiając wzrok w powałę.

- Błagam, niech to nieznośne dziecko będzie cicho - jęknęła.

Nie wiedziałam, jakie dziecko ma na myśli. Dopiero w wiele lat później zdałam sobie sprawę, że mówiła o mnie.



Gdy obudziłam się nazajutrz rano, wiedziałam, dokąd chcę uciec, do miejsca, o którym nikt nie musiał nawet wiedzieć, nikt, z wyjątkiem Mattie.

Wciąż byłam ubrana po wczorajszej nocy, na nogach miałam nadal buty. Zeszłam ciężko na dół i napaliłam pod kuchnią. Zaczęłam smażyć grzanki, odwracając głowę, gdy musiałam rozbić obrzydliwe jajko. Mattie uwielbiała obsmażaną bułkę namoczoną wcześniej w jajku i mleku.

- Lepiej? - Ziewnęła, opadając na krzesło przy stole.

Mattie zawsze długo nie mogła się dobudzić.

- Znacznie. - Odwróciłam grzankę. Rzeczywiście czułam się lepiej i przez chwilę pozwoliłam sobie mieć nadzieję, że być może niepotrzebnie się wczoraj denerwowałam. Wtedy jednak zauważyłam resztki okonia w misce kota i zasłoniłam dłonią usta.

- Posłuchaj, Mattie - powiedziałam, siadając obok niej i odsuwając cukiernicę, żebym mogła pochylić się bliżej.

- Pomyślałam, że może przeniosłybyśmy się na lato na wyspę, ty, ja i Ruthie. Ziemię i tak wydzierzawiłyśmy. Rudy zajmie się zwierzętami. Po co mamy tu siedzieć? - Gdy Mattie nie odpowiadała, zaczęłam ją naciskać:

- Będziemy się świetnie bawiły. Zupełnie jak na wycieczce. Tylko ty, ja i Ruthie.

- Och, nie, Amando. Jest jeszcze za zimno. - Odkroiła rozek grzanki.

- Wcale nie. A w każdym razie będzie chłodno już tylko przez kilka tygodni. Przecież to kwiecień. I pomyśl, jak łatwo przetransportować tam nasze rzeczy po lodzie.

- Po lodzie! Amando, coś ty wymyśliła? Lód z pewnością jest już słaby. Utoniemy.

- Nie, nie masz racji. Wiosna była bardzo zimna. Jestem pewna, że jezioro jest jeszcze całkiem zamrożone. Oczywiście, najpierw to sprawdzę, upewnię się. - A jeśli się utopię, to tym lepiej, pomyślałam z goryczą.

- Mandy, nie masz pojęcia, jaka ponura i zimna jest wyspa o tej porze roku. Miło pobyć tam godzinę po południu, kiedy chcesz pojeździć na łyżwach, ale nie mieszkać przez cały czas, spędzać dzień za dniem, noc za nocą. Zapomniałaś, że ja przez to przesłam? Wiem, jak to wygląda. Czasami miałam wrażenie, że zwariuję.

- Dobrze, przeszłaś przez to. Miałaś sposobność. A co ze mną? Ja też chciałabym wykorzystać moją szansę. W końcu kto odkrył tę

wyspę? Nie mielibyście z Carlem takiego przytulnego gniazdka, gdyby nie ja.

Kułam żelazo póki gorące, a moja siostra gryzła nerwowo kosmyk włosów. Trudno było ją przekonać, ale wiedziałam, że mi się uda, jeśli się bardzo postaram. Jestem przecież starsza. I mądrzejsza.

Rudy'emu również nie spodobał się ten pomysł.

- Dwie młode dziewczyny same na wyspie - cmoknął, kręcąc głową. - Niedobrze.

- Będziemy tam we trzy - drażniłam się z nim. Umiałam poradzić sobie z Rudym. - Mamy Ruthie. - Wołałam mu jednak nie wspominać, że właściwie nie zasługuję już na miano dziewczyny.

Tym razem Rudy skrzywił się.

- Wiesz, co mam na myśli, Mando. Jeszcze tam zamarzniecie - wcale nie jest tak ciepło. Albo spalicie dom.

- Tutaj możemy zrobić to samo, Rudy - powiedziała Mathilda. Mimo że miała sporo wątpliwości co do mojego planu, jej zachowanie wcale mnie nie zaskoczyło. Mathilda zawsze była pręcej skłonna zrobić coś, gdy ją od tego odwodzono.

Przypomniałam mu, że jedna z nas będzie przecież wpadała co kilka dni, a gdyby się niepokoił, zawsze może nas odwiedzić. Byłam absolutnie pewna, że nigdy tego nie zrobi. Rudy był typem „poczekamy, zobaczymy”. Płomienie musiałyby strzelać wysoko nad wyspą, żeby zdecydował się sprawdzić, co się dzieje. Och, znałam wszystkich tak dobrze. Wszystkich, z wyjątkiem siebie samej i tej osobki, którą teraz nosiłam w sobie.

- Będziemy do ciebie machały codziennie w południe - obiecała Mathilda.

Przygotowania do wyprawy zajęły nam dwa dni. Spakowałyśmy się. Umówiliśmy się z właścicielem sklepu spożywczego i

rzeźnikiem, że będą dostarczali żywność do kabiny na naszej małej plaży, gdy tylko lód stopnieje. Będziemy przyplływały na farmę, a przynajmniej Mattie, po masło, jajka i mleko. I wkrótce założymy własny ogródek warzywny.

Rudy przynosił wciąż nowe rzeczy ze stodoły i dokładał je do po-  
każnej sterty - latarnie, klucze narzędziowe, naftę.

- To wszystko wam się przyda. Zobaczycie.

Mathilda natomiast układała coraz wyższy stos książek.

- Jeszcze tylko trzy - błagała, gdy stwierdziłam, że sanie stają się zbyt ciężkie.

Zapomniałyśmy o wielu podstawowych rzeczach, ale przecież miałyśmy do pokonania niespełna dwa kilometry - zawsze łatwo będzie po nie wrócić. A przynajmniej będzie to łatwe dla Mathildy.

Łatwo jej też było przenieść się na wyspę. Dla niej to była zabawa, nie różniła się prawie od tamtych harców, gdy jeszcze jako dziewczynki uciekałyśmy na wyspę, żeby oderwać się od zwykłego życia na farmie. Dla mnie jednak sprawa była poważna. Gdy wrócę, będę innym człowiekiem. O ile w ogóle wrócę.

Wyruszyłyśmy rano, żeby wykorzystać w jak największym stopniu światło dzienne. Niebo było szare, śnieg zbity, zmarznięty. Był to taki dzień, który sprawia, że człowiek zaczyna się obawiać, iż Bóg zapomniał o nim, zajęty ważniejszymi sprawami. Ale Ruth nie miała takich smartwień. Maszerowała przed saniami, niosąc sople niczym pochodnię i stawiając zdecydowanie stopy w chrupiącym śniegu, i swoje nadejście ogłaszała światu wysokimi, fałszywymi nutami.

- Zaczekaj chwilę - powiedziałam, gdy dotarłyśmy na brzeg jeziora. - Muszę sprawdzić lód. - Chwyciłam Mathildę za rękaw, żeby ją powstrzymać.

Marzec był zimny, ale wiosna zaczynała się już na dobre i odwilż była coraz większa - Mattie miała rację, martwiąc się o stan lodu. Penetrowałam wzrokiem środek jeziora, wypatrując charakterystycznych ciemnych smug wody, ale powierzchnia była gładka i biała. Przekroczyłam wał śniegu na brzegu jeziora i ruszyłam przed siebie, powoli, ostrożnie, prawie nie odrywając stóp od lodu. Powierzchnia była paskudna, ziarnista, tworzył ją śnieg, który się roztopił, a następnie ponownie zamarzył podczas ostatniego ochłodzenia.

Uniosłam jedną nogę i tupnęłam mocno. Jezioro nie zaprotestowało. Żadnych jęków ani pisków, żadnego przeraźliwego trzasku. Zaczęłam posuwać się w kierunku środka jeziora, stąpając teraz ciężko, waląc piętami, żeby naprzeć całym moim ciężarem na lód. Wyobrażałam sobie, że tonę wraz z tą istotą, która jest we mnie, zapadam się pod wodę aż na samo dno.

- Zaczekaj, ciociu Mandy! Zaczekaj na nas! - gonił mnie z brzegu głos Ruth.

Odwróciłam się i pomachałam im. Mathilda stała bez ruchu na skraju jeziora, mała, okutana w bordową pelerynę z kapturem, która należała przedtem do naszej matki. Przeszył mnie dreszcz na myśl, jaka jest lojalna, gotowa zrobić to, o co proszę, ufna, że wszystko będzie dobrze, dopóki ja tak mówię. Ruth, świetnie widoczna w jasnoczerwonym płaszczyku, ciągnęła z całej siły matkę za rękę w ciepłej rękawiczce z jednym palcem, niebezpiecznie pochylona głową nad ziemią. Wiedziała, że matka nie pozwoli jej upaść.

Nie myślałam wtedy, że moje dziecko może być kiedyś takie jak ona. Prawdę mówiąc, w ogóle nie myślałam o moim dziecku. Skoncentrowałam się wyłącznie na tym, żeby dotrzeć na wyspę. Wydawało mi się, że to jedyna rzecz, którą mogę zrobić.

Posadziłyśmy Ruth na saniach. Ja ciągnęłam, Mathilda zaś utrzymywała równowagę obciążonych sań. Im bardziej zbliżałyśmy się do wyspy, tym lód stawał się gładzy, aż wreszcie sanie zaczęły mnie wyprzedzać. Przestałam je ciągnąć i uchwyciłam się ich boku po przeciwnej stronie niż Mattie. Pozwoliłyśmy, żeby nas holowały, prawie szybciej, niż nadążałyśmy stawiać nogi. Omal nie upadłam, zaraz przysła kolej na Mattie, potem znowu na mnie, ale śmigałyśmy ku wyspie, ślizgając się i śmiejąc, po prostu trójka dzieci na popołudniowej ślizgawce.

Wyspę otaczał wyszczerbiony lodowy kołnierz, wypchnięty w górę podczas agresywnej ekspansji lodu, który jak gdyby próbował wspiać się na ląd. Musiałyśmy dwukrotnie okrążyć wyspę, zanim znalazłyśmy miejsce dość niskie, o łagodnym nachyleniu, żeby Mattie mogła wgramolić się tamtędy i pomóc Ruth oraz mnie przedostać się za nią. Zostawiłyśmy sanie z ładunkiem na lodzie i poszłyśmy sprawdzić, jak przetrwał dom, zamknięty przez tak długi czas.

Dom, pomalowany na jasnoszary kolor, z zielonym obramowaniem, w lecie wyglądał, jak gdyby sam tutaj wyrósł, w zimie jednak rzucał się w oczy pośród nagich, czarnych drzew. Gdy otworzyłyśmy drzwi, w nosy uderzyła nas stęchła woń wilgotnego drewna i zastęłego powietrza. Może Rudy miał rację. Może nie powinnyśmy mieszkać tutaj, dwie kobiety całkiem same.

- Najpierw musimy go uruchomić - powiedziała Mattie, otwierając drzwiczki pieca, opalanego drewnem.

Przecież Mattie i Carl dawali sobie świetnie radę na wyspie podczas mrozów, przypomniałam sobie. Mattie wie, co robi. Przetrwamy te ostatnie podrygi zimy, a wiosna zbliża się już wielkimi krokami.

- Przyniosę trochę drewna - powiedziałam.



Stałam przez chwilę na schodkach werandy, obejmując ramionami moje obolałe piersi i przesuając spojrzenie po rozległej białej gładzi jeziora oraz czarnych cieniach, znaczących linię brzegową. Skroś drzewa dostrzegłam dach stodoły Tullych. Za godzinę, dwie, ludzie zapalą lampy i okna ich domów będą świeciły między drzewami jak oczy gapiące się na nas, wystawione tutaj na widok jak na patelni. Może nie jest to najlepsza kryjówka. Może wybór tego miejsca okazał się pomyłką.

Ale przecież do lata, pocieszałam się, układając szczapy pod pachą, wszystko się zmieni. Wyspa skryje się w bujnym listowiu drzew i będą mogła zachować moje sprawy wyłącznie dla siebie.

### *Ruth*

Ciocia Mandy ma ślad ust u nasady kciuka.

- Co to jest? - spytałam ją. Dotknęłam delikatnie palcem białego kółka na jej opalonej skórze.

Siedziałyśmy w dużym zielonym fotelu, ja wciśnięta między poręcz a nią, naszym ulubionym zwyczajem.

- To od twojej mamusi - odpowiedziała ciocia Mandy. - Dała mi to, żebym pamiętała o jej prośbie.

- A co to znaczy?

- „Nigdy nie zostaw Ruthie”. To właśnie znaczy. „Nigdy nie zostaw Ruth”.

Ciocia Mandy nie posłuchała mojej mamy. Zostawiła mnie. Ale potem wróciła.



Pewnego majowego ranka, gdy od powrotu Amandy z St. Michael's minął mniej więcej miesiąc, a słońce rozświetlało trawę na

podwórku w sposób obiecujący rychle nadejście lata, Carl i Ruth siedzieli przy kuchennym stole, czekając na śniadanie.

- Któregoś pięknego dnia, Ruth - obiecał Carl - zabiorę cię na wyspę, gdzie mieszkaliśmy z twoją mamą. Chciałabyś tam popłynąć?

- Nie - odpowiedziała Amanda. Cisnęła patelnię z jajecznicą, którą miała właśnie podać do stołu, z powrotem na płytę kuchenną. - Przeklęte dno. Wszystko się przypala.

Carl spojrział na nią, zdziwiony.

- Słucham?

- Nie będzie chciała. Ruth nie lubi wody.

- Właśnie, że lubi. Lubisz wodę, prawda, Ruth?

Ruth wodziła spojrzeniem od ojca do ciotki, nie bardzo wiedząc, co powinna powiedzieć, nie odezwała się zatem w ogóle.

- Chcę, żebyś zlikwidował ten dom - oświadczyła Amanda, biorąc się pod boki. - Zabił go deskami. Na amen. Nie wierzę, że chcesz tam zabrać Ruth po tym, jak... no, po wszystkim. Co się z tobą dzieje?

Carl wpatrywał się w pusty talerz. Może rzeczywiście coś z nim nie tak, ponieważ chciał, żeby Ruth zobaczyła miejsce, w którym została poczęta. Dręczyło go, że Amandzie udało się wymazać Mathildę z życia Ruth. Z tego, co się orientował, nie opowiedziała dziecku niczego o tym, co działo się przed jego powrotem, nie pozwoliła mu też opowiadać o tym, co było, zanim wyjechał.

- To tylko ją zasmuci - wyjaśniła mu. - Ma szczęście, że była zbyt mała, by cokolwiek pamiętać.

Zasadniczo zgadzał się z Amandą. Co dobrego może przynieść Ruth wiedza, że jej matka pływała jak ryba i lubiła bekon usmażony tak, żeby był chrupiący? Czy zmieni to w jakikolwiek sposób postać

rzeczy, gdy usłyszy, że pewnego dnia Mattie uplotła jej koronę z kwiatów rudbekii i cykorii podróżnika? Mimo to, przez pamięć dla Mattie, chciał, żeby wiedziała. Jeśli nawet Amanda pozwala, żeby Mathilda zniknęła, jak gdyby nigdy nie istniała, to on z pewnością na to nie pozwoli.

Czekał na wtorek, kiedy to Amanda jeździła do miasta, i wma-  
wiał sobie, że robi tylko to, o co go prosiła. Zabije dom deskami,  
prawda? A przecież nie może zostawić Ruth samej w domu.

Znalazł ją pod krzakiem bzu, z bazią wierzbową w rączce, zaszedł  
ją od tyłu i podniósł wysoko w powietrze.

- Dzisiaj idziesz ze mną, młoda damo. - Pocałował ją w szyję,  
wdychając zapach dziecięcej skóry. Ruth, która nagle znalazła się na  
równi z kwiatami bzu, wtuliła buzię w wonny fiolet.

- Dokąd?

- Zobaczysz.

Postawił ją na ziemi, wziął skrzynkę z narzędziami i poszli razem  
wzdłuż żywopłotu z bzów na tył podwórka, gdzie rozsunał zielone  
gałęzie i popchnął ją lekko na ścieżkę wśród drzew.

- Idziemy na spacer? - spytała, przyzwyczajona do chodzenia tą  
ścieżką z Amandą.

- Zobaczysz.

Ścieżka była wąska i Ruth pomykała przed siebie jak królik,  
przykucając przed fioletowymi przylaszczkami po prawej stronie,  
przypatrując się zielonogłowej tanagrze, przycupniętej na gałęzi po  
lewej, znów przeskakując na prawo, by skubnąć biały kawałek kory  
brzozowej. Carl kuśtykał, próbując zginać i prostować niesprawną  
nogę. Minał małą, gdy klęczała nad kępką mchu i muskała ją palca-  
mi. Kiedy skręcił, Ruth rzuciła się w pogoń za ojcem i wyprzedziła  
go, po czym zatrzymała się pod olbrzymim dębem, gdzie zwykle

zawracały z Amandą, i zaczęła na niego. Wziął ją za rękę i szli dalej, Ruth teraz już ostrożniejsza, trochę wystraszona, choć ta część lasu, przez którą szli teraz, niewiele się różniła od tej, którą zostawili za sobą.

Carl wyczuwał jej opór, stawiała coraz mniejsze krocзки, posuwała się coraz wolniej, aż wreszcie niemal ją ciągnął za wykręcone ramię.

- O co chodzi, Ruthie? - Przystanęli jakieś kilka metrów od brzegu. Carl przykucnął, żeby spojrzeć jej w twarz. - Wszystko jest w porządku. To tylko woda.

Tak jak w kąpielu. Ogromna wanna. - Spojrzał na spokojną powierzchnię jeziora, lekko tylko zmarszczoną łagodnymi falami. Powtórzył, zadowolony z porównania:

- Ogromna wanna.

Ale Ruth zacisnęła powieki i odwróciła głowę, jak gdyby próbował ją zmusić, by połknęła lekarstwo. Carl rozejrzał się bezradnie po brzegu.

- Tak czy owak, musimy poczekać na pana Tully'ego. - Gdy puścił jej rękę, Ruth stała nieporuszona, ale podniosła wzrok, patrząc na wodę - dobry znak. Zachęcony, usiadł na ziemi, zdjął buty i podwinął nogawki spodni.

- Wchodzę. - Ruszył ostrożnie przed siebie, ostre kamienie i zimna woda były wstrząsem dla jego delikatnych białych stóp. Gdy woda sięgnęła do podwiniętych mankietów, odwrócił się powoli, próbując utrzymać równowagę na kamieniach, które raniły mu nogi. Obejrzał się na córkę, oddzieloną od niego wąskim pasem wody. Stała na brzegu, mała i wystraszona, chwasty sięgały jej prawie do pasa. Patrząc na nią w ten sposób, po raz pierwszy dostrzegł w jej szerokich ustach, w zarysie policzka, w kształcie uszu, nie jak przedtem twarz Mathildy, lecz swoją własną. Przeżył szok, uświadomiwszy

to sobie. Jak mógł nie zauważyć tego wcześniej? Poczł nagle gwałtowny przyptłw uczuó do Ruth, które nie mogły być niczym innym jak miłostí. Zapraęnął chwycić ją w ramiona i przytulió do piersi. Ale jednocześnie, widząc, jaka jest mała i przerażona, jak całkowiec bezradna i samotna, poczuł też coś innego, coś, co kazało mu zanurzyć dłoń w wodzie jeziora - które zresztą w niczym nie przypominało wanny, było zimne, ogromne, nieokiełznane - zanurzyć głęboko, a następnie podnieó i pstryknąć palcami w kierunku dziecka. Trzeba ją hartować, pomyółał. Pył wodny był delikatny i tak lekki, że w żaden sposób nie mógł do niej dolecieó z tej odległostí, nawet jedna kropelka. Uómiechnął się szybko, jak gdyby to wszystko było żartem.

Mimo to Ruth rozplakała się. Rzucił się spieszenie ku niej, krzywiąc się zarówno z powodu kamieni, jak też jej płaczu.

- Juó dobrze. - Ukłękł obok Ruth, otaczając ją ramionami. - Przepraszam. Juó dobrze.

Łódó Joego Tully'ego zgrzytnęła o kamyki. Joe wyskoczył z niej, jego ciężkie buty zachlupotały w wodzie, po chwili jednak zatrzymał się niepewnie.

- Upadła? Uderzyła się?  
- Nie, nic się nie stało. Jest tylko trochę przestraszona,  
- Moóe lepiej zabierzesz ją do domu?  
- Nie, zaraz się uspokoi. Będziesz grzeczna, prawda, Ruthie?  
Na pewno będziesz.

Ruth przestała płakaó i choć wydawało się, że patrzy na Tully'ego, w rzeczywistoóci spoglądała poza niego, na jego łódkę. Carl wstał. Mężczyźni uócisnęli sobie dłonie.

- Dziękuję, że przyptłynałeś, Joe.

Joe skinął głową. Nigdy nie wiedział, jak zareagować na podziękowania, którymi zawsze obsypywali go ludzie. Mrugnął do Ruth.

- Rośnie jak na drożdżach - rzekł z uśmiechem, ponieważ to właśnie zwykło się mówić o małych dzieciach.

- A co u Amandy? - dodał, przenosząc spojrzenie z powrotem na Carla. - Czuje się już dobrze, prawda? Słyszałem... - Utkwił na chwilę spojrzenie w swoich butach, zaczynając od nowa: - Miewa się dobrze, prawda?

- Tak, czuje się dobrze, Joe. Wpadnij dziś w południe na obiad, to sam się przekonasz.

- Może tak i zrobię. Jeśli uważasz, że mi wypada. To znaczy, jeśli jesteś pewien, że ona nie będzie miała nic przeciwko temu.

- Tak, jestem pewien, że z radością się z tobą spotka, Joe - odpowiedział z roztargnieniem Carl, otrzepując ziemie z kolan.

Ruth usiadła na samym środku łódki, z buzią zwróconą w stronę lądu.

- Uratowałem kiedyś w tej okolicy kapelusze Amandy - powiedział Joe, biorąc się do wiosł. - Taki słomiany, z niebieską wstążką. Ciekawe, czy jeszcze go ma? - Obejrzał się przez ramię na wyspę, nie czekając na odpowiedź, zmieszany, że zapamiętał nawet taką rzecz. Carl, zapatrzony w wodę i pogrążony we własnych myślach, nie odezwał się.

Na długo przedtem, zanim powstał na wyspie dom, Mathilda zabrała tam Carla.

- To właśnie ona - oznajmiła. Carl wyciągnął niezdarnie jedno wiosło z wody i głowił się, jak ma włożyć oba nieporęczne przedmioty do łodzi. Uparł się, że tylko on będzie wiosłował, mimo iż Mathilda potrafiła to robić znacznie lepiej, i teraz z trudem udawało mu się zapanować nad łodzią, żeby się nie obracała. Spojrzał na Mattie,

sam nie wiedząc, czy ma nadzieję, że posłuży mu radą, czy też, że nie zwróci uwagi. Ale ona właśnie niebezpiecznie przycupnęła na burcie. Chciał już powiedzieć: „Uważaj! Bądź ostrożna!”, gdy odzuciła głowę do tyłu i, zanim zdążył krzyknąć, a właściwie nawet otworzyć usta, straciła równowagę, wpadła tyłem do wody i zniknęła.

Rzucił się ku temu miejscu, gdzie przed chwilą siedziała, i wpatrywał się z napięciem w taflę wody - ani śladu po Mattie. To sprawiło, że się zawahał, nie miał bowiem pojęcia, gdzie jej szukać, nie widząc żadnej wskazówki - najmniejszej zmarszczki na gładkiej tafli, ani jednego bąbelka. W przeciwnym razie wskoczyłby za nią, chociaż nie potrafił pływać. Później powtarzał to sobie w kółko na okrągło. Gdyby wiedział, gdzie skoczyć, natychmiast by to zrobił.

A potem usłyszał jej głos:

- Carl!

Głos było słycać, ale Mattie ani śladu.

- Carl! Tutaj!

Głos dochodził z tyłu. Jakimś sposobem przedostała się, niezauważona, na drugą stronę łodzi. Mokra włosy oblepiały jej głowę, która była wąska jak u pizmaka. Woda marszczyła się wokół jej ramion, ale Mattie najwyraźniej stała na dnie jeziora. Roześmiała się, widząc strach malujący się na jego twarzy.

- Tutaj jestem, Carl. Myślałeś, że utonąłam?

Ale odkąd stało się jasne, że jest bezpieczna, że po prostu spletała mu psikus, Carl mógł myśleć wyłącznie o tym, iż za nią nie skoczył. Wmawiał sobie później, że wiedział, iż nic jej nie grozi, ale nie była to prawda. Utwierdzał się w przekonaniu, że skoczyłby, gdyby tylko zyskał pewność, za sekundę, może dwie. Kto wie, co zrobiłby za chwilę? Ale w głębi duszy wiedział, że został poddany próbie i nie wyszedł z niej zwycięsko.

Żeby to nadrobić, przełożył nogi przez burtę i wślizgnął się do zimnej wody. Wstrzymał oddech, gdy sięgnęła mu do wrażliwej skóry na brzuchu. Mattie roześmiała się i ruszyła w stronę brzegu. Podążył za nią.

- Złapię cię! Złapię cię!

To był niezdarny pościg. Stopy ślizgały im się po kamieniach. Woda stawiała opór. Carl był jednak silniejszy, szybszy. Złapał Mathildę, najpierw za rękaw, potem za rękę. Okręciła się, stając przodem do niego, i przez jedną chwilę, zmieszany, nie miał pojęcia, co teraz z nią zrobić. Ale ona wiedziała. Przechyliła zapraszająco głowę i Carl ją pocałował.

Owinęła mnie sobie wokół palca, myślał Carl z czułością. Umawiała się z nim wieczorem na randkę, po czym zbyt często tańczyła z innymi mężczyznami. Odwoływała spotkania w ostatniej chwili bez podania powodu, prowokowała kłótnie, płakała i oświadczała, że nie chce go więcej widzieć. Ale w końcu ją zdobył. Pewnego jesiennego wieczora, gdy powietrze było zimne i rześkie, te słowa po prostu mu się wymknęły, jak gdyby poza jego świadomością i wolą:

- Wyjdź za mnie.

A co ona na to odpowiedziała? Nie mógł sobie przypomnieć, ale musiało to być coś w rodzaju: „tak” lub „dobrze”, lub „jasne”, ponieważ wkrótce potem zostali małżeństwem.

Joe trzymał wiosła na płask, gdy dopływali do wyspy, toteż łódź uderzyła lekko o kamienisty brzeg. Ruth znów pofrunęła w powietrze i została przeniesiona na suchy łąd, całkiem obcy łąd. Niedaleko, pośród gęstych drzew i chwastów, stał szarozielony dom.



- Z tyłu za przybudówką powinno być trochę desek - powiedział Carl, biorąc Ruth za rękę i prowadząc ją zarośniętą ścieżką. Zatrzymał się jednak na metr przed frontowymi schodkami. - Może powinniśmy najpierw zajrzeć do środka? - Wyglądało na to, że zadaje to pytanie samemu domowi.

Joe ziewnął. Jego zdaniem Carl powinien sprzedać to wszystko i skoncentrować się na tym, co ma dobrego. Ale każdy ma bzika na jakimś punkcie.

- Jasne, co tylko chcesz.

Carl ugiął kolana i tupnął po kilka razy na każdym ze schodków na werandę. Ucieszyła go solidność domu, ponieważ zbudował go prawie całkowicie własnymi rękami. Ale właściwie, czemu dom miałby być w złym stanie? Ma zaledwie pięć lat.

Myślał, że pojedą z Mathildą do Chicago, a może nawet do Toronto. Dopóki jego plany były mało konkretne, odnosiła się do nich entuzjastycznie. Kiedy uświadomił sobie, że tak naprawdę Mattie nie znosi myśli o przeprowadzce, byli już małżeństwem, zgodził się więc na propozycję jej ojca, że zapłaci za materiały na dom na wyspie. Dziwiło go teraz, jak mały mu się wydawał, niemal jak model domu, który znał tak dokładnie.

W kuchni Carl zajrzał do kredensu, gdzie stała znajoma porcelana - biała w zielone stateczki na obrzeżach, jeszcze jeden prezent od jej rodziców. Wprowadzili się, gdy tylko dało się mieszkać w jednym pokoju, i początkowo spędzili razem tyle szczęśliwych chwil. Pracował na farmie dla jej ojca i wypływał tam co dzień rano o świcie. Przez pewien czas Mathilda towarzyszyła mu i wykorzystywała ten czas, by pomóc matce, później jednak zaczęła zostawać na wyspie i

sama wykonywała rozmaite prace przy budowie domu, robiąc znacznie więcej, niż się spodziewał, nawet podczas owego miesiąca, kiedy nieustannie wyglądała na chorą. Wytrzebiła zarośla, wyrysowała plany kolejnych pokoi, pomalowała na niebiesko sufit w randy. Wieczorami Carl przyływał z George'em lub Wallym i Rudym, albo też z dwójką innych najętych robotników, holując za łodzią na tratwie drewno na budowę. Pracowali przy stawianiu ścian sypialni oraz prawdziwej kuchni. Gdy już robiło się tak ciemno, że nie było nic widać, słyszeli wołanie od pomostu. Rzucali wtedy narzędzia i spieszyli, by pomóc Amandzie przynieść koszyki z kurczętami na zimno, sałatką ziemniaczaną, piklami i plackiem rabarbarowym. Często przyływała z nią Mary Louise, żona George'a, i urządzali coś w rodzaju przyjęcia. Co wieczór odbywało się przyjęcie u Carla i Mathildy, w ich domu, na ich wyspie, na samym środku jeziora.

Ale we wrześniu życie na wyspie zamarło. Amanda wyjechała do Madison do szkoły pielęgniarskiej. Rybacy oraz amatorzy pływania na łodziach również prawie zniknęli, gdy temperatura spadła i spokojne jezioro skrzyło się w rześkim powietrzu. Liście opadły, przez co zarówno jezioro, jak i łąd wydawały się jeszcze bardziej rozległe, a Carl i Mathilda, pozostawieni sami sobie pośrodku tego wszystkiego, mniejsi i bardziej samotni.

Wypaczona szuflada, z którą szarpał się Joe, otworzyła się ze zgrzytem.

- O, są ołówki - powiedział. - Możemy wziąć kilka, na wypadek gdybyśmy musieli przyciąć niektóre deski...

- Jasne, weź je.

Joe zostawił szufladę otwartą i Carl zajrzał do niej. Wśród ogryzków ołówków, skrawków papieru, różnych sprężynek i śrubek oraz szpilek, zobaczył srebrny wąski scyzoryk. Skąd Mathilda go miała? Wyjął scyzoryk z szuflady i schował do kieszeni, po czym wyszedł za Joem na dwór.

Carl nie wstawił kiedyś okiennic, toteż musieli z Joem zbić prozoryczne z desek zmagazynowanych na tyłach przybudówki. Robota była całkiem prosta. Wymierzyli okna, przycięli deski, żeby wpasować je dokładnie od parapetu do szczytu okna, następnie połączyli je poprzecznymi deskami i zbili razem.

- Musiało wam się tu przyjemnie mieszkać - zauważył Joe, trzymając nad jednym z szeregu okien na całej długości zabudowanej werandy gotową deskę, żeby Carl mógł ją umocować gwoździami na miejscu.

- Przyjemnie? Chyba tak. - Carl uderzał rytmicznie młotkiem. Gdy sięgnął myślą wstecz, przyznał, że rzeczywiście tak było. Spędzali na wyspie z Mathildą coś w rodzaju miesiąca miodowego, który ciągnął się przez wiele miesięcy. To właśnie zapamiętał - z jaką radością Ignęli do siebie przed wojną. Tę historię opowiadał sobie teraz w te noce, kiedy nie mógł zasnąć.

Jednakże wtedy ogarniała go lekka obawa, gdy byli tam sami z Mathildą. Oczywiście, kochał ją, co do tego nigdy nie miał wątpliwości, mimo to jednak czuł się prawie - hm, to doprawdy dziwne - czuł się prawie jak więzień. Wiedział, że to bez sensu, zwłaszcza że właściwie codziennie opuszczał wyspę. Jeśli ktoś był uwięziony, to nie on, lecz Mathildą. Ale jej najwyraźniej to nie przeszkadzało. Zawsze miała do dyspozycji małą łódkę, rzadko jednak z niej korzystała.

Przeważnie czekała na niego wieczorami na pomoście, gdy wioślowała do domu, i rzucała mu się na szyję, niemal zanim zdążył

wysiąść z łodzi. Kilka razy wylądowali oboje w wodzie, tyle niesamowitej energii było w jej uścisku. Opowiadała mu z najdrobniejszymi szczegółami o tym, jak wyglądał jej dzień, o każdym krzaku, który wytrzebiła, każdym koguciku, którego namalowała na ścianie w kuchni, o każdym zabłąkanym zwierzaku, który trafił do niej tego dnia. Śpiewała i tańczyła. Jednego dnia postanawiała, że żółty kolor będzie najlepiej pasował do pokoju dziecinnego, następnego wybierała niebieski, mijał tydzień i znów zmieniała decyzję - żółty, wyłącznie żółty. Trajlowała jak najęta - o tym, że woda w jeziorze nie jest taka zimna, jak można by sądzić, i czy to nie zabawne, jak bardzo nienawidziła szkoły, gdy była dzieckiem, i czemu kobiety nie mogą głosować, skoro chcą, chociaż jej osobiście to nie przeszkadza, i czy zachód słońca nie jest wspaniały, po prostu wspaniały? A potem śmiała się z siebie, z jego zakłopotania, ze swego absolutnego szczęścia, a więc i on się śmiał, lękliwie, wcale nie przeświadczony, że stoją już na pewnym gruncie.

A to dlatego, że gdy kiedyś indziej przybijał do brzegu, dom był ciemny i cichy, zasłony zaciągnięte. Zastawał ją siedzącą w ciemności na werandzie, gryzącą kosmyk włosów, albo zwiniętą w kłębek na łóżku, z zapuchniętymi od płaczu oczami. Czasami okropnie się bała o dziecko. A jeśli umrze? Jeśli coś pójdzie nie tak? Jeśli urodzi się potwór? Albo wydawało jej się, że woda się podnosi, że wiatr ją porwie, że jego piorun trafi na polu. Zdarzało się jej przypalić kolację. Nie jest dobrą żoną. Nie będzie dobrą matką. Nigdy nie powinien być się z nią ożenić. Tak mówiła.

- Moja biedna ptaszyno - mówił, siadając obok niej na łóżku. - Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

- Nie możesz tego wiedzieć - odpowiadała pogardliwie.

Oczywiście, miała rację. Ale Carl pamiętał, że to właśnie mówią ludzie, kiedy nie wiedzą, co zrobić.

Gdy jednak smażył kartofle z jajkami, przychodziła do kuchni, siadała przy stole, w szlafroku, przewiązonym na kokardę paskiem wokół coraz grubszej talii, i stopniowo jej euforia powracała, znowu raczyła go opowieściami o konkursach ortograficznych, w których zwyciężała, o chłopcach, którzy całowali ją za szkołą, o popołudniach, kiedy wymykały się razem z Amandą na wyspę, migając się od obowiązków domowych. Kładła jego dłoń na swoim pęczniącym brzuchu, czuł wtedy, jak coraz bardziej napina się jej skóra, jak rośnie dziecko. Opowiadała w kółko o swoich planach, o dzieciach, które będą mieli, o tym, jak farma rozkwitnie przy jego pomocy, jak kupią więcej ziemi, więcej krów, jak dobudują piętrowy dom na wyspie.

Jednakże coraz trudniej przychodziło mu słuchać, jak opisuje niezliczone sposoby, za których pomocą przykuje go do tego miejsca, do takiego stylu życia. Nabrał przekonania, że nie bardzo odpowiada mu praca farmera, i nie był w tym dobry. Przynajmniej dawał mu to jasno do zrozumienia jego teść, odwracając się za każdym razem z niesmakiem lub biorąc się za pracę, którą Carl wykonywał jego zdaniem nieporadnie lub nie dość szybko.

Pewnego wieczora Carl powiedział Mathildzie, że kiedyś, gdy piłował kopyto Frenchie, pan Starkey popchnął go tak mocno, że rozciągnął się jak długi pod koniem, na ziemi.

- Musisz obchodzić się z nią delikatnie - burknął teść, gładząc dłonią przednią nogę kobyłki, aż w końcu podniosła ją znowu. Przytrzymał kopyto kolanami. - To nie kawał wołowiny.

Mathilda odwróciła się od niego, sięgając po jedną z książek, których stertę ustawiła na szafce nocnej.

- Musisz go zrozumieć - powiedziała. - Ma Frenchie od źrebięcia. Wie, co jest dla niej najlepsze. - Uszczypnęła go palcami dłoni, którą położyła mu najpierw na ramieniu, by go pocieszyć. - Możesz wiele się od niego nauczyć, jeśli dasz mu szansę.

Ale Carl wiedział, że pan Starkey wcale nie stara się nauczyć go, jak obchodzić się z końmi.

Carl i Joe skończyli zabezpieczanie okien werandy i wzięli się za południową stronę domu. Joe gadał bez przerwy o zamieszczonych w *Almanachu* prognozach pogody na lato, o nowych odmianach kukurydzy pastewnej, którą zasiał, o tym, że tej wiosny ryby przeniosły się chyba z zachodniej strony Taylor's Bay na wschodnią.

W lutym filigranowa dziewczynka, którą poślubił Carl, zmieniła się w kobietę, której ciężkie kroki słychać było w całym domu. Komenderowała nim, kazała zmienić ustawienie mebli, naprawić nieszczelną ramę okienną, żeby zlikwidować przeciągi, wygładzić papierem ściernym szorstkie miejsce na podłodze. Codziennie rano dawała mu listę rzeczy, które ma przywieźć z domu na farmie lub z miasta: koce i poduszki, mydło i herbatniki, różne rozmiary drutów do dzianych robótek, dywaniki, książki i butelki, drewno, drewno i jeszcze raz drewno, wciąż więcej drewna do palenia pod kuchnią, aż wreszcie zgromadziła go tyle, że wystarczyłoby chyba na trzy lata. Przywoził to wszystko na saniach, ciągnąc je po lodzie, który pod glazurą śniegu wydawał się gładki i ciemny jak skórka śliwki.

Na farmie było niewiele pracy. Rankami Carl rąbał lód w zatoce i transportował go przez Glacier Road pod górę do lodowni. Po południu, gdy pogoda dopisywała, Mathilda miała ochotę jeździć na łyżwach.

- Nie mogę przepuścić takiej okazji - mówiła. - Będę czekała na nią przez całe lato.

A gdy protestował, że nie wolno jej ryzykować upadku ze względu na dziecko, które w sobie nosi, śmiała się z niego.

- Nie upadnę, Carl. Wiem, co robię.

Nie potrafił jej powstrzymać, zresztą zawsze okazywało się, że miała rację. Ślizgała się ostrożnie, przenosząc ciężar niezgrabnego teraz ciała z nogi na nogę. Rozumiał, czemu tak to lubi - na lodzie poruszała się z takim wdziękiem jak zawsze. A jeśli czasami musiała przytrzymać się jego ramienia dla zachowania równowagi, to przecież tam był, prawda? Zadbaj o to, żeby nic się jej nie stało.

Ale później go tam zabrakło. Pamiętał niecierpliwe słowa Amandy: „Zapewne myślała, że to wspaniała noc na jazdę na łyżwach, i źle na tym wyszła. To cała Mattie”. Może to prawda. Może Mathilda rzeczywiście była nieostrożna, poszła ślizgać się po jeziorze późno w nocy, ponieważ nie mogła zasnąć, a lód wydawał się idealny. Może tak właśnie się stało, a winny jej śmierci jest tylko zdradliwy lód.

Ruth urodziła się z wraz z nadejściem wiosennej odwilży. Była lekka i sprężysta, a jednak, gdy akuszerka włożyła małe zawiniątko w jego ramiona, poczuł obawę, że może ją upuścić, tak wielki był ciężar jej bezbronności, jej potrzeby, żeby być chronioną za wszelką cenę. Wiedział, że nie pozwoli jej upaść, nigdy, w żadnym wypadku.

Wyprostował się dumnie, by podołać temu ogromnemu ciężarowi, ale w chwili gdy otworzyła szaroniebieskie oczka, poczuł pierwsze lekkie ukłucie zwątpienia. Ogarnęła go taka słabość w rękach, w nogach, że musiał usiąść.

Mathilda ciągle prosiła, żeby podłożył dREW do pieca. Nie pozwałała otwierać okien. Drzwi musiały być szczelnie zamknięte. W domu było okropnie duszno. Żał mu się robiło maleństwa, tak okutane go we wszystkie te koce, że wystawała tylko różowa buzia. A jeśli dziecina się boi? A jeśli jest jej za gorąco? Skąd mają wiedzieć?

Pewnej nocy, kiedy Ruth miała trzy tygodnie, Mathilda nie obudziła się, gdy dziecko zaczęło płakać. Carl ostrożnie wstał z łóżka, z radością pozwalając dalej spać wyczerpanej żonie. Wyjął malutką z łóżeczka. Po chwili przestała płakać i przytuliła się do jego ramienia. Gdy znów zaczęła kwilić, przeszedł z nią z sypialni do dużego pokoju. Stopy marzyły mu od lodowato zimnej podłogi. Usiadł i zaczął ją kołysać, a wtedy kwilenie przeszło w płacz. Wstał i kołysał się razem z nią, aż zanosła się głośnym krzykiem. Podnosił ją do góry, opuszczał w dół, podtrzymując mocno delikatną główkę i wiotką szyjkę. Potrząsał córeczką delikatnie, tańczył z nią, przytulał ją do szyi, a ona nie przestawała płakać, krzyczeć, aż brakło jej tchu, jak gdyby nie było w niej niczego poza cierpieniem.

- Przestań! Co ty z nią wyprawiasz? - Mathilda postawiła świecę na stole, zabrała Ruth z jego ramion i przytuliła ją do piersi. Niemowlę nie przestało płakać natychmiast, ale po krótkiej chwili, i Carl poczuł ulgę, choć był na córkę trochę zły. Czy tylko o to chodziło Ruth? O coś, czego nie mógł jej dać? Oburzony na siebie za to, że złości się na maleńkie dziecko, troskliwie otulił ramiona żony kocem i podłożył jej poduszkę pod łokieć.



- Byłaś po prostu głodna, prawda? - zagruchała Mathilda do główki niemowlęcia, pokrytej puszystymi włoskami. - Tatuś nie rozumiał.

Sprawia wrażenie zadowolonej, pomyślał Carl, że potrafi dokończyć tego, czego ja nie mogę.

- Dorzuć dREW do pieca, Carl - powiedziała. - Strasznie tu zimno.

Zrobił to, o co prosiła, po czym wyszedł z pokoju, zostawiając je obie razem, matkę z córką, i położył się sam spać.

Carl wbił więcej gwoździ, mocując najpierw górę, a następnie dół okiennicy. Cienie świeżych okrągłych liści kładły się na nasłonecznionej ścianie. Dom był już zabity deskami z trzech stron. Praca dobiegała końca.

Patrząc teraz na przytulny dom i wspominając żonę oraz córeczkę, zawstydził się na myśl o tym, jak rozpaczliwie pragnął kiedyś udowodnić Mathildzie, że nie jest jej własnością, a przynajmniej nie w taki sposób, jak jej się wydaje. Może mieć swoją wyspę, swój dom, swoje dziecko, farmę ojca, ale nie ma jego. Mimo to nie myślał nigdy o tym, żeby ją naprawdę opuścić, przecież pójście na wojnę nie było równoznaczne z porzuceniem żony. Od mężczyzny wymaga się, żeby był żołnierzem, żeby spełnił swój obowiązek. A gdy wróci, jej ojciec będzie zmuszony przestać kręcić głową, wszystko się zmieni. Mathilda... co robi Mathilda? Czego on sam chce od niej?

Gdy powiedział jej, że nie skorzystał ze zwolnienia jako jedyny żywiciel rodziny, krzyknęła głośno i rzuciła się na ziemię.

- Wyparłeś się Ruth? - zawołała. - Wyparłeś się mnie?

Nie, nie zrobił tego. Nie to było jego zamiarem. Nie chciał tylko szukać pretekstów, uchylać się od obowiązku jak tchórz. Mattie i Ruth nie były naprawdę zależne wyłącznie od niego.

Kazała mu wrócić, wytłumaczyć władzom wojskowym, że to pomyłka. Miotana gwałtownymi uczuciami, niemal w ataku hysterii waliła pięścią w podłogę, przysięgała, że on umrze, że ona umrze bez niego. Potem zimno obiecała mu, że tego pożałuje. Oświadczyła, że obie z Ruth pojedą za nim, będą warowały pod jego obozem, popłyną parowcem do Francji. A potem po prostu wybuchnęła płaczem.

Było mu przykro, lecz jednocześnie odczuwał ulgę. Pragnął wycofać się i zapewnić ją, że nie ma powodu do płaczu, ale też świadomość, iż jest na to za późno, napawała go spokojem. Nie mógł już nic zrobić, mógł jedynie przyrzekać jej:

- Wróć. Zobaczysz. Wróć, zanim się obejrzysz.
- Wtedy może mnie już tu nie być - powiedziała, patrząc na niego z nienawiścią, gdy próbował unieść jej twarz, żeby ją pocałować.

Młotek wyslizgnął się Carlowi z rąk i upadł na ziemię. Dopiero w tej chwili przypomniał sobie te słowa. Ale Mattie wcale tak naprawdę nie myślała. Był tego pewien. Powodował ją gniew. Schylił się, by podnieść młotek, i oczyścił go z ziemi. Wbił pięć gwoździ w prowizoryczną okiennicę, którą trzymał Joe przy ostatnim oknie, na ostatniej ścianie.

- Mamusiu! - Krzyk dobiegał z wnętrza domu, teraz zabitego na głucho deskami.
- Ruth! - Jak mogłem o niej zapomnieć? - myślał Carl, biegnąc do drzwi. Joe zaczął gwałtownie odrywać deski, które przed chwilą przybijał.

- Tutaj jestem, Ruth! - Carl otworzył szeroko drzwi i promień światła wpadł do środka domu. - Tutaj jestem!

Znalazł ją wreszcie pod łóżkiem w pokoju, który należał kiedyś do niego i Mathildy.

- Wszystko w porządku, kochanie. Wszystko w porządku - powtarzał. - Nie wiedzieliśmy, że jeszcze tu jesteś. Tylko tyle. Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

W przeciwieństwie do Mathildy, Ruth wierzyła jego zapewnieniom. Pozwoliła mu się pocieszać, gdy, trzymając ją na rękach, szedł przez ciemny dom, sprawdzając zamki w oknach i zamykając drzwi. Na zewnątrz delikatnie oderwał od swojej szyi jej zaciśnięte kurczowo rączki i postawił ją na ziemi. W jednej dłoni trzymała zieloną sakiewkę, ściągniętą skórzanym rzemykiem.

Mathilda wyrwała mu tę sakiewkę, gdy przyniósł ją do domu dla Ruth.

- Kulki dla niemowlęcia? Zwariowałaś? Chcesz, żeby się zadławiła? - Ta myśl tak go przeraziła, że Mattie złagodniała, widząc jego minę. - Już dobrze, Carl. Zachowamy je dla niej. Będzie się nimi chętnie bawiła, gdy trochę podrośnie. - Potem dodała, przypomniał sobie teraz jej serdeczne słowa ze wzruszeniem: - Zawsze uwielbiałam bawić się kulkami. Ruth jest szczęściarą. - Następnie zawiązała rzemyk bardzo mocno i włożyła sakiewkę na dno skrzyni z zabawkami.

Joe, Carl i Ruth szli w milczeniu ścieżką do domu na farmie, zanim jednak dotarli do werandy, siatkowe drzwi otworzyły się gwałtownie, uderzając o ścianę. Amanda zbiegła po schodkach, chwyciła Ruth w ramiona i przytuliła ją do siebie.

- Witaj, Josephie - odezwała się, skinąwszy uprzejmie głową. - Zostaniesz na kolacji, prawda? - Nie czekając na odpowiedź, spojrziała na Ruth i potrząsnęła nią lekko. - Gdzie ty byłaś? Jak ty wyglądasz? - Nie patrzyła na Carla. Zsunęła wstążki z warkoczy małej, przeczesła palcami jej włosy i zaczęła zaplatać je na nowo.

- Poszliśmy nad wodę - au, boli! - i zrobiło się całkiem ciemno.

- Biegnij i pokaż panu Tully'emu, gdzie może się umyć przed kolacją - poleciła Amanda, dając dziewczynce delikatnego szturchańca między łopatki.

Podniesione głosy niemal zagłuszały zgrzyt dźwigni pompy i szum wody w zlewie.

- ...jezioro! Nad jezioro! Jak mogłeś zrobić coś podobnego?

- A co w tym złego? No, powiedz mi! Przecież, do licha, ona się tam urodziła.

- Nie masz prawa pływać tam teraz.

- Jak to nie mam prawa? To mój dom, może nie?

- Nie masz o tym pojęcia, Carl. Nie było cię tam. Zostawiłeś ją.

- Och, ty znowu...

- Owszem, znowu. Gdybyś nie opuścił żony i dziecka, Mattie nigdy...

Ruth stała przy framudze drzwi, przyciśnięta do siatki.

- Hej, Ruthie, skąd to masz? - Joe podniósł sakiewkę, którą Ruth rzuciła na skrzynkę z narzędziami. - Wiesz, co myślę? - Podrzucił sakiewkę do góry, chwytając ją jedną ręką. - To chyba kulki. Co powiesz na to, żebyśmy zagrali przed kolacją w kulki, Ruthie? No, chodź. - Gdy się nie poruszyła, podszedł do niej, oderwał ją delikatnie od siatki i pociągnął do pokoju. - Umiesz grać w kulki? Zaraz ci pokażę.

Ciekawiły ją kolory małych glinianych i szklanych kulek, ich chłodna gładkość. Chciała ich dotykać, patrzeć, jak się toczą, pocierać je między palcami, ale próbowała ułożyć palce, tak jak jej pokazywał, zagiąć odpowiednio kciuk. W końcu pozwolił jej po prostu je turlać, celować i turlać, tak że czasami uderzały o siebie z przyjemnym stukiem.

### *Ruth*

Szliśmy tą samą drogą, którą zawsze chodzę z cicią Mandy, a potem, gdy nadszedł czas, by zawrócić, iść z powrotem do domu, usiąść przy stole do kolacji, nie zatrzymaliśmy się. Podążaliśmy dalej ścieżką, która prowadziła, nie wiem dokąd, po chwili zobaczyłam błękitne prześwity między pniami i gałęziami, a potem wodę. Pamiętam wodę, niebo na ziemi, gdzie się spada, spada, spada. Znajdowaliśmy się w niebie i bałam się, ponieważ ty tam właśnie poszłaś, gdy umarłaś.

Woda miała nierówną, lekko pomarszczoną powierzchnię. Popłynęliśmy łodzią i brzeg nie przypominał z daleka miejsca, gdzie przed chwilą staliśmy, chociaż wiedziałam, że właśnie tam staliśmy.

A potem łódź uderzyła o drugi brzeg.

- Czy pamiętasz to miejsce, Ruth? - spytał. - Mieszkaliśmy tutaj, gdy byłaś malutka - mama, ty i ja.

- Nie pamiętam, jak byłam malutka - odpowiedziałam. - Myślę, że byłam dobrym dzieckiem. Myślę, że nie płakałam.

- Wszystkie niemowlęta płaczą, Ruth.

- Nie, ja nie płakałam.

Znałam zapach domu - wilgotne drewno, rękawice, zielona woń wody. Tak pachniało tam, gdzie była moja mama.

Szukałam jej. Zaglądałam do sekretnych miejsc, pod czerwony koc, pod łóżka, do szuflad, gdzie czułam tak intensywny zapach, że wydawało mi się, iż mama stoi za mną, nie było jej jednak. Znalazłam mysiego domek z szalika i papieru, ale jej nie znalazłam. Mimo to wiem, że ciocia Mandy nie ma racji. To tutaj powinnyśmy czekać. To tutaj ona wróci.

W kuchni zajrzałam do szafek. Była tam miseczka, filizanka i patelnia, zasnutą pajęczyną, z jajeczkami pajaków na dnie. Wdrapałam się na krzesło, żeby poszukać ołówków. Pamiętałam, jak ostrzyła je nożem...

- Proszę, Ruthie. A teraz pociągnij ołówkiem po papierze. Brawo, kochanie.

Nagle połowa słonecznego blasku, zalewającego kuchenną podłogę, zniknęła. Jednocześnie rozległo się walenie. Buch, buch, buch. Cisza. Buch, buch, buch. Druga połowa blasku również zniknęła.

W innych pomieszczeniach nadal było widno, toteż przeszłam do pokoju, gdzie mieszkały w skrzyni moje zabawki.

Znajdowały się tam liście, patyki, muszelki ślimaków i kamyki, które pod wodą były zielone, czerwone, niebieskie i żółte, a teraz wszystkie stały się brązowe.

- Spójrz, jaki ten jest ładny - mówiła mama. Potrafiła świetnie znajdować najładniejsze otoczaki i wszystkie dawała mnie.

Walenie rozległo się znowu. Buch, buch, buch. Cisza. Buch, buch, buch. Cisza.

W skrzyni były też mamine łyżwy. Czułam miękką wyściółkę w miejscu, gdzie przypinała je do butów, ale pamiętałam o błyszczącej części.

- Nigdy tego nie dotykaj - uprzedzała. Zakładała na ostrze drewniane ochraniacze.

Znalazłam tam również zieloną sakiewkę.

- To dla ciebie, kiedy będziesz starsza - powiedziała. Teraz mam pięć lat, jestem więc starsza.

W woreczku były kamyki. Można się tego było domyślić po jego ciężarze i po tym, jak stukwały, gdy się nim potrząsnęło. Założę się, że są śliczne. Supeł był mocno zaciśnięty. Mamie lub nawet ciotki Mandy z pewnością udałoby się go rozplatać, ale ja nie mogłam.

Zabrałam sakiewkę do pokoju mamy i usiadłam na zielonym dywaniku obok łóżka, gdzie kiedyś mówiłyśmy: „Teraz położę się spać”. Postanowiłam pomóc sobie zębami. A zęby mam mocne. Jeden jest szary, od kiedy spadłam ze schodów, ale to nie przeszkadza, działa nie gorzej od białych. Sznurek był skórzany, miły w dotyku i pozostawiał przyjemny smak w ustach. Pracowałam nad nim usilnie. Ciotka Mandy mówi, że jestem dobrym pracownikiem. Próbowałam tak długo, aż wreszcie udało mi się go rozwiązać.

Kamyki, znajdujące się w środku, były rzeczywiście śliczne. Niektóre z nich miały barwę rdzawo-brązową, jak doniczki na kwiaty, ale najładniejsze były klejnotami, w kolorach lizaków. Wszystkie idealnie okrągłe. Toczyły się, gdy wysypałam je na podłogę. Wpadały w rowki, które tworzył splot dywanika, a dwa - cytrynowy i cynamonowy - poturlały się pod łóżko.

Pod łóżkiem schowałam się w dniu, gdy hałasy mnie przeraziły. „Idź do swojego pokoju”, powiedziała mama, ale ja nie chciałam tam iść. Obie były złe. Zbesztaly mnie. „Idź natychmiast, Ruthie”, nakażały mi ostro. Ale ja chowałam się w ciemności pod łóżkiem. Ciotka Mandy schyliła się i próbowała mnie skusić: „Hej, kochanie. Cśśś, spójrz, ciotka Mandy ma dla ciebie cukierka”. Nie chciałam cukierka. Chciałam zostać, ale mama mi nie pozwoliła. „Idź do swojego

pokoju. Nie ma się czego bać”. Ale wiedziałam, że to nieprawda.

Kryjówka pod łóżkiem jest świetnym miejscem, gdy słyszy się krzyki, gdy słyszy się ciężki oddech, gdy słyszy się jęki: „O, Boże, o, Boże, o, Boże!”.

Na dole, w ciemności, na dywaniku „teraz-położę-się-spać”, uci-szałam się i ssałam, ssałam. Ssałam mój cukierek, ostry jak igła. Zasypiałam i budziłam się. Wciąż dochodziły mnie hałasy. Mama i ciocia nie przestawały hałasować. Zatykałam uszy dłońmi, mimo to jednak słyszałam wszystko. Kroki mamusi w tę i z powrotem. W tę i z powrotem, dopóki omal nie padłam ze zmęczenia, dopóki nie usły-szałam krzyku dziecka. A potem nastąpiła cisza.

Włożyłam kamyki do woreczka i nagle rozległo się głośnie wale-nie, tuż nad moją głową. A potem światło zniknęło. Zrobiło się ciemno jak w nocy, ciemno jak w wodzie, gdy nie mogłam się wydo-stać.

- Mamusiu! - krzyknęłam rozpaczliwie. - Mamusiu! - Dowie-działam się, gdzie kiedyś była. Ale teraz jej tam nie było.

A potem zjawił się on. Wziął mnie na ręce i wyniósł na słońce, i z powrotem nad wodę, gdzie nie płakałam. Jestem pewna, że nie płakałam.

## *A m a n d a*

Gdy już urządziłyśmy się z Mattie i Ruth na wyspie, jeśli nie spa-łam jak kłoda, przypominałam prawdziwą trąbę powietrzną. Przez cały kwiecień, maj, jak również w czerwcu, próbowałam nie myśleć o swoich kłopotach i doprowadzałam wszystko na wyspie do porządku. Skopałam ogródek i zasiałam nasionka w równych rządkach,



które wyznaczyłyśmy razem z Ruth za pomocą sznurka. Sporządzałam listy zakupów i odbierałam dostawy ze schowka, nawet kawały lodu do lodówki. Były ciężkie, ale ciągnęłam je na szczyt wzgórza na kocu. Prałam bezrękawniki Ruth, czesałam jej włosy i uczyłam ją liczyć, pilnowałam, żeby chodziła w bucikach i trzymała się z dala od wody. Najczęściej przyglądałam się jej nieustającym zabawom, żeby upewnić się, iż jej oczom nie zagrażają kamienie i gałązki, lalki są przyzwoicie ubrane, a buzia dość czysta.

Mathilda, oczywiście, też robiła to wszystko, ale nie traktowała swoich obowiązków tak poważnie i wkładała w pracę mniej zapału. Oddalała się zawsze, żeby napisać list do Carla albo wetknąć nos w którąś z książek, którymi obładowała nasze sanie. Teraz, gdy zrobiło się ciepło, często pozwalała Ruth bawić się tuż nad wodą, podczas gdy ona sama czytała, ja zaś martwiłam się, że nie odróżni plusku otoczków, rzuczanych przez Ruth, od plusku, jaki czyni dziecko, gdy samo wpadnie do wody.

Pewnej nocy, gdy księżyc tak jaśniał na niebie, że było widno jak w dzień, tyle że nieco upiornie, obudził mnie plusk i piski Ruth. Przerazona, wybiegłam na brzeg. Mathilda trzymała Ruth za ręce i okręcała się z nią najszybciej, jak tylko mogła, ciągnąc małą dziewczynkę przez wodę, a blask księżyca lizał fale dookoła nich niczym płomień.

- Przestań! Przestań natychmiast! - wykrzyknęłam, tupiąc nogą.

Mathilda zatrzymała się i obróciła twarzą do mnie. Przyciągnęła Ruth do siebie i uniosła, obejmując ją ramionami w pasie, tak że ze zwisających nóżek dziecka kapała woda. Ruth jednak nie była dość duża, by przesłonić nagość Mathildy. Przeżyłam szok - obie, matka i córka, nagie jak je Pan Bóg stworzył, tam, gdzie ktoś mógł je

zobaczyć. Nie wiedziałam, gdzie podziać oczy. Zawróciłam i poszłam spieszenie do domu, znajdując po omacku drogę do mojego pokoju.

Położyłam się na łóżku, przyciskając obydwoma dłońmi klatkę piersiową, żeby uspokoić rozszalałe serce. Potem opuściłam ręce. Dotknęłam przez cienką bawełnę koszuli nocnej tej części mojego ciała, która zaczęła rosnać jak ciasto na chleb. Próbowałam, tak jak to robiłam od tygodni, wgnieść ją do środka - nie poddawała się jednak, była wytrzymała.

I wtedy to coś we mnie poruszyło się.



- Stój spokojnie. Strasznie się szepiąją. - Amanda próbowała owinąć włosy Ruth wokół garści rzepów.

- Wspaniale. Wyglądasz jak czarownica. - Zacmokała głośno, żeby dać do zrozumienia, iż to świetna zabawa, i Ruth roześmiała się. - A teraz trochę tego na policzki. - Delikatnie rozsmarowała róż na gładkiej skórze Ruth. - Bez przesady. A teraz, czy pamiętasz, co ćwiczyliśmy?

Ruth skinęła twierdząco głową.

- Dobrze, schowaj się i zamknij oczy. Pamiętaj, ani słowa, bez względu na to, o co cię zapyta.

Amanda trzymała Ruth z dala od szkoły tak długo, jak tylko się dało. Nikt się jej nie sprzeciwiał w pierwszym roku, gdy opuściła St. Michael's. W końcu Ruth miała tylko pięć lat, a po miesiącach niemowienia i przy zdarzających się jej małych katastrofach, nie nadawała się raczej do przedszkola. Następny rok był jednak trudniejszy. Musiała przypomnieć Carlowi, że nie zna się kompletnie na

dzieciach, że nie potrafi sobie wyobrazić, jak ciężki uraz przeżyła Ruth po utracie matki. Zapewniała, że dzięki niej dziecko nauczy się znacznie więcej niż w szkole. I to przynajmniej było prawdą. Ruth, mimo że nie była takim orłem z arytmetyki jak niegdyś Amanda, potrafiła już dodawać i odejmować, i choć nienawidziła okrutnej królowej, prześladowującej Śnieżkę, potrafiła przeczytać każde słowo baśni. Umiała rozróżnić drzewa po liściach, ptaki po śpiewie i wskazać co najmniej cztery gwiazdozbiory. Rozumiała, że po zmieszaniu niebieskiego i żółtego powstaje zielony, odróżniała Guernsey od Jersey i zajmowała się jagnięciem, którego matka zdechła z powodu zapalenia płuc.

Carla nietrudno było przekonać, lecz Amanda zdawała sobie sprawę, że to, iż Ruth jest ponad wiek rozwinięta, nie wywrze wrażenia na radzie szkolnej. Gdy rada przysłała kogoś do domu dla zbadania sprawy, udawała, że Ruth jest chora, i dziewczynka odegrała nawet przekonująco atak epilepsji.

- Może pan lepiej zaczeka w dużym pokoju, panie Schmidt - powiedziała spokojnie Amanda, gdy Ruth, z wywieszonym językiem, dostała drgawek i zaczęła wydawać dźwięki przypominające szczekanie.

Za pierwszym razem zadziałało wspaniale, lecz w tym roku Carl, który zostawił kombinerki w swoim pokoju, wrócił po nie do domu i zastał przedstawiciela rady szkolnej siedzącego na kanapie.

- Bardzo mi przykro z powodu pańskiej córki - powiedział pan Schmidt. - Miałem nadzieję, że w tym roku czuje się już lepiej.

Gdy Amanda usłyszała szybkie kroki Carla na schodach, zrozumiała, że nic więcej nie da się zrobić. Ruth będzie musiała pójść do szkoły.

# Część druga

## Rozdział ósmy

Był późny poranek. W powietrzu unosiła się woń nawozu. Gdy w pierwszej chwili uderzała w nozdrza, była przykra i ostra, ale po pewnym czasie dojrzewała niczym dobry ser i stawała się coraz bardziej przyjemna i zniewalająca. Szkołę i boisko otaczały pola, na których świeżo rozrzucono obornik, schnący na ciepłym wrześnieym wietrze. Na górze, w zachodnim końcu boiska, siedziało dwanaście dziewczynek, większość po turecku. Rozpostarły spódniczki na ziemi, stawiając między nogami pojemniki z drugim śniadaniem. Gromadka składała się ze wszystkich przedstawicielek płci żeńskiej Lakeridge School, z wyjątkiem Ruth Neumann, która zawsze jadała sama.

Kilka dziewcząt, które już skończyły posiłek, odchyliło się do tyłu, wspierając się na łokciach, by wystawić twarze na ostatnie promienie tegorocznego słońca. Na samym szczycie wzgórza siedziała Imogena Lindgren, z nogami ugiętymi w kolanach i wdzięcznie skierowanymi w jedną stronę, tak jak to podpatrzyła u starszych dziewczynek. W wieku niespełna dziewięciu lat Imogena dawała jasno do zrozumienia, że staje się już kobietą i choć żadna z jej przyjaciółek, a nawet sama Imogena, nie potrafiła określić, na czym to polega,

wszystkie przyglądały jej się bacznie, jak gdyby wyprzedzała je o krok w grze.

Imogena przykuwała również wzrok chłopców. Kilku zawsze krążyło wokół niej, nie bardzo zdając sobie nawet sprawę z tego, co robią. Zbliżali się do niej niepewnie, a następnie szybko się wycofywali lub skręcali gwałtownie w stronę jej świąty w poszukiwaniu łatwiejszego celu.

- Popatrz tylko, popatrz tylko - zaczął Imogena jeden z chłopców, stukając ją palcem w ramię. Następnie odwinął powiekę, aż ukazała się czerwona lśniąca słuzówka nad gałką oczną. Odwracał głowę to w tę, to w tamtą stronę, żeby dać szansę podziwiania swego wyczynu jak najszerszej widowni.

Rozległy się pełne zachwyty piski i jęki. Kilka dziewczynek, chociaż, zasłoniło rękami twarze, a jedna, która siedziała na zboczu wzgórza, poturlała się w dół. Imogena nie gardziła takimi przyjemnościami, ale była za mądra, żeby to okazać. Zamiast tego wywróciła z obrzydzeniem oczy i włożyła do ust ostatni kęs kanapki z szynką.

Mała grupka chłopców, widząc, że emisariusz przetaił im szlaki, podeszła bliżej. Imogena obserwowała ich kątem oka, kończąc pikle. Starannie złożyła woskowany papier, który chronił kanapkę przed nasiąknięciem marynatą, po czym wytarła palce w czystą białą chusteczkę, którą jej matka obszyła koronką. Wśród młodszych dzieci stała się ostatnio popularna odmiana zabawy w chowanego, chłopcy przeciwko dziewczętom. Było oczywiste, że jeśli któraś zostanie schwytana, może będzie musiała pozwolić na pocałunek albo pokazać skrawek majteczek, aczkolwiek te niechętnie mogły, bez zbytnich trudności, opóźnić wywiązanie się z tego obowiązku, do czasu gdy dzwonek ratował je z opresji.

Ustawivszy swoje pojemniki w rzędku pod ścianą budynku szkolnego, dziewczęta rozbiegły się, by znaleźć kryjówki, zanim chłopcy doliczą do stu. Przy czterdziestu Imogena zauważyła z rosnącym niezadowoleniem, że każdy krzak i każdy kąt na boisku był wykorzystywany w tym celu tyle razy, iż prowadziły do nich charakterystyczne wydeptane ścieżki. Przy pięćdziesięciu przestała szukać miejsca, gdzie by jej nie znaleziono, i pobiegła w kierunku trzech betonowych kręgów, które zostały po budowie systemu odwadniającego i leżały teraz, porzucone, w kącie boiska, niczym ruiny świątyni kultu jakiegoś zapomnianego boga. Poza tym ten rodzaj kryjówki bardziej jej się podobał, ponieważ mogła z łatwością z niej wyskoczyć i uzyskać przewagę, stając się napastnikiem.

Przy sześćdziesięciu wczołgała się do pierwszego tunelu i natychmiast z niego wypełzła, przerażona widokiem krętych, nieprzerwanych szlaków mrówek. Drugi tunel, jak się okazało, był już zajęty, ale Imogena kucnęła na chwilę przy otworze i zajrzała do środka.

Ruth Neumann, oczywiście, wyglądała jak flejtuch. Kosmyki puszystych włosów wysunęły się jej z jednej strony warkocza, tworząc płataninę nad uchem, brzeg spódnicy zwisał odpruty. Była tak jawną dziwaczką, że stała się kozłem ofiarnym niemal od pierwszego tygodnia, gdy zjawiała się w szkole cztery lata temu. Nawet Imogena przyłączała się czasami do kolegów, gdy drwili z Ruth w szczególnie złośliwy sposób, zwykle z jej prawego górnego siekacza, który był martwy od korzenia i nabrał grafitowego koloru. To był mleczny ząb, który nadal tkwił w dziąśle, mimo że dziewczynka miała jedenaście lat. Skracali sobie wiele nudnych lekcji, rysując twarz z szerokim uśmiechem, przyciemniając odpowiedni ząb i podpisując

podobiznę imieniem „Ruth”. Gdy nauczyciel nie widział, podnosili pełne inwencji dzieło do góry, żeby wszyscy mogli je podziwiać.

Najczęściej Ruth zdawała się tego nie zauważać albo też patrzyła spokojnie na sprawców oraz tych, którzy się śmiali, nie z wyrzutem, lecz z ciekawością, jak gdyby widziała w ich twarzach coś nienaturalnego. To zajęcie, z początku podniecające, ostatecznie szybko się nudziło i w końcu tylko ci, którzy nie potrafili znaleźć innego sposobu na utrzymanie swej pozycji, zakłócali jej samotność.

Ruth po prostu siedziała w kręgu, przyglądając się chropowatej powierzchni betonu i rozkoszując się jego chłodnym dotykiem przez bawełnianą sukienkę. Gdy beton nagrzewał się od jej ciała, przesuwiała się na inne, jeszcze chłodne, miejsce. Rzędy mrówek maszerowały wokół niej, lecz dziewczynce najwyraźniej to nie przeszkadzało. Od czasu do czasu wyjmowała z kieszeni glinianą kulkę i turlała ją wzdłuż kręgu tak sprytnie, że kulka docierała do krawędzi, ale nie wypadała z tunelu.

Imogena była nie tylko królową drugiej i trzeciej klasy, lecz również mistrzynią gry w kulki w skali całej szkoły, a przynajmniej ona sama i wszyscy inni uważali, że tak jest. Ale gdy zajrzała do tunelu, zobaczyła niebieską kulkę, lekko podkręconą, toczącą się powoli, powoli do krawędzi kręgu, gdzie delikatnie musnęła brązową, po czym zatrzymała się. Innymi słowy, dostrzegła zawodniczkę, która może stać się groźną rywalką.

Nie zdenerwowało jej to. Imogena ceniła zręczność, zwłaszcza jeśli mogła zrobić z niej użytek. Schyliwszy się, weszła do kręgu, zasłaniając prawie całe światło. Ruth spojrzała na nią, ale nie poruszyła się.

- Co ty tu robisz? - spytała Imogena.



Ruth nie odpowiedziała. Opuściła z powrotem wzrok na swoją dłoń i potoczyła następną kulkę, powoli, powoli, powoli, do samego brzegu betonowego tunelu.

Urażona Imogena zapomniała, że miała zachować się protekcyjnie.

- Grasz w kulki - stwierdziła, uderzając dłonią o beton. - Przecież widzę, że grasz w kulki. Czemu po prostu nie odpowiesz?

- Skoro widzisz, że gram w kulki, to po co chcesz, żebym to powiedziała? - odrzekła Ruth, zwracając się do chłodnego betonu obok swej dłoni. Potem popatrzyła przez zmrużone oczy na Imogena, ciemną sylwetkę na tle rażącego błękitu nieba, i uśmiechnęła się, pokazując światu swój ciemny ząb w całej okazałości.

Palce zapiekły Imogena od uderzenia w szorstki beton. Zaciśnęła na chwilę powieki, zawahała się, po czym pozwoliła, by gniew się ulotnił. Zapominając o kryjówce, nie zwracając uwagi na mrówki, wczołgała się do tunelu, usiadła obok Ruth i przedstawiła jej doskonały plan.

Imogena ogromnie pragnęła mieć kulkę z agatu błękitnego jak niebo w południe. Właśnie taka kulka znalazła się jakimś sposobem w posiadaniu Berta Weissa, który już w wieku ośmiu lat był nadętym, zadowolonym z siebie chłopcem, a co gorsza, często dłubał w nosie, w dodatku publicznie. Imogena strasznie chciała mieć tę kulkę, ale też nabrała przekonania, że ma obowiązek uwolnić ją z pokąźnego, zatłuszczonego woreczka, który Bert trzymał w swojej ławce.

Jak się okazało, do tej pory zabierała się do polowania na nią w niewłaściwy sposób. Ćwiczyła od miesięcy i podpytywała starszego znajomego chłopca, znudzonego już grą w kulki, o jego sekretne chwyt: zwilżenie śliną palca do niektórych rzutów, specjalny układ

ramion do innych. Jej spódniczki miały obrębek i przód wiecznie pobrudzone na brązowo od kucania i klęczenia na ziemi przy rzucie. Nabrała dużej wprawy, była coraz lepsza. Zgromadziła po drodze mnóstwo wygranych kulek od innych dzieci, aż wreszcie jej sakiewka z miękkiej skóry wypełniła się niemal po brzegi. W tych wczesnych grach błękitna kulka często pojawiała się między brązowymi, zielonymi, czerwonymi i żółtymi, tęczowymi i mieniącymi się, ale Bert, zawsze szukający okazji, by popsuć komuś przyjemność, dostrzegł zainteresowanie Imogeny tą szczególną kulką i gdy tylko dziewczynka zaczęła rzucać celnie, wycofał kulkę z gry.

Wycofał ją z gry. Tak po prostu. Po prostu wylądowała w szarym woreczku, a Bert, na oczach Imogeny, zacisnął mocno sznurek. Nie wyjął jej więcej ani razu.

Teraz jednak miała plan.

- Hej, Bert - powiedziała nazajutrz szeptem do przetłuszczonych włosów w ławce przed nią, gdy panna Crawley zaczęła recytować ochryplym głosem litanię na temat liter, które wychodzą poza górne i dolne linie w piśmie kaligraficznym - gramy na przerwie w kulki, zrozumiałeś?

- Nie-e, kulki są dobre dla dzieci - rzucił przez ramię Bert.
- Ale ja mam świetny pomysł. Zagramy drużynowo.

Panna Crawley odwróciła się od ciągu liter „l”, które podziwiała na tablicy.

- Co to za rozmowy? Koniec z gadaniem, kiedy ja mówię, rozumiecie? - Odwróciła się do tablicy. - Nie wolno mylić „l” z „i”, które dochodzi tylko do połowy wysokości i, oczywiście, ma kropkę. I nie chcę widzieć więcej tych wielkich, nagryzmołonych kropek nad waszymi „i”. Nie ma potrzeby rysować całej plamy. Absolutnie wystarczy dotknąć po prostu ołówkiem papieru. O, tak. Zademonstrowała

serię lekkich uderzeń kredą nad szeregiem liter. Niektórych kropek w ogóle nie było widać. - Rozumiecie? - spytała. Siedzący przed Imogena Bert wzruszył ramionami na znak potwierdzenia, że przystaje na jej propozycję akurat w chwili, gdy panna Crawley odwróciła się z uśmiechem do klasy. Uśmiech zniknął natychmiast z jej twarzy. - Bert, doprowadzasz mnie do kresu wytrzymałości. Czy chciałbyś się czymś podzielić z resztą klasy?

Plan zadziałał dokładnie tak, jak założyła Imogena. Pozwoliła Bertowi wybrać partnera, którym został Otto Schmidt, po czym zgodziła się, by wybrać również partnera dla niej. Bert przyjrzał się badawczo grupce gapiów, szybko oddzielając dobrych graczy od tych, którzy ledwie potrafią utrzymać kulkę między wskazującym palcem a kciukiem. A potem zobaczył Ruth, stojącą może ciut bliżej niż zwykle, obgryzającą skórkę przy paznokciu, ze wzrokiem utkwionym we własnych butach, i wyraźnie mającą nadzieję, że nie zostanie zauważona. Serce Imogeny drgnęło, gdy dostrzegła, jak Bert mruży oczy ze złośliwą radością.

- Dobra, oto twoja partnerka. Ruth Czarnozęba. No, grajmy.

Z początku błękitna kulka leżała spokojnie w sakiewce Berta, toteż Imogena miała kłopoty ze skoncentrowaniem się na grze. Nie udało jej się kilka pierwszych rzutów i poświęciła nawet morelową mieniącą się kulkę, jedną ze swych ulubionych, żeby powędrowała do wyszmelcowanego woreczka. Ruth po mistrzowsku partaczyła każdy rzut, tak jak poinstruowała ją Imogena. Mogłoby się wydawać, że nie potrafi utrzymać kulki w dłoniach, bez przerwy przydeptywała piętami rąbek spódnicy, gdy próbowała uklęknąć. W końcu ich wyniki rozzuchwały Berta. Jego złośliwość wzięła górę nad ostrożnością,

wyjął z sakiewki błękitną kulkę.

- Czy nie jest śliczna? - zauważył, wycierając kulkę o przód pożąłkłej koszuli. - Co mi dasz za postawienie jej w grze?

- Pięć centów - odpowiedziała bez wahania Imogena.

- Nie masz pięciu centów.

- A właśnie, że mam.

- No, to pokaż.

- Mogę je dostać.

- Ha! Za pięćdziesiąt lat! Nie, myślę, że powinienem dostać coś lepszego, żeby zaryzykować to чудо.

W Imogenie wszystko się zagotowało ze złości. Kulka nie miała dla niego najmniejszego znaczenia. To była czysta podłość.

- Wobec tego, co chcesz za nią?

- Chcę - rozejrzał się dookoła, oblizując wąskie wargi - chcę mieć czarny ząb - powiedział, gapiąc się na Ruth.

Ktoś parsknął śmiechem. Ktoś inny udał, że wymiotuje, za co został nagrodzony radosnym chichotem. Imogena spojrzała na Ruth. Wahala się przez chwilę, widząc kątem oka błękitną kulkę, żarzącą się nadzieją w dłoni Berta.

- Daj spokój - powiedziała. - To idiotyczne. - Wyciągnęła rękę, żeby podnieść pozostałe kulki.

- Zaczekaj - powstrzymała ją Ruth. - Zrobię to. Zobacz, i tak jest już gotów do wyrwania. - Rozchyliła usta i poruszyła ząb językiem do przodu i do tyłu.

- Nie możesz - zaprotestowała Imogena. - To nie w porządku.

- To mój ząb - powiedziała Ruth. - Mogę z nim zrobić, co chcę.

- Uśmiechnęła się do Imogeny, tak szeroko i promiennie, jak przedtem w betonowym kręgu.

- Zagrajmy.

- Najpierw ząb - rzekł stanowczo Bert. Ale właśnie wtedy na boisko wyszła panna Crawley, dzwoniąc dzwonkiem. - Po szkole - zapowiedział Bert i wrzucił błękitną kulkę do woreczka, po czym zawiązał mocno sznurek.

Gdy wreszcie tego wrześnieowego popołudnia skończyły się lekcje, gruba warstwa szarych chmur spotęgowała woń obornika, w powietrzu unosił się gryzący zapach. Ruth opuściła budynek szkolny jako jedna z ostatnich uczennic i dzieciaki, czekające nieopodal, zaczęły z nudów lekko się boksować i kopać w kostki. Gdy wreszcie pojawiła się w drzwiach, uspokoiły się natychmiast i przyglądały się, jak wyciąga z kieszeni sukienki kawałek sznurka, który skradła z szafki, gdy uwagę panny Crawley zaprzętały całkowicie stoliki trzeciej klasy. Obwiązanie nim małego ząbka nastręczyło wiele trudności. Ześlizgiwał się kilkakrotnie, zanim Ruth upewniła się, że siedzi mocno, w końcu jednak, stwierdziwszy, że jest gotowa, podeszła do szkolnego składziku z narzędziami. Sznurek zwisał jej z ust.

- Nie boisz się, że będzie bolało? - spytała mała dziewczynka, idąca obok niej.

- Nie bardzo. Obruszałam go na lekcji arytmetyki - odpowiedziała Ruth, otwierając drzwi składziku. Musiała uklęknąć, by przywiązać sznurek do klamki. - Kto zatrzśnie drzwi? - spytała, patrząc na Imogenę.

Imogena zawahała się. Na myśl o wyrwaniu zęba z dziąsła Ruth zbierało jej się na mdłości. Ale Ruth patrzyła na nią uparcie. W końcu Imogena przemogła się, wzięła głęboki oddech i położyła dłoń na drzwiach.

- Jesteś gotowa?

- Tak.

Imogena nabrała jeszcze raz powietrza i wstrzymała oddech. Ruth nadal czujnie wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami, Imogena zaś przymrużyła swoje, aż niemal je zamknęła i wtedy mocno zatrzęsnęła drzwiami.

Krew była wszędzie. Zdawała się tryskać na wszystkie strony, wypływając z ust Ruth i plamiąc jej sukienkę. Bez chwili namysłu Imogena wyjęła chusteczkę do nosa i wepchnęła ją do prawej ręki Ruth. Gdy dziewczynka spojrzała na nią bezmyślnie, kilka kropel krwi przesaczyło się między palcami dłoni, którą trzymała przy wargach i pozostawiło czerwone plamy na białym materiale. Przestraszona, zerknęła na Imogenę, która sprawiała wrażenie lekko zdeguowanej.

- Skorzystaj z niej - powiedziała Imogena niecierpliwie i Ruth posłusznie zatkała chusteczką ranę po zębie.

Ząb dyndał na sznurku przy klamce drzwi do składziku, perłowszary i czerwony na końcu. Ruth odwiązała go i wyczyściła rogiem chusteczki.

- Masz - powiedziała, wręczając go Bertowi - a teraz grajmy.

Wygranie kulki poszło dziecinnie łatwo. Jeden szybki rzut Ruth i upragniona kulka znalazła się poza kręgiem, wypadła z gry. Potem nikt nie był już zainteresowany dalszymi zawodami.

Imogena czuła, jak w piersi narasta jej przemożne pragnienie, by pobiec jak najprędzej do domu i usiąść obok mamy na długiej niskiej kanapie w dużym pokoju. Zacisnąwszy zęby, szła jednak spokojnie obok Ruth, ponieważ ich droga prowadziła w tę samą stronę. Ruth przyciskała język do pustego miejsca po zębie, Imogena zaś trzymała rękę w kieszeni i obracała w palcach błękitną kulkę. Wydawała jej się ciężka i zbrukana. Wyjęła ją niespokojnie, niemal spodziewając się, że zobaczy plamy na gładkiej powierzchni, ale jej obawy były

płonne, błękit jarzył się jak przedtem, nieskażony krwią, która została przelana w walce o kulkę.

- Pokaż mi ją - poprosiła Ruth, wyciągając rękę.

Po krótkiej chwili wahania Imogena położyła kulkę w samym środku dłoni koleżanki. Ruth ujęła ją w dwa palce lewej ręki i uniosła do góry. Zamknąwszy jedno oko, patrzyła na nią drugim pod słońce.

- Popatrz, można zajrzeć do środka.

- Daj mi ją - powiedziała Imogena i Ruth podała jej kulkę.

Ruth miała rację. Można było zajrzeć do środka. Imogena przyglądała się warstwom ciemniejszego błękitu w głębi i małemu obłoczkowi jaśniejszego koloru, który zebrał się przy jednym brzegu.

- Zatrzymam ją na zawsze - oznajmiła Imogena. - Zobacz, jaka jest gładka. - Przyłożyła kulkę do policzka Ruth i poturlała ją powoli w górę palcami prawej dłoni.

Szły przed siebie, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby zajrzeć do środka kulki pod nowym kątem. Przekazywały ją sobie nawzajem bez przerwy i mrużyły oczy, gdy raziło je słońce.

- Moja mamusia powiedziała mi, że twoja mama nie żyje - powiedziała Imogena. Zerknęła na Ruth kątem oka, nie wiedząc, jak dziewczynka zareaguje. Czy ona sama rozplakałaby się, gdyby ktoś wspomniał jej nieżyjącą matkę?

Ale Ruth, zajęta polerowaniem kulki brzegiem sukienki, sprawiała wrażenie, jak gdyby jej to nie obchodziło.

- Tak.

Ośmielona jej zachowaniem Imogena drążyła dalej ten temat. Był dla niej bardzo ciekawy, ponieważ nie знаła chyba nikogo innego, kto nie miał matki.

- Jak umarła?

- Utonęła.
- W jeziorze?
- Oczywiście. A gdzie indziej można utonąć?
- Woda jest nie tylko w jeziorze Nagawaukee.
- No, dobrze, ale ona utonęła właśnie tam. W jeziorze Nagawaukee.

Imogena zabrała jej znów kulkę i obracała ją długo między palcami, zanim zadała kolejne pytanie.

- Widziałas, jak to się stało?

Ruth zastanawiała się przez chwilę.

- Chyba tak - odpowiedziała w końcu. - Ja też utonęłam.
- Nie opowiadaj głupstw. Gdybyś utonęła, tobyś nie żyła.
- Czasami umierasz, a czasami nie. Tak pewnie musi być z tonięciem.

Ruth powiedziała to z taką pewnością siebie, że Imogena poczuła, jak traci pozycję osoby, która wie wszystko najlepiej, jest najbardziej interesująca, która zawsze zna właściwą odpowiedź, w co się gra i jak długo.

- Moja mama znalazła mnie w ogrodzie, tak jak w baśni - odparowała.

- Naprawdę? - Ruth była wyraźnie pod wrażeniem tej rewelacji i Imogenie poprawiło się samopoczucie. Mogła znów zdobyć się na wspaniałomyślność.

- Z pewnością będziesz wyglądała lepiej, gdy wyrosnie ci nowy ząb - stwierdziła.

Nie bardzo wiedząc, co na to odrzec, Ruth podrzuciła kulkę do góry i złapała ją. Imogena zachłysnęła się ze strachu.

- Nie upuść jej.
- Nie martw się - odparła Ruth, podrzucając kulkę jeszcze raz, by udowodnić, że to dla niej betka. Schwyciwszy ją, oddała Imogenie, która schowała ją z ulgą do kieszeni.



Dotarły do miejsca, gdzie Imogena skręcała.

- Cóż - powiedziała - chyba zobaczymy się jutro.

- Zaczekaj chwilę. - Ruth sięgnęła do kieszeni. - Proszę. - Wyjęła zabrudzoną krwią chusteczkę.

- A co powiedziałaś na to, żeby ją uprać? - spytała Imogena, cofając się nieco. Ruth popatrzyła na chustkę i skinęła głową, jak gdyby dopiero w tej chwili zauważyła krwawe plamy, po czym zaczęła ją starannie składać. Przyglądająca się temu Imogena zmieniła nagle zdanie. - Możesz ją zatrzymać.

- Jesteś pewna?

- Jasne, mam ich dużo. No, to do widzenia.

Imogena przeszła kilka kroków w kierunku domu, po czym obejrzała się. Ruth wciąż stała na drodze, patrząc za nią.

- Ruth! - zawołała Imogena. - Chcesz ją? - Wyjęła kulkę z kieszeni i podniosła do góry.

- Nie. Jest twoja. Do zobaczenia jutro.

Imogena pomachała jej i pobiegła do domu, podskakując z radości, szczęśliwa z powodu swego skarbu. Ruth natomiast wcale się nie śpieszyła. Gdyby Imogena obejrzała się jeszcze raz, zobaczyłaby, że koleżanka zawraca i idzie w kierunku szkoły. Maszerowała z podniesioną wysoko brodą, stawiając stopy jedna przed drugą, jak gdyby balansowała na linie. Gdy dotarła do szkolnego boiska, słońce zaczęło zachodzić, znacząc niebo karmazynowymi smugami, a woń obornika znacznie złagodniała w chłodzie wieczora, lekko nasycając powietrze naturalnym aromatem.

Ruth wróciła do kręgów i wybrała ten, w którym Imogena znalazła ją tego ranka. Tym razem jednak wzięła rozbieg i spróbowała wskoczyć na wierzch betonowego cylindra. Pierwsza próba nie

powiodła się, ponieważ dziewczynka nie podskoczyła dość wysoko i osunęła się na ziemię, obcierając sobie lekko łokieć. Za drugim razem straciła równowagę i w ostatniej chwili skręciła w bok. Za trzecim razem rozpedziła się tak mocno, że nie mogła opanować własnych kroków, odbiła się mocno od ziemi jakieś trzydzieści centymetrów od kręgu i frunęła w powietrze, obracając się w taki sposób, że wylądowała z płaskim prawie na samym szczycie. Obejmując mocno udami cylinder, podciągnęła się wyżej.

Posuwając się do góry po betonowej powierzchni, poddarła sobie sukienkę niemal pod szyję. Odchyliła się w lewo, a następnie w prawo, żeby ją poprawić. Potem założyła jedną nogę na drugą, krzyżując stopy. Mimo że popołudnie było pochmurne, beton wchłonął wcześniej promienie słońca i Ruth czuła, jak ogrzewa jej łydki i uda. Odchyliła się do tyłu, aż jej ciało ułożyło się na krzywiźnie w taki sposób, że widziała boisko do góry nogami. Gdyby się skoncentrowała, mogłaby niemal uwierzyć, że drzewa oraz krzewy kapryfolium zwisają z zielonego nieba, a pomarańczowe i czerwone fale zachodu słońca zalewają porośniętą barwinkiem ziemię, wkrótce jednak krew zaczęła pulsować jej w skroniach, bolał ją też otarty łokieć. Usiadła prosto, popłuła na palce i posmarowała bolące miejsce różową śliną.

Obciągnęła schludnie spódnicę na kolanach, wyjęła z kieszeni wykończoną koronką chusteczkę i rozprostowała ją na spódnicy. Była trochę sztywna w miejscach, gdzie zaschła krew, ale Ruth udało się prawie całkiem ją wygładzić. Delikatnie zacisnęła palcami ozdobne brzegi chusteczki, po czym włożyła zaimprovizowaną koronę na głowę. Siedząc wysoko na swoim tronie, ogarnęła spojrzeniem rozciągające się przed nią puste boisko.

## Rozdział dziewiąty

Wszystko dobrze się ułożyło. Jakoś im się udało. Właśnie w to Amanda nie mogła uwierzyć, gdy co rano budził ją skrzyp krzesła, które Carl przesuwiał po drewnianej podłodze, ubierając się przed pójściem do obory i wydojeniem krów. Nigdy nie potrafi powstrzymać się, żeby nie przesunąć tego krzesła, pomyślała z czułością. Jak gdyby chciał dać jej znać, że już wstał i ich dzień się zaczyna.

Przez rok czy dwa zastanawiali się, kto zostanie i jak ułoży się sytuacja, ale jakimś sposobem stworzyli w końcu rodzinę, dzieląc rozsądnie między siebie rozmaite obowiązki, i teraz dni płynęły jak z bicza trząsał. Toteż mimo że Carl ostatnio bywał markotny, Amanda i Ruth po prostu nauczyły się znosić jego humory.

Joe zaczął odwiedzać ich regularnie od czasu, gdy Carl zaprosił go na obiad, a w piątkowe wieczory towarzyszył Amandzie do kina i do smażalni ryb. Łączyło ich wzajemne uczucie, oparte na dawnej miłości i podtrzymywane dzięki temu, że unikali rozmów na tematy osobiste. Jeśli nawet miał nadzieję na coś więcej, nigdy nie dał jej tego do zrozumienia, najwyżej pytał czasami Amandę, czy wybierze się gdzieś z nim w sobotę. Nigdy się nie zgodziła. W sobotni wieczór

słuchali z Carlem swoich ulubionych audycji radiowych.

I wszystko byłoby dobrze, a właściwie lepiej niż dobrze, gdyby Ruth nie znalazła Imogeny.

Po raz pierwszy napomknęła o niej tamtego wieczora, gdy wróciła do domu, z buzią umazaną krwią. Amandzie krew odpłynęła z serca. Kusiło ją, czuła, jak na usta ciśnie jej się odpowiedź: „Nie ma żadnej Imogeny. Nie możesz znać Imogeny”. Ale, oczywiście, Imogena była i Ruth ją знаła.

- Zniszczyłaś sukienkę - powiedziała zamiast tego Amanda, ściągając ją dziewczynce przez głowę trochę zbyt gwałtownie. - Wątpię, czy uda mi się ją doprać.

- Imogena twierdzi, że przyniosły ją wróżki. - Głos Ruth był zduszony, ponieważ materiał zatykał jej usta.

Amanda pochyliła się nad pompą, by ukryć twarz.

- To tylko bajka, Ruth - odparła.

Carla również nie interesowały wróżki. Położył jej jedną rękę na czole, drugą na podbródku i odchylił jej głowę do tyłu, żeby obejrzeć dziąsła.

- Poczekaj - rzekł, zwilżając chusteczkę whisky z butelki, którą trzymał za pojemnikiem z mąką. - Zaraz będzie lepiej.

Ruth skrzywiła się z niesmakiem, ale trzymała buzię otwartą i pozwalała ojcu zajmować się sobą.

Rzecz jasna, stwierdzenie, że Ruth znalazła Imogenę, miało się z prawdą. Imogena była tam przez cały czas, o czym zresztą Amanda doskonale wiedziała, ponieważ po opuszczeniu St. Michael's zaglądała często do sklepu wędkarskiego, by się upewnić, czy złowróżbne okoliczności, w jakich dziecko przyszło na świat, nie pozostawiły na nim jakiegos piętna. Choć zdawała sobie sprawę, że jej tajemnica jest bezpieczna, dopóki będzie trzymała się jak najdalej od dziewczynki,

nie mogła nic poradzić na to, że ciągnęło ją do niej.

Mary Louise popychała Imogenę do przodu, żeby Amanda mogła ją podziwiać, lecz jednocześnie trzymała ją mocno za ramię.

- Prawda, jak urosła? Genie, znasz pannę Starkey. Przywitaj się.

Ale Imogena nie kwapiła się, by podejść, jak gdyby powstrzymało ją nieme przesłanie, płynące z palców matki.

Gdy Ruth zaczęła chodzić do szkoły, Amanda przyłapała się na tym, że bywa częściej w mieście. Pewnego dnia, w marcu, była w sklepie akurat wtedy, gdy Imogenie zrobiło się słabo i zakręciło jej się w głowie. To ona pierwsza zorientowała się, że dziewczynka zachorowała na szkarlatynę. Uparła się, że powinna przejść kwarantannę razem z Lindgrenami, mimo że oni prawie przekonali lekarza, żeby pozwolił jej pójść do domu.

- Nie możemy ryzykować zarażenia Ruth - oznajmiła, nie zwracając uwagi na protesty Mary Louise. - Poza tym Imogena mnie potrzebuje. Nie zapomniałam jeszcze tego, czego się nauczyłam.

Choroba Imogeny przeraziła Amandę tak bardzo, że dech w niej zamierał na myśl o tym, co mogło się stać, ale gdy minęło rzeczywiste niebezpieczeństwo, pragnęła, żeby rekonwalescencja dziewczynki trwała wiecznie. Wycinała dla niej lalki z papieru, nie najprostsze, które stoją sztywno, połączone dłońmi jak płot, lecz przypominające kształtami prawdziwe kobiety, które mogły nosić suknie, wycinane przez Amandę z katalogów. Ruth nigdy nie interesowała zabawa papierowymi lalkami, ale Imogena wprost to uwielbiała.

- Spójrz! - powiedziała pewnego wieczora do matki, odrzucając powłoczkę na poduszkę, którą cerowała Mary Louise, i wdrapała się jej na kolana z kartką papieru w dłoniach. Amanda narysowała wąsy na jej buzi i pomalowała czubek nosa na czarno. - Panna Starkey nauczyła mnie pisać cyfry.

- Ślicznie, kochanie - pochwaliła ją Mary Louise, lecz tego samego wieczora odbyła rozmowę z Amandą.

- Jutro zabieram znowu Genie do sklepu. Nie możemy przecież trzymać cię przez tyle czasu z dala od Ruth i Carla. Imogena czuje się już dość dobrze. Dzięki tobie całkowicie wyzdrowiała. Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobili, Mandy. Tak bardzo się martwiłam. Ale teraz wszystko jest już dobrze, prawda?

Tak więc Imogena wyszła nazajutrz rano, prowadzona za rękę przez matkę, Amanda zaś wróciła na farmę. Nie zaprzestała jednak wizyt, a Mary Louise zawsze chwaliła się radośnie córką.

- Amando, musisz posłuchać, jak Imogena wspaniale dodaje. Ile jest pięć dodać siedem, Genie? - A gdy minęło trochę czasu: - Ile jest pięć razy siedem, Genie?

- Jeszcze później: - Ile jest pięć razy siedem, dodać siedemdziesiąt pięć, odjąć pięćdziesiąt siedem? - aż wreszcie liczby padały tak szybko i były tak skomplikowane, że tylko Amanda i Imogena znały odpowiedzi.

Gdy Imogena trochę podrosła, byłoby naturalną kolejną rzeczą, gdyby Amanda sprzyjała zawiązaniu się przyjaźni między dziewczynkami, ona jednak nic w tym kierunku nie zrobiła. Coś ją niepokoiło w Imogenie, coś, co sprawiało, że uważała spotkanie dziewczynek za zbyt ryzykowne. Zauważyła to pewnego niedzielnego poranka, gdy stała po drugiej stronie ulicy, przyglądając się, jak cała

rodzina wychodzi z kościoła. Imogenę niósł na barana ojciec. Dziewczynka wyglądała zupełnie jak Mathilda.

- Razem piętnaście centów, proszę - powiedziała Imogena swoim najbardziej dorosłym głosem. Wdrapała się na stołek za ladą w sklepie wędkarskim swojej matki, żeby dosięgnąć kasy.

- Arthurze, masz pięć centów? - spytał mężczyzna stojącego obok chłopca. - Oddam ci po powrocie do domu.

- Dobrze - odpowiedział chłopiec. - Zresztą, dostałem je od ciebie. - Gdy sięgał do kieszeni, włosy opadły mu na okulary.

- Myślimy z synem o utworzeniu w Nagawaukee Beach firmy organizującej wycieczki statkiem po jeziorze - oznajmił mężczyzna.

- Dziewczęta, czy gdyby po jeziorze kursował statek wycieczkowy, popłynęłybyście nim?

- Tato - mitygował go zmieszany Arthur, który ze spuszczoneym wzrokiem przestępował z nogi na nogę.

- Nagawaukee Beach jest za daleko - odparła Ruth.

- Ale statek będzie przybijał w różnych miejscach do brzegu, a potem was odwoził.

- To znaczy, będzie pływał w kółko? - spytała Imogena.

- Tak, będzie zataczał duże koło po całym jeziorze. To będzie piękny statek, dwa pokłady i reling z mahoniowego drewna. Czerwone aksamitne obicia siedzeń. A może w paski morskiego koloru.

- Lubię czerwony kolor - powiedziała Imogena. - Czy będzie tam jedzenie?

- Może być. To dobry pomysł. Nie sądzisz, że to dobry pomysł, Arthurze?

- Tak - odpowiedział grzecznie chłopiec. - Czy nie powinniśmy wracać do domu?

- Znasz ten duży biały dom z kolumnadą? - spytała Imogena, gdy drzwi zamknęły się za klientami. - Przy drodze do franciszkanów? Należy do nich.

Każdy, kto kiedykolwiek był nad jeziorem, znał dom z kolumnadą. Niektórzy mówili o nim „Biały Dom”, uśmiechając się złośliwie nad kieliszkami martini, gdy przepływali obok, mimo to jednak przyciągał ich jak magnes.

- Kto by pomyślał, że na bagnach można zarobić tyle pieniędzy? - mówili, mając na myśli, że Clement Owens wykorzystał dobrą koniunkturę na handel ziemią na Florydzie, zapewniając sobie w ten sposób majątek. Stało się tak nie tyle z tego powodu, że Clement, podobnie jak każdy mężczyzna, wiedział, kiedy wejść w interes, ile dlatego, że wiedział, kiedy się wycofać.

Imogena wsparła głowę na dłoni, westchnęła i zaczęła przerzucać wolną ręką ołowiane ciężarki w pudełku. Ruth patrzyła na nią, krążąc po sklepie i oglądając towary - pojemniki z dżdżownicami i piawkami, zbiorniki z płótkami, zwoje żyłki, koszyki z białymi i czerwonymi korkowymi spławikami. Splotła dłonie z tyłu. Ciocia Mandy zawsze mówiła: „Patrz, ale nie dotykaj”.

Ruth chciała mieć własny sklep, gdy dorośnie. Nie musi to być jednak sklep wędkarski. Prawdę mówiąc, wolałaby raczej pasmantię, sklep spożywczy lub może sklep ze słodyczami, w każdym razie taki, gdzie nie będzie nic żywego i żadnego bałaganu. Chciała mieć wszystko poukładane na specjalnych półkach, a na ladzie sporą szafkę z mnóstwem malutkich szufladek. Będzie wiedziała bez zagłębienia, co znajduje się w każdej z nich, tak jak pani Lindgren.



Ruth podobało się zwykłe czekanie w sklepie na klientów, którzy wchodzi i mówią, co porabiali od ostatniej wizyty. Lubiła książki rachunkowe, z ich specjalnymi kolumnami „Winien” i „Ma”, i staranne pismo pani Lindgren, jakim kaligrafowała swoje cyfry.

Pani Lindgren była dobra jedynie w pisaniu cyferek, nie zaś w dodawaniu i odejmowaniu, toteż czasami Imogena musiała robić to za nią. Dziewczynka potrafiła dodawać w pamięci szybciej niż inni ludzie na papierze. Nienawidziła natomiast większości swoich innych obowiązków. Udawała tylko, że odkurza, krążąc ze ściereczką, i ilekroć pani Lindgren prosiła ją i Ruth, by wyczyściły niektóre pojemniki, przeważnie pompowała wodę, podczas gdy Ruth szorowała je. Ruth nie miała nic przeciwko temu. Praca sprawiała jej przyjemność, dopóki Imogena była w dobrym humorze i opowiadała o ludziach, których znały, i o tym, co robiła ze swoimi kuzynami na północy. Ruth miała nadzieję, że od czasu do czasu pozwoli jej obsługiwać kasę, ale Imogena twierdziła, że nie spodobałoby się to jej matce.

Po krwawym popołudniu dwa lata temu, Imogena zbliżyła się do Ruth, do czego miała prawo z racji swej popularności, a głównie dlatego, że była ciekawa. Łaknęła szokujących wrażeń i spodziewała się, że Ruth jej takich dostarczy, że będzie robiła i mówiła niezwykle rzeczy. Żeby zasłużyć na jej towarzystwo, Ruth gotowa była sprawić jej tę przyjemność. Nawet teraz, gdy ciekawość dawno przerodziła się w bliską znajomość, a następnie w przyjaźń, Ruth nadal czuła, że jeśli nie zainteresuje czymś Imogeny, przyjaciółka powie za chwilę, że może iść już sobie do domu. Ruth wzięła do ręki nóż z płaskim, zakrzywionym ostrzem.

- Do czego on służy? - spytała tylko po to, żeby coś powiedzieć. Czasami przyjaźń z Imogeną wymagała wiele wysiłku.

- Faj! Do skrobania ryby. Nienawidzę ryb! - Ostatnie słowa Imogena wymówiła szeptem, żeby nie usłyszała ich matka, która siedziała na zapleczu nad księgami rachunkowymi. Pani Lindgren zawsze mówiła Imogenie, że powinna być wdzięczna - to ryby kupują jej nowe sukienki i wstążki do włosów, kurczęta na obiad, płacą za wycieczki pociągiem do Milwaukee, ciepły dom. Ruth uśmiechnęła się w duchu na tę myśl. To doprawdy zabawne - okoń stojący na ogonie, z koszykiem na zakupy, przewieszonym przez jedną płetwę, i wybierający ładny perkal na sukienkę oraz siedem guzików z masy perłowej w pasmanterii.

Imogena nadal bawiła się ciężarkami, podnosiła je do góry, po czym przesiewała przez rozcapierzone palce z powrotem do pudełka.

Nagle Ruth przyszła do głowy pewna propozycja, tak wspaniała i ważna, że nie potrafiła wprost uwierzyć, że do tej pory jej nie wykorzystano.

- Chcesz zobaczyć, gdzie jest pochowana moja mama?

Imogena wyprostowała się.

- Naprawdę? - Zsunęła się ze stołka.

- Jasne. Jeśli tylko chcesz - powiedziała Ruth, jak gdyby to nie było nic szczególnego, jak gdyby mogła pokazać przyjaciółce jeszcze setki równie interesujących rzeczy, jeśli będzie w nastroju.

- Wychodzimy, mamó - zawołała Imogena w kierunku zasłoniętych kotarą drzwi.

- Bawcie się dobrze, dziewczynki. Nie wracajcie późno - dobiegł je głos pani Lindgren.

Ruth podobało się, że pani Lindgren traktowała je, jak gdyby były już dość dorosłe, by wiedzieć, co robią, w przeciwieństwie do cioci

Mandy, która nigdy nie przestawała panikować, mimo że Ruth miała już prawie czternaście lat, a Imogena prawie jedenaście.

Ruth nie trudziła się, by dojść do cmentarnej bramy. Gdy dotarły do kamiennego muru, przewiesiła się przez jego szczyt i podciągnęła nogi.

Imogena zatrzymała się.

- Ruth, każdy mógł ci zajrzeć pod sukienkę.

- I co z tego? Tutaj wszyscy są martwi. - Ruth stanęła na murze, po czym uchwyciła się gałęzi, zwisającej nad jej głową. Wspinając się po pniu, aż wreszcie udało jej się przełożyć nogi przez konar i zwisnąć głową w dół. - Nie przejmuj się. Nikt nie może na mnie naskarżyć. - Jej głos był stłumiony przez spódniczkę, która zasłoniła jej twarz.

- Ruth, proszę! - powiedziała Imogena, ale roześmiała się i sama wdrapała się na mur. - Pomóż mi. - Zbyt mała, by dosięgnąć konara, na którym Ruth teraz usiadła, wyciągnęła ręce nad głowę, najwyżej jak mogła, i czekała, przebierając palcami w powietrzu.

Ruth pochyliła się ku niej niebezpiecznie, podbiciem stopy zaczepiwszy się od spodu o drugą gałąź. Nie miała jednak dość siły, by podciągnąć Imogenę do góry.

- Nie dam rady - powiedziała, opuszczając przyjaciółkę na miękką cmentarną trawę.

- No, to złaź - zażądała Imogena. - Idziemy.

Zwykle Ruth nie lubiła chodzić na cmentarz. Gdy szła z Amandą zwirowaną alejką, jej stopy przy każdym kroku naprzód lekko się cofały, zawsze było jej za gorąco lub za zimno. Współczuła matce i dziadkom, którzy tkwili tam w ciasnym grobowcu, marznąc lub przegrzewając się, nic nie widząc - choć wiedziała, że zmarłym, którzy znajdują się w niebie, obojętne są takie sprawy. Jednakże

dzisiaj, gdy wędrowała przez trawę z Imogeną, to miejsce wydawało jej się zupełnie inne, przypominało raczej boisko.

- Spójrz na ten - powiedziała Imogena, stając przed nagrobkiem, na którym był wyrzeźbiony okręt.

- Był kapitanem statku - wyjaśniła z ważną miną Ruth. - Utonął, tak jak moja mamusia. - W rzeczywistości kompletnie nie wiedziała, dlaczego na jego płycie nagrobnej jest wyrzeźbiony statek, nie sądziła jednak, by Albert Morgan miał coś przeciwko jej zmysłowej historii. - A tu leżą ci, którzy zginęli na wojnie. - Ta część była prawdziwa, opowiedziała jej o tym ciocia Mandy.

- To grób dziecka. - Imogena przeczytała daty na płycie i zaczęły szukać dalszych grobów dzieci, zastanawiając się, jak to jest, gdy człowiek leży już na zawsze pod ziemią, wydany na pastwę robaków.

- Ale ich dusze idą do nieba - oznajmiła Ruth. - Ciocia Mandy powiedziała mi, że dusze wszystkich dzieci idą do nieba.

- Każdy o tym wie.

## *Ruth*

Gdy znalazłyśmy grób mojej matki, za którym rósł gęsty krzew kapryfolium, zaczęłam niemal żałować, że przyprowadziłam tu Imogenę. Nie powinno się chodzić na grób matki tylko po to, by zrobić wrażenie na znudzonej przyjaciółce. Powiodłam palcem po literach imienia mojej matki w nadziei, że uwierzy, iż przyszłam po prostu ją odwiedzić, że mi wybaczy.

- Zabawne - powiedziała Imogena.

- Co takiego?

- Umarła w dniu moich narodzin. Dwudziestego siódmego listopada. I tego samego roku.

Spojrzałyśmy na siebie. To było dziwne i w pewien sposób przerażające, jak gdyby na chwilę otworzyły się gwałtownie drzwi między światem żywych a światem umarłych.

- Może ty jesteś nią, po reinkarnacji - zażartowałam, żeby odegnąć strach.

- Co to znaczy „po reinkarnacji”?

Powtórzyłam jej to, co powiedział mi Rudy o duszy, która otrzymuje po śmierci nowe ciało - że można żyć jako całkiem inna osoba, a nawet jako kot lub szczygieł, i że ktoś, kto żył bardzo dawno temu, może urodzić się ponownie jako ona. Nie, żebyśmy z Rudym naprawdę w to wierzyli, choć od czasu, gdy mi o tym opowiedział, szukałam mojej matki za każdym razem, kiedy na farmie przychodziło na świat jakieś zwierzę. Żadne z nich nie sprawiało jednak wrażenia, że mnie zna, tak jak znałaby mnie moja matka, no i oczywiście nie znała mnie też Imogena.

W drodze powrotnej do miasteczka rozmawiałyśmy o tym, kim będziemy w następnym życiu i kim mogłyśmy być w poprzednim.

- Jestem pewna, że musiałam być kimś sławnym - stwierdziła Imogena. - Przynajmniej raz lub dwa. Może Pocahontas. Wszyscy mówią, że bez wątpienia mam w sobie domieszkę indiańskiej krwi. Mam takie ciemne włosy, a moi rodzice są oboje blondynami.

- To nie działa w taki sposób. Gdy wracasz, wcale nie jesteś podobna do osoby, którą byłaś. Jest tak, jak gdybyś nie była z nimi spokrewniona. - A potem, ponieważ nie chciałam dzielić z nią mojej matki, spytałam: - Właściwie, czemu ci się wydaje, że byłaś kimś szczególnym? Istnieje znacznie większe prawdopodobieństwo, że

byłaś zupełnie zwyczajna. Zwykłych ludzi jest o wiele więcej niż tych sławnych.

Powiedziałam to złośliwie, specjalnie chciałam, żeby tak to zabrzmiało, i czekałam, że się rozżłości. Imogena była jednak zbyt pewna siebie, by miały ją zdenerwować moje słowa.

- Och, jestem pewna, że obie byłyśmy sławne - rzekła pojednawczo. Przystanęła, chwyciła mnie za ramię, odwróciła do siebie i nieruchomo wpatrywała się w moją twarz. - Wiem, kim byłaś - orzekła w końcu. - Chińskim szpiegiem. Masz lekko skośne oczy i jesteś zawsze taka spokojna, obserwujesz ludzi. Dużo wiesz, ale nic nie mówisz. - Uśmiechnęła się, zadowolona ze swojej historii.

Ja jednak nic nie wiedziałam. Myślałam tylko, że to bardzo dziwne, iż Imogena rodziła się wtedy, gdy moja matka i ja tonęłyśmy.



Gdy Ruth otworzyła drzwi kuchenne, Amanda podniosła wzrok znad jasnoczerwonych łądyg rabarbaru, które kroїła.

- Gdzie byłaś przez cały dzień? Wiesz, że trzeba wypielić grządki z fasolą, a na ziemniakach jest pełno szkodników i założę się, że ptaki podziobały przynajmniej tuzin pomidorów.

Ruth westchnęła. Wolałaby, żeby te wszystkie uprawy przestały rosnać. To jeszcze jedna zaleta sklepu. Wszystko jest takie stałe.

- Zrobię to teraz - powiedziała, zwracając do wyjścia.

- O tej porze zostałaś żywcem zjedzona. Na wszystko jest właściwy czas. - Amanda przytrzymała jedną ręką na desce pięć łądyg rabarbaru, w drugiej dzierżyła długi nóż. - Tak czy owak, zrobiłam to już za ciebie - dodała, szybko krojąc kruche łądygi i zrzęcznie

odsuwając palce, by nie skaleczyć się nożem. Zawstydzona Ruth wbiła wzrok w podłogę.

- Tatusz powiedział, że mogę wyjść.

- Cóż, nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem. Umyj się, dam ci rabarbaru.

Ruth poruszyła kilka razy dźwignią pompy i zaczęła myć ręce.

- Może - spytała cicho Amanda - chciałabyś przyrowadzić tutaj Imogenę?

- Słucham? - Ruth udawała, że słowa ciotki zagłuszył zgrzyt pompy oraz szum wody.

Amanda zanurzyła kawałek rabarbaru w cukrze.

- Spytałam, czy nie chciałabyś zaprosić tu Imogeny?

Ruth wyciągnęła dłoń, grzbietem do góry, tak że Amanda mogła ułożyć rabarbar na jej palcu, niczym klejnot w pierścieniu. To była ich żartobliwa zabawa od bardzo dawna, od czasu dziecińczych nieporozumień.

- Czy nie będziemy się wspaniale bawiły, wszystkie trzy tutaj, razem? Nie lubisz być tu ze mną?

- Lubię - odpowiedziała Ruth, ale prawda była taka, że ogarniały ją mieszane uczucia. Gryząc rabarbar, miała wrażenie, jakby miłość Amandy, podstępna i zaborcza, otaczała ją ciasnym kręgiem w dusznej kuchni. Zmrużyła oczy, rozczulona i jednocześnie trochę poirytowana. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że po części tak bardzo lubi Imogenę dlatego, że jej przyjaciółka nie ma nic wspólnego z Amandą.



Carl siedział na podłodze w jednym z pokoiów domu na wyspie, powyciągane z komody szuflady leżały wokół niego. Prostokąt światła

padał na podłogę pomiędzy deskami, które częściowo odbił z okna. Już wiele razy przedtem przerzucał zawartość tych szuflad, szafek, zaglądał w szpary w drewnianych ścianach, pod deski podłogowe. Od miesięcy przyplątywał na wyspę - czasami raz w tygodniu, czasami codziennie - i szukał.

Przypominało to jazdę na diabelskim młynie w lunaparku. Jednego dnia był rozluźniony, spokojny, pewien, że opowieść Amandy jest prawdziwa - zamieszkały z Mathildą na wyspie, ponieważ ją kochały, ponieważ Mathilda chciała być w domu, który dla nich zbudował. Potem zaczynały go na nowo dręczyć wątpliwości, niepewność, aż w końcu rzucał robotę, cokolwiek to było, i śpieszył do domu na wyspie, by szukać jakichś dodatkowych wskazówek.

Próbował trzymać się z daleka. A jeśli coś znajdziesz, myślał, to co wtedy? Nic dobrego z tego nie wyniknie. Skoncentruj się na pracy. Zaniebrywał jednak farmę, myśląc o jeszcze jednym miejscu, którego nie sprawdził, żywo wyobrażając sobie biały brzeg złożonego listu miłosnego lub złoty błysk pamiątkowego pierścionka. Jakiś mężczyzna uwiódł jego żonę. Carl podejrzewał to od przeszło sześciu miesięcy. Musiał tylko znaleźć na to dowody.

Udało mu się znaleźć tylko jedną wskazówkę. Wyjął z kieszeni srebrny scyzoryk, tak jak robił to kilka razy dziennie, i obejrzał go dokładnie. Był to dobry scyzoryk, drogi, nie taki, jaki mógłby przypadkiem zostawić któryś z budowniczych domu. Zresztą znał wszystkich, którzy pracowali przy budowie, i żaden z inicjałów tutaj nie pasował: C.J.O. Był własnością jakiegoś innego mężczyzny.

A nawet jeśli, to co, przekonywał siebie bezustannie. To może być absolutnie bez znaczenia. Prawdopodobnie jest bez znaczenia. Ale jak wobec tego wyjaśnić reakcję Amandy, gdy pokazał jej scyzoryk?



Przypominał sobie w kółko tamten ranek, gdy natrafił w szufladzie ze swoimi skarpetami na scyzoryk, który zabrał z domu na wyspie wiele lat temu, gdy popłynęli tam z Joem i Ruth. Położył go na stole podczas śniadania i spytał Amandę, czy wie, do kogo należy, bo przecież tak wartościowy przedmiot trzeba zwrócić właścicielowi. Wzięła scyzoryk do ręki, odwróciła, po czym natychmiast popchnęła go z powrotem w jego kierunku.

- Nie mam pojęcia. Skąd miałabym wiedzieć? Zbiera się tyle rupieci! Szkoda, że nie widziałeś tego wszystkiego, co znalazłam w zeszłym tygodniu za lodówką. - Zabrała mu talerz, zanim zdążył dokończyć śniadanie, i wyrzuciła resztki jajecznicy do wiadra z odpadkami, mrużąc pod nosem: - Nie mogę brać odpowiedzialności za każdy scyzoryk, który zapłacze się przypadkiem w szufladzie.

Carlowi nie przyszło wtedy do głowy, że zachowanie Amandy mogło mieć coś wspólnego z Mathildą. Po pierwsze, jego szwagierka była zawsze nadwrażliwa i szybko się obrażała, toteż jej reakcja nie wydała mu się niezwykła. Po drugie, prawie zapomniiał o swojej żonie, a przynajmniej starał się odsunąć wspomnienia. Wstyd mu było to przyznać, ale gdy ostatnio myślał o niej, miał wrażenie, jak gdyby była żoną innego mężczyzny, przyjaciółką, którą znał kiedyś dobrze, ale dawno już stracił z nią kontakt. Tęsknił za nią, ale nostalgicznie, mniej więcej tak samo jak za swoją młodością, i choć nawet próbował, nie potrafił znaleźć w sobie śladu nieżnośnego cierpienia i czarnej rozpacz, jaka go niegdyś przepełniała. Żał mu było Mathildy, ponieważ straciła tak wiele z życia, współczuł też Ruth, że nie znała matki. Od dawna jednak przestał żałować siebie.

Wtedy jednak usłyszał głos Mathildy. Pierwszy raz w stajni, jakiś strzęp zdania, słowo lub dwa, a może nawet nie całe słowo, lecz

jego fragment, i modulacje, barwę głosu, tak niewątpliwie znajomą, że zawołał głośno: „Mathilda!”, nie zastanawiając się nad tym, co robi. Spojrzał w stronę stryżku na siano, pewien, że musi tam siedzieć, z włosów zwisa jej żółte źdźbło słomy, macha nogami, uśmiechając się do niego. Oczywiście, nie było jej tam. Oczywiście, nie wróciła do życia. Mimo to wiedział, że gdzieś tu jest. Natężył słuch, czekając na dalsze dźwięki, ale głos zniknął, zagłuszony przez Ruth, która zwoływała gęsi na ich kolację.

Po raz drugi usłyszał głos Mathildy, gdy umieszczał w pobliżu źródła słoń lizawkę. Tym razem był wyraźniejszy. Śpiewała *Błękit lawendy*, głos dobiegał chyba z kępy sitowia. Choć wiedział, że to tylko wspomnienie, uwolnione jakimś cudem z niesamowitą wyrazistością w jego głowie, że nie zobaczy niczego poza powietrzem, wbrew swej woli podążył w stronę, skąd dochodził dźwięk, zapadając się z każdym krokiem w żyzną, atramentową, podmokłą ziemię. Gdy ostrożnie rozchylił sztywne łodygi i ostre liście sitowia, odnalazł śpiewaczkę, która patrzyła na niego.

- Cześć, tatusiu. Spójrz, jaką malwę zdobyłam dla cioci Amandy.

Carl stracił równowagę i upadł na kolana. Od tej pory niemal wszystko, co robiła Ruth, przypominało mu o Mathildzie - sposób, w jaki unosiła brwi, gdy coś mówiła, sposób, w jaki trzymała głowę, gdy odrabiała lekcje, sposób, w jaki siadała z podwiniętymi nogami, sposób, w jaki rozcapierzała palce, gdy chciała podkreślić swoje racje. Miał ochotę schwycić ją za ręce i ścisnąć te palce razem, ale tylko marszczył brwi i odwracał wzrok.

Właśnie wtedy wyjął znowu scyzoryk z szuflady ze skarpetkami. Obracając go w palcach i wypróbowując ostrze o brzusiec kciuka, zaczął zastanawiać się nad aluzjami Hildy wiele lat temu. Dlaczego

dwie młode kobiety zdecydowały się zamieszkać samotnie na wyspie? Czemu zostały tam przez całą jesień?

Rudy niewiele mu pomógł. Pewnego wieczora Carl przyparł go do muru w spiżarni.

- Próbowałem namówić dziewczęta, żeby wróciły do domu, Carl - wyjaśnił Rudy, natłuszczając energicznie uzdę. - Popłynąłem tam. Powiedziałem jej: „Wracajcie lepiej do domu, dziewczęta. Robi się coraz zimniej”.

- Co masz na myśli mówiąc: „jej”? Komu powiedziałeś?

- Eee... - Rudy wpatrywał się w wędzidło, jak gdyby próbował dojrzeć w błyszczącym metalu odbicie przeszłości. - Chyba Mattie. Niewiele widywałem Amandę, zwykle machała mi tylko z werandy. Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie. To, co robiła jedna, robiła też druga, coś w tym rodzaju.

- Coś w tym rodzaju? Chcesz powiedzieć, że robiły to już wcześniej?

- Nie w tym sensie, nie mówię o mieszkaniu na wyspie. Ale gdy były młodsze, tam właśnie uciekały, prosto na wyspę, ilekroć pani Starkey nagabywała je o coś w domu. Przeżywalismy okropne chwile, szukając ich, pan Starkey i ja, zanim udało nam się je schwycić. Oczywiście, robił im potem piekło za to, że uciekły, zwłaszcza Amandzie. Była starsza, powinna mieć więcej rozumu, no nie? Ale też podobało mu się, że tak ze sobą trzymają. „Nigdy nie miałem brata” - powiedział mi kiedyś, a ja rozumiałem, o co mu chodzi.

Carl zniecierpliwiał się, słuchając tego rodzaju wspomnień.

- Ale wtedy, gdy tam mieszkały, co powiedziała ci Mattie, gdy namawiałeś ją, żeby wróciły na farmę?

- Och, Carl, wiesz przecież, jaka była Mattie. Nawet pan Starkey nie potrafił zmusić jej, żeby zrobiła coś, na co nie miała ochoty.

„Nie, Rudy, podoba nam się tutaj” - oświadczyła. I rzeczywiście, zarówno ona, jak i Ruthie wyglądały ładnie i zdrowo. Wydawało mi się nawet, że się trochę zaokrągliła, toteż byłem pewien, że nic złego się nie dzieje. Gdybym porozmawiał z Amandą, może stałoby się inaczej. Zawsze była grzeczną dziewczynką. Robiła, co jej kazano. Ale wiesz, jaka była Mattie. Wyszła na brzeg, podparła się pod boki i pokręciła swoją śliczną główką. Nie pozwoliła mi nawet wysiąść z łodzi. - Rudy cmoknął językiem i odwrócił się, by powiesić uzdę na haku.

Stąpy staruszek, pomyślał Carl, pozwolił, żeby dwie dziewczyny mówiły mu, co ma robić. Zdawał sobie jednak sprawę, że na miejscu Rudy'ego postąpiłby tak samo.

Gdy Rudy odwrócił się znowu twarzą do niego, miał łzy w oczach.

- Wiem, co powinienem był zrobić, Carl - myślałem o tym setki razy - powinienem był porwać Ruthie. Gdybym zabrał ją do domu, zanim jezioro zamarzło, przypląnęłyby po nią i nic by się nie stało. Ciągle sobie mówię, że trzeba było tak zrobić. Codziennie to sobie powtarzam.

- Już dobrze, Rudy - rzekł uspokajającym tonem Carl, kładąc rękę na ramieniu staruszka. Amanda miała rację. Nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem.

Mattie nie pozwoliła Rudy'emu wysiąść z łodzi. To przede wszystkim utkwiło Carlowi w pamięci z opowieści Rudy'ego. Dlaczego? Czemu nie zaprosiła go na filiżankę kawy, kawałek ciasta? Co one robiły na tej wyspie, zastanawiał się Carl, że nie chciały widzieć Rudy'ego?

Nie dawało mu to spokoju przez tydzień. Nie przychodziło mu na myśl żadne sensowne wyjaśnienie. I wtedy przypomniał sobie madame Pogrzebacz.

Miejsce, na które natknęli się pewnego pochmurnego popołudnia z McKinleyem i Simsem, trudno było nawet nazwać wioską. Kilka brudnych chat. Pusty chlew. Kościół bez wieży, jedna ściana rozwalona. Nie bardzo było na co patrzeć przed wojną, a teraz zostały tylko opuszczone ruiny.

Albo nie całkiem opuszczone. Zza jednego z domów wyskoczył, zapinając w biegu spodnie, Henny Sims.

- Tam jest mężczyzna! Jezu, przynajmniej wydaje mi się, że to mężczyzna.

W tym momencie w progu stanęła stara kobieta, zgięta niemal w pół, tak że musiała wykręcać szyję, żeby na nich spojrzeć, siwe włosy sterczały jej na wszystkie strony. Mówiła po francusku, a McKinley tłumaczył.

- On jest mój - powiedziała. - Nie możecie go zabrać. Opiekuję się nim. Jest mój. - I podniosła do góry przedmiot, który Carl wziął w pierwszej chwili za laskę, ale w rzeczywistości był to pogrzebacz. Trzymała go oburącz, wycelowany w nich, jak gdyby mógł utrzymać na dystans trzech uzbrojonych mężczyzn.

Amerykanie popatrzyli na siebie i Sims wzruszył ramionami.

- Z tego, co mogłem zobaczyć, i tak niewiele z niego zostało - powiedział. - W każdym razie na pewno brakuje mu ucha.

- Niech sobie zostanie - rzekł Carl, chcąc jak najprędzej odejść z tego miejsca.

- Nie mam nic przeciwko temu - zgodził się McKinley. - Facet, który jest na tyle zdesperowany, by mieszkać z kimś takim, powinien być wysłany na pustynię.

Trudno byłoby znaleźć kogoś bardziej niepodobnego do tamtej starej baby niż Mathilda, lecz Carl uświadomił sobie nagle, że ona, Amanda i starucha robiły to samo. Tyle tylko, że nieszczęsna

madame Pogrzebacz ukrywała Francuza, którego lata wojny doprowadziły na skraj szaleństwa, a może i dalej, Mathilda i Amanda udzieliły zaś schronienia zwykłemu amerykańskiemu obibokowi, mężczyźnie, który godził się, by inni, tacy jak Carl, poszli na wojnę i odwalali za niego brudną robotę, ryzykowali życie, podczas gdy on sam pozwalał, by zajmowały się nim dwie kobiety.

Carl zacisnął dłoń na srebrnym scyzoryku i rzucił go ze złością na stół. Ukrywały obiboka. Darmozjada o inicjałach C.J.O.

Był to nieprawdopodobny przeskok, a jednocześnie prosty krok od przekonania, że w domu na wyspie ukrywał się obcy mężczyzna, do pewności, że ów obibok zakochał się w Mathildzie. Czy odwzajemniła jego miłość? Oczywiście, że nie. Była dla niego uprzejma, błędnie uważając, że postępuje słusznie, może nawet mając nadzieję, że w razie potrzeby ktoś uczyni to samo dla Carla. Nie, jasne, że go nie kochała.

Ale to przypuszczenie denerwowało go i bolało. Z miłości robi się różne rzeczy, powiedziała Amanda, a potem się żałuje. O co jej chodziło? Dręczył się tą myślą, skubał ją po trochu niczym skórkę przy paznokciu, aż do krwi, wymyślał takie lub inne możliwości, aż wreszcie płynął znów do domu na wyspie, odrywał deski podłogowe, zdejmował ramy okienne, szperał po wszystkich szufladach, szukając dowodu.

Wreszcie siła, która napędzała Carla przez całe popołudnie, zaczęła stopniowo słabnąć, powstrzymał więc z powrotem do komody porozkładane po całym pokoju szuflady. Czuł się wyczerpany i nieoczekiwanie spokojny. Miał świadomość, że marnuje czas, że to, co zdarzyło się na wyspie, jest całkiem niewinne, że pewnej zimnej listopadowej nocy zdarzył się po prostu wypadek, nieszczęśliwy

wypadek. Czuł się idiotycznie, jak zwykle po takich incydentach. Obejrzał się przez ramię, zabobonnie wyczuwając, że ktoś go obserwuje - być może Mathilda - i śmieje się z jego szaleństwa. Wyszedł z domu i zaczął wiosłować z powrotem w stronę farmy, odkładając od czasu do czasu wiosła i pozwalając, by świeży popołudniowy wiatr osuszał jego skórę. Biedna Mattie, straciła wszystkie te długie lata wspaniałych letnich dni.

- Zdejmij łokcie ze stołu, Ruth - powiedziała Amanda, podając dziewczynce talerz z białym chlebem. - Ile razy mam ci to powtarzać?

Carl siedział ze wzrokiem utkwionym w talerz. Zdawał sobie sprawę, że częściej powinien zwracać uwagę Ruth, a nie zdawać się całkowicie na Amandę, ale nawet nie zauważył, że dziewczynka trzyma łokcie na stole.

- Pyszna szynka - powiedział.

- Cieszę się, że ci smakuje. Wiedziałam, że chętnie zjesz coś konkretnego po kopaniu rowów.

Carl poruszył się niespokojnie na krześle.

- Prawdę mówiąc, nie zajmowałem się kopaniem. Podaj mi kartofle, Ruth. Podlewaliśmy dziś młode drzewka w sadzie.

Amanda z głośnym brzękiem odłożyła nóż na brzeg talerza.

- Wydawało mi się, że wyjaśniłam ci, jak ważne są te rowy, Carl. - Postukała palcem wskazującym w blat stołu. - Ojciec zawsze upewniał się, czy rowy są oczyszczone w pierwszym tygodniu czerwca, a teraz zaczął się już trzeci. A jeśli przyjdzie ulewa? Na polach będzie stała woda.

- A jeśli deszcz nie spadnie? Te młode drzewka zaczynają już podsychać.

- Carl, musisz zawsze wybiegać myślą naprzód. Nie możesz po prostu przechodzić od jednej krytycznej sytuacji do drugiej. W ten sposób do niczego nie dojdiesz.

- Co się stało z tamtym dzieckiem? - spytała nieoczekiwanie Ruth. Trzymała w powietrzu widelec z plasterkiem buraka.

Przez chwilę nikt nie reagował, albowiem Amanda i Carl nie byli pewni, czy odczuwają ulgę, czy też irytację z powodu przerwania ich kłótni.

- Słucham, kochanie? - spytał w końcu Rudy.

- Chcesz dokładkę ziemniaków, Rudy? - Amanda przesunęła półmisek w jego stronę.

- Dziecko, które zabrałyśmy do jego matki - powiedziała Ruth.

- Jak ono się zgubiło?

- Zgubione dziecko? - spytał Carl. - Kto gubi dziecko?

- Pewnie mówi o jagnięciu - odparła Amanda.

- Nie mówię o jagnięciu. To było dziecko. Płakało, więc zanieśliśmy je do mamusi.

- Bocian przynosi dziecko mamie - rzekł Rudy.

- Nie - zaprzeczyła Ruth. - My to zrobiłyśmy. Ciocia Amanda ze mną.

- Ciocia Amanda i ja - poprawiła ją Amanda.

- Może przeczytałaś o tym w książce - powiedział Carl.

- Tak, na pewno, kochanie - dodał Rudy.

- Właśnie, że nie - rzekła buntowniczo Ruth, malując wzorki na talerzu różowym sokiem z buraków.

- Jesteś pewna? - spytała Amanda. - Czasami, kiedy coś czytam, potem mi się to śni, a gdy się budzę, nie jestem pewna, o czym czytałam, co mi się śniło, a co zdarzyło się naprawdę.

Ruth wsparła łokieć na stole, brodę na dłoni. Patrzyła przez ramię na podłogę, nie podnosząc wzroku na nikogo z obecnych.



- To było prawdziwe dziecko - powiedziała ponuro.
- Pamiętam, jak kiedyś szedłem z tobą, gdy byłaś jeszcze ma-  
lutka. Miałaś chyba okropną kolkę, bo płakałaś i płakałaś - przypo-  
mniał sobie Rudy.

Ruth wykrzywiła się do niego.

- Wcale nie! Nie płakałam!

Krzesło Amandy skrzyknęło głośno, gdy odsunęła je gwałtownie od stołu. Chwyliła Ruth z tyłu za kołnierzyk i postawiła na nogi.

- Przepróż natychmiast Rudy'ego, Ruth Sapphiro Neumann!

Ruth ukryła twarz w dłoniach.

- Przepraszam, Rudy. Przepraszam, że krzyknęłam na ciebie.
- Nie gniewam się, kochanie. - Mrugnął do niej.
- Idź teraz do swojego pokoju - poleciła Amanda. Odprowadzi-  
ła Ruth do drzwi kuchennych i patrzyła, jak wchodzi na górę po  
schodach. - Ruth - zawołała, gdy dziewczynka znalazła się na szczy-  
cie schodów.

Ruth przystanęła, ale nie obejrzała się.

- Zostawię dla ciebie trochę placka.

# Rozdział dziesiąty

## *A m a n d a*

- Pływać! - pisnął mi cieniutki głosik do ucha. - Pływać! Pływać!

Otworzyłam oczy i zobaczyłam Ruthie, stojącą przy moim łóżku, tak jak codziennie rano od dwóch tygodni.

- Chodźmy popływać - zawołała, klaszcząc w dłonie.

- Dobrze, słoneczko. Bądź tylko cicho, zaraz pójdziemy popływać.

Wciągnęłam ją do siebie do łóżka. Była połowa lipca i panował taki upał, że pociłam się nawet pod prześcieradłem, i nie mogłam zasnąć w nocy. Wydawało mi się, że zamknęłam oczy zaledwie godzinę temu.

- Pośpijmy jeszcze chwilę.

Ale Ruthie nie mogła uleżeć spokojnie. Kopała materac i wierciła się w moich ramionach, a słowo „pływać” wyrывało się z jej ust co kilka sekund. W końcu poddałam się. Woda przynajmniej nas ochłodzi.

- Uspokój się, Ruthie. Obudzisz mamusię - uciszałam ją, próbując upiąć warkocz.

- Cśśś, cśśś! - zawołała, skacząc na łóżku i klaszcząc w dłonie.

Podeszłam do niej i wyciągnęłam ramiona, ona zaś wskoczyła w nie z ostatnim przeraźliwym piskiem. Wyniosłam ją z domu i zanurzyłyśmy się w wodzie.

Pływałyśmy, choć prawdę mówiąc, trudno było nazwać to, co robiłam w wodzie, pływaniem. Byłyśmy w koszulach nocnych, ponieważ Ruth nie miała kostiumu kąpielowego, a mój nie wszedłby teraz na mnie, nawet gdybym zabrała go ze sobą.

Bawiłyśmy się przez chwilę na płyciźnie. Siedziałam na dnies jeziora, a chłodna woda pluskała wokół moich ud i talii. Ruth kucała. Pupę miała zanurzoną, lecz kolana suche. Nabierałam orzeźwiającej wody w dłonie i polewałam nią szyję. Ruth bryzgała wodą, mocząc nas obie, podekscytowana uczuciem rzucania czegoś, czego jej palce nie mogą utrzymać, oraz widokiem rozpryskujących się kropelek. Następnie położyła dłonie spokojnie na powierzchni wody, badając jej sprężystość, po czym zanurzyła je i przyglądała się palcom, które pod wodą wyglądały zupełnie inaczej niż w powietrzu. Sięgała po ładne kamyki i wybuchała śmiechem, gdy wyciągała tylko garść wody, ponieważ otoczaki leżały znacznie głębiej, niż się wydawało.

Niebawem zaczynała wędrować dalej i musiałam rzucać się za nią. Gdy woda sięgała mi do kolan, ona prawie pływała. Podtrzymałam dłonią jej mały jędrny brzusek, ale nie potrzebowała mojej pomocy. Utrzymywała się sama na wodzie, przebierając zapamiętane rączkami i nóżkami jak żółw, napinając mięśnie szyi, by utrzymać brodę nad wodą.

W pewnym momencie zawsze mi czmychała. Odpływała kawałeczek, po czym zatrzymywała się, żeby sprawdzić, czy zauważyłam. Odwracałam wzrok, udając, że nic nie widzę, dopóki nie schowała się pod gałązkami wierzby zwisającymi nisko nad wodą.

- Gdzie jest Ruth? - wołałam wtedy. Spod drzewa dobiegał jej śmiech. - Ciekawe, gdzie może być Ruthie?

- W końcu rozsuwałam firanę liści, brałam ją na ręce i brnęłam z nią przez wodę do brzegu.

Tego ranka Mathilda stała w drzwiach. Postawiłam Ruthie na piasku, ale Mathilda nie patrzyła na nią. Wlepiała wzrok we mnie, stojącą tam, w mokrej koszuli nocnej, oblepiającej ciało.

Gdy miałam czternaście lat, a Mathilda sześć, wpadła pewnego ranka do naszego pokoju, gdy się ubierałam. Do tej pory byłam zawsze ostrożna, upewniałam się, czy jest na dole albo czy zasnęła, zanim się przebrałam, tamtego dnia jednak przyłapała mnie. Miałam już koszulę nocną nad głową, a sukienka znajdowała się w drugim końcu pokoju. Mattie stanęła w progu, wytrzeszczając oczy.

- Zamknij drzwi! - powiedziałam.

Ale ona po prostu stała, gapiąc się na mnie. Powoli podniosła obie dłonie do wysokości piersi i nakreśliła w powietrzu dwa małe łuki. Nie umiała znaleźć słów, by opisać tę zdumiewającą rzecz. Nagle przestałam być siostrą, którą znała.

- Amando! - wyszeptała. I to wszystko.

Teraz ja podniosłam Ruthie do góry i przytuliłam mocno do siebie. Musiałam zasłonić jej ciałkiem moją coraz bardziej wybrzuszoną się tajemnicę.



Liście klonu miały dopiero wielkość dziecinnej dłoni, ale popołudniowe słońce przypiekało jak w lipcu. Kalendarzowe lato było co najmniej o tydzień spóźnione w stosunku do astronomicznego. Wszyscy widzieli, że już nastąpiło, ale lekcje ciągnęły się w nieskończoność i wciąż nie było widać końca szkoły.

Imogena i Ruth, Ray i Louis maszerowali chodnikiem, niezupełnie razem.

- Jaka matka, taka natka - powiedział Louis.

Ruth była strapiona. Czy to ma znaczenie, jeśli twoja matka naprawdę jest twoją ciotką? Stawiała ostrożnie stopy i poczuła wyraźną ulgę, gdy chodnik się skończył i mogła iść swobodnie skrajem drogi. Ray i Louis kopali przez cały czas kamyk, wzbijając kłęby kurzu.

- Fu, ależ nakurzyłeś - skrzywiła się Imogena, odwracając twarz.

Ray, na przekór, kopnął kamień jeszcze mocniej.

- Warto by coś zrobić - powiedział.

- Taak - zgodził się Louis. - Zróbmy coś.

- Trzeba by gdzieś pójść.

- Taak, chodźmy gdzieś. - Louis zatrzymał się i odwrócił, czekając, by Imogena i Ruth zrównały się z nimi.

- Chcecie gdzieś iść?

- Dokąd? - spytała Imogena.

- Nie wiem. Gdzieś indziej.

Imogena popatrzyła na Ruth.

- Znamy jedno takie miejsce.

Ruth zmarszczyła brwi.

- Nie, Imogeno, nie możemy - powiedziała szeptem. - Mojej ciotce by się to nie spodobało.

- No to pójdziemy bez ciebie. - Imogena dogoniła w podskokach chłopców.

Ruth przyglądała się, jak ruszają razem drogą. Było jej przykro, ale nie mogła ruszyć się z miejsca. Wiedziała, że ma rację.

Dziesięć kroków, jedenaście, dwanaście, po czym Imogena zawróciła, podbiegła do niej i chwyciła ją za rękę, ciągnąc naprzód.

- Ruth, proszę cię, chodź. Nie chcę iść bez ciebie. Błagam, nie psuj zabawy.

Gdy dotarli do leśnej ścieżki, Ruth niechętnie wlokła się za nimi. Zieleń była jeszcze delikatna, a liście nie zbiły się w gęstą, nieprzeniknioną zasłonę, lecz stykały się zaledwie brzegami, tworząc misterną koronkową firanę. Szttywne gałęzie wypuszczały świeże giętkie pędy, a ścieżka była porośnięta małymi jasnozielonymi pokrzywami i młodymi odroślami trującego bluszczu, trzeszczącymi pod ciężkimi butami dzieci.

- Musimy popłynąć łódką - powiedziała Imogena z zarzuciła miną, kładąc dłoń na burcie. - My wsiadamy, a wy, chłopcy, spychacie ją na wodę - zarządziła.

Chłopcy zepchnęli łódź, a następnie sami wdrapali się do niej, mocząc stopy, ale to Ruth umocowała wiosła w dulkach i zaczęła wiosłować. Przecież łódź należała do jej rodziny.

Louis wślizgnął się na ławeczkę obok niej.

- Pozwól, że będę wiosłował z tobą - powiedział. Ruth zgodziła się.

Lekkim zygzakiem płynęli w stronę wyspy.

- Sprawdź, jaka jest woda - oznajmiła siedząca na dziobie Imogena, mocząc palce. - Wymarzona!

- Na tej wyspie urodziła się Ruth - powiedziała w chwilę później. - Tutaj utonęła jej mama. Dlatego zabroniono Ruth pływać.

Ruth nachmurzyła się. Imogena nie powinna mówić takich rzeczy.

- Moja mama nie utonęła na wyspie.

- Cóż, oczywiście, nie miałam na myśli wyspy - mówiła dalej niewzruszona Imogena - lecz gdzieś tutaj. Mogła utopić się dokładnie w tym miejscu. - Przechyliła się przez burtę i dźgnęła palcem w wodę.

Ruth zagapiła się w ten punkt. Można wpatrywać się i wpatrywać w wodę, ale i tak widoczność sięga zaledwie kilkudziesięciu centymetrów. Cały inny świat znajduje się znacznie głębiej i nigdy go nie poznasz.

Przez pewien czas, gdy Ruth była mała, wierzyła, że jej matka jest kimś w rodzaju syreny, która mieszka w domu na dnie jeziora. Lubiła marzyć za dnia i bez końca wzbogacała swoje fantazje o coraz to nowe szczegóły, dodając Mathildzie, którą znała ze zdjęć, ogród, w którym rosły wodorosty, oraz sąsiadów. Wyobrażała sobie podwodną pocztę, gdzie Mathilda odbierała kamyki, na których Ruth wydrapywała wiadomości, zanim nauczyła się pisać. W snach natomiast ta łagodna wizja stawała się koszmarem. Śniły jej się ręce, wynurzające się z wody, by ją schwytać, ciągnące ją w głąb za nogi, za ręce, za włosy, trzymające ją, dopóki się w końcu nie zbudziła, z trudem łapiąc powietrze.

Teraz zamrugała powiekami i spojrzała na Imogenę.

- Nie - zaprzeczyła. - To chyba nie tutaj.
- Powiedz, dokąd mam dopłynąć - poprosił Louis, wspierając się na wiosłach.

Byli już bardzo blisko wyspy.

- Opłyn ją dookoła i przybij do brzegu po prawej stronie - poinstruowała go Ruth. - Tam jest piaszczysta plaża.

Wciągnęli łódkę najdalej, jak tylko mogli, na mały spłachetek piasku i na wszelki wypadek okręcili cumę wokół młodego drzewka.

- Chodźcie, obejrzyjmy dom - zawołał Ray.
- Jest zabity deskami - powiedziała Ruth.

Ale Ray i tak pobiegł w stronę domu i pchnął drzwi.

- Właśnie, że jest otwarty - krzyknął.

- To sobie idźcie - powiedziała Ruth, stojąca na dole, przy schodkach. - Ja posiedzę nad wodą. - I gdy cała trójka weszła do środka, ona wróciła nad jezioro.

Wierzba rosła na samym brzegu, tak że jej długie cienkie gałązki zwieszały się nad płycizną, tworząc rodzaj domu. Ruth, owinawszy gałązkę wokół dłoni i zawisnąwszy na niej przez chwilę, by sprawdzić, czy utrzyma jej ciężar, zajrzała pod baldachim. Woda tu była chyba spokojniejsza i miała głębszy odcień zieleni. Szum fal, uderzających o kamienie, wydawał się głośniejszy, natomiast odgłosy z zewnątrz - śmiechy i rozmowy dzieci - były przytłumione. Tu mogłaby mieszkać syrena, gdyby takie stworzenia w ogóle istniały. Teraz Ruth wiedziała już, oczywiście, że nie istnieją.

Po chwili nieoczekiwanie wróciła Imogena z chłopcami.

- Nic tam nie ma - powiedział Ray. - Tylko trochę mebli i jakieś rupiecie.

- Ja uważam, że dom jest ładny - stwierdziła lojalnie Imogena. - Czemu jest otwarty, Ruth? Zamierzacie wprowadzić się do niego z powrotem?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Może dostali się tam jacyś włóczędzy? - zasugerował Louis.

- Założę się, że to kryjówka gangsterów - rzekł Ray.

- Wcale nie - zaprotestowała Imogena. - Nie przejmuj się, Ruth.

Ale Ruth, która wciąż myślała o grocie pod gałązkami wierzby, nie słyszała w ogóle tej wymiany zdań. Louis zaczął zdejmować buty.

- Wchodzę do wody.

- Ja też - powiedział Ray, odpinając koszulę.

Chłopcy rozebrali się do krótkich spodenek i wbiegli do wody, pokrzykując, gdy stopy ślizgały im się na kamieniach.



- Nie jest zimna! - zawołał Ray. - Chodźcie!

Imogena już brodziła ostrożnie przy brzegu, unosząc do góry spódniczkę.

- Jest za zimna, Rayu Johnsonie - oświadczyła, oglądając się na Ruth. - Moja mama mówi, że woda w jeziorze jest dość ciepła, żeby w niej pływać, dopiero w lipcu. Dostałaby ataku, gdyby się dowiedziała, że zanurzyłam choćby palce u nóg o tak wczesnej porze roku. - Brodziła jednak coraz głębiej i głębiej, aż wreszcie straciła równowagę i klapnęła na pupę, rozbryzgując wodę. Chłopcy wybuchnęli śmiechem, a ona śmiała się wraz z nimi, odgarniając mokre włosy z twarzy. - No tak, chcąc nie chcąc, ja też jestem w wodzie. Mogę wobec tego równie dobrze popływać. Chodź, Ruth. Chodź do mnie. Jest przyjemnie, naprawdę przyjemnie.

Louis strzyknął wodą między zębami.

- Tak, chodź, Ruth! No, nie daj się prosić!

Cała trójka chlapała na dziewczynkę wodą, wszyscy krzyczeli coraz głośniej i głośniej, jak gdyby chcieli przekrzyczyć się wzajemnie, ale gdy nadal się ociągała, kręcąc głową, stracili zainteresowanie.

- Spójrzcie, znalazłem głębiej - powiedział Ray i zniknął.

- Daj, ja też spróbuję - rzekł Louis, gdy głowa Raya ukazała się znów na powierzchni.

- Zobaczymy, kto potrafi popłynąć najdalej pod wodą - powiedziała Imogena. - Ja będę sędziową.

Ruth przyglądała się im, listowie wierzby spowijało jej ramiona niczym peleryna. „Zawsze lubiłaś chować się na płyciźnie pod wierzbą” - mówiła co wieczór ciocia Mandy, gdy Ruth leżała już w łóżku z zamkniętymi oczami. Opowiadała jej którąś ze swoich historyjek o „dawnych czasach”, żeby ją uspić. „A twoja mama i ja wołałyśmy:

«Gdzie jest Ruthie? Gdzie podziała się nasza dziewczynka?». W końcu nie mogłaś dłużej wytrzymać. Wybuchłaś śmiechem i znajdowałyśmy cię. Zawsze cię znajdowałyśmy». Ruth schyliła się, by rozwiązać buty.

Nie spuszczać wzroku z pozostałej trójki, co pozwalało jej odebrać uwagę od tego, co robi, i kurczowo trzymając się owiniętych wokół dłoni wierzbowych gałązek, Ruth weszła powoli do chłodnej wody. Imogena demonstrowała teraz swój styl pływacki, wyskakując z błękitno-zielonej wody i zanurzając się w niej z powrotem, jak żaba.

Ruth brodziła niepewnie w jeziorze, na nowo przeżywając zapomniane wrażenia, jakie daje dotyk chłodnej wody na skórze, śliskie od alg kamienie pod stopami, słońce skrzące się w kropelkach wody na rzęsach. Wchodziła coraz głębiej, pokonując łagodny opór wody, burząc dłonią gładką powierzchnię i uginając nogi w kolanach, żeby woda sięgnęła jej łaskotliwie do ud.

- Hej, Ruth idzie do nas! - wrzasnął Louis.

Ray pokazywał Imogenie, jak ma zatykać nos i fikać koziołki.

- Chcesz popływać, Ruth? - spytał. - Nauczymy cię. Zobacz, to naprawdę bardzo łatwe.

Wszyscy troje zbliżyli się do niej, zostawiając za sobą na wodzie ślady w kształcie litery V.

Gdzie ona jest? Amanda odsunęła całkiem na bok brzeg zasłony, jak gdyby ten wąski pasek materiału mógł zasłaniać Ruth pojawiającą się na podwórzu. Powinna być w domu już godzinę temu. Gdy wychodziła, Amanda powiedziała jej, że po południu trzeba zapędzić owce na dolną łąkę. Nagle uderzyła ją pewna myśl, i to tak mocno, że niemal się zachwiała. Już wiedziała, gdzie jest Ruth.

Oczywiście, gdy dotarła nad jezioro, okazało się, że ich łódka zniknęła. Idąc brzegiem, wzdłuż zakola zatoki, myślała ponuro, że będzie musiała zatem skorzystać jeszcze raz z łodzi Joego Tully'ego.

Dawno nie używana łódź wiosłowa Tullych była brudna, do ławeczki przyłgnęły ślimaki, ale Amanda starła je kilkoma garściami trawy, po czym jednym silnym pchnięciem spuściła łódź na wodę. Wskoczyła do niej bez wysiłku w ostatniej chwili, nie mocząc nóg. Wiosłowała energicznie, dopóki nie usłyszała dziecięcych głosów, skrzeczących niczym mewy walczące o rybę. A potem, zerknąwszy przez ramię, zobaczyła ich przy drugim końcu wyspy, małą ciemną główkę, sunącą po tafli wody, dwóch chłopców, zagrzewających pływakkę, oraz Ruth w jeziorze za nimi.

Ileż to razy ostrzegała Ruth, żeby trzymała się z dala od wody? Carl, Mary Louise i nawet Joe wielokrotnie prosili ją, by pozwoliła im uczyć Ruth pływania. Twierdzili, że dzięki temu będzie potem bezpieczna. Nie ma więc powodu do niepokoju. Ale Amanda dobrze wiedziała, jak płonne były te nadzieje. Mathilda potrafiła pływać jak kaczką, a jednak utonęła. Ruth będzie bezpieczna tylko wtedy, gdy będzie się trzymała z dala od wody. A teraz stała zanurzona do połowy w jeziorze, a obok niej dwaj chłopcy, o białej, nieopalanej skórze, wyzywająco nadzy po pas.

Ruth usłyszała głos Amandy, zanim zobaczyła, jak wiosłuje w ich stronę.

- Co wy wyprawiacie? - poniósł się krzyk po jeziorze, tak wściekły, że usłyszała go nawet Imogena, choć jej uszy znajdowały się częściowo pod wodą. Przestała pracować rękami i nogami, stając

na dnie. Wszyscy gapili się na Amandę, zbyt zdumieni, by cokolwiek powiedzieć.

- Co ty tu robisz? - krzyknęła znowu, kierując pytanie wyraźnie do Ruth.

- Ja... ja pływam - odparła Ruth.

Amanda usłyszała głos Mathildy, dochodzący z głębi wody obok dziewczynki. Imogena roześmiała się.

- Prawdę mówiąc, jeszcze nie potrafi pływać. Ale uczymy ją.

Amanda powiodła spojrzeniem od jednej dziewczynki do drugiej. Popatrzyła na chłopców, szczerzących zęby w uśmiechu. Czuła, jak zalewa ją fala wściekłości, która zaczyna się gdzieś głęboko w jej trzewiach, a następnie wzbiera, wypełniając wszystkie tętnice i żyły, niemal wysadza jej na wierzch oczy, powoduje, że nabrzmiewają nią nawet koniuszki palców. Usłyszała własny głos, przedrzeźniający Ruth, jak gdyby z oddali.

- „Pływam” - powtórzyła. - Ja cię nauczę pływać!

Dzieci stały, wlepiając w nią wzrok, gdy zaczęła wiosłować z surową miną w ich kierunku. Zbliżała się coraz bardziej, długie, silne pociągnięcia wiosła sprawiały, że woda przelewała się przez burty do środka łodzi. Najpierw chłopcy, a zaraz po nich Imogena, zaczęli się cofać, cofać, aż wreszcie zawrócili i pobiegli w stronę brzegu. Ruth natomiast stała bez ruchu, czekając.

Amanda zatrzymała łódź na płyciźnie tuż obok dziewczynki, tak blisko, że ich twarze znalazły się na tym samym poziomie. Ruth widziała, jak mocno ciotka zaciska zęby. Widziała też kropelki potu u nasady włosów i drobne zmarszczki, przypominające małe skaleczenia, wzdłuż górnej wargi Amandy.

- Co...? - Tyle tylko zdołała wykrztusić, zanim Amanda pochyliła się ku niej, wyciągając stanowczym gestem jedną rękę. Ruth ujęła ją.

- Właż natychmiast - powiedziała Amanda, pociągając dziewczynkę tak mocno, że Ruth wpadła do łodzi, twarzą na ławeczkę. - Wstawaj!

Ruth była przerażona - głos ciotki brzmiał obco, nie przypominał ani trochę głosu Amandy. Mimo to wstała posłusznie, obciążając mokrą sukienkę i nie spuszczać wzroku z wody, kapiącej na dno łódki wokół jej stóp.

Amanda zaczęła wiosłować. Nie patrzyła na Ruth, lecz nad jej ramieniem na wyspę. Z zaciśniętymi zębami napierała na wiosła z taką energią, że żyły na jej rękach nabrzmiały jak postronki. Wyływały coraz dalej na jezioro, ale Ruth nie oglądała się.

Wreszcie Amanda przestała wiosłować. Potrzymała przez chwilę wiosła, by obciekły, po czym wrzuciła je do łodzi. Potem wstała i uczyniła krok w stronę Ruth. Łódź zachybotwała się gwałtownie i Amanda chwyciła się burt, żeby nie stracić równowagi. Czekwała spokojnie, dopóki łódź nie przestała się kołysać, po czym zbliżyła się do Ruth.

- Stań na ławce - nakazała jej, gdy była już blisko dziewczynki.
- Nie. Co ty robisz? Nie chcę.
- Powiedziałam, włącz na ławkę.

Powoli, bardzo powoli, Ruth podciągnęła stopy na ławkę, na której siedziała, i wyprostowała nogi. Łódka znów się zakołysała i dziewczynka przykucnęła, łapiąc się burty.

- Wstań, Ruth.
- Ależ, ciociu Mandy!
- Muszę dać ci nauczkę, Ruth! - powiedziała Amanda piskliwym głosem, drżącym z wściekłości. - Wstawaj!

Ruth wstała jeszcze wolniej niż za pierwszym razem.

- Odwróć się.

Ruth odwróciła się. Amanda stała za nią tak blisko, że Ruth czuła ją, chociaż się nie dotykały.

- Mówiłam ci, żebyś nie chodziła nad wodę, Ruth.

- Przepraszam.

- Zabroniłam ci, a ty mnie nie posłuchałaś. Czy nie mogę mieć do ciebie zaufania, Ruth?

Ruth stała z wyzywającą miną. Słońce skrzyło się, zapalając na zielonej tafli wody miriady gwiazd i brylantów. Ich błyski oślepiły ją. No, zrób to, pomyślała. Dalej! Zrób to.

- Skoro chodzisz nad wodę, muszę nauczyć cię pływać.

Amanda popchnęła ją mocno, ale nie tak mocno, żeby Ruth nie mogła utrzymać równowagi, gdyby chciała. Ale Ruth nawet nie próbowała. Frunęła nad wodą, rzucając cień na fale, zanim w końcu zamknęła się nad nią toń jeziora.

Woda zalała jej oczy i uszy, otoczyła nogi, ręce, szyję. Wciągała ją coraz głębiej i próbowała przytulić ją do piersi. Przez chwilę pozwalała na to. Przez chwilę tonęła.

I nagle ogarnął ją paniczny strach. Machała rękami jak cepami, walcząc z miękkością, która się nie cofała. Wierzgała nogami, aż udało jej się wreszcie poderwać w górę.

Jej głowa wychynęła na powietrze. Ruth zachłysnęła się solidnym łykiem wody. Z ulgą zobaczyła, że Amanda jest tuż obok, stoi w łodzi, patrząc w jezioro, obserwując jej walkę.

- Robię to dla ciebie, Ruth. Muszę nauczyć cię pływać - powtórzyła Amanda. Usiadła i zaczęła wiosłować w stronę brzegu.

Tym razem do przerażenia Ruth dołączyła się konsternacja.

- Stój! - krzyknęła, przy czym woda znowu zalała jej usta. Poruszała gorączkowo rękami i nogami, ale jej ruchy były nieskoordynowane. Stopy plątały się w sukience, dłonie młóciły wodę. Wiedziała jednak, że zachowuje się prawidłowo. Teraz mogła powiedzieć, że potrafi utrzymać się na powierzchni przez parę chwil, to znaczy tyle, ile zajmie ciotce wyłowienie jej.

Ale Amanda nie zamierzała przyjść jej z pomocą.

- No, dalej, płyn - krzyknęła, wyjmując wiosła z wody.

Łódź była oddalona zaledwie o kilka metrów. Ruth wierzgała i trzepotała się jak szalona. Wyrzucała ręce przed siebie, to lewą, to znów prawą, próbując uchwycić się łodzi. Jakimś sposobem udało jej się posuwać naprzód. Pas wody oddzielający ją od łódki stawał się coraz węższy i węższy, aż skurczył się tak bardzo, że mogła prawie dotknąć rufy. Wyciągnęła rękę, spodziewając się, że Amanda złapie ją, pośpieszy jej na ratunek, wciągnie ją do łodzi, ale ciotka tylko zanurzyła wiosła z powrotem w wodzie i łódka zaczęła znowu się oddalać.

Amanda powtarzała kilkakrotnie ten manewr, pozwalając Ruth zbliżyć się na tyle, że już prawie dosięgała łodzi, po czym odpływała. Ruth krzyczała, krztusząc się zielonkawą wodą. Błagała Amandę, żeby się zatrzymała, żeby jej pomogła, ona jednak tylko odwracała głowę, żeby ustalić swoje położenie i otrzeć łzy rękawem sukni, po czym płynęła dalej.

Gdy już były blisko brzegu, Ruth przestała krzyczeć. Była zbyt zmęczona i przemarznięta. W końcu Amanda włożyła wiosła do łodzi. Siedziała bez ruchu, dopóki Ruth nie znalazła się obok łodzi, a wtedy uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. Chciała chwycić dziewczynkę, ale Ruth płynęła dalej.

Gdzieś, z drugiej strony łodzi, wyskoczyła w powietrze ryba. Ruth słyszała, jak wpada z powrotem do wody z głośnym pluskiem. Amanda usłyszała to również i, przestraszona, instynktownie obejrzała się. Gdy Ruth zauważyła, że Amanda się odwraca, wstrzymała oddech i dała nurka pod wodę. Wynurzyła się dopiero za zasłoną wierzbowych gałązek.

Fale rozbijały się z szumem o głązy, słońce przeświecało przez liście i rysowało na tafli jeziora złociste refleksy różnych kształtów. Ruth usiadła na dnie jeziora z kolanami podciągniętymi pod brodę. Widać stąd było między gałązkami Amandę, która wpatrywała się w tamto miejsce, gdzie zniknęła jej siostrzenica. Ruth widziała jej twarz jak gdyby w powiększeniu, malujące się na niej niedowierzanie i strach.

W następnej chwili Amanda rzuciła się naprzód i wskoczyła do wody. Jedno wiosło wpadło za nią. Rozgarniała rękami wodę, nurkowała, tłukła pięściami w powietrze.

- Ruth! - krzyczała. - Ruth, wracaj!

Ale Ruth nie odpowiadała. Żałowała, że nie może pozwolić Amandzie, by ją uratowała, było jednak za późno. Już nie tonęła. W końcu rozchyliła gałązki i popłynęła, wprawdzie nie z takim wdziękiem jak Imogena, lecz wzbijając fontanny wody i robiąc mnóstwo hałasu, mimo to jednak posuwając się stale naprzód. Pozostawiła za sobą tyle piany, żeby wszyscy zobaczyli, że umie pływać.



# Rozdział jedenasty

## *A m a n d a*

Mattie nie powiedziała: „Jak mogłaś?!”, tak, jak ja bym to zrobiła na jej miejscu. Nie leżało to w jej naturze, a ja niemal tego żałowałam. Ciężko mi było dźwigać wszystko samej, wzajemne oskarżenia i poczucie winy. Czasami czułam, że ledwie udaje mi się podołać temu brzemieniu.

- Kto to jest? - odważyła się natomiast spytać.

Myśl o nim i o tym, co zrobiliśmy, sprawiła, że żółć podeszła mi do gardła.

- Nieważne - odpowiedziałam. - Nigdy go więcej nie zobaczę, jeśli tylko będę mogła tego uniknąć.

I jeśli nawet miałam nadzieję, że los zrządzi inaczej, jeśli czasem pragnęłam, żeby się zjawił i chwycił mnie w ramiona, zapewniając, że wszystko będzie dobrze, wiedziałam, mówiąc te słowa, że nigdy tak się nie stanie.

Mathilda prawie się do mnie nie odzywała przez następne dwa dni, ale trzeciego dnia stanęła wieczorem w progu mego pokoju, płacząc.

- Biedna Amanda. To musi być dla ciebie okropne.

- To moja wina. Gdybym postąpiła jak należy, nigdy by się to nie stało. - Ale również się rozplakałam. Co my poczniemy, maleństwo i ja?

Mattie przyszła do mnie do łóżka i spałyśmy razem, tak jak kiedyś, gdy była niemowlęciem i trzeba ją było utulić. Nazajutrz rano przedstawiła mi swój plan.

- Powiemy, że je znalazłyśmy.

- Znalazłyśmy? Gdzie?

- Och, gdziekolwiek, nieważne. Powiedzmy, że przyszła do nas jakaś dziewczyna. Wiedziała, że jesteś pielęgniarką, i szukała u nas pomocy. Nieszczęsna najęta do pracy dziewczyna. To był strasznie ciężki poród. Najgorszy, z jakim miałaś do czynienia przez wszystkie lata pracy w zawodzie.

- Tylko trzy.

Mattie pokręciła niecierpliwie głową.

- To nie ma znaczenia. To był bardzo ciężki poród, krwawiła i krwawiła. Zrobiłaś, co w twojej mocy, co tylko było możliwe, ale wszystko na nic. - Zwiesiła dramatycznie głowę, łzy zawisły jej na rzęsach. - I nie było nikogo, kompletnie nikogo, kto mógłby zająć się wychowaniem biednego maleństwa, toteż przywiozłaś je do mnie. Wiedziałaś, że będę dla niego dobra i będę je wychowywała razem z moją córką jak własne.

Przez chwilę protestowałam, że nie mogę tego od niej wymagać. Upierałam się, że wymyślę jakiś inny sposób. Nie będę jej w to wciągała. Ale czy tego już nie zrobiłam? Czy zmuszając ją do przeniesienia się na wyspę, nie miałam nadziei, że się w jakiś sposób mną zajmie, tak jak ja zawsze zajmowałam się nią?

Gdy Mathilda przedstawiła mi swój plan, ciężar, który odczuwałam, zmniejszył się. Może nie zniszczyłam jeszcze całkiem naszego życia. Będę zarówno dla tego maleństwa, jak i dla Ruth, ciocia

Mandy. Będę trzymała je na kolanach i kołysała do snu. Będę całowała jego aksamitną główkę, uczyła je liczyć i chroniła przed całym światem, zapewniała mu bezpieczeństwo. I ja też będę bezpieczna. Nikt nigdy się nie dowie prawdy.

Tamtego wieczora po raz pierwszy, odkąd przeniosłyśmy się na wyspę, uklękałam z Ruthie i Mattie na zielonym dywaniku przy łóżku Mathildy i szeptałam razem z nimi: „Teraz położę się spać”. Nie mogłam jednak zasnąć. Czułam zbyt wielką ulgę. Po raz pierwszy byłam podekscytowana perspektywą narodzin maleństwa, które teraz wierciło się i kopało w moim brzuchu, jak gdyby też było rozemocjonowane.

- Mathilda będzie twoją mamą - wyszeptałam, głaszcząc mój okrągły, napięty brzuch - ale ja zawsze będę cię kochała. - I naprawdę czułam, że będę zdolna obdarzyć miłością tę niespokojną istotę. - No, proszę - powiedziałam. - Tańcz.

Leżałam tak bezsennie przez godzinę, a może dłużej, aż wreszcie obudziłam Mathildę.

- Weźmy Ruthie i chodźmy popływać.

Podczas gdy Mattie i Ruth pluskały się na płyciźnie, wypłynęłam daleko w jezioro. Leżałam na plecach, unosząc się na wodzie. Moje dzieciątko wystawało z czarnej wody niczym jasna mała wysepka, a ja uśmiechałam się do mlecznobiałego księżycyca.

Potem przygotowałam dla nas ucztę - purée ziemniaczane, bekon i maliny z bitą śmietaną. Ruth zasnęła nad deserem, ale niebo na wschodzie było już perłowszare, gdy obie z Mattie, wyczerpane, wgramoliłyśmy się do łóżek.



Popełniła błąd, postępując w ten sposób z Ruthie, wpychając ją do wody. Amanda przekonywała samą siebie, że dziewczynka

przynajmniej potrafi pływać, ale w głębi duszy wiedziała, że nie chodziło jej o to, by oswoić dziecko z wodą. Nie była pewna, o co naprawdę jej chodziło, i to ją przerażało. Łapała się na tym, że co jakiś czas spogląda w górę. Co pomyślałaby Mathilda?

Wiedziała tylko jedno - że chce przyciągnąć Ruth z powrotem do siebie. Ruth należała do niej, a nie do tych chłopaków, nawet nie do Imogeny. Amandę ogarniała złość nawet teraz, gdy przypominała sobie, jak dzieci brodziły głupio w wodzie, ich piskliwe głosy. Musiała otrząsnąć się nawet teraz, w trzy lata później, by uwolnić się od goryczy, która ją przepętniała. Jak Ruth mogła ją zdradzić dla tamtych dzieciaków? To przecież ona i Ruth miały razem stawić czoło wodzie i wyjść zwycięsko ze starcia z żywiołem, który zabrał im wszystko. Tymczasem Amanda zdała sobie z zaniepokojeniem sprawę, że jezioro znowu może zostać jej skradzione. Od tamtego popołudnia Ruth, którą kiedyś przywołała do życia, którą podniosła, zakrwawioną, po upadku ze schodów, którą szkoła musiała niemal siłą wydrzeć spod jej skrzydeł, wyraźnie się jej wymykała.

Ruth przeważnie robiła to w subtelny sposób. Spędzała po prostu więcej czasu niż zwykle w zabudowaniach gospodarczych, wykonując swoje obowiązki domowe, nie spieszyła się ze szkoły do domu, pytała o radę ojca, a nie, jak przedtem, Amandę - tylko Amandę. Ktoś inny być może nie zauważyłby zmiany, lecz Amanda zauważyła. Wiedziała, że nie powinna reagować, że powinna pozwolić dziewczynce wycofać się - w końcu i tak do niej wróci - lecz nie potrafiła. Prawie wbrew sobie, próbowała bez przerwy sięgnąć po Ruth, lecz za każdym razem, gdy jej palce zwierzały się, zdawały się znów ześlizgiwać, i dziewczynka, która niegdyś lgnęła do niej, jak gdyby była samym życiem, teraz się odsunęła.

Ale przecież to nie będzie trwało w nieskończoność, pomyślała Amanda. Nie może trwać. Tymczasem Ruth przyprowadziła jej Imogenę.

- Dziewczęta! - zawołała Amanda z dołu schodów, ocierając twarz rękawem. Obiecały jej pomóc w wekowaniu pomidorów, a woda już się gotowała, w kuchni było gorąco.

Lubiła je wołać, cieszyła ją myśl, że śpią obie w jej domu, tak jak to powinno być od początku.

- Dziewczęta - zawołała ponownie, tym razem z nutką niecierpliwości w głosie. - Nie chcecie chyba przespać dnia.

Nadal jednak nie usłyszała żadnej odpowiedzi. Amanda weszła po schodach na piętro i otworzyła drzwi do pokoju Ruth. Gdy Ruth nie spała, jej buzia szesnastolatki, która zachowała dziecinną okrągłość, zniknęła, uwypuklały się dorosłe rysy, co Amanda odbierała niemal jako afront, jak gdyby owo dojrzewanie było również częścią wysiłków Ruth, by przeobrazić się w kogoś, kogo jej ciotka nie pozna. Jednakże śpiąca, zwinięta w kłębuszek, tak jak w tej chwili, była wciąż małą dziewczynką, którą Amanda znała tak blisko. I spała tutaj jej kochana Imogen, która również wyglądała na młodszą, niż była w rzeczywistości, gdy leżała tak rozciągnięta w poprzek łóżka, z jedną zgrabną stopą zwisającą poza materacem. Amanda ujęła ją w dłoń.

Kto wie, jaką dziwaczką stałaby się Ruth, gdyby była pozostawiona sama sobie, odrażona przez te okropne dzieciaki w szkole? Tymczasem dzięki przyjaźni z Imogeną była, jeśli nie popularna, to przynajmniej akceptowana, i w konsekwencji zaczęło zależeć jej na tym, co inni - poza Amandą - myślą o niej. Zaczęła kręcić włosy i uśmiechać się, jak wszystkie inne dziewczynki. Chciała nawet

ostrzyć włosy na pazia. Chociaż Amandzie brakowało dziecka, przestraszonego i wojowniczego zarazem, które wydawało się przywiązane tylko do niej, zdawała sobie sprawę, że jest to zmiana na lepsze, i odczuwała wielką wdzięczność dla dziewczynki, której stopa spoczywała w jej dłoni.

- Obudź się, Imogeno - powiedziała nagle Ruth, unosząc głowę z poduszki. Przestraszyła dziewczynkę, która aż sapnęła z zaskoczenia i wyszarpnęła stopę z palców Amandy. - Już wstajemy - powiedziała Ruth do ciotki.

- Możesz zejść na dół.

Ale Amanda weszła najpierw do pokoju Carla i pościeliła łóżko, a następnie ogarnęła własny pokój, słuchając szczebiotu ubierających się dziewczynek. Gdy strzepywała poduszki, zauważyła stojącą w progu Imogenę.

- Mama zwykle czesze mi włosy - powiedziała dziewczynka. - Może to pani zrobić dla mnie? - Wyciągnęła szczotkę do Amandy.

Amanda usiadła na łóżku i poklepała materac obok siebie. Ręka jej drżała, gdy wzięła szczotkę, uspokoiła się jednak, kiedy zaczęła czesać włosy Imogeny, podnosiła je, przyglądała palcami. Przytuliła ich pukiel do policzka, przysunęła nos do czubka głowy dziewczynki. Ale Imogena robiła się coraz bardziej niespokojna. Zbyt grzeczna, żeby cokolwiek powiedzieć, wierciła się niecierpliwie, nie mogąc usiedzieć w miejscu.

- Czy zapleść ci warkocze - spytała Amanda - tak jak chesałam mamę Ruth?

- Jak na zdjęciu?

- Tak.

- Dobrze. - Imogena skinęła z zadowoleniem głową.

Wczorajszego wieczora oglądały fotografię, stojącą na komódce Ruth, i prosiły Amandę, by opowiedziała jeszcze raz historyjki o

Mathildzie, którymi kiedyś racyła Ruth. Było to zwykłe zdjęcie dwóch sióstr, siedzących na skraju werandy. Amanda pamiętała matkę, stojącą na podwórku z głową pochyloną nad nowym aparatem fotograficznym Brownie.

- Spójrzcie na mnie - powiedziała. Amanda, oczywiście, posłuchała, lecz w ostatniej chwili coś odwróciło uwagę Mattie - szczekanie psa, trzepot skrzydeł kurczaka lub migotanie światła w krzaku bzu - kto to teraz może wiedzieć? Matka uważała, że zdjęcie jest nieudane z powodu roztrzepania Mathildy, i włożyła je na ostatnią stronę albumu, nie zadając sobie nawet trudu, by umocować rogi czarnymi papierowymi trójkącikami.

Ale Carl lubił tę fotografię.

- To cała ona - powiedział. - I ty też jesteś bardzo do siebie podobna, Amando - dodał uprzejmie. Kazał zrobić powiększenie i podarował zdjęcie Ruth, oprawiwszy je przedtem w ładną drewnianą ramkę, na jej dwunaste urodziny. Jeśli Amanda dobrze pamiętała, właśnie tyle lat miała Mathilda, gdy robiono jej to zdjęcie.

- Gdzie jest tata? - spytała Ruth, gdy wreszcie znalazły się w kuchni. Ostatnio Carl rzadko bywał tam, gdzie powinien być, i jego ciągła nieobecność trapiła Ruth.

Amanda poczuła ukłucie zazdrości i w tej samej chwili oparzyła sobie palce, wyjmując świeżo pasteryzowany słoik z gorącej kąpieli.

- Gdybyś wstała wcześniej, żeby mi pomóc, wiedziałabyś - rzekła z irytacją. - Pojechał z Rudym do Slinger, załatwić nowy traktor.



Carl również był rozdrażniony.

- Straciłem cały ranek - skarżył się, gdy wracali z Rudym do domu. Ostatnio w ogóle nie sypiał, albowiem gdy tylko zamykał

oczy, natychmiast podnosiła się kurtyna, odsłaniając scenę, która kiedyś mu się przyśniła, a teraz nie mógł jej wymazać z pamięci - Mathilda tonie w czarnej otchłani, ręce i nogi ma powykęcane, splątane włosy unoszą się w wodzie za nią, odsłaniając usta, otwarte w niemym krzyku, a może w śmiechu, trudno powiedzieć.

- Co możesz na to poradzić? - Rudy był zgodny co do tego, że traktor nie był wart swojej ceny.

- Po prostu nie znoszę marnować czasu. I potrzebny jest nam traktor.

Nie stać ich jednak było na traktor, mimo że farmer przystał na rozsądną propozycję. Głupotą było marnowanie benzyny na podróż, żeby tylko go obejrzeć. Weiss i kilku innych farmerów grozili, że wyleją mleko prosto na Plank Road w Watertown. Carl nie bardzo wierzył, że naprawdę to zrobią, ale właściwie co mieli do stracenia - ceny były tak niskie, że pasza dla krów kosztowała więcej niż mleko, które dawały. Prawdę mówiąc, Amanda zasugerowała mu, żeby poszukał jakiejś pracy na zimę, kiedy to na farmie nie ma prawie nic do roboty. Carl pomyślał, że szwagierka lubi wytykać mu, jak małą odgrywa rolę.

Ale nie - pokręcił głową, starając się spojrzeć obiektywnie na całą sytuację - tak dalej być nie może. Przecież ona prosi go o pomoc. Zaczęła znowu pracować jako pielęgniarka, asystując doktorowi Karblerowi przy porodach i pomagając Hattie Jensen dojść do siebie po upadku. Nawet Ruth sprzedawała warzywa i wypieki na straganie ustawionym przy skrzyżowaniu, prowadząc swój „sklep” po szkole. Powinien wnieść własny wkład, przynajmniej ze względu na Ruth. Ale nie mógł. Nie, jeśli oznaczało to wyjazd, nawet na kilka miesięcy. Nie, gdy Mathilda kryła się za każdym drzewem, za każdymi drzwiami, zachęcając go, by jej szukał.



Myślał o domu na wyspie. Mniej więcej godzinę temu, krzywiąc się nad czarnym od smaru silnikiem traktora, przypomniał sobie małe wydrążenie pod obluzowaną deską w podłodze w kuchni, gdzie był kiedyś schowany gryzak Ruth. Sprawdził już poprzednio to miejsce, ale w tej chwili zdał sobie sprawę, że nie zrobił tego dokładnie, a przynajmniej potrafił wyobrazić sobie bez trudu fotografię lub list, wsunięte pod takim kątem, że można je znaleźć wyłącznie, jeśli wie się z całą pewnością, gdzie ich szukać. Gdy wrócił do domu, popłynął na wyspę i starannie obejrzy skrytkę.

Rudy oparł łokieć o szybę w drzwiach samochodu i patrzył na przesuwaną się za nią pola. Od kiedy Carl zrobił się taki niecierpliwy, tak łatwo daje się wytrącić z równowagi? Nie miało sensu rozmawiać z nim, gdy zachowywał się jak koń, któremu kolec dostał się pod siodło.

Gdy mężczyźni wjechali na podwórze, dziewczynki siedziały na werandzie, łuskając kukurydzę. Ta Imogena jest naprawdę świetną przyjaciółką dla Ruth. Carl martwił się, że Ruth będzie samotna, jedyne dziecko na farmie. Byłoby wspaniale, gdyby on i Mattie mieli jeszcze jedno dziecko. Trzasnął drzwiami ciężarówki i podszedł do pompy na podwórzu, żeby się obmyć. Zimna woda dobrze mu zrobiła, wylał sobie trochę na głowę i przeczesał palcami włosy.

- Dobrze się bawicie, dziewczynki? - zawołał przez podwórko.  
- Ciocia Mandy jest w domu? - spytał, nie dając im czasu na odpowiedź.

- W kuchni - odpowiedziała Ruth. - Gdzie traktor?

- Nic z tego - rzekł Carl, kręcąc głową i marszcząc brwi. Ruszył w kierunku werandy.

Gdzieś daleko zaszczekał pies i Imogena odwróciła głowę w stronę, skąd dobiegał dźwięk.

W połowie drogi Carl zatrzymał się. Coś nieokreślonego otarło się o obrzeże jego pamięci.

- Co się stało, tatusiu?

Carl nie odpowiedział. Wpatrywał się w Imogenę, jej profil, jej warkocze. Było w niej coś dziwnego - nie, raczej coś dziwnie znajomego. Popatrzyła na niego przez podwórko, a jego mózg zarejestrował pewne wrażenie i uchwycił się go kurczowo. Nigdy by tego nie zauważył, gdyby dziewczynka znajdowała się bliżej, gdyby nie miała zaplecionych warkoczy, gdyby nie siedziała dokładnie w tym samym miejscu, co Mattie w dniu, gdy zrobiono jej zdjęcie. Nigdy dotąd nie uderzyło go, że Imogena to Mattie, Mattie jako mała dziewczynka, młodsza niż kiedykolwiek ją znał. Była tamtą Mathilda ze zdjęcia.

Bez słowa Carl odwrócił się i pomaszerował z powrotem do ciężarówki. Wsiadł i wycofał samochód na trawę, po czym zakręcił i wyjechał znowu na drogę, wzbijając tumany kurzu.

Zadzwoił dzwonek nad drzwiami sklepu wędkarskiego. Carl stał po prostu przez chwilę w środku, czekając, aż oczy przystosują się do półmroku.

- Carl! - zawołała Mary Louise, wychodząc z pokoju na zaplecze. - Miło cię widzieć. - Oparła się z uśmiechem o ladę. Gdy dalej stał bez słowa, spytała: - Wpadłeś tylko po to, by się przywitać?

- Nie. - Zbierając myśli, Carl podszedł do wiader i pojemników, stojących pod ścianą, i zajrzał do nich z roztargnieniem.

- Zacząłeś wreszcie chodzić na ryby?

- Nie - odpowiedział znowu, ale nie przerwał swej wędrówki po sklepie. Dotykał bezmyślnie różnych przedmiotów, nie patrząc na Mary Louise. Przystanął przy kontuarze po jej lewej stronie i zaczął

wysuwać małe szufladki z szafki.

- Czy mogę ci pomóc w znalezieniu czegoś?

- Tak. Nie. Wezmę to - rzekł i wyjął z szufladki haczyk, wbijając sobie jego wąż w palec.

Mary Louise wyciągnęła po niego rękę.

- Mam nadzieję, że moja córka zachowuje się grzecznie - powiedziała tonem, który sugerował, że nie ma co do tego żadnych wątpliwości. - Uważam, że wspaniale się stało, iż nasze dziewczynki tak bardzo się zaprzyjaźniły. Tak jak Mandy i ja. Chciałabym, żeby wróciły tamte czasy.

Carl nie pozwolił Mary Louise ciągnąć jej opowieści.

- Chciałem z tobą porozmawiać o Imogenie.

Mary Louise zeszywniała, zaciskając w dłoni resztę, którą miała mu wydać.

- Nie stało się nic złego, prawda?

- Nie, nie, nie o to chodzi. Przepraszam cię. - Carl podniósł obie ręce do góry, kręcąc głową. - Myślę... - zaczął, po czym umilkł. - Jest w niej coś... - powiedział po chwili. - Czy inni też to zauważyli? Jej włosy. Jej nos.

Carl sądził, że wyraża się całkiem jasno, toteż gdy Mary Louise wydawała się tylko zakłopotana, poczuł się nagle beztrojski, nawet radosny. Uśmiechnął się.

- Och, postradałem zmysły, naprawdę chyba zwariowałem - powtarzał z ulgą. - Jak mogło przyjść mi do głowy coś tak szalonego? W dodatku - przejechał dłonią po twarzy, od czoła aż do brody - przyszedłem tutaj, żeby paplać głupoty. Oczywiście, jesteś jej matką. Cóż - wzruszył ramionami - nie będę miał do ciebie najmniejszej pretensji, jeśli po prostu wyrzucisz mnie za drzwi. - Pokręcił głową, zdumiony swoim brakiem taktu, lecz przede wszystkim szczęśliwy, wprost bezgranicznie szczęśliwy, że się mylił. - To dlatego -

próbował wyjaśnić - że Amanda ma to zdjęcie... - Umilkł i wbił spojrzenie w kontuar, wciąż kręcąc głową, że mógł pomyśleć coś tak głupiego. Nie miał pojęcia, co powinien jeszcze powiedzieć, dopóki nie dowie się, czy Mary Louise jest na niego zła, wyśmiej go, czy też spyta - podobnie jak wiele osób ostatnio - co w niego wstąpiło. I rzeczywiście, warto się było nad tym zastanowić. Oto, jak żył, pozwalając, by te myśli nie dawały mu spokoju.

Carl był taki zaabsorbowany, że nie zauważył, iż Mary Louise stoi jak wrośnięta w ziemię, oczy ma okrągłe z przerażenia. W końcu omal nie upadła, chwyciła się lady obiema rękami, żeby utrzymać równowagę.

- Nie powiesz Imogenie. Carl, obiecaj, że nie powiesz Imogenie.

Carl dostał gęsiej skórki. Próbował coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Zdołał tylko podnieść wzrok, spojrzeć jej w oczy i pokręcić lekko głową.

Mary Louise podeszła bliżej i położyła dłoń na ramieniu Carla.

- Musisz zrozumieć, Carl. Ona jest nasza. Nigdy nie miała nikogo innego, od samego początku. To był okropnie ciężki poród, tak mówiła Amanda, najcięższy, jaki widziała podczas całej swojej kariery pielęgniarki. To biedactwo żyło jeszcze zaledwie godzinę dłużej.

- Kto?

- Ta nieszczęsna służąca. - Mówiła, jak gdyby on wiedział dokładnie, o kogo chodzi, jak gdyby był we wszystko wtajemniczony i tylko wspominali całą historię. - Ta, która ją urodziła. Nie pamiętam, na czyjej farmie najęła się do pracy - chyba gdzieś w pobliżu Nashotah. Bez wątpienia przebyły długą, ryzykowną drogę, ponieważ Ruth była zmarznięta niemal na kość, gdy tu dotarły. Musiało to być

straszne. Mam na myśli poród. Trzeba było widzieć krew na rękach Amandy. Ale sam rozumiesz - powiedziała, zniżając głos do szeptu - nie mogła przecież zatrzymać dziecka. Nie miała męża.

- Nie miała męża - powtórzył Carl.

Oboje stali przez chwilę w milczeniu, aż wreszcie Mary Louise zaczęła znowu mówić. Sprawiała wrażenie, jak gdyby sama poczuła ulgę, zrzuciwszy z siebie ciężar.

- Jestem zaskoczona, że Amanda powiedziała ci o tamtej dziewczynie i o wszystkim. Była absolutnie zdecydowana zachować w tajemnicy osobę matki. Żeby oszczędzić uczucia rodzinne. Zaakceptowaliśmy to bez zastrzeżeń. Dla nas to dziecko było cudem. Tylko ono było ważne. I codziennie dziękuję za nie Bogu.

- Była z nią Mattie?

- Słucham?

- Czy Mattie była z Amandą, gdy przyniosła ci dziecko?

- Nie, Carl. To było tamtej nocy... Amanda miała ze sobą Ruth. Mówiłam ci, biedna mała była zmarznięta na kość. Musiałyśmy przygotować dla niej gorącą kąpiel, nakarmić rosółem. Gdy Amanda wróciła na wyspę... Mattie zniknęła.

- Czemu Ruth nie została z matką?

- Nie mam pojęcia. Może Mattie nie czuła się dobrze? A może Amanda i Ruth pojechały razem tamtego dnia do Oconomowoc. To brzmi sensownie, że znalazły się w Nashotah, pomagając dziecku przyjść na świat. W każdym razie Amanda chyba to wyjaśniła, ale w tej chwili nie pamiętam. Nie wydawało mi się to ważne po tym, co się stało.

Nogi zaczęły nieść Carla w stronę drzwi, ale Mary Louise wyszła zza kontuaru i zastąpiła mu drogę. Na jej twarzy malował się znowu niepokój.

- Nie powiesz Genie. Obiecałeś.

- Nie, nie powiem. Obiecuję ci solennie. - Prawie ją odepchnął, tak bardzo pragnął jak najszybciej znaleźć się za drzwiami.

Prowadził samochód, mając w głowie istną gonitwę myśli. Ta niedorzeczna historia o zniknięciu Mathildy, o jej utonięciu pod lodem. To wcale nie nieszczęsna niezamężna służąca zmarła przy porodzie - lecz Mathildą. I Mathilda miała męża, o, tak, tyle że nie on był ojcem tego dziecka. Carl widział to teraz jasno. Zabiło ją to małżeństwo, Imogena, dziecko tamtego mężczyzny o inicjałach C.J.O.

Uderzył dłonią o kierownicę - po jednym razie dla każdej litery. Ciężarówka przechyliła się niebezpiecznie, zjeżdżając jednym kołem do rowu, i musiał dobrze się napracować, żeby ją wyprowadzić z powrotem na drogę. Dysząc ciężko, wcisnął gaz, wjeżdżając pod pierwsze strome wzniesienie Hog's Back. Kłamczucha! Amanda jest taką kłamczucha! Czy uważa go za głupca? Ale on naprawdę jest głupcem. Mimo swych wątpliwości, mimo poszukiwań, uwierzył w jej historyjkę. Uwierzył, że nigdy nie znajdzie dowodu, którego tak gorączkowo szukał.

Wjeżdżając na kolejne wzgórze, zasłonił twarz rękami, próbując ukryć się przed upokorzeniem. Przez trzynaście lat pracował na farmie Mathildy, wychowywał jej córkę, żył dla niej życiem, które wybrała, podczas gdy ona nie zasługiwała na jego miłość. A Ruth, co ona wiedziała? Czy siadała na kolanach tamtego mężczyzny, jakiegoś tłustego obiboka, którego kazano jej nazywać „wujkiem”, jej matka zaś, pełna i zaokrąglona jak melon, przysiadła na oparciu jego fotela?

Zatrzymał ciężarówkę u stóp Holy Hill. Wsiadł i wszedł po schodach do katedry. Carl nie należał do ludzi religijnych. Nie był

w kościele od pobytu we Francji, gdzie wstąpił do kilku, głównie z ciekawości. Mimo to atmosfera poruszyła go głęboko. Powietrze, chłodne i spokojne, wydawało się należeć do świata całkiem różnego od pandemonium, które było jego udziałem. Trochę go to uspokoiło, podszedł do ławki kościelnej, gdzie przyklęknął, jak zwykł to robić, gdy był dzieckiem, po czym natychmiast opadł na kolana. Za nim stara kobieta mruczała monotonna kojącą modlitwę.

Carl wsparł czoło na splecionych dłoniach, czując nagłe znużenie. Smucił go fakt, że nie pamięta Mathildy na tyle żywo, by jej nienawidzić. Myślał, jaka była młoda, naiwna i chętna, by kogoś zadowolić. Przeżyła samotnie wiele miesięcy, przeszło rok. Po śmierci rodziców bez wątpienia musiała odczuwać strach, nie mając pewności, czy jej mąż kiedykolwiek wróci. Jak mógł jej nienawidzić za to, że potrzebowała kogoś, kto by się o nią troszczył? Wiedział, że żałowałyby tego, co uczyniła. Jak mógł jej nienawidzić, skoro spotkała ją taka straszliwa kara?

A czy C.J.O. został ukarany za to, co jej zrobił?

Carl zamknął oczy. Tutaj, w wilgotnym kościele, czuł chłód ziemi, przenikający przez wełnianą kurtkę, widział bezlitosne srebrzyste bagnety, słyszał rozpaczliwe krzyki Pete'a McKinleya, które przerywał dźwięk żelaza tnącego ubranie i ciało, przypominający dźwięk noża przebijającego dynię, i bulgot krwi w tchawicy. Przez cały ten czas Carl leżał bez ruchu, tchórzliwy jak opos, ale tchórzostwo nie uratowało go. Nie dali się oszukać. Odwrócili się ku niemu, najpierw jeden, potem drugi, wreszcie trzeci. Ruszyli okopem w jego stronę, zobaczył wyszczerzone żółte zęby tego, który znajdował się najbliżej, który wznosił bagnet, gotów zatopić go w ciele wroga. I nagle rozległ się gwizd pocisku. Carl widział trwogę malującą się na ich

twarzach, tak jak parę chwil temu musiała malować się na twarzy McKinleya. A potem czerwień.

Głowa mu opadła. Zasnął w pozycji klęczącej. Wstawaj, wstawaj, trzeba jechać, pomyślał, ale nie był pewien, dokąd ma się udać. Powoli osunął się na ławkę. Mamrocząca kobieta zniknęła. Przyglądał się ścianie, pod którą stał rząd kul, zostawionych przez tych, których Chrystus uzdrowił. Wstał i roztarł kolana. Zapalił przy drzwiach świecę dla Mathildy, czując wyrzuty sumienia, że nie zrobił tego wcześniej. Powinien był to robić przez cały czas. Nie powinien był nigdy zostawić jej samej.



Gdy Carl wjechał na podjazd, zrobiło się już ciemno. Imogena wróciła do domu, dawno już było po kolacji. Usprawiedliwił się wymijająco, że pomagał Joemu przy kukurydzy.

- Następnym razem powinienes mnie uprzedzić, Carl. Czekałyśmy na ciebie z obiadem, a potem z kolacją, prawie godzinę.

- To się więcej nie powtórzy.

Nocne powietrze było przyjemne, nadal dość ciepłe, by nie chciało się wracać do domu, toteż Amanda usiadła na ciemnej werandzie w bujanym fotelu, z miską późnej fasoli do łuskania. Słyszała, jak Carl tłucze się w dużym pokoju, otwierając szuflady. Jak zwykle zostawi je otwarte - musi pamiętać, by je pozamykać, idąc do sypialni.

- Szukasz czegoś, Carl?

On jednak wszedł do kuchni, nie odpowiadając jej. Usiadł przy kuchennym stole i zaczął przerzucać kartki albumu, który pokazała mu Amanda, gdy wrócił z Francji. Studiował uważnie zdjęcia Mathildy. Żałował, że nie ma fotografii Imogeny, mimo że rozpoznał jej



pokrewieństwo z Mathildą, kierując się raczej ogólnym wrażeniem niż rzeczywistym podobieństwem rysów. Trudno mu było dokładnie określić, w czym są podobne, gdy tak przyglądał się z bliska Mattie. Był jednak pewien, że ich nosy i usta mają jednakowy kształt, czoła są tak samo szerokie. Tak, tego był pewien.

Ale skoro to dziecko zabiło Mathildę, czemu skończyła w jeziorze? Kto powiedział, że utonęła? Amanda. Która skłamała.

Carl zamknął oczy, próbując rozjaśnić mętlik, jaki miał w głowie. Czy Amanda mogła...? Ale wzdrygnął się na myśl o Amandzie, ciągnącej po lodzie martwe ciało Mathildy i wyrabującej otwór, by ją tam zepchnąć. Może lód się załamał i utonęła. Kto powiedział, że matka dziecka zmarła przy porodzie? Amanda. Która skłamała.

Trudno mu było zebrać myśli. Mathilda nie żyje. To ona jest matką Imogeny. To jej ciało było w jeziorze. Uderzał dłonią na płask w blat stołu, podkreślając wszystkie fakty, których był pewien.

Tak, bez wątpienia to ciało Mathildy było w jeziorze. Ktoś ją tam znalazł. Carl przerzucał poźółkłe wycinki prasowe, które Amanda włożyła do albumu. Jeden z nich odkleił się i spadł mu jak liść na kolana. Był to ten, którego właśnie szukał.

#### 6 GRUDNIA 1919 - ODNALEZIONO CIAŁO ZAGINIONEJ KOBIETY

Ciało żony pana Carla Neumanna zostało odnalezione wczoraj wieczorem pod lodem w jeziorze Nagawaukee przez pana C.J. Owensa oraz jego pięcioletniego syna, Arthura, zamieszkałych w Milwaukee, przy Prospect Avenue 27.

Pani Neumann zaginęła nocą dwudziestego siódmego listopada.

Carl zerwał się gwałtownie od stołu, oddech miał przyspieszony, ręce mu drżały. Wybiegł z kuchni, a następnie przez duży pokój na werandę, zanim zdążył pomyśleć, zanim zdołał się powstrzymać.

Siedziała w ciemności, jej fotel bujany skrzypiał, palce miarowo łuskały fasolę.

- Amando - powiedział. Sam się zdumiał, jak spokojnie zabrzmiał jego głos.

Podniosła na niego wzrok i mimo że nie widział jej twarzy, głowę miała przechyloną wyczekująco, zupełnie jak Mathilda. Ten widok sprawił, że zebrał siły. Obie siostry były w to zamieszane. Zażądał odpowiedzi, jak gdyby pytał swoją zbląkaną żonę.

- Powiedz mi, kto jest ojcem Imogeny.

- Jak to kto? George Lindgren. Przecież wiesz.

- Nie. I Mary Louise nie jest jej matką. Wiem o dziecku, Amando. Powiedz mi, kim jest jego ojciec.

- Jak...? - zaczęła.

- Kim on jest? - spytał łagodnie, lecz stanowczo, jak gdyby przemawiał do dziecka.

Amanda przestała się huśtać. Głośnie cykanie świerszczy i cykad było wręcz ogłuszające, uporczywe, niczym łomot jej puls. Obawiała się tej chwili od tak dawna, że poczuła się niemal bezpieczna, niemal pewna, że nigdy nie nastąpi. Patrzyła na Carla stojącego w drzwiach. Światło padało na niego z tyłu, tak że jego twarz znajdowała się w cieniu. Znała tę twarz teraz tak dobrze.

Amanda pochyliła się do przodu w swoim fotelu. On, który również stracił Mattie, pomoże jej. On, który cierpiał, przebaczy jej. Powie mu, a on będzie wiedział, co musiała zrobić, jak mogła postąpić lepiej.

- Czy to on? - Carl wyciągnął ku niej rękę, w której trzymał pożółkły wycinek prasowy. Wskazał palcem nazwisko. Tym razem nie będzie się tak bał.

To było takie łatwe. Musiała tylko skinąć głową. Gdy podniosła wzrok, Carla już nie było, jak gdyby nigdy się nie pojawił.

### *Ruth*

Dotarłam właśnie do sceny, w której Maggie Tulliver, porwana wezbraną wodą, usiłowała płynąć swoją łódką z nurtem Flossy, gdy zawołał mnie od progu mego pokoju.

- Ruthie!

- Hmm? - Niechętnie oderwałam się od czytania, tak niebezpieczna była sytuacja, w której znalazła się Maggie, ale spojrzałam na niego, wyjmując z ust pasmo włosów, które gryzłam z przejęcia.

Wszedł do pokoju, poły jego zielono-czarnej kraciastej koszuli zwisały luzem, jak gdyby zaczął już rozbierać się do snu. Usiadł na krześle z oparciem ze szczebelków, na którym powiesiłam na noc spódnicę i bluzkę. Trzymałam otwartą książkę na kolanach, nie zdejmując palca z miejsca, gdzie przerwałam czytanie. Oparłam się z powrotem o poduszki, czekając na to, co powie, ale on tylko patrzył na mnie bez słowa. Potem wstał i podszedł do okna. Zerknęłam do książki, żeby sprawdzić, co się dzieje u Maggie. Czy uda jej się uratować Toma?

- Ruth - spytał, odwracając się do mnie - czy pamiętasz dobrze swoją mamę?

- Nie wiem. Chyba tak.

- A pamiętasz, jak mieszkałaś na wyspie z mamą i ciocią Mandy?

- Trochę. - Nadal myślałam o Maggie. Szyja bolała mnie z napięcia; muszę jak najprędzej wrócić do powodzi.

- Czemu twoja mama wyszła na lód, Ruthie? Czy pamiętasz, dlaczego?

Pamiętałam tak dobrze, jakby to było wczoraj. Miałam wciąż przed oczami lód, taki błyszczący, taki ciemny jak nocne niebo. „Ruth, wracaj! - wołała mama. - Mandy, przyprowadź ją z powrotem!”. Zawodziła niczym wiatr. Zatrzymałam się, ale nie wracałam. A potem otoczyła mnie ramionami, słyszałam, jak jej serce bije przy moim uchu. Trzymała mnie tak mocno, że ledwie mogłam oddychać. A potem tonęłyśmy.

- Nie - odpowiedziałam ojcu. - Nie pamiętam. Nie pamiętam niczego.

## Rozdział dwunasty

Dziesiątego września 1931 roku, o wpół do siódmej rano, Clement Owens doglądał mieszkańców lucerny siewnej, która wykiełkowała nad jeziorem, teraz jednak dojrzewały w jego małej cieplarni w mieście. Przesadzanie o tej porze roku nie wpływało na nie korzystnie, ale była już prawie połowa września, czas, gdy rodzina przenosiła się z powrotem do miasta. Poza tym, tutaj mógł kontynuować swoją pracę, nawet gdy na dworze panował mróz.

- Pani Owens prosi pana na śniadanie. - W drzwiach cieplarni stała Mimi, nowa dziewczyna, którą Theresa zatrudniła jako pomoc do wszystkiego.

- Spójrz, Mimi. Pięć nowych listków od wtorku. Siedem, jeśli policzyć te pączki. Chyba powinienem liczyć pączki, prawda?

Mimi cofnęła się.

- Nie wiem, proszę pana.

Projekty pana Owensa zawsze wywoływały w niej uczucie niepokoju, a już szczególnie ostrożna była, od kiedy w sierpniu wybuchła destylarnia w piwnicy.

- W porządku. Powiedz pani Owens, że zaraz przyjdę, dobrze?

Skinęła głową i czym prędzej wróciła do bezpiecznych domowych pieleszy.

Carl leżał na brzuchu na dachu garażu, celując ze swego karabinu. Na ustach błądził mu roztargniony uśmiech. Gdy tak patrzył przez szklane ściany na mężczyznę w szlafroku, nasunęło mu się skojarzenie z rybą w akwariu. Chociaż nigdy nie zastrzelił ryby. Taki śliski cel. Czy to będzie łatwe? Mały kamyk uwierał go w pierś i Carl zmienił lekko pozycję. Kamień, kamień... co to było? Kamień ku górze rzucony wraca na głowę ciskającego?

Jeden strzał prosto w mózg, a potem Carl weźmie nogi za pas, zsunie się po drzewie, pobiegnie do ciężarówki i wróci do domu. A tam wszystko będzie inne. Całkiem inne, gdy tylko zastrzeli koch... tego mężczyznę w błękitno-złotym wełnianym szlafroku.

Oczywiście, powinien się upewnić - zawołać go po imieniu, żeby spojrzeć w górę, być może wyjaśnić mu, czemu zasłużył na śmierć, i patrzeć, jak przerażenie zniekształca jego rysy. Nie ma sensu strzelać do niewłaściwego mężczyzny.

Ale to przecież musi być C.J.O. Któż inny poza właścicielem chodziłby po tej posesji w szlafroku, z taką pewnością siebie. Owens pochylił się nad rośliną i chyba głaskał jej listki. Carl wyobraził sobie te palce na skórze Mathildy. Co mu powiedziała? Co zrobiła? Czy wkładała na siebie tę jasnoróżową koszulę nocną z małymi jedwabnymi kokardkami? Czy była zawstydzona, gdy rozwiązywał je kolejno? Czy uśmiechała się do niego w szczególny sposób? Znowu poruszył się niespokojnie. Czy zasłaniała piersi dłońmi, tak że sutki sterczały między jej palcami? A może wobec niego zachowywała się inaczej, kobieta, której Carl nawet nie znał?

Carl zamknął oczy. Niemal czuł, jak ściska zimny metal, pociągając za spust, słyszał huk wystrzału, uderzenie kolby w ramię wskutek odrzutu. Tryśnie krew, plamiąc błękitno-złoty materiał. Ciemna, wilgotna czerwień. Otworzył oczy i starannie wycelował. Jeden strzał, trafny - i po wszystkim. Jeden strzał w głowę.

Nie nacisnął jednak spustu. Teraz, gdy miał tamtego mężczyznę w polu widzenia, nieokiełznana wściekłość, która tak często gnała go na wyspę, która zaprowadziła go do Mary Louise, która kazała mu grzebać w albumie, a w końcu przywiodła go na ten dach, ulotniła się jak gaz. Usiłował znów ją w sobie wzbudzić. Przypominał sobie, co ten mężczyzna zrobił, do czego to doprowadziło, wyobrażał sobie wyczerpaną i zakrwawioną Mathildę. Ale wszystko to nie miało żadnego związku z rumianym mężczyzną w szklarni. Może, myślał Carl, gdybym zobaczył ich razem, jego grube paluchy na alabastrowej skórze Mattie, mógłbym go zastrzelić. Ale jest już za późno. Teraz Mathildą i Clement Owens są razem tylko w jego głowie, a on nie potrafi zabić na zimno człowieka.

Opuścił głowę, przytulając policzek do płytek łupkowych. Jeszcze chwilę wcześniej nie lękał się niczego, teraz jednak serce trzepotało w nim jak oszalałe, jak gdyby niespodziewanie uniknął uwięzienia. Chciał jak najprędzej znaleźć się daleko stąd. Czuł przyspieszone krążenie krwi w całym ciele, mrowienie w czubkach palców, przywarł więc z całej siły do dachu, nakazując sobie spokój. Zamknął na parę sekund oczy, niczym małe dziecko, które chce zniknąć.

Wreszcie usłyszał, że drzwi szklarni zamykają się z lekkim brzękiem szkła, a następnie dobiegł go odgłos otwierania i zamykania drzwi wejściowych do domu.

Podniósł głowę, w niespełną minutę zsunął się z drzewa, przekradł się przez podwórze i popędził do ciężarówki.

Siedząc w kabinie, przyglądał się spokojnej fasadzie domu Owensów i starał się opanować dygot. Poza tym, że cegły nabrały w promieniach porannego słońca cieplejszej i wyraźniejszej barwy, wszystko wyglądało tak samo jak trzy godziny temu, gdy po raz pierwszy zobaczył dom w mglistej poświacie brzasku; życie jego mieszkańców przebiegało bez zakłóceń.

Carl wiedział, że postąpił słusznie. Omal nie zabił człowieka, omal nie zmienił wszystkiego - opamiętał się jednak. W tej chwili życie było tak samo pełne obietnic jak wczoraj. Wczoraj nie dostrzegł tych obietnic, ale dzisiejszego ranka - tak. Balansował na krawędzi przepaści, nie runął w nią jednak.

Czując zawrót głowy, uruchomił silnik i pojechał na zachód Wisconsin Avenue, gdzie słońce odbijało się w setkach okien, a dzwonki tramwajów i klaksony samochodów ponaglały go w radosnym pędzie przez most na rzece, w kierunku spokojnej dzielnicy mieszkaniowej, znajdującej się na przeciwległym brzegu. A potem zaczęła się rzadsza zabudowa i po kilku minutach zostawił wszystko za sobą, miasto, w którym tempo życia było zawrotne, a jego karabin spoczywał nieruchomo na dachu garażu.

Na Blue Mound Road zatrzymał się. Wprawdzie miał jeszcze pół baku benzyny - tankowanie nie było na razie konieczne - musiał jednak złapać oddech i porozmawiać z innym człowiekiem. Odczuwał potrzebę kontaktu ze wspaniałym światem, światem, w którym nie zabił mężczyzny w wełnianym szlafroku.

- Wie pan - powiedział do pracownika stacji benzynowej, który podszedł do dystrybutora (sam nie mógł sobie poradzić) - omal nie zabiłem człowieka.



- Ta droga jest niebezpieczna - pokręcił tamten głową. - Tyle drzew. Trafisz na konną furmankę na którymś zakręcie i już po tobie.

Carl skinął głową. Oczywiście, lepiej, że mężczyzna nie zrozumiał. Właśnie dlatego mógł to powiedzieć. Miał ochotę krzyknąć, wystawiwszy głowę przez okno ciężarówki, gdy pędził wąską drogą - omal go nie zabiłem! Omal go nie zabiłem!

Gdy skręcał w Glacier Road, nagle opadły go wątpliwości. Czy przeważył jego rozsądek i szlachetność, czy po prostu się bał?

Carl zdawał sobie sprawę, że jest tchórzem. Ukrywał tę tajemnicę panicznego strachu przed innymi, ale nie mógł oszukiwać siebie. Tchórzostwo nie jest najgorszą rzeczą. Było jednak bardzo uciążliwe, gdy nie potrafił stanąć we własnej obronie, kiedy splukiwał za darmo krew z posadzki po całym dniu pakowania, ponieważ Tommy Reinquist kazał mu to robić, a on bał się, że jeśli się postawi, zostanie zwolniony z pracy, albo gdy pozwalał ojcu Mattie pouczać go, jak się obchodzić z koniem. Nikt nie traktował koni łagodniej od Carla. Próbował coś nadrobić.

Miał około ośmiu lat, gdy jasno zdał sobie sprawę ze swej słabości. On i Hilda, która miała wówczas zaledwie cztery lata i była kręłą dziewczynką, zezującą na jedno oko, z policzkami spierzchniętymi od styczniowego wiatru i z zasmarkanym nosem, czekali na dworze na jej ojca, na platformie obok śrutownika, przyglądając się starszym chłopcom, którzy dźwigali na barkach worki z owsem i ładowali je na furmanki. Carl pamiętał, jak bardzo podziwiał tych chłopców i miał nadzieję, że gdy urośnie, też będzie mógł nosić po dwa worki naraz, jeden na każdym ramieniu, jak Günther Sweitzer. Gdy Hilda zaczęła jęczeć, że jest jej zimno, Carl narysował patykiem na

śniegu tłustą gęś, żeby zająć czymś jej uwagę. Gdy skończył, dziewczynka wyrwała mu patyk i zabazgrała rysunek, wyrzucając śnieg wysoko w mgliste szare powietrze i chichocząc. Następnie oddała mu z powagą patyk, żeby mógł narysować coś innego.

Rysował właśnie biały dym unoszący się spiralnie z białego kominu, gdy usłyszał głośne przekleństwa jakiegoś mężczyzny oraz świst i trzask bata. Ciągający wóz z węglem koń, który wyłonił się zza rogu, był najwyraźniej chory. Łeb miał nisko opuszczony, nogi rozjeżdżały się pod nim, dyszał ciężko, ponaglany brutalnymi słowami i batem.

- Ja ci pokażę! - wrzeszczał mężczyzna, stając na wozie. - Ja ci pokażę! - A gdy bat zataczał czarne koło w powietrzu, Carl usłyszał podobny do szczekania śmiech, który wydobywał się z ciemnego otworu nad rudą brodą mężczyzny.

Carl skulił się i zrobił krok w tył, gdy Hilda wzięła go za rękę. Koń, próbując postawić kopyto, poślizgnął się na łacie lodu i upadł na kolana.

- Nie, nie ma mowy. - Mężczyzna odchylił się do tyłu, ściągając lejce, i brutalnym szarpnięciem postawił konia z powrotem na nogi.

Ale zaledwie po kilku sekundach koń opadł znów na kolana, jedną nogę miał wykręconą nieporadnie na zewnątrz. Mężczyzna rzucił cugle i włożył całą energię w wywijanie świszczącym batem i opuszczanie go co rusz na grzbiet zwierzęcia. Potem zamachnął się do przodu i zaczął smagać konia po szyi, jedno uderzenie zostawiło smugę krwi na uchu od strony Carla i Hildy.

- Przestań - wyszeptał Carl. Jemu wydawało się, że krzyczy, w rzeczywistości jednak z jego ust wydobył się cichutki, płaczący dźwięk. - Przestań - powtórzył.

- Przestań. - Przywierał z całej siły do ściany budynku, jak gdyby chciał przez nią przeniknąć. - Przestań - powiedział znowu do swoich butów i do wełnianej czapki Hildy, która stała, przyciśnięta do niego, z oczami okrągłymi ze zdumienia.

Nikt nie powstrzymał mężczyzny. Ani Günther, ani inni chłopcy. Ani ojciec Hildy, ani właściciel śrutownika, pan Fry. Nikt tego nie zrobił, z wyjątkiem Hildy.

Obejrawszy się na Carla, jak gdyby chciała się upewnić, że właściwie zrozumiała jego intencje, podeszła odważnie do brzegu platformy, po czym zaskrzeczała takim głosem, jak gdyby wywracały się w niej wnętrzności:

- Przestań! Przestań! Przestań!

Jej krzyki przstraszyły mężczyznę, który przestał bić konia, bat opadł bezwładnie na jego dłoń. Sprowadziły też ojca Hildy, pana Frya i dużych chłopców. Zmieniły wszystko - jakimś sposobem Günther uwalniał konia z uprzęży, mężczyzna zaś opadł na kolana, szlochając, omal nie stoczywszy się z wozu.

- Żona uciekła od niego wczoraj - powiedział pan Fry do ojca Hildy, który pokiwał głową, jak gdyby to coś znaczyło.

Ale bardzo dobrze, pomyślał Carl ze spokojną pewnością, jakiej nie doświadczał nigdy przedtem. Czy tym razem ma jakiegokolwiek znaczenie, że to strach go powstrzymał? Cieszył się, że pozostawił tamtego mężczyznę przy życiu. Jeśli to z powodu tchórzostwa nie nacisnął cyngla, to był rad, że jest tchórzem. W każdym razie skończył z Mathildą, która go dręczyła. Podążył śladem, który mu została, aż do samego końca i odkrył jedynie mężczyznę w szlafroku,

pałętającego się między roślinkami, mężczyznę, który nie ma z nim nic wspólnego. Był teraz wolny od winy, uwolniony od tajemniczej żony, której nigdy nie pozna, i gotów zacząć od nowa z tamtą Mathilda, którą kochał, umoszczoną, niby miękki koc, na dnie jego serca.

Gdy po prawie bezsennej nocy Amanda nie usłyszała rano żadnego dźwięku z pokoju Carla, zrozumiała, że jej wyznanie przepędziło go z domu. Kiedyś chciałam, żeby odszedł, myślała z goryczą. Nie mogła mieć teraz do niego pretensji, ale przeżywała katusze na myśl, że wyjechał z jej powodu, że wzbudziła w nim wstręt. Pod kołdrą przyciągnęła kolana do zbolącej piersi i wtuliła w nie zalaną łzami twarz. Chciała umrzeć, skoro zajrzawszy w głąb jej serca, nie mógł znieść jej obecności. Czemu była na tyle głupia, by mieć nadzieję, że jej wybaczy i pomoże? A tak dobrze się wszystko układało. Gdyby nie zadał mi tego pytania, myślała, przewracając się teraz z boku na bok w bezsilnej rozpacz, płacząc się w kołdrze i prześcieradle. Gdybym nie wyznała mu prawdy. Gdyby można było cofnąć czas, obstawałabym przy swojej historii i nigdy nie skinęłabym głową, kiedy wskazał nazwisko Clementa.

W końcu zmusiła się, by wstać z łóżka, umyła twarz w umywalce i upięła gładko włosy. Dobrze, pomyślała, sznurując ciasno czarne buty. Dobrze. Nie miała jednak na myśli nic szczególnego, po prostu nadawała sobie rytm, by przejść od jednego zadania do następnego.

Później, tego samego ranka, gdy robiła pranie w chłodnej piwnicy, poczuła się trochę lepiej. Poruszała miarowo w tył i w przód dźwignią, zamocowaną na balii, bezlitośnie mieszając brudne koszule Carla w szarej mydlanej kąpieli. Dobrze. Skoro chce odejść,

to niech sobie idzie. Będzie im wspaniale z Ruth, gdy zostaną same. Po prostu wspaniale. Znacznie lepiej. Nagle jednak ogarnęła ją panika, puściła na chwilę dźwignię. Co im powie? Jak wyjaśni jego nieobecność, jeśli nie wróci do kolacji?

Powie, że nie ma pojęcia, dokąd wyjechał. I będzie to zgodne z prawdą. Zachowywał się przecież tak dziwnie przez ostatnie kilka lat, znikał, by załatwić jakieś swoje tajemnicze sprawy, wynurzał się z lasu na wschodzie, gdy myśleli, że jest na zachodnim polu, nie przychodził na posiłki, był albo podniecony, albo snuł się tak otępiąły i rozkojarzony, że Ruth nie powinno dziwić, jeśli teraz po prostu nie wróci. A Rudy, cóż, Rudy uwierzy we wszystko, co powie mu Amanda.

A jeśli wróci, jak będą żyli? Amanda pochyliła się nad balią, przytłoczona zgryzotą. Jak będzie mógł patrzeć na nią, nie pamiętając, co zrobiła? Jak ona będzie mogła patrzeć na niego, wiedząc, że jej nie przebaczył? Czy zdołają żyć obok siebie, czując przed sobą wzajemny lęk.

Uświadomiła sobie, że być może Carl spróbuje ją wygnąć. Z pewnością będzie uważał, że to jego prawo, a nawet obowiązek. Czy może pozwolić, żeby miała wpływ na jego córkę? Ale ona, rzecz jasna, nie odejdzie. Ma takie samo prawo, by zostać, jak on. Przekreślając jego koszulę przez wyżymaczkę, mówiła sobie, że farma należy w połowie do niej. A co będzie, jeśli Carl zechce zabrać ze sobą Ruth gdzie indziej?

Niech tylko spróbuje, pomyślała Amanda, wsuwając kolejną koszulę między wałki wyżymaczki. Lodowata woda ziębiła jej zaczerwienione dłonie. Cokolwiek by się zdarzyło, nigdy nie odda Ruth.

Około dziesiątej, gdy Amanda wieszala koszulę na sznurze, zobaczyła daleko na drodze zbliżający się obłok kurzu. Opanowała lęk,

zmusiła się, by dalej się schylać, wyjmować koszule, strzepywać je i wieszać, przypinając połę do poły, rękawami w dół. Nie podda się. Jest gotowa, myślała, strzepując gniewnie materiał, gotowa na wszystko, cokolwiek Carl powie.

Kazał jej czekać. Wszedł do domu, po czym wyszedł z niego, pogwizdując. Potem wszedł do stodoły i wyszedł z niej, podśpiewując. Potem znów zobaczyła go z okna na piętrze, jak wjeżdżał kombajnem na wzgórze. Spakowała do starej torby podróżnej kilka sukienek Ruth i jedną własną, włożyła tam również banknoty jednodolarowe, które trzymała schowane w puszcze na kawę. Będą gotowe, jak przyjdzie co do czego.

Przy obiedzie w południe i przy kolacji o szóstej mówił tylko to, co mógłby powiedzieć dwa dni temu, zanim zniszczyła wszystko swoją szczerością. Pytał, czego Ruth nauczyła się w szkole, co sprzedała na straganie, czy wciąż jeszcze są późne maliny, zauważył, że lepiej byłoby, gdyby jutro nie padało. Amanda widziała, że uśmiecha się do Ruth i do Rudy'ego, ale sama unikała jego wzroku, patrząc w talerz. Później jednak, po kolacji, gdy wszyscy siedzieli w dużym pokoju - Ruth czytała, Amanda cerowała, a Rudy po prostu odpoczywał z nogami opartymi na podnóżku, przed udaniem się do swej dziupli nad garażem - zdarzyło się coś niezwykłego.

- Czemu nigdy nie puszczamy tych płyt? - spytał Carl, otwierając szafkę pod gramofonem.

- Ach, są takie stare - zaprotestowała Amanda, nie podnosząc wzroku znad skarpetki, którą cerowała, ale on puścił jej słowa mimo uszu i zaczął kręcić korbką, aż nagle w pokoju rozbrzmiał głośno i z fantazją *Alexander's Ragtime Band*.

A potem wydarzyło się coś nawet jeszcze dziwniejszego. Gdy Amanda myślała o tym później, z trudem przychodziło jej w to uwierzyć, a jednak naprawdę tak było.

- Madame, czy mogę prosić panią do tańca? - skłonił się oficjalnie, wyciągając rękę.

- Carl... - Amanda roześmiała się nerwowo, kręcąc głową. Nigdy tego nie robili, nie zachowywali się w ten sposób. O co mu chodzi? Stroi sobie z niej żarty? On jednak ujął jej dłoń, spoczywającą na poręczy krzesła, i Amanda wstała posłusznie. Zaczął krążyć z nią dookoła mebli, aż wreszcie uświadomiła sobie, że tańczą.

- Odsuń krzesło, Ruth - wysapała, przyciskając się do Carla, by uniknąć zderzenia ze słupkiem poręczy schodów.

Gdy zobaczyli, że Rudy i Ruth próbują tańczyć ragtime na modłę polki, zamienili się partnerami, żeby Carl mógł nauczyć Ruth odpowiedniego kroku.

- Często tańczyliśmy to z twoją mamą - powiedział.

Zmieniali partnerów, wybierając coraz to nowe płyty i nakręcając gramofon, aż wreszcie Rudy opadł na krzesło, wachlując pomarszczoną twarz „Ladies' Home Journal”, Amanda zaś, słysząc bicie kuchennego zegara, przypomniała Ruth, że jutro ma przecież szkołę, musi więc wypić szklankę mleka i pójść prosto do łóżka.

Gdy w domu zapanowała cisza, Amanda rozstawiła na stole w kuchni talerze i miseczki do jutrzejszego śniadania, poruszając się tanecznym krokiem dookoła stołu. Gdy weszła do dużego pokoju, zobaczyła, że Carl przesuwając kanapę z powrotem na miejsce.

- Tutaj - powiedziała, bez wysiłku podnosząc bok kanapy od swojej strony i wyrzucając z pamięci obraz matki, kręcącej nosem na jej niekobiecą siłę. Gdy skończyły się dziwne tańce, patrzyła na

Carla jeszcze bardziej nieufnie niż przedtem, ale wspólne przesuwanie mebli rozładowało sytuację. - To był dobry pomysł - pochwaliła go niemal nieśmiało, badając grunt. - Powinniśmy byli to robić zawsze. A przynajmniej w sobotnie wieczory. Powinniśmy byli zapraszać inne dzieciaki dla Ruth.

- Może - odrzekła Amanda, wygładzając narzutkę na oparciu kanapy. Czowała, jak na samą wzmiankę o tym ogarnia ją panika. Czy nie wystarczy, że Ruth widuje się z dziećmi w szkole?

- Podjąłem dziś pewną decyzję - oświadczył Carl, sadowiac się w fotelu i odgarniając palcami z czoła wciąż jeszcze chłopięce włosy.

Teraz, pomyślała Amanda, wciąż naciągając biały haftowany brzeg - czyżby materiał skurczył się w ostatnim praniu? - zacznie mówić o Clemencie i Imogenie. Powie jej, jak będzie musiała za wszystko zapłacić.

- Mam zamiar podjąć pracę.

- Słucham? - Narzutka zsunęła się z poręczy i sfrunęła na podłogę.

- Mąż mojej kuzynki Hildy jest pierwszym oficerem na rudowcu. Może mi załatwić dobre miejsce.

- Och, dobre miejsce. Dobre miejsce, to świetnie - usłyszała Amanda swój głos.

- Masz rację, że potrzebne są nam pieniądze - mówił dalej. - Zbyt długo byłem rozkojarzony i beużyteczny. Czas, żebym wziął się do roboty.

- Wcale nie jesteś beużyteczny, Carl. - A więc będą udawali, że niczego mu nie wyznała i że on podejmuje tylko kroki, które zasugerowała mu przeszło rok temu. Ułatwiał jej wszystko bardziej, niż mogła oczekiwać w najśmielszych marzeniach. Pozwalał jej



znowu uciec, lecz tym razem nie musiała nawet się przenosić. Teraz jednak rozumiała, że nie o to jej chodziło. Śmiertelnie ją zmęczyło to ciągłe uciekanie i ukrywanie się, samotne życie z potwornym bagażem prawdy, przytroczonym do jej pleców. Przyglądając mu się, gdy tak siedział w fotelu, pocierając nieświadomie ubytek w nodze, który nigdy się całkiem nie zbliżnił, zapomniała o histerycznych porannych żalach. Chciała teraz tego samego, co poprzedniego wieczora, gdy stanął w drzwiach, wskazując palcem wycinek prasowy, wyjęty z jej albumu, i zdała sobie sprawę, że dzięki jakiejś tajemniczej niemej komunikacji ich dusz, zrozumiał ją. Pragnęła dzisiaj też podzielić się z nim wydarzeniami, które zepchnęły życie ich obojga na samotne ścieżki. Wyzna mu wszystko, a wówczas - błagam cię, Boże - Carl powie, że wszystko jest w porządku, że to nie była jej wina; Mathilda jej wybaczy. Zbliżyła się do krawędzi przepaści.

- I to jest jedyny powód, dla którego chcesz wyjechać? Pieniądze?

- A jaki miałby być inny?

Zatem zmusza ją, żeby powiedziała to pierwsza. Dobrze. Tak jest słusznie. Wzięła głęboki oddech. Wobec tego powie.

- Myślałam - spojrzała mu odważnie prosto w oczy - że to, co wyznałam o Clemencie Owensie...

Odrzucił głowę do tyłu, wydając dźwięk, który przypominał śmiech, podszedł do otwartego okna i wyjrzał przez nie. Amanda zauważyła, że zmieniła się pogoda, czuła chłodny powiew. Zmęczone lato skapitulowało w ciągu kilku godzin i od północy wkroczyła triumfalnie jesień. Owady i żaby, które jeszcze wczoraj wieczorem były ogromnie ożywione, uciszyło zimne powietrze.

- To było tak dawno - powiedział do beznamiętnego granatowego nieba - teraz nie mogę sobie nawet przypomnieć, jak wyglądała. To straszne, prawda? Próbowałem, ale po prostu nie mogę. Miewam jedynie od czasu do czasu słabe przebłyski pamięci. - Odwrócił się ku niej i wyznał z rozbrajającą szczerością: - Trudno to wiedzieć z całą pewnością po tylu latach, ale wierzę, że ją kochałem. I myślę, że ona też mnie kochała. Ale przypuszczam, że się zmieniła, gdy wyjechałem. Jestem przekonany, że musiała być samotna i wściekła na mnie. Wiem, że tak było - upierał się, gdy Amanda pokręciła przecząco głową. - Powiedziała mi to i miała święte prawo tak się czuć, ponieważ zaciągnąłem się, nic jej o tym nie mówiąc, a to dlatego, że bałem się, iż będzie protestować. Myślę - mówił dalej, cedząc powoli słowa, jak gdyby rozwiązywał jakąś zagadkę - że naprawdę to nie moja Mathilda urodziła jego dziecko, lecz całkiem inną kobietą, którą się stała, kobietą, której nigdy nie znałem. Tak myślę. Do takiego doszedłem wniosku - rzekł, niemal wyzywająco.

Amanda miała uczucie, że wpadła do sadzawki bez dna i momentalnie tonie.

- Carl, nie! - zamachała rękami. - Mattie nigdy... - Nie mogła znaleźć właściwych słów.

Carl, który siedział już wtedy koło niej, ujął jej dłoń, którą bezwiednie tłukła w kanapę.

- Posłuchaj, Amando. Posłuchaj mnie! Wiem, że w pewnym stopniu jest to moja wina. Nie musiałem wyjeżdżać tak szybko. Nie musiałem tak skwapliwie korzystać z okazji. Miałeś rację, twierdząc, że chciałem wyjechać. Uważałem to za obowiązek mężczyzny i chciałem udowodnić jej - udowodnić wszystkim, nawet sobie - że jestem mężczyzną. Nie pomyślałem, co to będzie oznaczało, że wyjadę tak daleko i nie będę mógł wrócić. - Westchnął i odwrócił

wzrok. - Próbuję tylko powiedzieć, że wiem, jak to jest, gdy się coś zrobi, a później, z perspektywy, powody, dla których się tak postąpiło, wydają się idiotyczne. Wiem, że sytuacja potrafi się zmienić w najbardziej nieprzewidziany sposób. I jestem pewien, że Mattie wróciłaby, tak jak ja to uczyniłem, gdyby tylko mogła, gdyby to dziecko jej nie zabiło. Wiem, że tak by się stało.

Amanda siedziała, zdumiona zarówno tym, że milczy, jak i całym nieporozumieniem. Czemu nie mówi mu prawdy? Twarz Carla, widziana z bliższej niż zwykle odległości, ponieważ siedział obok niej na kanapie, wydawała się jej jakaś inna, jak gdyby należała do obcego człowieka. Tylko oczy były takie same.

- Zdaję sobie sprawę, co zrobiłaś dla mnie i mojej córki - mówił Carl. - Wiem, że rzuciłaś pracę pielęgniarki, na której tak bardzo ci zależało. Nie każda siostra by tak postąpiła. Nigdy w życiu nie zdołam ci tego wynagrodzić. Przynajmniej jednak od tej chwili będę robił, co do mnie należy.

Nie zrozumiał absolutnie nic, pomyślała. Nie było żadnego porozumienia, nie zajął w głąb jej duszy. A teraz ona pozwala mu myśleć, że Mattie... och, nieszczęsna Mattie. Nieszczęsny Carl. I poza współczuciem i wstydem poczuła lekkie oburzenie, haniebne oburzenie, że w tej wersji wydarzeń odegrała wyłącznie jedną z drugoplanowych ról.

- Carl - zaczęła. Powiedział: „moja córka”, jak gdyby Ruth należała tylko do niego. Powiedział: „wynagrodzić”, jak gdyby brali udział w jakiejś transakcji, jak gdyby nie spędziła tutaj każdej chwili z miłości dla Ruth. Jak mocno jego palce zacisnęły się na delikatnych kostkach jej nadgarstka - czy ma czuć się bezpieczna, czy też powinna się bać? Powiedz to, rozkazała sobie, powiedz. Położyła

rękę na jego dłoni, by skłonić go do słuchania, blizna wokół jej kciuka uśmiechnęła się do niej. - To nie była twoja wina - wykrztusiła z trudem. - Ani Mathildy. To była moja wina. Puściłam ją.

W tydzień później, po wyjeździe Carla do Sheboygan, gdzie miał się zaokrętować na „Rebecca Rae”, Amanda przyznała przed samą sobą, że, oczywiście, niczego to nie wyjaśniło. Poklepał ją po ramieniu, nic nie rozumiejąc, i powtórzył, jak wdzięczny jest jej za to, że zajęła się wychowaniem Ruth, ona zaś wybuchnęła tak spazmatycznym płaczem, że nie mogła wykrztusić słowa. Było jeszcze gorzej niż kiedykolwiek przedtem. Prawie skłamała, pozwalając mu wierzyć, że to Mattie dopuściła się takiego okropnego czynu. Jedynie uroczyste przyrzeczenie, które sobie złożyła, że odkryje przed Carlem całą prawdę przy najbliższej okazji, gdy jego okręt zawinie do Milwaukee, pocieszało Amandę na tyle, że udawało jej się zasnąć. Jednakże z nadejściem ranka zawsze uświadamiała sobie, jak czcza była ta obietnica.

Tymczasem Carl przysyłał im kartki z takich portów, jak Gary czy Duluth, a Ruth chowała je do pudełka, w którym niegdyś trzymano papierowe kołnierzyki.

- Skąd była ostatnia pocztówka? - pytała Amanda Ruth, gdy ludzie dopytywali się o Carla.

A gdy Ruth odpowiadała, że z Sauk Ste. Marie lub Green Bay, cmokali językami i kręcili głowami.

- Ten to lubi podróżować po świecie - mówili, jak gdyby krążenie wokół Wielkich Jezior było trochę egzotyczne i podejrzane. Ruth nie słuchała. Zaczęła zdawać sobie sprawę, że ludzie zawsze muszą coś gadać.

Ruth trzymała pudełko z pocztówkami w domu na wyspie. Lubiła oglądać je tam, gdzie nie musiała dzielić ich z Amandą, gdzie unosił się jeszcze zapach jego papierosów i gdzie plamy światła na podłodze przypominały jej, jak zrywał deski z okien. Zaznaczała na mapie każde miasto, z którego przysłał widokówkę, i zapamiętywała fasady budynków oraz roślinność, wierząc - choć wiedziała, że to niedorzeczne - że gdyby nie wrócił, zdoła go jakimś cudem odnaleźć dzięki tym okruchom.

# Rozdział trzynasty

## *A m a n d a*

Ludzie wypytyują mnie o moją rękę, nie tylko Ruth, lecz osoby, których to kompletnie nie powinno obchodzić. Pokazują palcami. Przyglądają się z zaintrygowaniem. Zdumiewające, że ludziom wydaje się, iż mają prawo wiedzieć.

- Co to jest? - pytają. - Wygląda na ugryzienie. Kto cię ugryzł?

Moja blizna po ugryzieniu mogła pochodzić z czasów, gdy pracowałam w szpitalu, z czasów, gdy opiekowałam się żołnierzami. Trudno sobie wyobrazić, w jak nieopanowany sposób potrafią zachowywać się ludzie pod wpływem przerażenia, gdy wiedzą, że umrą, gdy wydaje im się, że jesteś aniołem, który popycha ich w stronę grobu.

Carl nigdy mnie o to nie spytał. Chyba nie chciał wiedzieć, co może zmienić człowieka w dzikie zwierzę.



- Gorąco, nie? - spytał Ray, podając Ruth jeden z drinków, które przyniósł do stolika.

- Mhm - zgodziła się. Upiła małą porcję koktajlu z whisky i soku cytrynowego, gdy tymczasem Ray sadził się na krześle. Pokiwała głową, z uśmiechem przyklejonym do warg. Nie przychodziła jej do głowy żadna odpowiedź. - Rzeczywiście, jest gorąco - odezwała się wreszcie.

Rozpromieniła się z wdzięczności.

- Jasne! - Wstał, gdy do stolika zbliżyła się Imogena. - A tobie nie jest za gorąco?

- Skądże! - roześmiała się Imogena i chwyciwszy chłopaka za rękę, pociągnęła go na parkiet w rytmie shimmy, posyłając Ruth całusa.

Ruth i Imogena chodziły na tańce w każdy piątkowy wieczór, od kiedy otwarto w czerwcu 1937 roku nowy pawilon taneczny. Była to platforma wzniesiona na samym brzegu jeziora, toteż gdy grała orkiestra, muzyka niesła się po wodzie na wiele kilometrów. Letnicy, którzy mieli chaty lub rezydencje wybudowane wzdłuż brzegu jeziora, według projektów nie będących raczej odzwierciedleniem ich stanu majątkowego, lecz ich wyobrażeń na temat letnich domków, przyjeżdżali na tańce łodziami, ale Imogena i Ruth, które były, jak je nazywała Imogena, „dożywoćnikami więźniarkami”, przyjeżdżały fordem Lindgrenów.

- Wiesz, że masz wielkie oczko na łydce? Wróć lepiej do domu i zmień pończochy - powiedziała Imogena, gdy przyjechała wieczorem po Ruth.

Ale Ruth nie miała innych przyzwoitych pończoch, toteż obie dziewczyny siedziały przez chwilę i przyglądały się krytycznie oczku, próbując zdecydować, czy naprawdę bardzo je widać. Ruth przekręciła pończochę, żeby lepiej się przyjrzeć i nagle - trzask - oczko poleciało na całej długości, a na dodatek się poszerzyło.

Ściągnęła pończochy - tak czy owak nie znosiła ciepłych rzeczy - i rzuciła je na tylne siedzenie. Opuściła okno do oporu, by czuć powiew wiatru na skórze.

Było gorąco, Ray miał rację, choć nie wykazał się oryginalnością. A aksamitne, wilgotne powietrze w pawilonie było przesycone zapachem dymu, tanich perfum, szminki, szamponu i potu, który mieszał się z wonią kapryfolium, trawy i oparami benzyny, unoszącymi się z silników łodzi. Gołe nogi, które w samochodzie wydawały się Ruth czymś tylko trochę niewłaściwym, teraz straszliwie ją krępowały. Gdy je skrzyżowała, pot zbierał się w miejscu, gdzie stykały się jej uda. Starła się więc w miarę możliwości trzymać nogi pod stołem.

Te wypadki były dla niej ciężką próbą, mimo że zdawała sobie sprawę, iż powinny sprawiać jej przyjemność, tak jak pozostałym. W Brown's Business College wszyscy mówili o nowym pawilonie i chociaż Ruth obawiała się go od chwili, gdy usłyszała o nim po raz pierwszy, Imogena dała jej jasno do zrozumienia, że musi tam iść.

- Oczywiście, że pójdziesz! - Imogena robiła w myśli przegląd swoich sukien, zastanawiając się, czy musi suszyć głowę rodzicom o coś nowego. - Pomyśl, jakie to stwarza możliwości, Ruth. Wszyscy tam będą. Bobby Hanser, Harold Koch i wszyscy letnicy.

Bobby Hanser i Harold Koch to byli dwaj chłopcy, z którymi Imogena rozmawiała czasami, gdy wpadali do sklepu przed dniem wędkowania. Ale zdecydowanie nie należeli, wyjaśniła Ruth, do typu wędkarzy.

- Są żeglarzami - rzekła dumnie - członkami jachtklubu. Mówili, że biorą udział w wyścigach żaglówek klasy A. I założę się, że mają również bojery.

- Co to są żagłówki klasy A?



- Chyba te duże. Jestem prawie pewna. - Imogena i Ruth często podziwiały je w niedzielne popołudnia. Korzystając z rzeźkiego wiatru, żaglówki rozciągały się długim sznurem, pokrywając niemal całe jezioro, spychając bliżej brzegów mniejsze łódki, rybaków oraz pontony.

- Chciałabym popłynąć jedną z nich - często mawiała Ruth, a Imogena, która zachwycała się nie tylko ich gracją, lecz którą nęciła również myśl o przyjemnym odpoczynku, jaką podsuwały, zgadzała się z nią całkowicie.

Przyglądały im się z brzegu przez lornetkę Amandy, rozpoznając swoje ulubione łodzie po numerach na żaglach. Imogenie podobała się „V7”, która miała pokład błękitny jak niebo, chociaż lojalnie trwała również przy żółtej Bobby'ego, Ruth natomiast wołała żaglówkę morskiego koloru.

- To Arthur Owens - powiedziała Imogena, a Ruth zobaczyła przez lornetkę, gdy chłopiec odwrócił głowę, sznureczek, który przytrzymywał mu okulary, żeby nie wpadły do jeziora.

Po to, żeby Imogena mogła lepiej poznać Bobby'ego, Harolda i ich przyjaciół, a może umówić się z którymś z nich albo nawet poślubić któregoś - kto to wie? - Ruth wkładała co piątek, od czterech tygodni, swoją najlepszą sukienkę, którą ciocia Mandy uszyła jej trzy lata temu.

Ciocia Mandy nie pochwałała tańców.

- Naprawdę masz ochotę rozmawiać z tymi wszystkimi dziwnymi chłopakami? - spytała tamtego wieczora, stojąc w drzwiach łazienki. - Wiem, że nie spodobałoby się to twojemu ojcu.

Ruth stanęła na pokrywie sedesu, żeby przejrzeć się jak najlepiej w lustrze nad umywalką.

- Dobrze - powiedziała do Amandy, zeskakując ciężko na posadzkę. - Nie będę rozmawiała. - Zaczęła upinać włosy, ale gdy

grzebień utkwiał w splątanym puklu i wyslizgnął się z jej palców, westchnęła, doprowadzona do rozpaczy. - Poza tym, idę wyłącznie dla Imogeny.

- Daj, pozwól, że ja to zrobię. - Amanda podniosła grzebień i upięła zręcznie włosy Ruth, skręcając je na różne sposoby. Wpięła szpilki naprędce, nie oszczędzając skóry Ruth, ale efekt był kapitalny. - Masz takie piękne włosy - powiedziała - zupełnie jak twoja matka. Nie cieszysz się, że mnie posłuchałaś i nie obcięłaś ich, kierując się jakąś głupią modą?

Ciocia Mandy niepotrzebnie martwiła się o dziwnych chłopców, pomyślała teraz Ruth, delektując się słodkawo-kwaskowym smakiem swojego drinka. Chłopcy i dziewczęta byli zainteresowani wyłącznie rozmową z Imogeną. Odciągali ją od Ruth, gdy tylko zdążyły wejść, wsłuchiwali się w każde jej słowo, pochylali się ku niej razem z krzesłami, na wyścigi podawali jej ogień, proponowali różowy poncz, opowiadali plotki, pytając szeptem: „Słyszałaś?” i „Widziałaś?”, oglądając się ukradkiem przez ramię na obiekty swoich historyjek. Ruth, siedząc oparta wygodnie na krześle, z oszronioną szklanczką w rękę i przyklejonym do warg uśmiechem, usiłowała słuchoać muzyki.

Gdy zjawił się nagle Bobby Hanser, Ruth obserwowała Imogenę, która udawała zdziwienie, potem kazała się namawiać, wreszcie podała mu rękę i poprowadziła go z wystudiowanym wdziękiem na sam środek parkietu. Amanda myliła się, twierdząc, że ojcu nie spodobałoby się to miejsce, pomyślała Ruth, przyglądając się, jak Imogena i Bobby tańczą fokstrotą, i wspominając szczęśliwy wieczór przy dźwiękach gramofonu. Niestety, nie zdarzyło się to już nigdy więcej podczas tych paru tygodni, kiedy „Rebecca Rae” zawiązała do portu w Milwaukee lub Chicago, a on wpadał do domu. Gdyby żyła jej matka, z pewnością zabierałby ją na tańce. Byłoby wspaniale,

myślała Ruth, czując ściskanie w gardle, gdyby ktoś zechciał zaprosić ją w taki sposób. Ale uniosła dumnie głowę. Kogo widziałaby w charakterze swego adoratora? Na pewno żadnego z tych chłopaków. Przeszło jej wtedy przez myśl, że - jak to zwykle bywało o tej porze - może odbyć małą wycieczkę do damskiej toalety. Nikt nie zauważy, że zniknęła na chwilę.

Prześlizgnęła się między stolikami, okrążyła parkiet, robiąc uniki przed łokciami, mówiąc „przepraszam” i „pardon”, a gdy ludzie się nie rozstępowali, próbowała przecisnąć się między nimi bokiem. Jakaś dziewczyna wybuchnęła nagle śmiechem tuż nad jej uchem, mężczyzna cofnął się, nadeptując jej obcasem na nogę, wirowały zwiewne suknie, kołnierzyki były mokre od potu, muzyka mieszała się z gwarem ożywionych rozmów. Ruth pchnęła drzwi z napisem TOALETA DAMSKA i wślizgnęła się do środka.

Znalazszy się w chłodnym i prawie cichym pomieszczeniu, Ruth podeszła prosto do małej ławeczki, obitej błyszczącym różowym materiałem. Ławeczka stała pod ścianą, na której znajdowały się okna, i była wprost wymarzona dla każdej kobiety, gdyby poczuła się słabo i szukała spokojnego miejsca, by ochłonać. Ruth zrzuciła buty, podwinęła nogi pod siebie i wyjęła z torebki książkę. Dokończył rozdział, a potem wróci do stolika i będzie zachowywała pozory.

Przeczytała zaledwie kawałek, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie, wpuszczając strumień hałasu i dwie dziewczyny, które Ruth знаła z widzenia. Należały do świty Bobby'ego Hansera. Ledwie zaszczyliły Ruth przelotnym spojrzeniem, zanim jedna weszła do kabiny. Druga pochyliła się nad umywalką, tak że jej twarz znalazła się w odległości zaledwie kilku centymetrów od lustra, i odgarnęła włosy z czoła, żeby przyjrzeć się z bliska swojej skórze. Wykrzywiła się do swego odbicia.

- Jest przebojową smarkulą, co? - powiedziała dziewczyna w kabinie, przekrzykując szum wody.

- No, nie wiem, Zito. Ja widziałam, że to on poprosił ją do tańca.

- Bo ona chciała, żebyś tak to odebrała. Znam takie jak ona. - Po chwili dodała: - Czujesz to od niej, prawda?

- Co takiego?

- Eau de robale.

- Wierze ci na słowo - rzekła druga dziewczyna. Otworzyła pu-  
derniczkę i musnęła lekko puszką policzki.

- Szkoda, że nie możemy tego zabutelkować i sprzedawać  
miejscowym.

- Bobby'emu najwyraźniej się podoba.

Zita spuściła wodę, wyszła z kabiny i dołączyła do koleżanki przy  
umywalce.

- Och, znasz Bobby'ego i jego letnie romanse. Gdy jest gorąco,  
ugania się za spódniczkami jak szalony. Kilka dni temu rozwodził się  
nad tym, jak ślicznie wyglądała w swoim małym fartuszk, gdy wy-  
mowała robaki z ziemi. Przecież to przechodzi wszelkie granice! -  
Myjąc ręce, pochyliła się do lustra i otworzyła usta, odsłaniając zęby.

- Och, dobra, jest zmienny. Powinam to wiedzieć. - Druga  
dziewczyna skrzyżowała ręce na piersi.

- Gdzie mam to położyć? - spytała Zita, podnosząc ręcznik,  
którym wytarła ręce.

- Oddaj chyba jej - odparła przyjaciółka, wskazując gestem gło-  
wy Ruth, i wyszła.



Gdy Ruth wracała do stolika, zepchnięto ją na bok, tak że omal  
nie wpadła na biegnącą wokół pawilonu siatkę, która miała chronić  
przed komarami. W dole fale uderzały o pomost w rytmie miarowym

jak oddychanie. Popatrzyła na ciemną wodę i nagle zatęskniła za ojcem. Tak bardzo chciałaby, żeby tutaj był, żeby przyplłynął do niej w smudze księżycowego blasku, wiosłując rytmicznie i oglądając się przez ramię, by ocenić odległość. Nie obchodziliby go ani trochę ci wszyscy ludzie. Tylko ona byłaby dla niego ważna.

Gdy Ruth obejrzała się, drgnęła, widząc, że Arthur Owens patrzy na nią przez parkiet. Niezbyt miło, że zobaczył ją w takiej sytuacji, zagubioną i ponad wszelką wątpliwość samą, nieinteresującą dla nikogo. Od kiedy zaczęłam przejmować się takimi rzeczami? - pomyślała ze złością, robiąc minę do Arthura. Stał oparty o balustradę, rozmawiając z dwiema dziewczynami, które spotkała w toalecie. Co mu o niej powiedziały? Szybko przecisnęła się do swojego stolika.

Imogena i Ray próbowali tańca, w którym on okręcał ją to w lewo, to w prawo, a ona dostawiała stopę raz, potem drugi, robiła dwa kroki do przodu, a następnie jeden do tyłu. Podpatrzyli to u Freda Astaire'a i Ginger Rogers, w praktyce okazało się jednak znacznie trudniejsze, niż wyglądało. Ruth zauważyła, że teraz Imogena przyciągnęła uwagę Arthura, mimo że próbował skoncentrować się na rozmowie. Roześmiał się, kiwając głową, ale nie spuszczał wzroku z Imogeny. Ruth, już bezpieczna przy swoim stoliku, przyglądała mu się na tyle badawczo, by nie rzucało się to w oczy - Imogena zechce poznać każdy szczegół.

Jedna z dziewczyn, ta która wręczyła Ruth swój ręcznik, postąpiła nagle do przodu, chwytając Arthura za rękę, by wyciągnąć go na parkiet. Stawiał właśnie swoją szklankę na balustradzie, by podążyć za partnerką, gdy Ray okręcił w tańcu Imogenę tak, że zatoczyła się i wpadła całą siłą na wyciągnięte ramię Arthura.

W pierwszej chwili wszyscy osłupieli, w następnej rzucili się na pomoc z serwetkami. Imogena, Arthur i Ray wybuchnęli śmiechem.

Dziewczyna, która chciała zatańczyć, była wyraźnie mniej zadowolona. Ruth, przyglądająca się wszystkiemu z boku, jak gdyby siedziała w teatrze, zdenerwowała się trochę, gdy zobaczyła, że Imogena prowadzi całą grupkę do ich stolika.

- To jest Bobby - ogólnie przedstawiła chłopca. - To jego kuzyn Tom, to Zita i Kitty, a to Arthur - powiedziała, kładąc mu dłoń na ramieniu. Potem, zaczynając od Ruth, wymieniła imiona wszystkich siedzących przy stoliku.

- Teraz jesteśmy sobie oficjalnie przedstawieni.

Arthur uśmiechnął się do Ruth, która spiekła raka. Czy zauważył, że mu się przyglądała.

- Dacie wiarę, że zdobyłem dzisiaj na polu siedemdziesiąt sześć punktów? - pochwalił się Bobby, siadając przy stoliku. Parę osób, na których wyraźnie zrobiło to wrażenie, zaczęło dla porównania podawać swoje najlepsze wyniki. Mimo to dla Ruth nie było bynajmniej zaskoczeniem, że Imogena, której stopa nigdy nie postąpiła na polu golfowym, wodziła rej przy stole. Potem Ray zatańczył z Zitą, a Arthur z Imogoną.

- Teraz zechcesz zatańczyć z Ruth - powiedziała Imogena do Arthura, wachlując twarz dłońmi, gdy wrócili do stolika.

- Nie, chodźmy na łódź - zaprotestował Bobby.

- Jeden taniec - rzekł Arthur i podał jej ramię.

Ruth wolałaby raczej nie tańczyć, odwróciła więc głowę i wykrzywiła się do Imogeny, gdy Arthur prowadził ją na parkiet. Przecież gdyby miał ochotę z nią zatańczyć, sam by ją poprosił. Ale Imogena opowiadała właśnie Tomowi jedną ze swoich historyjek, wymachując rękami, aż pobrzękiwały jej bransoletki, i przechylając kokieteryjnie głowę, żeby gęste loki muskały jej ramiona. Ruth dała za wygraną i zwróciła się twarzą do partnera.

- Gorąco, prawda? - zauważyła.

Arthur był swobodny, zrelaksowany. Wyciągnął do niej z uśmiechem rękę. Patrzył na nią przez okrągłe okulary, jak gdyby była tą jedyną, której pragnął od początku.

To był tylko fokstrot, ale Ruth miała trudności z uchwyceniem rytmu muzyki. Starła się, by jej dłoń spoczywała na ramieniu chłopca lekko niczym ćma, ale nie mogła jakoś zgrać się z nim, toteż musiała trzymać się go kurczowo, ciężka i niezdarna, gdy wywijał z nią we wszystkie strony, a w dodatku szpilki w jej fryzurze poluźniły się niepokojąco.

I wtedy nagle coś się zmieniło. Może po prostu podziałał na nią w końcu alkohol i gorąco. Choć nadal mocno trzymała się chłopca, teraz sunęła z nim płynnie i gładko. Pozwoliła, żeby przyciągnął ją bliżej, aż dopasowali się idealnie. Pozwoliła, by ją prowadził, zapomniała się całkowicie. Wirowała z odrzuconą do tyłu głową, patrząc, jak sufit kręci się razem z nią. Słuchała muzyki i dawała nieść się nogom. A jej uśmiech nie był już sztuczny.

Gdy taniec się skończył i Arthur odprowadził ją do stolika, Ruth rozejrzała się dookoła z zakłopotaniem. Nie mogła sobie przypomnieć, na którym krześle siedziała ani gdzie położyła torebkę. Bobby wstał, odpychając krzesło kolanami.

- Co powiecie na małą przejażdżkę „Chris Craft”? Po ciemku będziemy musieli płynąć powoli, ale mimo to może być przyjemnie.

Ruszyli gromadką w stronę pomostu, popychając się i trajkocząc, ośmieleni blaskiem Mlecznej Drogi i bezmiarem czarnej niespokojnej wody. Ich głosy niosły się od jednego brzegu jeziora do przeciwnego, jak w ogromnym teatrze.

Ruth patrzyła, jak Imogena wchodzi z gracją do łodzi, a następnie poszła za jej przykładem, naśladowując ją najlepiej, jak potrafiła. Najpierw przytrzymała się ręki Arthura, zstępując z pomostu do łodzi, potem ramienia Bobby'ego, żeby nie stracić równowagi, gdy już znalazła się w środku. Skrzywiła się, omal nie skręciwszy sobie kostki przy ostatnim kroku. Czuła się idiotycznie w butach na wysokich obcasach.

- Ostrożnie - powiedział Arthur.

Ruth pomyślała z irytacją, że takie dobre rady po fakcie są jak musztarda po obiedzie. Prawa dłoń, którą chłopiec ujął, pomagając jej zejść do łodzi, drżała. Ścisnęła ją mocno w drugiej.

Jeszcze nie wszyscy zdążyli usiąść, a już Bobby uruchomił silnik i pomknęli, oddalając się od świateł pawilonu. Nagle Bobby gwałtownie skręcił i Ruth musiała chwycić Toma za ramię, by nie spaść z siedzenia. Przy drugim skręcie omal nie wylądowała na kolanach Imogeny. Wśród pisków i śmiechów, Kitty i Zita krzyknęły na niego, żeby zwolnił, on jednak tylko się uśmiechnął i wykonał kolejny skręt, tym razem rzucając Arthura na podłogę, a Imogenę na niego.

W końcu Bobby znudził się zabawą i zwolnił. Wyjął z małej mahoniowej szafki na dziobie butelkę whisky i szklaneczki. Ruth spojrzała na Imogenę, która, oparta wygodnie o poduszki, wyglądała spódniczkę na kolanach, i zrobiło jej się prawie żal tamtych zadufanych w sobie dziewcząt, które robiły złośliwe uwagi na temat sklepu wędkarskiego. Imogena nie pachniała „eau de robale”. Wyraźnie tutaj była w swoim żywiole. Urodziła się po to, by słuchać niskiego dudnienia silnika, gładzić delikatnymi koniuszkami palców lśniące lakierowane drewno, wyciągać po kryształową szklaneczkę kształtną dłoń, ozdobioną gustownym wąskim pierścieniem, który dostała od rodziców w dniu ukończenia szkoły.



- Połóżmy się i patrzmy w gwiazdy - zaproponowała Zita, osuwając się na dno łodzi. Ułożyła się na wznak, podkurczywszy kolano, żeby wszyscy mogli podziwiać jej gładkie, sprężyste udo.

Ruth odwróciła wzrok, wstydząc się za nią.

- Daj spokój, Zita, wstawaj - powiedział Bobby, podając jej rękę, dziewczyna jednak odtrąciła ją.

- Cicho! Słyszę wodę! - oznajmiła, przyciskając ucho do desek podłogi. Niespodziewanie usiadła i chwyciła Ruth za rękę, usiłując ściągnąć ją na dno obok siebie. - Posłuchajcie! Wyłącz silnik, Bobby!

Bobby posłusznie wyłączył silnik. Ruth opierała się przez chwilę, w końcu jednak poddała się i położyła się na podłodze obok Zity.

- Słuchaj! - ponagliła ją Zita i Ruth z napięciem przytuliła ucho do drewna. Przez lakierowane deski słyszała plusk i cmokanie wody, pastwiącej się nad drewnianym kadłubem, próbującej wdrzeć się do środka.

- Wiecie, co słyszałam o tym miejscu? - zabrzmiał nad nią głos Kitty.

Mając wciąż w uszach nieustanny chlupot wody, Ruth patrzyła na Kitty, która pokazywała na wodę.

- Jakaś kobieta z tamtej wyspy utopiła swoje dziecko w czasie wojny. Podobno późno w nocy można usłyszeć jego płacz. Czy to prawda? - Kitty popatrzyła na Imogenę, potem na Ruth. - Słyszaliście je kiedyś?

- Nie! - Ruth gwałtownie usiadła. - Oczywiście, że nie. To bzdury!

Ale nawet teraz słyszała płacz dziecka, cichutkie kwilenie, które oddalało się coraz bardziej i bardziej, ale nigdy całkiem nie cichło. Zamknęła oczy, żeby stłumić ten dźwięk, nic to jednak nie pomogło i mimo że nie trzymała już ucha przy podłodze, słyszała również

jezioro. Plusk fal mieszał się z dziecięcym płaczem, niemal czuła wodę, jej wilgotny język w uszach, w oczach, obejmowała ją, ciągnęła w dół.

Otworzyła oczy, ale gwiazdy mknęły w jej kierunku i miała wrażenie, że sama szaleńczo wiruje w przestrzeni. Żołądek podszedł jej do gardła. Wdrapała się na siedzenie i zwymiotowała za burtę.

Wszyscy byli nadzwyczaj sympatyczni.

- To ten upał - powiedziała Kitty. - Mnie też trochę mdli.

- To wszystko przez te popisy Bobby'ego - dodała Zita. - Mówiłam mu, żeby tak nie szalał.

- Nie trzeba było zmuszać jej, żeby leżała na dnie - odparł Bobby.

- Masz rację - przyznała Zita. - Przepraszam, Ruth.

Ruth wzięta chusteczkę, którą podała jej Imogena, i wysiękała nos.

- Już mi przeszło. Chyba po prostu nie jestem przyzwyczajona do takich ilości alkoholu.

- Gdyby Bobby nie częstował takim tanim świństwem - powiedział Arthur - nic podobnego by się nie zdarzyło. W zeszłym tygodniu chorowałem po jego dzinie.

Ruth próbowała uśmiechnąć się do niego, ale wargi jej drżały, a ręce trzęsły się tak bardzo, że musiała skrzyżować je na piersi, by się uspokoić.

- Zimno ci! - wykrzyknął Arthur. - Czy nikt nie ma kurtki? - Poszedł na dziób i wrócił z ręcznikiem, który pozostał po porannym pływaniu. - Usiądź ze mną z przodu, dobrze? - powiedział, delikatnie otulając jej ramiona ręcznikiem. - Powietrze jest świeższe z dala od silnika. Pozwolisz mi poprowadzić przez chwilę, Bobby?

- Jasne - zgodził się Bobby, sadowiąc się z tyłu między Zitą a Imogoną. - Podpłyn pod wasz dom. Zobaczymy, czy ktoś tam jest.

Arthur włączył silnik i światła pozycyjne, przekręcając srebrną gałkę. Wewnętrzny silnik zaczął kojąco pyrkotać, ale Ruth wciąż czuła dreszcze. Jak sięgnąć okiem, woda marszczyła się niby czarna krep. Czy gdyby dała nurka, udałoby się jej dopłynąć do brzegu?

- Od jak dawna przyjeżdżasz tutaj? - spytała, by się uspokoić.

- Och, od lat - powiedział. - Pierwszy raz byłem tutaj w kilka dni po zakończeniu wojny. Miałem wtedy około pięciu lat i tata przywiózł mnie, gdy myślał o kupnie ziemi. Zamierzał wtedy hodować gęsi dla puchu na kołdry. Uważał, że spodoba im się nad wodą. - Arthur roześmiał się cicho. - Zawsze miewa szalone pomysły.

- Ale zamiast tego wybudował dom?

- No cóż, niezupełnie. Mieliśmy gęsi, potem gołębie pocztowe, jeszcze później kozy, wreszcie przekształcił szopę w pracownię fotograficzną. Wydawało mu się, że wynalazł szybki sposób wywoływania filmów, ale nic z tego nie wyszło. Wszystkie postacie wychodziły podwójnie. W tej chwili rewolucjonizuje bojer. - Słowo „rewolucjonizuje” wymówił drwiącym tonem.

- Nie masz najlepszego zdania o jego pomysłach?

- Och, nie, są całkiem dobre. Wprost tryska dobrymi pomysłami. Tylko te gejzery powodują okropny bałagan, a jego, dziwnym trafem, nie ma nigdy w pobliżu, gdy trzeba posprzątać.

- Widziałem cię już kiedyś w mieście - rzekł po chwili milczenia - z twoją matką.

- To moja ciotka. Mama umarła wiele lat temu. - A potem, nie wiedzieć czemu, odczuła potrzebę, by powiedzieć mu więcej, może dlatego, że on mówił tyle o swoim ojcu. - Właściwie utonęła. Wpadła do jeziora pod lód.

- Tutaj? W tym jeziorze? - Arthur wpatrywał się w Ruth, przypominając sobie przenikliwy wiatr tamtego zimowego dnia dawno temu.

- Teraz tutaj. A teraz odtąd dotąd - powiedział ojciec, ustawiając pięcioletniego Arthura. Arthur zaś stał cierpliwie, wdychając zapach wilgotnej wełny, gdyż szalik zatrzymywał parę jego oddechu. Był niezmiernie dumny, że pomaga ojcu, chociaż marzły mu stopy i drętwiały palce. Trzymał jeden koniec sznurka, gdy tymczasem ojciec przemierzał działkę, trzymając drugi koniec, i zatrzymywał się od czasu do czasu, by zapisać liczby w małym notatniku. Wreszcie powiedział: - Wystarczy. Teraz możesz się pobawić. Idę na chwilę do samochodu.

Jezioro było skute lodem, ciemną taflę przysypał lekko śnieg. Gnane porywistym wiatrem, śmigają po niej bojery, kapryśne jak letnie motyle. Arthur nie mógł oderwać wzroku od zamarzniętego jeziora przez cały czas, gdy stał, trzymając sznurek. To było ekscytujące. Kusiło go, by zejść nad wodę.

Zwolniony ze swych obowiązków, Arthur wszedł na lód. Pośliźnął się, ale udało mu się utrzymać równowagę i zrobił kilka ostrożnych kroków w kierunku szaleńców, które postawili wędkarze dla ochrony przed zimnem. Jakże głęboko musiał sięgać lód, tak głęboko, że Arthur nie mógł dojrzeć, gdzie się kończy, a gdzie zaczyna się woda. Uklęknął, żeby przyjrzeć się lepiej, i pochylił głowę do przodu, rozpościerając przed sobą ręce w jednopalczastych rękawiczkach i niemal dotykając nosem zamarznętej tafli.

Studiował gruntownie lód, uwięzione w nim bąbelki powietrza, pęknięcia, pojedyncze listki i fragmenty wodorostów, wyraźne ścieżki, które zdawały się nie mieć końca. Gdzie są ryby? Poczłogał się naprzód na kolanach, bez konkretnego celu, przyciągany przez sam lód.

Usłyszał głośne szuranie, zwiastujące zbliżanie się bojera. Podniósłszy wzrok, zobaczył, że bojer mknie w stronę brzegu. Gdy był niemal pewny, że roztrzaska się na pełnej szybkości o skały, bojer nagle zakręcił, zgrzytając płozami. Żagiel zatrzepotał, chwytając wiatr, i bojer śmignął z powrotem na środek jeziora. Gdy przemykał obok niego, dwie twarze w maskach odwróciły się ku Arthurowi, a dłoń w trójpalczastej rękawicy uniosła się w pozdrowieniu. Arthur pomachał bojerowcom i pobiegł za nimi kilka metrów.

Gdy nogi mu się nagle rozjechały, instynktownie spojrzął w dół, wystawiając ręce, żeby złagodzić upadek. Gdyby kobieta nie była pogrzebana pod lodem, wylądowałby w jej ramionach. Najpierw zobaczył obrzmiałą szarą dłoń, potem całą rękę, fałdy purpurowego materiału, wreszcie twarz, zwróconą ku niemu. Niebieskie oczy były wytrzeszczone, usta otwarte w niemym krzyku, uwięzionym w czarnej dziurze bez dna.

Chciał stamtąd uciec, próbował wstać i pobiec do brzegu, ale poślizgnął się i upadł w tym samym miejscu, jak gdyby tamta dłoń chwyciła go za but i pociągnęła w dół. W końcu udało mu się jakoś odczołgać na kolanach i w ten sposób posuwał się, najszybciej jak mógł, w stronę brzegu.

Gdy jego stopy dotknęły stałego gruntu, Arthur zaczął krzyczeć. Puścił się biegiem pod górę, do samochodu, krzycząc wniebogłosy przez cały czas, z wyjątkiem chwil, gdy musiał schwytać oddech. Gdy ojciec złapał go i podniósł do góry, Arthur wtulił głowę w jego silne ramię, próbując wymazać z pamięci twarz, która wzywała go spod lodu.

- Co się stało? - spytał ojciec, najpierw zaniepokojony, potem starając się go uspokoić, wreszcie zirytowany.

- Upadłeś? Uderzyłeś się w głowę? Boli cię? Gdzie? Co ci jest, u diabła?

Arthur nadal wciskał twarz w obojczyk ojca, aż zaczęły go boleć oczy. W końcu, nie oglądając się, pokazał ręką w kierunku jeziora. Ojciec postawił go na ziemi i podeszli do samej krawędzi lodu. Tam Arthur zatrzymał się i, gdy ojciec wziął go za rękę, by pociągnąć go ze sobą, zaparł się ze wszystkich sił.

- Dobrze, wobec tego zostań tutaj - rzekł ojciec niecierpliwie. - Nie ruszaj się z miejsca. Wrócę za chwilę.

Arthur patrzył, jak ojciec, z lekko uniesionymi ramionami, szura po lodzie, ślizga się, podążając śladem, które pozostawiły kolana Arthura w lekkim śniegu. Widział, jak przystaje, chwieje się na nogach, potem bierze się w garść i powoli przykłęka i odgarnia śnieg rękawiczką. Po chwili wstał i ruszył z powrotem do brzegu.

- Jak ta pani znalazła się pod lodem? - spytał Arthur, gdy jego dłoń była już znowu bezpieczna w dużej dłoni ojca i szli noga za nogą pod górę do samochodu.

- Nie wiem.

- Czy nie powinniśmy jej stamtąd wydostać?

- Zrobi to szeryf, Arthurze.

Szeryf wyszedł z domu z serwetką, zatkniętą za spodnie. Oparł się o samochód i mrugnął do Arthura.

- Zabierz teraz chłopca do domu - powiedział, gdy ojciec Arthura wsiadł z powrotem do samochodu. - Wiemy, kim ona jest. Znajdziemy ją.

Tak to zostawili kobietę pod lodem.

- To tutaj - powiedział Arthur, zwalniając przed szerokim trawnikiem, który wydawał się szary pod nocnym niebem. Trawnik wznosił się stromo ku białemu budynkowi, ozdobionemu od frontu białą kolumnadą.

- Śliczny - wyszeptła Imogena, nie przyznając się (o czym wiedziała Ruth), że gapiła się często na niego z łodzi wiosłowej i snuła domysły, jak wygląda życie w środku.

- Kiedy urządzisz następną zabawę, Arthurze? - spytała Zita. Weszła na siedzenie za Arthurem, rzekomo po to, by mieć lepszy widok, i oparła dłonie na jego ramionach, by nie stracić równowagi. - Zeszłoroczna była najlepsza w całym sezonie. Pamiętasz, Kitty? Pływanie po południu, a potem tańce na parkiecie koło przystani. A ty, Tom, pamiętasz, jak Eddie zepchnął cię z pomostu? - Roześmiała się trochę bardziej żywiołowo, niż usprawiedliwiałyby to wspomnienia. - Och, Arthurze, musisz mi obiecać, że zorganizujesz następną. Koniecznie, bo inaczej będzie zmarnowane całe lato! - Pochyliła się bliżej, tak że jej ufryzowane włosy musnęły policzek chłopca. - Obiecujesz?

- Czy nikt ci nie powiedział, że żyjemy w czasach kryzysu? - spytał, przechylając ku niej głowę.

- Wobec tego trzeba nam czegoś na rozweselenie!

- Czy będziemy tutaj sterczeć przez całą noc? - zirytował się Bobby. - Daj, teraz ja siądę za kółkiem.

Wszyscy się przetasowali - Bobby i Zita usiedli z przodu, Imogena spojrzała wymownie na Arthura i zebrała spódniczkę, zapraszając go na miejsce, które przed chwilą zwolnił Bobby, Ruth wślizgnęła się obok Raya. Kitty i Tom, którzy zaczęli szeptać między sobą, zostali razem z tyłu.

- Tutaj nie jest nawet bardzo gorąco - powiedział Ray.

- Nie. - Uśmiechnęła się do niego. Poczciwy stary Ray. - Powiedziałabym, że jest całkiem niezłe.

Bobby dodał nagle gazu i pomknęli gładko przez czarną wodę, podążając za własnym nikłym białym snopem światła. Ruth chciwie chłonęła pęd ciepłego powietrza.

## *A m a n d a*

Wykopywałam właśnie w ogródku kilka cebul, przykucnąwszy trochę niezdarnie na ziemi, ponieważ nie mogłam się schylać, gdy żołądz - a przynajmniej tak założyłam - spadł mi na ramię.

- Hej! - powiedziałam, spoglądając na drzewa. Następny uderzył mnie w ramię. Gdy stoczył się na ziemię, zobaczyłam, że to nie żołądz, tylko kulka.

- Zmykaj do domu! - syknęła Mattie z okna. - Szybko!

- Co się stało?

- Cśśś! To Rudy - wyszeptła.

Szybko rzuciłam okiem na wodę. Rzeczywiście, był tam. Wiosłował, odwrócony do nas tyłem, ale jeszcze tylko parę ruchów wiosłami i wciągnie łódź na naszą plażę.

Trzasnęły drzwi i Mathilda, zeszła spiesznie z Ruth nad wodę. Pochyliwszy się nisko, na ile mi pozwalał mój brzuch, podkradłam się chyłkiem do tylnych drzwi.

Patrzyłam na nich przez jedno z frontowych okien. Rozmawiali. Rudy podrzucił Ruth kilka razy do góry, po czym przydźwigał z łodzi dwa pękate jutowe worki. Gdy zobaczyłam, że niesie jeden z nich w stronę domu, uciekłam. Wybiegłam przez tylne drzwi i zamknęłam się w wygodce.

Jeśli przez ostatni miesiąc nie pamiętałam, że moja sytuacja jest skandaliczna, to przypominałam sobie o tym teraz, gdy wdychałam smród i wyglądałam przez wycięcie w kształcie serduszka na tyły domu.

Nie wyszłam stamtąd, dopóki nie zobaczyłam Mattie, która wyraźnie mnie szukała. Chwyciła mnie za ramię i potrząsnęła mocno.

- Śmiertelnie mnie przestraszyłaś, Mandy! Bałam się, że mogłaś uciec do jeziora.



Tamtej nocy po raz pierwszy o tej porze roku wiatr zmienił kierunek na wschodni i temperatura spadła. Otuliłam wełnianymi kocami Mattie i Ruth, po czym rozłożyłam jeden na moim łóżku. Wydawał mi się bardzo ciężki po letnich bawełnianych prześcieradłach. Gdy wsunęłam się pod niego, miałam wrażenie, że przyszpila moje ręce i nogi do łóżka i zmusza mnie do snu.



W Brown's Business College Ruth i Imogena uczyły się stenografii i maszynopisania. Imogena była w tym naprawdę dobra. Przez dwa tygodnie opanowała pisanie na maszynie bez patrzenia na klawiaturę. Po czterech potrafiła napisać pod dyktando dwustronicowy list bez pomyłki. I, oczywiście, rachunkowość była dla niej od początku bułką z masłem. Jej zadania były zawsze staranne, białe strony czyste i nie pogniecione, atrament nie rozmazany.

Ruth natomiast szło nie najlepiej. Imogena przekonała ją, że umiejętności sekretarki są bardzo ważne, ale jej brakowało pracy na tanim bazarze, którą musiała rzucić. Zanim zdołała napisać na maszynie dwie linijki, jej myśli zaczynały gdzieś błędzić albo nieposłuszne palce uderzały w niewłaściwe klawisze. Nie potrafiła zapamiętać, jaki powinien być odstęp między adresem zwrotnym a datą, datą a zwrotem do adresata, zwrotem do adresata a pozdrowieniami. I kogo to obchodzi, kogo to obchodzi, kogo to obchodzi? - myślała, szarpiąc papier, którego maszyna nie chciała puścić. Gdy nie nadszała za koleżankami w pisaniu, stukwała w byle jakie klawisze, nie wypadając z rytmu. Gdy miała stenografować listy o tym, ile pan X jest winien panu Y i w jaki sposób zamierza spłacić dług, rysowała na marginesach małe figurki w wymyślnych kapeluszach. Imogena

zgodziła się, że niektóre są całkiem udane.

- Nie martw się - powiedziała, pochylając się, by poprawić skróty stenograficzne Ruth, gdy Brownowie nie patrzyli w ich stronę - ty jesteś typem kreatywnym.

Imogena postanowiła, że obie z Ruth będą nowoczesnymi kobietami. Po ukończeniu szkoły otworzą wspólnie agencję reklamową w Chicago. Ona zajmie się interesami i będzie decydowała o sposobie podawania wiadomości - ponieważ wie, co sprawia, że ludzie pragną coś mieć.

Ruth zajmie się stroną artystyczną i będzie pisała hasła reklamowe. Imogena nie bardzo wiedziała, w jaki sposób będą zdobywały zamówienia, ale wyobrażała sobie mgliście, jak biznesmeni w szarych garniturach i okularach w rogowych oprawkach unoszą brwi, podziwiając oryginalność, styl i atrakcyjność próbek ich reklam.

Ruth przypuszczała, że Imogena widziała to na filmie. Te pomysły zaniepokoiły ją, ale skoro Imogena tego chciała, gotowa była robić to, czego od niej oczekiwała. Ćwiczyła rysunek, próbowała różnych technik, które napotkała w czasopismach. Rysowała piórem projekty damskich butów, malowała akwarelami owoce i kreśliła węglem rodziny baraszkujące na brzegu morza pod ogromnymi plażowymi parasolami wyciętymi z kolorowego papieru. Lubiła wyobrazić sobie apartament w mieście, gdzie zamieszkają razem z Imogeną i gdzie przyjaciele będą stawali na ulicy pod ich oknem i gwizdali, by otworzyły drzwi. W drodze z pracy do domu będą kupowały coś do jedzenia, a potem śpiewały sobie razem z radiem, przygotowując kurczaka po myśliwsku i sałatki z małymi grzybkami.

- Jestem wykończona, kompletnie wykończona! - oznajmiła Imogena podczas przerwy na lunch w poniedziałek. - Nie uda mi

się nigdy włożyć znowu tych butów. - Wygięła zgrabne kostki nóg, opierając stopy o jeden ze znajdujących się pod oknem stolików w sali, gdzie uczyły się pisać na maszynie.

- Co robiłyście podczas weekendu? - spytała Lillian. Wiedziała, czego się od niej oczekuje. Ruth i Imogena często jadały lunch z Lillian i Myrtle, dwiema siostrami z Baraboo.

- Byłyśmy na zabawie tanecznej, wiesz, w tym nowym pawilonie.

- Ach, na tańcach - Myrtle mrugnęła znacząco, czego Ruth bardzo nie lubiła. Była starsza od nich i rozwiedziona. Zawsze sugerowała coś nieprzyzwoitego. - Spotkałyście kogoś interesującego?

- Nie - zaprzeczyła szybko Ruth.

- Tak - poprawiła ją Imogena. - Ruth poznała kogoś interesującego.

- Co ty powiesz? Jaki on jest, Ruth? - Lillian pochyliła się z takim podnieceniem, że trochę sałatki jajecznej wypadło z kanapki na stół.

Ruth próbowała skończyć zadanie domowe na dzisiejsze popołudnie - dwie strony skrótów stenograficznych - którego nie chciało jej się zrobić w czasie weekendu.

- Nie był nikim szczególnym, Lillian, podobało mu się, jak tańczy Genie, ale komu się nie podoba?

- Kiedy pozwolisz mi zrobić coś ze swoimi włosami, Ruth? - spytała Myrtle, proponując dziewczętom papierosy, zanim sama zapaliła. - Mężczyznom podobałby się również twój taniec, gdybyś nie wyglądała jak staroświecka nauczycielka.

- Myrtle potrafi świetnie czesać, Ruth - powiedziała Lillian. - Zawsze mnie czesze, łącznie ze strzyżeniem i ondulowaniem. - Odwróciła się do nich tyłem, by pokazać fryzurę ze wszystkich stron.

- I farbuje - dodała Myrtle. - Pod farbą Lillian ma kompletnie mysie włosy.

- To prawda.

Ruth zmierzyła siostry spojrzeniem, w którym było coś z małej dziewczynki z ciemnym zębem, jak gdyby to one były dziwaczkami, a nie ona, ale teraz uśmiechnęła się, jak nigdy przedtem. Przecież próbowały tylko pomóc.

- Mojej cioci podoba się tak jak jest - powiedziała. - A mnie to nie przeszkadza.

Otworzyły się drzwi w drugim końcu sali i wszedł młody pan Brown, nauczyciel maszynopisania. Przeszedł powoli przez klasę, z rękami w kieszeniach świetnie skrojonych spodni. Nazywano go „młodym” panem Brownem, w odróżnieniu od ojca, założyciela szkoły, ale zgodnie z normami Imogeny i Ruth nie należał raczej do młodych. Miał kiedyś duże ambicje i dążył do ich zrealizowania w Milwaukee, lecz nie wiadomo czemu się rozczarował. Zaczesał włosy do tyłu, żeby pokazać, jak się falują i miał wymanikiowane paznokcie. Podczas gdy inni nauczyciele podwijali rękawy i mieli krawaty ubrudzone kredą, nikt nie potrafił wyobrazić sobie młodego pana Browna bez marynarki w ciągu dnia szkolnego. Imogena twierdziła, że to dlatego, iż nie mogliby znieść rozstania z piersiówką, którą nosił w kieszeni.

- Jak tam, moje dziewczynki? - spytał, kładąc jedną dłoń na ramieniu Imogeny, a drugą na ramieniu Ruth, i pochylając się tak, by zbliżyć twarz do ich twarzy.

Przyjął wobec swoich uczennic ojcowską pozę, żeby mieć pretekst do dotykania ich i głaskania po włosach. Ruth drgnęła niemal mimowolnie, niczym koń, któremu mucha usiadła na szyi. Zamknęła zeszyt i wpatrywała się w okładkę, czekając, żeby się odsunął.

Imogena natomiast spojrzała mu prosto w twarz i pokiwała energicznie głową.

- Ruth musi skończyć swoją pracę domową - powiedziała. - Czy życzy pan sobie czegoś?

Pan Brown wyprostował się.

- Nie, nie - odparł. - Wychodzę napić się kawy.

Zdjął rękę z ramienia Imogeny, a ramię Ruth dla równowagi lekko uściśnął.

Imogena wyróciła oczy, odprowadzając go wzrokiem.

- Jasne, kawy, gadaj zdrów. - Po czym znów podjęła rozmowę z koleżankami. - Ciekawe, czy Arthur Owens będzie na potańcówce w tym tygodniu. Czy wspominał ci coś na ten temat, Ruth?

- Powtórzyłam ci już wszystko, co mi powiedział - odparła Ruth, nie podnosząc wzroku. Położyła swój zeszyt przed Imogeną. - Pokaż mi jeszcze raz, jak się pisze „au”. Nie mogę w żaden sposób zapamiętać.

- Zapamiętałabyś, gdybyś się postarała - zniecierpliwiała się Imogena, ale wzięła ołówek, który podała jej Ruth.

Kobieta, która weszła właśnie do sali, miała na sobie kostium w kolorze cynamonu, a na głowie kapelusz, ale nie zwykły kloszowy, lecz modny, z piórkiem, przekrzywiony w taki sposób, że zasłaniał jej pół twarzy.

- Przepraszam bardzo, gdzie mogę znaleźć pana Browna?

- Młodego pana Browna czy starego pana Browna? - pisnęła Lillian.

Kobieta zawahała się.

- Nie wiem. Chciałam zatrudnić sekretarkę.

- Wobec tego powinna się pani zobaczyć ze starym panem Brownem - powiedziała Imogena. Wstała szybko od stolika. - Chętnie zaprowadzę panią do jego gabinetu.

- Widziałaś jej buty? - szepnęła Imogena, wróciwszy na swoje miejsce.

Gdy kobieta wyszła z gabinetu, spojrzała w stronę stolika i pomachała Imogenie, która odwzajemniła jej gest.

- Co jej powiedziałaś? - spytała Ruth.

- Och, nie wiem - wzruszyła ramionami Imogena. - Wspomniałam tylko o tym, jak wiele się tutaj nauczyłam.

- Ale przecież jesteś dopiero na poziomie drugim! - zaprotestowała Lillian.

- Piszę na maszynie szybciej niż większość osób z czwartego. Poza tym ona chce mieć kogoś dobrze wychowanego i rozsądnego, kto odbierałby telefony, umawiałby spotkania i pilnował jej rozkładu zajęć. Będę w tym dobra, prawda, Ruth?

Dobrze wychowana i rozsądna, pomyślała Ruth, to nie są słowa Imogeny. Ale ją opisują, w każdym razie częściowo.

Pan Brown wyszedł z gabinetu i przypiął do tablicy ogłoszenie.

#### POTRZEBNA POMOC

Osobista sekretarka. Maszynopisanie, dokumentacja, stenografia.

Musi umieć rozmawiać taktownie przez telefon.

Doświadczenie nie jest konieczne.

Theresa Owens (pani Clementowa), W290 N3040 Lakeside Road.

## Rozdział czternasty

- Ruth, muszę cię zabrać do tego domu! - Imogena wpadła, by zobaczyć się z Ruth i Amandą, wracając do domu po pierwszym dniu pracy u Owensów.

- Przyjechałaś na rowerze? - spytała Amanda. - Za godzinę będzie lato.

- Och, nie, rodzice pozwolili mi wziąć forda. Pomyślałam, że zrobię w ten sposób lepsze wrażenie. Ale muszę opowiedzieć o ich domu. - Pociągnęła Ruth na krzesło obok siebie przy kuchennym stole i zaczęła opisywać pokoje, które pokazała jej pani Owens po południu. Rysowała palcem na ceracie rozkład domu, wytyczając pamięć, by jak najlepiej odtworzyć kolory, materiały i meble.

- Dwa kominki, ależ marnotrawstwo! - powiedziała Amanda. - Na co komu dwa kominki?

- No cóż, to wielki pokój. Kominki znajdują się po jego przeciwległych końcach i można wykorzystać połowę pokoju na kameralne spotkanie lub cały na duże przyjęcie. A ona nazywa go salonem. Nie uważasz, że to znacznie ładniejsze określenie? O wiele... nie wiem... barwniejsze niż „duży pokój”. Oczywiście, cały dom jest urządony w stylu rustykalnym, przeciwieństwie do ich domu w mieście.

- Oczywiście - powtórzyła Amanda oschłym tonem. - Imogeno, Ruth powiedziała mi, że rzuciłaś college, żeby podjąć tę pracę. Wydawało mi się, że dążycie obie do czegoś bardziej ambitnego niż przepisywanie na maszynie listów jakiejś kobiety. Słyszałam, że chcecie założyć agencję reklamową. - Postawiła przed każdą talerzyk z ciastem drożdżowym.

Ruth odkroiła kawałek łyżeczką, lecz Imogeną chwyciła ją za rękę.

- Zaczekaj, Ruth. Spróbuj tego. - Wyjęła z płaskiej torebki zgnieciony trójkąt przekładańca, owinięty w chusteczkę. - Przemyciłam to dla ciebie. Pycha, prawda? Mokka. - Wymówiła to słowo bardzo starannie. - Kucharka Owensów pochodzi z Austrii. Wiedziałaś, że Austriacy pieką najlepsze ciasta? Uczę się tak dużo od pani Owens. Ona jest przewodniczącą najrozmaitszych komitetów. Jest nawet w radzie szpitala, w którym pani pracowała, panno Starkey. Ruth, nigdy nie zgadniesz, co było na obiad - to znaczy, na lunch - kanapki z ogórkiem, obranym ze skórki, i mrożona herbata z listkami mięty. Dzięki temu była taka odświeżająca. Pani Owens mówi, że trzeba hodować w pobliżu domu grządkę mięty do mrożonej herbaty. I wiesz, co ona kładzie na talerzu - po prostu dla dekoracji, choć można je zjeść? Poziomki - wiesz, takie śliczne małe. Pani Owens uważa, że przybranie jest bardzo ważne.

- Jaki sens ma kładzenie na talerzu czegoś, czego nie będziesz jadła? - spytała Ruth.

Amanda wzięła głęboki oddech, starając się, żeby jej głos brzmiał spokojnie.

- A gdzie był pan Owens, gdy zwiedzałaś jego dom?

- Ach, wyjechał do hrabstwa Door, załatwiał jakieś interesy, chyba coś z okrętami. Arthur pojechał z nim - dodała Imogena na użytek Ruth.



Amanda przypomniała sobie z ulgą, że „Rebecca Rae” zmierza do Duluth, daleko od hrabstwa Door.

- No cóż, Imogeno - powiedziała - to wszystko brzmi bardzo pasjonująco, ale chyba powinnaś już pojechać do domu. - Uśmiechnęła się z przymusem. - Nie chcemy, żeby twoja mama pomyślała, że cię porwałyśmy.

I tak się to ciągnęło, tydzień po tygodniu. Imogena prezentowała używany kaszmirowy sweter, który podarowała jej pani Owens, wybierała nowe pończochy, które byłyby podobne odcieniem do tych, jakie nosi jej chlebobawczyni, modulowała głos w taki sposób, jak nigdy przedtem. Kiedyś, gdy nie zastała Ruth w domu, zostawiła dla niej list. Wiadomość nie była napisana jej zwykłym charakterem pisma, drobnym, pochylonym. Słowa były wyższe i niższe, pełne krzywizn, pętelek i grubych, okrągłych liter. Ta dziewczyna jest opętana, pomyślała Amanda, podnosząc kartkę do światła. Wiedziała jednak, że to, co ją gryzie, jest zwykłą zazdrością.

### *A m a n d a*

Dziecko było teraz silne, silniejsze ode mnie. Ukształtowało mnie dla siebie - miałam obrzmiałe piersi i wielki brzuch, na którym skóra była napięta i błyszcząca, niczym na owocu. Wymagało, by skupiała się na nim troska całego mojego ciała, żądało całego mojego pożywienia, całego snu. Wysysało ze mnie wszystkie soki.

Ułożyłam kołdry i poduszki na kanapie w dużym pokoju i to było wszystko, co mogłam zrobić, żeby dowlec się rano z mojego łóżka do miejsca, gdzie spędzałam większość dnia, wyglądając przez

okno na pofalowane jezioro, błękitną przestrzeń między moim gniazdem a brązowo-żółto-czerwonym patchworkiem brzegu. Pływanie było teraz wykluczone. Wsparta niewygodnie o zimną ścianę w moim kokonie, widziałam, że ciemny błękit wody jest nienaturalnie wspałały. Był śliski i zdradliwy. Nie wolno mu było ufać.

Próbowałam czytać starą gazetę, ale mój mózg nie chciał przyjąć do wiadomości słów. Pozwoliłam, by gazeta wyślizgnęła mi się z palców i upadła nieporządnie na podłogę. Bez mojej energii wszystko zdawało się rozpadać. Ogród kompletnie zmarniał. Kabaczki, ziemniaki i cebula zarosły chwastami. Podłogę małego pokoju, w którym sypiała Ruth, zaścielały patyki, kolorowe liście, kamyki, a nawet wodorosty, jak gdyby wprowadził się do niego zewnętrzny świat. Z nadejściem chłodu do domu wkradły się również pająki i Ruth często kucąła w jakimś kącie, szturchając palcem kolejnego długonogiego kosarza.

- Ruth, przestań - powiedziałam, widząc, że znowu to robi. - Chodź, umyjemy buzię.

Dźwignęłam się z kanapy i poczłapałam ciężko do kuchni. Ruth podreptała za mną. Sięgnęłam po ściereczkę do naczyń, chcąc ją zmoczyć w zlewie, ale ona była już mokra i poznaczona smugami zaschniętej mąki.

- Och, Ruth - westchnęłam, opadając na krzesło. - Do czego to doszło?

- Na dwór - zawołała. - Chcę iść na dwór.

- Dobrze. Daj, zapnę ci sweterek. - Pocałowałam ją w czoło i otworzyłam drzwi kuchenne. - Bądź ostrożna. Nie zbliżaj się do wody.

Wyglądałam za nią przez okno i snułam się bezplanowo po kuchni, próbując uporządkować bałagan, któremu pozwoliliśmy się rozpanoszyć.

- Mattie! - zawołałam, szukając po prostu towarzystwa, ale przypominałam sobie natychmiast, że popłynęła na farmę.

Podniosłam stertę książek i gazet, które Mattie rzuciła na bufet. Naprawdę, nie powinny były się tutaj znaleźć. Zniosłam je do dużego pokoju, ale nie miałam ich gdzie położyć, taki tam panował nieład. Zabrałam je więc do pokoju Mathildy i rzuciłam na jej niezaścielone łóżko. W ten sposób będzie przynajmniej musiała się tym zająć, zanim pójdzie spać.

Potem wyrzalam przez okno na Ruth. Nie było jej na tyłach domu. Podeszłam do bocznego okna, przeszukałam wzrokiem ogród, ale i tam nie zauważyłam jej czerwonego sweterka. Pośpieszyłam do frontowych okien. I zobaczyłam ją wreszcie - stała na skałach, pochylona nad wodą.

Otworzyłam gwałtownie drzwi.

- Ruth! Wracaj natychmiast! - krzyknęłam, ale ona nawet nie drgnęła. Sprawiała wrażenie, jak gdyby mnie w ogóle nie słyszała. Mimo mej obecnej ociążałości, znalazłam się na brzegu, zanim zdałam sobie sprawę, że opuściłam werandę. Gdyby straciła równowagę, prawdopodobnie złapałabym ją, zanim dotknęłaby wody, ona jednak nie upadła. Mieszała po prostu długim patykiem w jeziorze, tworząc małe wiry.

Skały nagrzały się przyjemnie w słońcu, choć powietrze było chłodne. Usiadłam obok niej, co jakiś czas dotykając palcami jej nogę, żeby uspokoić nerwy. Woda wznosiła się i opadała, uderzając o skały. Nie mogłam oderwać oczu od tych rytmicznych przyływów i odpływów. Aż nagle zobaczyłam skrawek czegoś białego między kamieniami. Był na tyle blisko brzegu, że woda nie zdołała go porwać. Wyciągnęłam po niego rękę, ale nie mogłam dosięgnąć.

- Ruth, pożycz mi na chwilę swój patyk.

Dłubiąc patykiem między kamieniami, udało mi się przyciągnąć biały papier na tyle blisko, że chwyciłam go w palce. Była to koperta, zaadresowana do Carla. Musiała upuścić ją Mathilda, wsiadając do łodzi.

Wiedziałam, oczywiście, co powinnam zrobić, i siedem miesięcy temu bez zastanowienia oddałabym Mattie nieotwartą kopertę. Ale teraz byłam inna. Kusiło mnie, musiałam zobaczyć, co Mattie napisała o mnie. Czemu miałabym jej to zwrócić? Gdybym nie znalazła listu, przepadłby na zawsze. Może właśnie los chciał, żebym go znalazła, myślałam - taki był mój sposób rozumowania w tamtych miesiącach - może czekał tutaj na mnie.

W pewnym sensie zmusiłam się do tego, by zapomnieć o Carlu. W końcu, przez to, że był tak daleko i narażał się na śmierć, miał z nami niewiele wspólnego. Gdy myślałam o tym, że Mattie będzie wychowywała moje dziecko, wyobrażałam sobie, że wszystko pozostanie tak jak teraz, tyle że zaczniemy żyć we czwórkę, zamiast w trójkę. Moje dziecko będzie zarówno moje, jak Mattie, podobnie jak Ruth należy do Mattie, ale i do mnie. W rodzinie, którą widziałam w moich fantazjach, nie było miejsca dla Carla, dla skrzypiącego łóżka, dla intymnych uśmiechów, dla kolacji z musem jabłkowym zamiast rabarbarowego po to, by zadowolić mężczyznę, który musi mieć wszystko na słodko.

Ale Mattie najwyraźniej odbierała to inaczej. W liście opowiedziała mu dosłownie o wszystkim - o wszystkim, co zrobiłam, o wszystkim, co zaplanowałyśmy. Przeżyłam szok. Ujrzałam na stronach listu siebie, moją głupotę i moją hańbę, opisane niechlujnym charakterem pisma Mattie. Nie mogłam na to patrzeć. I nie mogłam pozwolić, żeby on to zobaczył, Carl ze swoją gadką na temat koni,

ze swoimi płynnymi tanecznymi krokami i domkiem dla ptaków. Nie chciałam, żeby dowiedział się o czymkolwiek.

Zorientowałam się też, że przy nim Mattie nie była sobą. To było chyba najgorsze ze wszystkiego. Wyzierało z każdego niemal słowa listu, jej głos zdawał się brzmieć inaczej niż ten, który znałam, nie tylko w sprawach intymnych - to nie przeszkadzałoby mi tak bardzo - lecz również w codziennych obserwacjach. Prawie nie mogłam odnaleźć w tym liście śladu mojej Mattie. A gdy ona i Carl znowu będą razem - widziałam to teraz jasno - moja Mattie odejdzie i nie będzie przy niej miejsca dla mnie.

W tej chwili jednak mogę nadal trzymać go z dala od tego wszystkiego. A potem, cóż, im dłużej go nie ma, tym większa jest szansa, że nigdy nie wróci.

- Ruthie, znajdź dla mnie ładny kamień, mniej więcej taki duży - powiedziałam, zaciskając w piąstkę jej małą dłoń.

Gdy przyniosła mi kamień, zgmiotłam list i owinęłam węń kamień, po czym rzuciłam go najdalej, jak potrafiłam. Chlupnął w wodę i zniknął.

- Ale fajnie - roześmiała się Ruthie. - Jeszcze raz!

- Czas na twoją drzemkę.

Tego samego wieczora Ruth oznajmiła matce przy kolacji:

- Ciocia Mandy wrzuciła do wody list, a on chlupnął.

- List? Masz na myśli kamień, Ruthie, prawda? - spytała Mattie.

Ruth popatrzyła na mnie.

- Tak, Ruthie - powiedziałam. - Pamiętasz, to był kamień takiej wielkości. - Objęłam dłońią jej piąstkę i ścisnęłam, niezbyt mocno, lecz na tyle, by pokazać jej, że mówię poważnie.



O wpół do szóstej rano puls Amandy bił jak szalony, a powietrze, wynurzając się drżące i wilgotne z kąpeli we wczesnojesiennej nocy, jeszcze bardziej ją ponaglało. Wydoiła szybko pięć krów i nakarmiła kilkoro innych zwierząt, które nadal trzymały z Ruth. W sytuacji, gdy Carl tak często był poza domem, Rudy się coraz bardziej starzał, a ceny były, jakie były, pola leżały odłogiem, z wyjątkiem dwóch, które oddała w dzierżawę Joemu Tully'emu. Spotykałaby go na drodze, gdyby jeździła do miasta, ale ona nie jeździła do miasta. Teraz wsunęła kawałek ciasta drożdżowego do kieszeni i ruszyła ścieżką przez las.

Od kiedy dowiedziała się, że Imogena pracuje dla Theresy Owens, Amanda zaczęła obserwować dom Owensów, gdy tylko mogła. Na razie widziała każdego ranka to samo - Clement w niebieskim, przypuszczalnie frotowym płaszczu kąpielowym, schodzi zielonym trawnikiem do swej uroczej przystani, drewnianej chaty z ozdobnym obramowaniem dachu i różowymi pelargoniami, zwisającymi ze skrzynek w oknach. Nadal był przystojny, przynajmniej o ile widziała przez lornetkę. Chodził pewnym krokiem, choć nie tak buńczucznie jak kiedyś, ruchy miał bardziej ostrożne.

Powoli przeszedł po piasku, pod daszkiem werandy, na pomost, podskakując lekko, żeby sprawdzić jego wytrzymałość, upewniając się, czy nic nie odpadło lub nie wypaczyło się w nocy. Po drodze zrzucił płaszcz kąpielowy, pozwalając, by opadł na deski u jego stóp. Nie wskoczył do wody, jak spodziewała się Amanda, lecz usiadł na brzegu pomostu, najpierw zanurzając stopy w wodzie, a następnie zsunął się do jeziora, jak gdyby wchodził do wanny. Zamachy

jego rąk były koliste, lecz ociężałe, ramiona unosiły się powolnymi łukami i opadały znów do wody. Przepłynął jakieś dwadzieścia metrów, po czym zniknął pod wodą. Gdy się wynurzył, był odwrócony twarzą do brzegu. Przepłynął tę długość dwukrotnie i zatrzymał się, chwytając za brzeg pomostu. Po chwili wciągnął się na górę.

Włożył płaszcz kąpielowy, nie wycierając się. Amanda zauważyła, że wyjmując z kieszeni małe pudełeczko, otwiera je i kładzie coś na języku, po czym wyciąga się w ciepłych promieniach słońca, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Wyglądał, jak gdyby leżał na marach.

O dziewiątej zjawiła się Imogena. Szła podjazdem, który był tak stromy, że musiała stawiać całe stopy, od czubków palców, po czym szybko wbiegła na werandę, aż zafurkotała jej spódnica. Zatrzymała się na moment na szczycie schodów, odwracając się twarzą do jeziora. Stała tak, wsparta jedną dłonią o najbliższą kolumnę, jak gdyby umieszczała flagę, żądając, by na nią patrzono. Następnie przemierzyła werandę, stanęła przed imponującymi drzwiami i wreszcie zniknęła w ogromnej paszczy otoczonej białą kolumnadą, w domu Owensów.

Dziś jednak po kilku minutach drzwi otworzyły się jeszcze raz i Imogena wyszła znowu na werandę. Zbiegła po schodkach i ruszyła w dół, nad jezioro. Amanda zsunęła się na dno łodzi, chowając głowę za burtą, w nadziei że Imogena nie rozpozna jej z tej odległości, ale dziewczyna w ogóle nie patrzyła w kierunku wody. Kucnęła przed kępą lilii tygrysich i zaczęła je ciąć.

Czy ona nie wie, że się nie utrzymają? - pomyślała z oburzeniem Amanda, jednakże ścinanie dzikich kwiatów zdenerwowało ją znacznie mniej od tego, co zdarzyło się później.

Nie zauważyła nawet, że Clement się podnosi, ale on już wstał. Nie, nie tylko wstał, lecz szedł, układając fałdy niebieskiego płaszcza kąpielowego na swym opalonym ciele i szybko zmniejszając odległość, dzielącą go od plaży.

- Uciekaj, Imogeno, uciekaj - wyszeptwała Amanda, skulona w idiotycznej pozycji na dnie łodzi.

Clement był już blisko dziewczyny. Amanda niemal słyszała w myślach jego głos, łagodny jak droga whisky, i przymilną intonację, gdy pytał, czy może zanieść jej kwiaty. Widziała, jak wyciąga rękę do Imogeny, która ujmując ją i wstaje znad łukowatych zielonych liści. Szedł obok dziewczyny, prowadząc ją drogą, którą sam wybiegał, jedną ręką pieszcząc powietrze tuż za jej plecami. Amanda wiedziała, jak to jest, rozumiała świetnie, co się dzieje, nawet stąd, gdzie leżała z lornetką, przyciśniętą tak mocno do oczu, że przez kilka sekund miała w polu widzenia tylko czerwień.

Imogena i Clement wchodzili pod górę, najwyraźniej czerpiąc wzajemną przyjemność z przebywania w swoim towarzystwie, śmiali się, zwróceni do siebie twarzami. Przy schodach włożył kwiaty w jej ramiona i rozstali się, on skierował się prosto do kuchni, a ona poszła na górę, do głównego wejścia, ale Clement, uczyniwszy jeden krok, przystanął. Odwrócił się, odprowadzając dziewczynę wzrokiem, przyglądając się, jak spódniczka fruwa wokół jej kolan, gdy wbiegała po schodach.

Tymczasem Ruth nadal biedziła się w szkole Brownów.

- Opowiedz nam o Imogenie, Ruth - błagała Lillian. - Co jadła wczoraj na lunch?

- Nie rozumiem, czemu wielka Imogena nie może znaleźć wolnej chwili, żeby podzielić się z nami swoimi rewelacjami - poskarżyła



się Myrtle. - Gdy nam o tym opowiada Ruth, nie jest nawet w połowie tak interesujące.

Miała rację - Ruth nie potrafiła opowiadać. Próbowwała powtórzyć to, co Imogena mówiła o domu i samych Owensach. Opisywała dywany, widok na jezioro, zebrania komitetów, kolumnadę, małe kanapeczki, a nawet przybranie, ale w jej ustach wszystko brzmiało bezbarwnie i beznamiętnie.

Wszystko wydawało się Ruth bezbarwne i beznamiętne. Tego ranka powietrze zrobiło się nieco bardziej rześkie, co sygnalizowało koniec lata, ale dla Ruth chłód był raczej smutny niż ożywczy. Poranek u Brownów, zawsze frustrujący, bez Imogeny był również przygnębiający i nudny. Dostrzegła plamy i rysy na jasnożółtych ścianach oraz martwe muchy na parapetach okiennych.

- Cóż, najlepsze w tym wszystkim - rzekła Myrtle - jest to, że w tym ogromnym domu bywa niekiedy całkiem sama z przystojnym chłopakiem. Wiem, co ja bym zrobiła.

- Imogena - odparła Ruth - nie jest ani odrobinę do ciebie podobna, Myrtle.

Jednakże Imogena jeszcze bardziej niż zwykle zwracała uwagę na swój wygląd, wypróbując wszystkie perfumy, które miał na składzie Baecke, i starała się nigdy nie wkładać tej samej sukni dwukrotnie w jednym tygodniu. Pieszcząc nadal w wyobraźni myśl o własnej agencji reklamowej, którą będą prowadziły razem z Ruth, obecnie, gdy pracowała u Theresy Owens, nie była już tak naiwna, żeby mieć nadzieję, iż uda im się tego dokonać. Etap, nad którym przechodziła zawsze do porządku dziennego w swoich fantazjach - spotkania z ważnymi mężczyznami i eleganckimi kobietami - był zarówno

decydujący, jak nierealny. Tacy ludzie nigdy nie zechcą wysłuchać ani jej, ani Ruth.

Spotykała podobnych ludzi w salonie pani Owens. Dziękowali jej, gdy wręczała im schludne maszynopisy protokołów. Czasami pytali ją nawet o zdanie, ponieważ ją lubili - oczywiście, lubili ją, jak wszyscy - ale nigdy nie będzie jedną z nich.

Może gdyby była zimna i ambitna. Może gdyby była niesamowicie zdolna. Może gdyby ukończyła college, zrobiłaby na nich wrażenie. Ale nie spełniała żadnego z tych warunków. Imogena patrzyła na siebie raczej obiektywnie. Wiedziała, że jest dość bystra, absolutnie lojalna i godna zaufania. Wiedziała, że cechuje ją wytrwałość, że jest atrakcyjna i ma sporo wdzięku. Ale też zdawała sobie sprawę, że same te cechy nie są gwarancją błyskotliwej kariery. Przydadzą się natomiast doskonałej żonie, oczywiście pod warunkiem, że będzie miała właściwego męża.

Gdy spotkali się po raz pierwszy na tańcach, Imogena traktowała Arthura bardziej jako dodatek do Bobby'ego Hansera, niż jako mężczyznę wartego zainteresowania. Prawdę mówiąc, miała nadzieję, że chłopak spodoba się Ruth, gdy zasugerowała, żeby zatańczyli. Może wtedy stworzyliby dwie pary, zdawała sobie bowiem sprawę, że nie cieszyłoby jej przyjęcie do paczki Bobby'ego bez Ruth. Ale jego dbałość o Ruth tamtego wieczora zrobiła na niej wrażenie.

Gdy została sekretarką Theresy, żartował sobie z nią i często przerywał jej pracę, by poprosić o pomoc we własnych projektach. Zbudował olbrzymi model mostu Brooklińskiego na przeszklonej werandzie. Zdaniem Imogeny wskazywał on na niezwykły talent, ale fragmenty mostu ciągle wymagały przytwierdzenia na nowo i musiała

przytrzymywać dwa kawałki, Arthur zaś nakładał klej. Imogena doszła do wniosku, że chłopak ma wyjątkowo ujmujący uśmiech, bardziej finezyjny i szczery niż Bobby. Jego oczy, ukryte za szklami okularów, były pełne wyrazu. Rzecz jasna, miał przed sobą obiecującą przyszłość, no i pochodził ze świetnej rodziny. Niebawem przyjemność chodzenia do pracy zaczęła wiązać się z pełnym emocji oczekiwaniem na jego pojawienie się w progu gabinetu. Bardzo szybko przestała przyjeżdżać fordem, kiedy wiedziała, że on tam będzie, i przez cały dzień z niecierpliwością wyglądała wieczora, żeby odwiózł ją do domu pontakiem coupé.

Jej plan zostania panią Arthurową Owens miał duże szanse powodzenia, ale trudno było znaleźć w nim miejsce dla Ruth, choć Imogena próbowała.

- Wczoraj wieczorem Arthur zabrał mnie na przejażdżkę żaglówką, żeby obejrzeć zachód słońca. Czułam się jak mewa, Ruth, było tak spokojnie, ślizgaliśmy się po wodzie. Następnym razem powiem mu, że musimy cię zabrać.

- Dobrze - powiedziała Ruth. Włączyła radio za ladą sklepu wędkarskiego i zaczęła bawić się pokrętłem skali.

- Ale ja chcę, żebyś popłynęła. Chcę, żebyś go polubiła.

- Lubię go.

- Interesują nas te same rzeczy - podróże i muzyka. I niesłychanie mu się podoba *Straszliwa prawda* - pamiętasz, jak lubiłam ten film? Uczy mnie też najnowszych kroków swinga. Chodź, pokażę ci, żebyśmy mogły zatańczyć w następny piątek.

Ruth posłusznie naśladowała kroki Imogeny, powiedziała jednak:

- Nigdy nie podróżowałam. Nie byłam nawet w Chicago.

- Ale chcę podróżować, to najważniejsze.

Ruth przestała tańczyć.

- Wyjedziemy do Chicago - rzekła z naciskiem - gdzie założymy naszą agencję reklamową. - Musiała to powiedzieć. Bardzo chciała zmusić Imogenę, by przyznała, że wszystko niszczy, zamiast stać z boku i pozwolić jej odejść, jak gdyby nigdy nie składały sobie żadnych obietnic.

Imogena westchnęła.

- Wiem. Wiem, że przyrzekłam to zrobić razem z tobą.

- Chciałaś to zrobić! Nakłoniłaś mnie, żebym poszła z tobą do Brown's Business College, a teraz sama rzuciłaś szkołę!

- Wiem. To prawda. - Imogena weszła za kontuar i wdrapała się na stół. Wsparła na chwilę głowę na dłoniach, po czym spojrzała znowu na Ruth. - Chodzi o to, że teraz wiem, iż była to tylko zabawa, dziecinne mrzonki.

A co powiedzieć o żeglowaniu, by oglądać zachód słońca? - pomyślała Ruth. To dopiero brzmi jak idiotyczny wierszyk dla dzieci.

- Ruth, nikt nie kupi od nas pomysłów. Będziemy pracować i pracować, jeśli w ogóle uda nam się dostać jakąś pracę...

- Jestem pewna, że dostaniemy pracę!

- Dobrze. - Imogena uspokajająco podniosła ręce. - Tak, pewnie dostałybyśmy pracę. Pani Owens mówi, że mogłaby znaleźć coś dla mnie w Chicago, gdybym chciała. Nie w reklamie, ale pracę.

Ruth nic nie odpowiedziała.

Imogena przesunęła palcami po klawiszach kasy rejestrującej.

- Ale ja chyba nie chcę nigdzie wyjeżdżać. Musisz zrozumieć. Nic nie poradzę na to, co czuję do niego. Ja na twoim miejscu - do-dała - zrozumiałabym.

Nie musiałybyś niczego rozumieć, pomyślała Ruth, ponieważ zawsze stawiam cię na pierwszym miejscu. Zresztą mnie to nie grozi. Mimo to powiedziała:

- Wiem. Naprawdę rozumiem.
- Ale, Ruth - rzekła Imogena, przechylając się przez kontuar, by ująć dłonie Ruth - chcę, żebyśmy robili wszystko razem, we trójkę. Lubisz go, prawda? Wiem, że on ciebie lubi. Czemu nie mielibyśmy wszyscy troje zostać przyjaciółmi?

Ruth wiedziała, że ten pomysł nie ma szans powodzenia, nie miała też ochoty nawet spotkać Arthura po tamtej zenującej nocy na łódce, ale Imogena była taka pełna nadziei i radośna.

- Możemy zostać przyjaciółmi - zapewniła ją. - Oczywiście, że możemy, jeśli tego właśnie pragniesz.

Imogena i Arthur zaczęli zabierać Ruth od Brownów pod koniec dnia, po czym wpadali do drugstora Fredericka na piwo słodowe. Arthur pożyczał Ruth książki, a potem rozmawiali o nich.

- Podobała ci się powieść *The Minister's Charge*?
- Bo ja wiem. Podobała mi się, dopóki nie dotarłam do końca. Jest zbyt okropny.
- Nie sądzisz, że powinien był poślubić Statirę?
- Nie, myślę, że popełnił fatalny błąd. Uwikłał się z jedną kobietą, podczas gdy naprawdę kochał drugą. Postąpił źle.
- Ale czy nie miał racji, ponosząc odpowiedzialność za to, że ją zwodził? Zachowywał się tak, jak gdyby zamierzał się z nią ożenić, nawet gdy zrozumiał, że bardziej kocha Jessie.

Ruth westchnęła.

- Chyba podziwiam go za to, ale nadal wydaje mi się, że zapłacił zbyt wysoką cenę za niewinną pomyłkę. Chodzi mi o to, że myślał, iż ją kocha. Początkowo.

- Wysoką cenę? Ale ona nie jest przecież taka zła, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie, ale jego postępowanie wobec niej to całkiem inny problem. Poza tym, dlaczego uważa się za kogoś wyjątkowego? Pozbawia ją jakiegokolwiek szansy znalezienia kogoś, kto ją naprawdę pokocha. Czy uważa, że to niemożliwe? Przecież on sam ją kiedyś kochał.

- Przypominasz mi Jessie.

- Ach, nie. - Ruth pokręciła głową, pochylając się nad słomką, i zarumieniła się. - Nie jestem ani trochę do niej podobna.

- Kto to jest Jessie? - spytała Imogena, siadając na wysokim stołku. Wyszła na chwilę, żeby przymierzyć kapelusz w sklepie po sąsiedzku, u Jacksona, gdy tymczasem Arthur i Ruth czekali na piwo słodowe.

- Jest cyganką - wyjaśnił Arthur. - Artystką. Porzuca bohatera, gdy dowiaduje się, że inna kobieta kochała go pierwsza.

- Czy on ją kocha?

- Bez wątpienia. Jest tą, której szukał przez całe swoje życie.

- Wobec tego ona jest głupia - powiedziała Imogena. - W miłości i na wojnie wszelkie chwytysą dozwolone.

- Nie sądzisz, że pewne rzeczy są ważniejsze od miłości? - spytała Ruth.

- Nie. Absolutnie nie - odparła Imogena. Skrzywiła się nad swoim piwem. - Chyba nie powinnam tego pić.

- Mam nadzieję, że nie słuchasz nedorzecznych opinii mojej matki - rzekł Arthur.

- Słuchałam, lecz jeśli uważasz, że wyglądam dobrze...
- „Dobrze”? Jasne - odpowiedział z uśmiechem - wyglądasz dobrze.

Samochód Arthura był dwuosobowy, ale zmieścili się bez trudu we troje - Imogena przytulona do ramienia Arthura, a Ruth przyciśnięta do drzwi. Amanda, która wyglądała przez kuchenne okno, czekając na powrót Ruth, zobaczyła, jak dziewczyna niemal wypadła na podjazd, gdy auto się zatrzymało.

Imogena wychyliła się przez okno, machając jej na pożegnanie.

- Jutro, ósma wieczorem! - zawołała.

Amanda obserwowała rodzinę Owensów na tyle pilnie, że знаła samochód i domyślała się, kto jest kierowcą.

- Czy to poważna sprawa? - spytała później, gdy nalała kawy, najpierw do filiżanki Ruth, potem do swojej, po czym usiadła przy stole.

Dopóki Carl był poza domem, jadały teraz kolację tylko we dwie. Ostatniej wiosny Rudy stwierdził, że jest za stary, by pracować na farmie, ale wyraźnie nie za stary, żeby się ożenić. Ceremonia odbyła się w dużym pokoju. Amanda upiekła tort weselny, a Ruth zagrała trzy pieśni na pianinie, po czym Rudy przeprowadził się do domu swej żony w mieście.

- Jaka sprawa?
- No, Imogena i ten chłopak Owensów.
- Nie wiem - wzruszyła ramionami Ruth. Często czuła, że musi chronić Imogenę przed wścibstwem Amandy. Czemu wtykała nos w cudze sprawy?

Amanda zmarszczyła brwi.

- Mam nadzieję, że ona potrafi zdobyć się na trzeźwy osąd.
- Arthurowi nie można niczego zarzucić. To najsympatyczniejszy chłopak, jakiego kiedykolwiek poznałam. - Ruth była trochę

zdziwiona, uświadamiając sobie, że to prawda. Czy on serio uważa, że jest podobna do Jessie?

Bez paniki, przestrzegła Amanda samą siebie, nie ma co robić zamieszania, jeśli okaże się, że to tylko fantazje pensjonarki. Czy Imogena nie była zakochana w innym chłopcu zaledwie kilka tygodni temu?

- Chodziło mi wyłącznie o to, że oni są tylko letnikami - wyjaśniła. - Mam nadzieję, że Imogena zdaje sobie sprawę, iż nie ma sensu angażować się poważnie w kontakty z takimi ludźmi.

Mimo to, pomyślała, trzeba trzymać rękę na pulsie. Czuła się tak, jak gdyby ktoś rozgrywał z nią jakąś grę, robił ruch, a następnie rozsiadał się wygodnie z okrutnym uśmiechem i czekał na jej kontrposunięcie. Do tej pory nie robiła właściwych ruchów. To oczywiste. Niezależnie od swych intencji, w ostatecznej rozgrywce zawsze zdawała się na instynkt, a jak się okazywało, jej serce jest głupie, nie można na nie liczyć. Dzisiaj wieczorem znowu popełniła błąd, czekając ukryta za zasłoną na powrót Ruth do domu, a to nie o nią powinna się martwić, lecz o Imogenę. W rzeczywistości jedyną rzeczą, jaka jej się udała, było wychowanie Ruth.

Amanda spoglądała przez kuchnię na Ruth, która pompowała wodę, żeby pozmywać naczynia po kolacji. Chyba coś stłukła. Zdarzało jej się to często, ponieważ szczekała talerzami, wrzucając je razem do zlewu i nie przykładając się specjalnie do pracy. Amanda zawsze czuła radosne podniecenie przy szalonej energii Ruth, mimo że denerwowała ją ta niezdarność. Gdy Ruth tłukła rozmaite przedmioty na prawo i lewo, Amanda nie upuściła najmniejszego drobiazgu od czasu, kiedy wyleciał jej z rąk kryształowy wazon matki w dniu ślubu Mattie i Carla.



Zachowanie przedmiotów w całości, myślała, pocierając nasadę kciuka, wymaga wielkiej koncentracji.

Gdy Arthur odwiózł Imogenę do domu, jechał bez celu wiejskimi drogami. Tego lata ścieżka, którą podążał, trasa, wybrana i starannie oznaczona przez rodziców, rozwidliła się. Brat mógł załatwić mu miejsce w banku albo też mógł rozkręcić własną firmę - rodzice dali mu jasno do zrozumienia, że ich największym pragnieniem jest sfinansowanie przedsiębiorstwa, założonego i kierowanego przez Arthura E. Owensa. Ale uczucie, że być może istnieje jakieś całkiem inne przeznaczenie, którego jeszcze nie dostrzega, ale które leży tuż poza zaciemniającym podszyciem wieloletniego przyzwyczajenia i oczekiwań, niepokoiło go i powstrzymywało przed parciem do przodu. Nie miał pojęcia, jak przedrzeć się przez to listowie ani czy zadowoliliby go to, co odkryje, ale też nie chciał kroczyć na oślep przetartym szlakiem, na który już wstąpił. Denerwował się. Czuł, że spiętrzają się w nim siły, gotowe popchnąć go w kierunku, jaki wybierze, ale nie potrafił się zdecydować. Dał sobie jeszcze to jedno lato na podjęcie decyzji, ale nadeszła już jesień.

I w dodatku była ta dziewczyna, Imogena. Czuł się niemal tak, jak gdyby ją wyczarował. Poznał ją tamtego wieczora, a potem nagle zobaczył ją w tydzień później, zachwycającą, paplającą, skorą do uśmiechu i śmiechu, przy biurku swojej matki. Najwyraźniej podziwiała go, a matka dała do zrozumienia, że ją aprobuje.

- Czasami czysta, niezapisana karta jest najlepsza - powiedziała. - Łatwo ukształtować dziewczynę, która jest otwarta na naukę.

Theresa Owens uważała, że tolerancja jest ogromnie ważna w miłości.

Imogena była bystra, ładna i najwyraźniej ambitna. Słuchała koncertów przez radio, żeby nauczyć się rozpoznawać kompozytorów, i zadawała jego matce setki pytań o obrazy, wiszące w ich domu. Gdy Theresa kupiła jej bilet na *Dom lalki*, by wybrała się z nimi do teatru w Milwaukee, Imogena znalazła egzemplarz sztuki w bibliotece i przeczytała ją dwukrotnie, jak również na dokładkę *Hedde Gabler* i *Dziką kaczkę*. Siedząc obok niej w teatrze, widział kątem oka, jak porusza ustami, mówiąc bezgłośnie tekst. Wiedział, że to na jego cześć, ale uznał jej starania, by stać się człowiekiem kulturalnym, za ujmujące. Poza urodą i wdziękiem podziwiał w niej zdecydowanie. Wiedziała, dokąd chce dojść i jak się tam dostać. Kusiło go, żeby związać się z kimś takim, kobietą, która weźmie jego los w swoje ręce.

A jednak fascynowała go przyjaciółka Imogeny. Od tamtego pierwszego wieczora, gdy Ruth powiedziała mu o utonięciu matki, chciał jej wyznać: „To ja ją znalazłem. Ona była kobietą uwięzioną pod lodem”. Fakt, że matka Ruth właśnie jego zawołała przez szklistą czerń, że to on trafił na nią pierwszy, zobaczył jej siną skórę, wytrzeszczone oczy, sprawił, że poczuł się bliski dziewczynie, która wyraźnie trzymała się na uboczu. W drugstorze miał ochotę ująć pasmo włosów, które zawsze opadało jej na twarz i owinać je wokół palca. Co najwyżej wyglądała przeciętnie. Cerę miała niezbyt czystą, oczy zbyt szeroko rozstawione, wargi zbyt wąskie. Mimo to intrygowało go jej pełne rezerwy, wręcz tajemnicze zachowanie. Był przeświadczony, że zabrałaby go w zupełnie nie znane mu regiony, których nawet nie potrafił sobie wyobrazić.

- Ty prowadzisz - powiedziała Imogena do Ruth nazajutrz wieczorem. - Jestem zbyt zdenerwowana, a tobie przyda się nieco praktyki.

Imogena uczyła Ruth prowadzić samochód już poprzedniego lata, ale jej przyjaciółka była oporna. Długo trwało, zanim uruchomiła samochód, i zapominała spojrzeć w lewo, włączając się do ruchu.

- Nie sądzisz, że powinien przyjechać po mnie dziś wieczorem, Ruth?

- Ale czy nie mówił, że wyjeżdża z miasta? Że wróci późno? Chciał się upewnić, że zjawisz się na tańcach.

- Po prostu był uprzejmy. Albo ciekawy. Albo... nie wiem, ale powinien zabrać mnie gdzieś na prawdziwą randkę, jeśli zamierza kontynuować naszą znajomość, gdy przeniesie się z powrotem do miasta.

Ruth skoncentrowała się na prowadzeniu samochodu.

- Czy mówiłam ci, że podarował mi wczoraj czterolistną koniczynę?

- Nie - odpowiedziała spokojnie Ruth. Chciałaby, żeby to wszystko skończyło się tak lub inaczej, żeby Imogena i Arthur byli razem lub się rozstali. Wolałaby nie słyszeć już ani słowa o nim. - Mam nadzieję, że włożyłaś ją natychmiast do zbiorku wierszy - dodała.

Imogena, śmiejąc się, ukryła twarz w dłoniach.

- Tak - przyznała się. - Nie wiem, co zrobię, jeśli wkrótce się nie zdeklaruje. Chyba jestem w nim zakochana, jak Boga kocham.

Wyprostowała się na siedzeniu i powiedziała zupełnie innym tonem:

- Myślę, że powinnam zatańczyć najpierw z Bobbym. Potem może z Rayem. Niech poczeka na swoją kolej. Niech trochę się zastanowi. Problem polega na tym, że może widywać mnie codziennie,

jeśli tylko zechce. Prawdę mówiąc, widuje mnie codziennie, toteż nie zdaje sobie sprawy, że jeśli zależy mu na tym, żeby nadal mnie widywać, musi coś powiedzieć.

Ruth wjeżdżała właśnie na parking obok pawilonu tanecznego. Gdy wyłączyła silnik, muzyka wdarła się do samochodu przez otwarte okna. To była ostatnia potańcówka tego lata. Liście zaczęły tracić już żywą zieleń, wkrótce świat zamknie się w twardej skorupie. Za miesiąc trudno będzie sobie przypomnieć duszną, łagodną bujność letnich nocy. Za miesiąc Arthura Owensa może tu nie być.

Imogena trzasnęła drzwiami.

- Pamiętaj, Ruth - powiedziała, wspierając się na przyjaciółce, żeby nie przewrócić się w nowych sandałkach na wysokim obcasie, gdy szły zwirowaną nawierzchnią - jeśli tylko zobaczysz, że próbujemy być sami, pomożesz mi, prawda? Odwróć uwagę Raya. Wiesz, że uwielbia z tobą rozmawiać - uważa cię za osobę poważną. Albo zmusz go do tańca z tą okropną Zitą.

Orkiestra skończyła właśnie grać skoczną melodię, przestawiając się na coś spokojnego, i - jeśli się patrzyło pod odpowiednim kątem - rozświetlony pawilon zdawał się niemal unosić w powietrzu nad ciemną taflą wody. Nawet Ruth poczuła w tym jakąś obietnicę, wdychając w płuca rześkie powietrze, zwiastujące nadejście jesieni.

- Wciąż jeszcze go tu nie ma, prawda? - spytała szeptem Imogena przyjaciółkę, gdy Ray odprowadził ją z powrotem do stolika.

Ale właśnie wtedy Ruth zauważyła, że Arthur idzie w ich stronę.

- Za tobą - odpowiedziała również szeptem, a Imogena odwróciła się i przechwyciła go. Gdy tanecznym krokiem prowadziła go

za rękę na parkiet, obejrzał się na Ruth, ona jednak siedziała do niego tyłem, zajęta rozmową z Rayem.

- Dziś nie jest zbyt gorąco, prawda? - powiedział Ray.

- Tak, jest przyjemnie. - Arthur spojrzał na mnie, pomyślała Ruth i zrobiło jej się wstyd.

- Moglibyśmy chyba zatańczyć, jeśli masz ochotę - zaproponował Ray.

- Może za chwilę. - To śmieszne, podłe, że chce, by Arthur patrzył na nią. Na samą myśl o tym Ruth czuła lekkie mdłości.

- Mam ochotę na drinka, czy tobie też coś przynieść?

- Chętnie, Ray. Poproszę to samo co ty. - Czekając, aż chłopiec wróci z drinkami, Ruth usiłowała pocieszyć się myślą, że jest po prostu głupia. Przecież spojrzenie, uprzejmość, taniec, pusty komplement - nic nie znaczą, oczywiście nic, poza jej głupią wyobraźnią. Ale czy to właśnie nie jest okropne? Między nią a Arthurem nie ma prawdziwego uczucia, a mimo to nadal zdradza Imogenę w myślach.

Ruth wstała od stolika i podeszła do ażurowej ścianki, by popatrzeć na migotliwe radosne światła na plaży Nagawaukee na przeciwnym brzegu jeziora. Fale, wyraźnie widoczne w smudze księżycowej poświaty i niedostrzegalne w ciemności po drugiej stronie, pozornie toczyły się szybciej niż za dnia, jak gdyby stanowiły część jakiejś rwącej rzeki. Stwarzało to złudzenie, że pawilon płynie w przeciwnym kierunku, i Ruth musiała przytrzymać się balustrady, żeby się nie zachwiać. Spojrzała przez ramię na roześmiane lub skoncentrowane twarze.

- Chodź, Ruth - powiedziała Imogena, ciągnąc ją za rękę - idziemy popływać łódką.

Było dokładnie tak jak poprzednim razem. Arthur pomagał kolejno dziewczynom w wywrotnych pantofelkach zejść z pomostu do

łodzi, a Bobby, stojący niżej, chwycił dziewczęta, by nie straciły równowagi. Wszyscy rozmawiali, śmiali się, przypominali Bobby'emu, żeby zabrał wystarczającą ilość alkoholu, i przekomarzali się z nim na temat porannego wyścigu.

- O mało nie zakręciło mi się w głowie, gdy przyglądałem się, jak bierzesz drugi nawrót wokół tamtego znaku - powiedział Arthur.

- Musiałem dać ci szansę, żebyś mnie doszedł. Czy nie opuściłem mojego spinakera, gdy ty jeszcze nie zakończyłeś Halsu?

- Ale Maynard i Arthur wybrali właściwą stronę jeziora na ostatnim odcinku pod wiatr - wtrąciła Kitty. Ruth była pewna, że dziewczyna zrobiła tę uwagę tylko po to, żeby udowodnić, iż wie, o czym rozmawiają chłopcy, podczas gdy Ruth i Imogena nie mają zielonego pojęcia.

Kitty zatrzymała się na chwilę, zanim zeszła do łodzi, nie puszczać ręki Arthura.

- To niesprawiedliwe, że zawsze wchodzisz ostatni - rzekła przymilnie.

- Lubię moje zajęcie, pod warunkiem że Bobby nie odpłynie beze mnie.

Kitty popatrzyła na niego znacząco.

- Czy zająć dla ciebie miejsce?

- Jasne. - Wydaje się zdziwiony, pomyślała Ruth, zaskoczony, ale mimo to powiedział: „Jasne”.

Kitty skinęła głową.

- Wobec tego, do zobaczenia wkrótce.

I patrząc pod nogi, gdy zeskakiwała z burty na siedzenie, pomachała mu palcami wolnej ręki.

Imogena, która była następna w kolejności, również spojrzała na Arthura i Ruth zobaczyła, że się uśmiecha, jak gdyby cała wycieczka

nie straciła dla niej atrakcyjności w ciągu zaledwie kilku sekund. Przytrzymała się lekko jego dłoni, zaledwie muskając ją palcami, nie natarczywie.

- Bobby - powiedziała, odwracając się i stawiając na burcie delikatny pantofelek na wysokim obcasie - łap mnie!

Nie to miała na myśli. Nie skoczyła w jego ramiona, byłoby to zbyt nieostrożne, ale zeszła do łodzi za szybko. Skoncentrowała się wyłącznie na tym, żeby zachowywać się beztrosko, nie zastanawiała się, gdzie postawić stopę. Wyciągnęła rękę, by wesprzeć się na ramieniu Bobby'ego, gdy chwycił ją w talii, ale on stracił równowagę i oboje upadli na podłogę. Imogena śmiała się i jęczała jednocześnie.

- Genie, nic ci się nie stało? - Ruth zeskoczyła do łodzi, a Arthur zaraz za nią.

- Nie, nic! Chyba nie! - krzyknęła, próbując wstać, i opadła na siedzenie.

- Ach, nasza mała Eau de Robale jest również aktorką - szepnęła Zita do ucha Kitty.

- Nic mi nie jest - upierała się Imogena, lecz Arthur postanowił, że lepiej odwiezie ją do domu, pozwoliła więc, by pomógł jej wyjść z łodzi i niemal niósł ją przez pomost.

- Odwiedza mnie codziennie! - piała w niedzielę z zachwytem Imogena, leżąc na otomanie w dużym pokoju. Zachowała dla siebie słowa i pocałunki, którymi Arthur wreszcie przypieczętował swoje zamiary.

- A więc warto było?

- Chyba nie sądzisz, że zrobiłam to celowo? - Pochyliła się do przodu, by pomasażować opuchniętą w kostce stopę, spoczywającą na stercie poduszek. - Chociaż byłam taka wściekła na Kitty, że miałam

ochotę wepchnąć ją do jeziora.

- Wiem, że jest okropna. Dajmy sobie na zawsze spokój z tymi ludźmi.

- Ale oni są przyjaciółmi Arthura. Jeśli Arthur i ja...

- Jak miło z twojej strony, Ruth, kochanie, że robisz to dla Genie - przerwała pani Lindgren córce, wchodząc do pokoju. Stała za Imogena i przyglądała jej włosy.

- Ręce ci śmierzdzą! - zaprotestowała Imogena, ale przytuliła głowę do ramienia matki.

- Powtarzałam jej setki razy - mówiła dalej pobłaźliwie pani Lindgren - że przewróci się kiedyś w tych pantofelkach, ale ona nigdy mnie nie słucha.

- Co takiego robię dla ciebie, Imogeno?

- Mamo, przez ciebie nie miałam na razie sposobności, żeby ją poprosić. - Imogena spojrzała błagalnie na Ruth. - Chodzi o to... wszyscy zachowują się tak nedorzecznie w obawie o moją kostkę. Doktor Karbler twierdzi, że nie mogę jej obciążać, przynajmniej przez jeszcze jeden dzień, a mama boi się, że upadnę, jeśli będę wchodziła pod górę o kulach. Za żadne skarby nie chciałabym zawieść pani Owens. Może zastąpiłabyś mnie jutro?

- Ale ja jestem beznadziejną sekretarką.

- Nieważne. Ona nie będzie cię popędzała, a ja przede wszystkim odbieram telefony i sortuję korespondencję. Każdy to potrafi. To proste - korespondencja osobista, rachunki, działalność charytatywna. - Imogena pokazała na migi, jak rozkłada wszystko na oddzielne kupki. - Zapłać rachunki, zaksięguj wszystko, a jeśli idzie o działalność charytatywną, pani Owens przejrzy każdy list i powie ci, co zrobić.

- Cioci Amandzie nie spodoba się, że opuszczę zajęcia u Brownów, skoro za to płaci.



- Musisz jej mówić? To tylko jeden dzień, Ruth.

Ruth zaczęła ogryzać paznokcie u kciuka.

- Myślę, że jeden dzień nie zrobi różnicy. Przynajmniej będę mogła sprawdzić w praktyce, czy potrafię robić to, czego powinnam była się do tej pory nauczyć. Co mam robić, zanim przyjdzie korespondencja?

- Och, z pewnością znajdziesz coś do roboty. Na pewno zostawiłam na biurku jakieś listy z zeszłego tygodnia, które trzeba przepisać na maszynie i wysłać. Albo możesz poprosić Arthura, żeby oprowadził cię po domu.

- Nie mogę tego zrobić!

- Tylko żartuję. Nie przejmuj się, ktoś powie ci, co robić. - Głos Imogeny gonił ją, gdy już wyszła. - Nie zapomnij ubrać się w coś ładnego.

# Rozdział piętnasty

## *A m a n d a*

W listopadzie dziecko było już tak duże i brzuch tak mi urósł, że musiałam odchyłać się do tyłu, by utrzymać równowagę. Pewnie dlatego zauważyłam Joego dopiero, gdy był już na trawniku, prawie w połowie drogi do domu. Stałam przed frontowymi schodkami, bez entuzjazmu zmiatając żołądźcie ze ścieżki. Nie miałam gdzie się ukryć, nawet za krzakami, ponieważ liście całkiem już opadły. Brzuch sterczał mi jak piłka z za cienkiej miotły.

Wzięłam nogi za pas. Mimo że byłam ciężka, bieganie nadal było moją mocną stroną. Uciekłam na tyły domu, wypychając Mathildę do Joego.

Joe przywiózł list. Carl wracał do domu.

Na podwórku Mathilda tańczyła. Pochwyciła Ruth na ręce i tańczyła. Kręciła się w kółko i tańczyła. Tańczyła z Joem. Tańczyła z Ruth - Carl wraca do domu. Siedziałam na małym łóżeczku Ruth, starając się opanować panikę. W moim brzuchu dziecko tańczyło zupełnie jak Mattie. Kopało mnie piętami i tańczyło, tańczyło.

Zanim Joe odpłynął, przekazał też Mathildzie smutną wiadomość. Bez trudu potrafiłam wyobrazić sobie, jak stoi z czapką w dłoni,

ze spuszczoną głową, udając, że nie myśli o tym, co zobaczył w swoim brzuchu. Nieszczęsna Mary Louise urodziła dziecko, dziewczynkę zimną i nieruchomą jak lód.



Amanda wzięła prosty kurs przez wczesnoporaną mgłę, opierając jedną rękę na małym silniku evinrude o mocy czterech koni, który podarował jej Joe, gdy kupił dla siebie mocniejszy. Motor łodzi terkotał tak głośno, że nie mogła zebrać myśli, a musiała myśleć. Nie zdecydowała jeszcze, co powie ani jak to powie, ale Arthur musi zostawić Imogenę w spokoju - to jedno było oczywiste - i Clement też, jeśli chodziło mu to po głowie... ale to było nie do pomyślenia. W każdym razie, powiedziała sobie stanowczo, nadszedł czas, by uświadomić mu, że to jej ustronie, a nie jego, i że przyczynił już dość zgrzyzot jak na jedno życie.

Gdy zbliżyła się do przystani, smród uderzył ją w nos. Musiała przepłynąć tędy dzisiaj barka wycinająca wodorosty, ponieważ całe ich masy, naszpikowane martwymi rybami, zalegały przybrzeżne wody jeziora. Wyłączyła silnik, żeby cienkie pędy nie zaplątały się w śrubę, i przebyła niewielką odległość, dzielącą ją od pomostu, wiosłując. Przycumowała łódź, a następnie wdrapała się na pomost i usiadła na deskach w miejscu, gdzie widziała go opalającego się. Wyciągnęła nogi przed siebie i odchyliła głowę, wystawiając twarz na promienie słońca. Siedziała przodem do jeziora, a tyłem do trawnika, skąd spodziewała się jego nadejścia. Jeśli ktoś inny natknie się na nią pierwszy, to trudno.

- Kłopoty z silnikiem? - rozległ się jego głos nad zaśmieconą zielskim wodą, głęboki i czysty, taki, jak go zapamiętała.

Obejrzała się na niego przez ramię. Oślepią blaskiem, który przedzierał się nawet przez jej powieki, widziała najpierw tylko światło i cień. Wchodził właśnie z trawy na piasek, osłaniając dłonią oczy.

- Potrzebuje pani pomocy?

Nie odpowiedziała, nie mogła wykrztusić słowa. Gardło miała ściśnięte, drżała na całym ciele. Popęła błąd, przyplwając tutaj. Myliła się straszliwie, myśląc, że jego zdrada już jej nie boli. Powoli odwróciła się do niego przodem, podciągając kolana pod brodę i obejmując je ramionami, żeby wziąć się w garść. Gdy znalazł się na pomoście, nie patrzył już pod słońce.

- Amy? - Patrzył na nią przez zmrużone oczy, marszcząc brwi, po czym rzucił szybkie spojrzenie wyrażnie w stronę domu, zanim pospieszył ku niej. Deski pomostu sprężynowały pod jego ciężarem, tak że Amanda podskakiwała za każdym jego krokiem.

Pochylił się, by podać jej rękę, i ten gest był taki naturalny. Amanda otarła się policzkiem o rękaw jego płaszcza kąpielowego, pozwalając, by ją podniósł. Poczwała zapach tego samego mydła, którego używał wiele lat temu, i tamte miesiące, gdy z nim była, wtargnęły znów do jej pamięci. Tak, przez moment odczuła przede wszystkim przyjemność, ponieważ jego bliskość potwierdziła, że młoda, pełna nadziei Amanda kiedyś istniała i wryła się w czyjąś pamięć, a słodycz tego uczucia potęgowała gorzka świadomość, że już nie istnieje. Ten mężczyzna zna ją, znał ją, poprawiła samą siebie, aczkolwiek nadużył tej znajomości.

Patrzył na nią i patrzył, kręcąc ze zdumieniem głową.

- Amy. No, no. Świetnie wyglądasz.

Wbrew jej woli, uznanie Clementa sprawiło jej przyjemność. Natychmiast jednak zreflektowała się, zła, że pozwoliła właśnie jemu znowu się zaskoczyć.

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Oczywiście, oczywiście, Amy. Ale... - rzucił ukradkowe spojrzenie na oba brzegi jeziora - ...raczej nie tutaj. Może - rozpromienił się nagle - popłyniemy twoją łódką dalej od tego smrodu?

Zawahalała się. Chciała mieć to już za sobą, nadal jednak nie zdecydowała się, co konkretnie zamierza powiedzieć. Trzymaj swego syna z dala od córki mojej przyjaciółki? Nie brzmiało to przekonująco.

- Dobrze - odpowiedziała. Łatwiej przyjdzie mi z nim rozmawiać, pomyślała, jeśli nie będziemy stali na jego pomoście, który doskonale widać z okien pokojów jego żony.

W momencie gdy wsiadł do jej łodzi, uświadomiła sobie, że go nienawidzi. Wiosłował przez chwilę, żeby wydostać się z wodorostowej zupy, a ona dalej go nienawidziła, nienawidziła za pewność, z jaką radził sobie z wiosłami, tak jak kiedyś radził sobie z nią. Gwałtownie szarpnęła dwukrotnie linką rozrusznika i ewinrude zaczął pyrkotać. Powoli wypływali na głębszą wodę, mały silnik zostawiał za sobą ledwie widoczny ślad na powierzchni jeziora.

Nie próbowali rozmawiać, bo przeszkadzał terkot silnika. W końcu Clement, który patrzył ponad ramieniem Amandy na oddalający się brzeg, powiedział:

- Możemy równie dobrze zatrzymać się tu, jak gdzie indziej.

Amanda stwierdziła, że są na tyle daleko od brzegu, iż nikt ich nie zobaczy, chyba żeby obserwował przez lornetkę.

- No więc, Amy, o co chodzi? Potrzebujesz pieniędzy? Teraz ona wlepiła w niego wzrok.

- Pieniądzy? Nie, oczywiście, że nie.

- Cóż, wiele osób jest dzisiaj w potrzebie. Nie ma się czego wstydzić. Będę szczęśliwy, mogąc coś zrobić. Nie wiem, ile dokładnie,

ale jestem pewien, że mogę ci coś pożyczyć.

- Clement, przestań. Nie potrzebuję pieniędzy.
- To o co chodzi?

Odwrociła od niego głowę i zapatrzyła się na wodę. O co chodzi? Co chciała powiedzieć? Imogena jest naszą córką. To właśnie? Otworzyła usta.

- Może masz ochotę popływać jak zwykle? - spytała.
- Słucham?
- Chciałam powiedzieć, że wydawało mi się, iż masz ochotę popływać dzisiaj rano. Masz na sobie kąpielówki, prawda? Możesz skoczyć do wody, tutaj nie ma już wodorostów.

Najwyraźniej zakłopotany, w pierwszej chwili nic nie odpowiedział, a potem zaczął rozwiązywać pasek, przytrzymujący jego płaszcz kąpielowy.

- No cóż, dobrze - rzekł w końcu. - Może to dobry pomysł. Lubię zaliczyć codziennie przynajmniej parę okrążeń. Później możemy zrobić sobie małą przejażdżkę. Pokażesz mi wyspę, o której zawsze opowiadałaś.

Pamiętał wyspę. Amanda poczuła przesadną wdzięczność, a zaraz potem niesmak do siebie za tę wdzięczność. Zabawne, pomyślała, gdy zdjął płaszcz kąpielowy i wszedł na ławeczkę, jak swobodnie zachowuje się w jej towarzystwie, tak jak gdyby nie miała powodów, żeby go nienawidzić, jak gdyby rozstali się po przyjacielsku i to nie- zbyt dawno, jak gdyby nie zdarzyła jej się żadna z tych okropnych rzeczy. Dał nurka do wody, odpychając łódź o jakiś metr, przy wybi- ciu z ławeczki.

Oczywiście, z jego punktu widzenia nic wielkiego się nie stało. Zerwali, ona płakała i to wszystko. Uświadomiła sobie, wzdrygając się, iż mógł nawet pomyśleć, że do niego wróciła, że przestał

przeszkadzać jej fakt, iż jest żonaty. A może to nieszlachetne, pomyślała, patrząc za nim, jak odpływa od łódki, może ucieszył się tylko, że znów ją widzi. Może pomyślał, że mu przebaczyła.

Ruth włożyła rękę za dekolt sukni i podciągnęła ramiączko, które chciało wyślizgnąć się spod rękawa. Było wpół do dziewiątej. Przyszła o całe pół godziny za wcześnie. W dole skrzyło się kusząco jezioro. W małych zatoczkach wzdłuż linii brzegowej drzemały łodzie, w których siedzieli wędkarze, wyraźnie ci nietypowi osobnicy, którzy nie pracowali rano. Daleko, na środku jeziora, mężczyzna skoczył na głowę do wody z małej wiosłowej łódki, jego biały tors załśnił w jasnych promieniach słońca.

Ruszyła w kierunku migotliwych fal stromym zboczem, które zaprowadziło ją na betonowe nabrzeże. Pół metra niżej jezioro, którego poziom spadł rekordowo, jak zwykle o tej porze roku, falowało, bełtając swój cuchnący ładunek czerwono-białych spławików, szarego papieru śniadaniowego, martwych ryb, a wszystko zaplątane w sieci wodorostów. Ruth wycofała się. Równie dobrze może iść wcześniej do pracy.

- Kawa? - spytała służąca, gdy zaprowadziła Ruth na górę do widnego pokoju, w którym pod jedną ścianą stało biurko z żaluzjowym zamknięciem.

- Och, nie, dziękuję. - Ruth przesunęła dłonią po przypalonej żelazkiem plamie, którą właśnie zauważyła na spódnicy.

- Panna Lindgren zawsze każe podać sobie kawę. Ze śmietanką i trzema łyżeczkami cukru. I słodycze. - Kobieta skrzywiła się z dezaprobatą i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi, a Ruth

została sama, by żałować, że podziękowała za kawę.

Dotknęła palcami klucza w biurku. Ma zaczekać czy otworzyć je? Imogena powinna była dać jej więcej wskazówek. Ruth krążyła po pokoju, przesuwając spojrzeniem po sztychach i po grzbietach książek i nie bardzo wiedząc, co ogląda. Nie chciała być przyłapana na węszeniu. Potrafiła wyobrazić sobie panią Owens w cynamonowym kostiumie o szerokich ramionach i w kapeluszu z piórkami - choć prawdopodobnie w domu nie nosi kapelusza - która wpada do gabinetu i dziwi się, czemu jeszcze nie przystąpiła do pracy. Czy Genie nie powiedziała jej, że ma coś do przepisania na maszynie?

Ruth podeszła znowu do biurka, przekręciła klucz w zamku i podniosła żaluzjowe zamknięcie. Tak, stał tam remington i leżał notes, otwarty na stronie, zapisanej starannymi skrótami stenograficznymi przez Imogenę. Usiadła na krześle, wzięła kartkę czystego papieru i wkręciła ją w maszynę.

W dwadzieścia minut później pochylała się nad maszyną, próbując zdecydować, czy na błędnie napisaną literę „i” można nabić literę „l”, czy też powinna zacząć stronę od początku, jak uczono ją u Brownów. Drzwi za nią otworzyły się.

- Maszynopis nie musi być idealny, wystarczy, że będzie czytelny - powiedziała pani Owens. Ruth zrozumiała, że pani Owens nigdy nie wpadłaby do pokoju. Była majestatyczna i opanowana. W szarej sukni wyglądała jak wielka czapla modra. Podeszła do biurka, wyciągając rękę.

- Ty zapewne jesteś Rose. Bardzo dziękuję, że zechciałaś zastąpić Imogenę w tym tygodniu. - Dotykając jej gładkiej chłodnej skóry, Ruth uprzytomniła sobie, że ma palce pobrudzone atramentem. - Czy Ellen przyniosła ci kawę? - I zanim Ruth zdążyła



zaprotestować, pani Owens powiedziała do urządzenia w ścianie: - Ellen, przynieś, proszę, dwie kawy. I nie zapomnij o śmietance i cukrze.

- Po czym odwróciła się do Ruth i rzekła szeptem: - Ellen nie pochwała słodczy.

Przez mniej więcej godzinę pani Owens chodziła po pokoju, dyktując konspekt przemówienia, które miało przekonać panie z jej kręgu, że należy przeznaczyć fundusze na organizację letniego obozu dla ubogich dzieci.

- Pomóż mi, Rose. Muszę powiedzieć coś o świeżym powietrzu, o znaczeniu świeżego powietrza i ruchu dla rozwoju fizycznego i moralnego. Jak możemy oczekiwać, że te dzieci zostaną w przyszłości uczciwymi obywatelami, jeśli nie będą mogły korzystać ze zdrowego, nieskażonego wiejskiego środowiska. Tak, to jest dobre, Rose, zapisz to.

Potem, gdy Ruth przepisywała na maszynie najbardziej optymistyczne linijki, pani Owens załatwiała telefony.

- No - westchnęła, odkładając słuchawkę po trzeciej rozmowie - to chyba wszystko na dzisiaj. Czeka mnie jeszcze pianie z zachwytu nad nowym skrzydłem oddziału pulmonologicznego w St. Joseph's. Gdybyś mogła skończyć przepisywanie na maszynie i włączyć te zaproszenia do rejestru spotkań, bardzo mi pomożesz. Jeśli jakieś spotkania kolidują ze sobą, daj mi znać. - Podała Ruth kilka listów. - Oczywiście, Ellen przyniesie ci lunch. Wystarczy, że dasz jej znać przez interfon, kiedy tylko będziesz miała ochotę.

- Dobrze - odpowiedziała Ruth, choć była pewna, że nigdy w życiu nie odważyłaby się wezwać Ellen.

- Spotkamy się jutro? Czy też przyjdzie już Imogena?

- Raczej Imogena.
- No cóż, Rose - pani Owens podała jej znowu chłodną dłoń - bardzo mi pomogłaś. Dziękuję. - I wyszła.

Ruth zabrała się do pisania. Papier, który wkręciła do maszyny, był luksusowo gruby i miękki, miał głęboki kremowy kolor, w niczym nie przypominał prawie przezroczyściego paskudztwa upstrzonego drobinkami drewna i szmatek, którego używały u Brownów. Gdy spojrzała na kartkę pod światło, na samym środku wykwitł znak wodny, niczym sekretny pocałunek. Czemu nie powiedziała pani Owens, że ma na imię Ruth, a nie Rose?

Droga Pani Schmidt, było mi niezwykle miło

Ruth ostrożnie wykręciła papier z maszyny i włożyła nową kartkę.

Droga Pani Schmidt, bało

Droga pani

Dra

Ruth wyszarpnęła czwartą kartkę papieru z głośnym, satysfakcjonującym trzaskiem. Każdy, kto zrobił coś podobnego w szkole Brownów, musiał płacić karę za uszkodzenie maszyny. Nie chcąc, żeby pani Owens zobaczyła, ile kartek cennego papieru zmarnowała, złożyła swoje nieudane próby i wepchnęła je do torebki.

Przespacerowała się po pokoju, żeby się pozbierać, po czym usiadła z powrotem przy biurku. Któraś szpilka do włosów uwierała ją w głowę. Wyciągała je, jedną po drugiej, szukając winowajczyni, aż wreszcie włosy spłynęły jej swobodną falą na ramiona.

Poza maszyną, wszystko na biurku było dekoracją, mającą stwarzać wrażenie wyrafinowania. Wzięła nóż do otwierania listów, z rączką pokrytą srebrną łuską. Obok stało zielone emaliowane

pudełeczko w kształcie żaby, z której pyska wystawał język ze znaczków pocztowych. Oderwała kilka, polizała je i przykleiła do kopert. Potem wpisała na maszynie adresy. Następnie wzięła rejestr spotkań, księgę oprawną w skórę butelkowitzelonej barwy, z małym złotym piórem zatkniętym za obrączkę z boku. Ruth wpisała wszystkie zobowiązania z kartek i listów, które dała jej pani Owens. Najpierw pisała ołówkiem, na wypadek gdyby zrobiła błąd, później pociągała każdą literkę złotym piórem.

Zadzwoił telefon i Ruth drgnęła nerwowo. Czy ma go odebrać? Czekwała. Zadzwoił raz, drugi, trzeci, czwarty. Czemu Ellen albo ktoś inny na dole nie odbiera go? Wreszcie po szóstym dzwonku podniosła słuchawkę.

- Słucham?

Nikt jednak się nie odezwał.

Ruth przekartkowała rejestr spotkań: lunch w klubie weteranów wojennych, podwieczorek u Świętej Anny, S. Lemon, dom Avis, Garden Club, Women's Club, wenta dobroczynna na rzecz biblioteki, klub sportowy, Czerwony Krzyż, obiad u Jonesów. Udawała, że odbiera telefon.

- Tak, dzień dobry, sekretarka pani Owens... Chwileczkę, zaraz sprawdzę... Mogę wcisnąć panią między drugą trzydzieści a trzecią w środę, czy to pani odpowiada?

Dziękuję. Do widzenia. - Chciałaby, żeby telefon zadzwonił jeszcze raz.

Ruth zamknęła rejestr spotkań i włożyła pióro z powrotem w uchwyt. Wstała od biurka i przeszła do stolika, przy którym siedziała wcześniej pani Owens. Wzięła do ręki wieczne pióro, jak gdyby stanowiło jej własność. Wypróbowała swój podpis na odwrocie starej koperty- Ruth Sapphira Neumann. Za oknem, u stóp wzgórza,

jezioro odbijało promienie słoneczne na wszystkie strony, niczym pomarszczona folia aluminiowa.

Wróciła w końcu do biurka i wkręciła w maszynę nową kartkę papieru. „Droga Pani Schmidt”, wystukała powoli, lecz rytmicznie, „było mi niezwykle miło spotkać się z panią w czwartek”.

Arthur otworzył cicho drzwi do gabinetu matki. Weszło mu już w zwyczaj zaskakiwanie Imogeny, gdy Theresa wychodziła z domu. Podkraadał się jak najbliżej, zanim dziewczyna odkryła jego obecność albo przynajmniej zanim zdradziła się, że go widzi. Jego pierwszą reakcją, gdy zdał sobie sprawę, że to nie Imogena siedzi tyłem do drzwi, pisząc na maszynie, było zakłopotanie z powodu tego, co chciał zrobić. Gdy poznał Ruth, serce w nim drgnęło. To z zaskoczenia, zapewniał sam siebie. Po prostu był zaskoczony.

- Dzień dobry - powiedział od drzwi.

Obejrzała się gwałtownie, trącając ręką kałamarz, ale chwyciła go zręcznie, nie pozwalając, by spadł z biurka i pozostawił ciemnognatowe plamy na perskim dywanie. Wydała jedynie okrzyk przestrochu i odwróciła się, zmieszana, przesuając kałamarz dalej.

- Przepraszam. Nie chciałem cię przestraszyć. - Wszedł do gabinetu. Nie potrafił wymyślić nic mądrzejszego.

- Genie będzie jutro, najpóźniej w środę.

- Jest chora?

Ruth, próbując upiąć z powrotem rozpuszczone włosy, włożyła dwie szpilki do ust.

- Nie pozwalają jej nadwerężyć kostki - wycodziła przez zaciśnięte zęby.

- Ach, kostka. Oczywiście. Czy jest lepiej?

- Raczej nie. Dlatego zabraniają jej chodzić.

Denerwowała się w jego obecności. Patrzył na nią wyczekująco, jak gdyby myślał, że może nagle powiedzieć albo zrobić coś zabawnego. O ile wiedziała, nigdy nie zrobiła niczego, co pozwoliłoby mu wyrobić sobie o niej takie zdanie.

- To prawda, nie powinna stawać na tej nodze. - Podniósł żabę-pojemnik na znaczki i postawił ją z powrotem. - Naprawdę miło z twojej strony, że ją zastąpiłaś.

- W przeciwnym razie musiałabym pójść do Brownów - wzruszyła ramionami Ruth - a po prostu ich nie cierpię.

- Czemu więc zdecydowałaś się na tę szkołę? - Na jego ustach znowu pojawił się ten lekki uśmiech oczekiwania.

- Ponieważ Imogena uważała, że powinnam umieć pisać na maszynie, a oni obiecali, że mnie nauczą. Ale ja niewiele z tego skorzystałam - przyznała uczciwie - choć nie sądzę, żeby to była ich wina.

Arthur roześmiał się.

- Pisanie na maszynie nie jest takie ważne.

- Może nie dla ciebie. Ale dla mnie jest, a przynajmniej powinno być. Może ty nie zauważyłeś, ale trudno tu raczej o dobrą pracę.

- I tym właśnie chcesz być? Maszynistką?

- Nie - przyznała. - Właściwie nie. Ale to, czego pragniesz, nie zawsze jest ważne, prawda?

- Chyba nie. - Przemierzył pokój i wyjrzał przez okno na jezioro. - W przyszłym tygodniu zaczynam pracować dla mojego brata - powiedział, bębniąc palcami po blacie stołu, po czym odwrócił się znowu do niej. - Wiesz co, nie powinniśmy dzisiaj siedzieć w domu.

- Nie powinniśmy?

- Lato prawie się skończyło, musimy to wykorzystać.

Ruth spojrzała z powątpiewaniem na papier w maszynie.

- Ty idź. Ja muszę dokończyć te listy.

- Wydawało mi się, że mówiłaś, iż nie umiesz pisać na maszynie.

- Obiecałam twojej matce, że je przepiszę.

Wziął do ręki małą stertę napisanych ręcznie listów i policzył strony.

- Jeśli napiszę je za ciebie, czy pójdziesz ze mną?

- Nie potrafisz pisać na maszynie!

- Oczywiście, że potrafię. - Zepchnął ją żartobliwie z miejsca, a następnie podwinął rękawy i ustawił krzesło, jak gdyby przygotowywał się do ciężkiej pracy. - Ach, pani Schmidt - powiedział, zacieraając dłonie i zaglądając do listu, który Ruth zaczęła już przepisywać. - Co powiemy pani Schmidt?

Uderzał w klawisze dwoma palcami, szybko, stanowczo, przesuwając silnym zamachem karetkę co jakieś pół minuty. Ruth, która przyglądała się, jak czarne literki wyłaniają się z maszyny, z opóźnieniem przypomniała sobie, żeby zasłonić palcami przypaloną płamę na spódnicy.

- Kilka lat temu mój ojciec zmusił mnie do nauki - rzekł Arthur, zaczynając następny list. - Powiedział, że trzeba iść z duchem czasu. Muszę przyznać, że teraz nie żałuję. - Rzucił jej szybkie, nieśmiałe spojrzenie, gdy zadzwieczał dzwoneczek karetki.

Patrzyła, zafascynowana pewnością, z jaką jego palce uderzały w klawisze, i ukołysana stukotem, aż wreszcie wyciągnął ostatnią stronę. Złożył przepisane listy i wyrównał ich brzegi, stukając o blat biurka.

- Gotowe. Możemy teraz iść?

W samochodzie, bez Imogeny, która zwykle siedziała wciśnięta między nich, Ruth odchyliła się niepewnie na oparcie siedzenia,

świadoma, że ich uda dzieli tylko niewielki odstęp. Nie odrywała wzroku od nieba, ciemno-błękitnego, bez jednej chmurki, i od ścier-nisk po świeżo skoszonym zbożu. Po chwili jednak rozluźniła się. Odkręciła szybę do oporu i wystawiła rękę na pęd powietrza, poruszając leniwie palcami. Wiatr rozwiął jej włosy, tak że znów wy-mknęły się spod spinek, ona zaś nie poprawiała ich, tylko przytrzy-mywała je ręką, żeby fruwające kosmyki nie siekły jej po twarzy.

- Za szybko? - spytał, spoglądając znowu na nią nieśmiało z ukosa, tak jak wówczas gdy siedział przy maszynie.

- Nie, lubię szybką jazdę.

Mijali pola, domy, zagrody oraz małe sklepy z napisami na ścia-nach: ARTYKUŁY SPOŻYWCZE PIWO ARTYKUŁY WĘDKARSKIE lub PIWO ARTYKUŁY SPOŻYWCZE PASMANTERIA albo NABIAŁ DRÓB PI-WO.

- Dokąd jedziemy? - spytała wreszcie Ruth.

- Nie wiem - wzruszył ramionami. - Co powiesz na piknik? Je-steś głodna?

- Jak wilk.

Podjechał do kolejnego z wielobranżowych sklepów, zbudowa-nego z pobielonego kamienia, z dwoma małymi oknami. Wszedłszy do środka, Arthur skierował się do lodówki na tyłach pomieszczenia, a Ruth podążała wolno za nim. Podobał jej się ten sklep. Przypomi-nał jaskinię, przyjemnie wilgotną i chłodną po suchym wietrze na drodze. Gdy szła wzdłuż półek, przyglądając się ich zawartości - dżem jeżynowy, dżem truskawkowy, dżem malinowy, płatki kuku-rydziane, płatki mydlane, zapałki - poczuła najpierw zapach kulek naftalinowych, octu, goździków, a potem papierosów i starego potu.

- Co ty tu z nim robisz?

Ruth podskoczyła na dźwięk ochrypłego szeptu za plecami, strącając na podłogę puszkę tuńczyka. Starzec, który podszedł do niej z tyłu, patrzył na nią nachmurzony.

- Nic - odpowiedziała, schylając się, by podnieść puszkę. Położyła ją z powrotem na półce i skierowała się do drzwi. - Wychodzę, Arthurze. Słyszysz? Zaczekam na dworze.

Kto dał temu kopniętemu staruchowi prawo, żeby tak się do niej odzywać? Oparła się o ciepłą pobielaną ścianę. Powinna była odpowiedzieć, że są przyjaciółmi, którzy wybrali się na przejażdżkę samochodem. Korzystają z letniej pogody, być może ostatni raz. Naprawdę żałowała, że nie ma z nimi Imogeny.

Znalazszy się znów bezpiecznie w samochodzie, wskazywali sobie wzajemnie piękne widoki i zachwycające domy, z przyjemnością odkrywając, że mają bardzo podobny gust. Rozmawiali o ludziach, których znają, co przypominało im różne historie o ludziach, których kiedyś znali. Arthur opowiedział Ruth, że myślał, by zostać budowniczym mostów, a Ruth zdradziła Arthurowi, jak Amanda uczyła ją udawać ataki drgawek i szczekać jak pies, żeby uchronić ją przed szkołą.

- Zademonstruj, jak to wyglądało - poprosił Arthur.

Ruth urządziła małe przedstawienie, a chłopak wybuchnął takim niepohamowanym śmiechem, że stracił na chwilę panowanie nad kierownicą.

Skręcił w boczną drogę.

- Czy wiesz, dokąd jedziesz? - spytała, gdy szosa przeszła w polną drogę.

- Zatrzymaliśmy się gdzieś tutaj z ojcem. - Przechylił się nad nią, żeby wyjrzeć przez okno.

W końcu zaprowadził ją nad małą rzeczkę, w której ustawił odpowiednio kamienie, żeby schłodzić piwo. Potem usiedli na trawie.



Arthur kroił scyzorykiem salami, a Ruth odrywała kawałki chleba.

- Imogena powinna wrócić do pracy jutro - oznajmiła, układając zaimprovizowane kanapki na szarym papierze, rozłożonym między nimi.

- Tak? To dobrze.

- Z jej kostką wcale nie jest tak źle. To znaczy, było źle, ale teraz jest już lepiej. Jej matka chciała po prostu, żeby była ostrożna.

- P o w i n n a być ostrożna.

Przyniósł piwo i przyglądał się, jak prężą się mięśnie jej szyi przy przełykaniu. Skroplona para kapała z butelki na spódnicę Ruth.

- Tak bardzo nie mam ochoty wyjeżdżać znad jeziora w przyszłym tygodniu - powiedział.

- Nie spodobałoby ci się w zimie. Jest ponure i puste jak Księżyc.

- Mnie to nie przeszkadza. Tutaj można robić różne rzeczy na świeżym powietrzu, a nie tylko przemieszczać się z budynku do budynku, tak jak my w mieście.

- My też przeważnie przemieszczamy się z budynku do budynku - roześmiała się Ruth - jeśli mamy szczęście.

- Cóż, wierzę, że będę miał powód, żeby przyjeżdżać tu przynajmniej na weekendy. - Zaczerwienił się i wyrwał z ziemi parę kępek trawy. Przypominało to dźwięk, jaki wydają owce, skubiąc trawę.

Mówi o Imogenie, pomyślała Ruth. Kocha Imogenę. Czy martwi ją to dlatego, że będzie miał Imogenę, czy też dlatego, że Imogena będzie miała jego? Pewnie i jedno, i drugie. Oboje ją opuszczą. Najważniejsze, że jest przyjaciółką Imogeny. I nadal będzie przyjaciółką Imogeny, z nią lub bez niej.

- Imogena będzie wspaniałą żoną - powiedziała.

- Tak, jestem tego pewien - odrzekł poważnie. - Mężczyzna, który ją dostanie, będzie szczęściarzem.

Nagle podrzucił do góry pęk zerwanej trawy, która opadła na ich głowy niczym confetti.

- Chodźmy na spacer.

Jedno źdźbło zawisło tuż nad jej okiem. Arthur wyciągnął rękę, by zdjąć je z jej włosów. Ruth poczuła przelotny smutek, gdy palec Arthura musnął jej czoło. Przestań, pomyślała. Nigdy więcej nie wolno ci mieć takich odczuć.

Wstała energicznie i otrzepała trawę z sukienki.

- Nie - odparła - robi się późno. Moja ciotka będzie się martwiła. Lepiej wracajmy do domu.

# Rozdział szesnasty

## *A m a n d a*

Musiałam przyznać, że na wodzie było cudownie. Rzeński wiatr marszczył lekko powierzchnię jeziora, a ciepłe promienie słońca wdzierały się pod moją bluzkę. Poranek wywabił trzy żaglówki z przystani, płynęły zygzakiem po granatowej wodzie, ich białe trójkątne żagle odcinały się wyraźnie na tle jasnoblękitnego nieba. Clement płynął tak blisko, że pył wodny, który wzbijały jego stopy, zraszał moje policzki. Czy to nie dosyć, więcej niż dosyć? Przecież nasze szczęście było kiedyś prawdziwe, nawet jeśli kłamał, żeby je podtrzymać. Czemu w swoim uporze, że jestem najcenniejsza, jedyna kochana, ukrywałam się przed takimi rozkoszami?

Po drugim okrążeniu uchwycił się burty, oddychając ciężko. Teraz, gdy mokre włosy przylgnęły mu do czaszki, widziałam, jak bardzo się przeredziły. Chciałam podać mu rękę. Chciałam powiedzieć, cśśś, cśśś, wszystko w porządku. Teraz odpocznij. Wróć do łodzi i odpocznij. Było mi smutno, gdy patrzyłam, jak mężczyzna, który kiedyś był tak witalny, teraz osłabł, ale ta jego słabość sprawiła mi również przyjemność.

Oczywiście, powzięłam niesłuszne podejrzania wobec Clementa po tym, co widziałam rano kilka dni temu. Clement nie był już taki jak kiedyś. Nie miał żadnych złych zamiarów wobec Imogeny. Wszystkie obawy były jedynie wytworem mojej nieufnej natury.

Chciałam mu powiedzieć o naszej córce. Chciałam, żeby poznał prawdę o skutkach naszego romansu.

- Chcę ci powiedzieć o Imogenie - zaczęłam. - Imogenie Lindgren.

Westchnął, patrząc na mnie do góry przez zmrużone powieki. Tak, chyba westchnął.

- Jest urocza, prawda? Prawdę mówiąc, gdybym był młodszy...  
- Odwrócił ode mnie wzrok, spoglądając w dal, ku przeciwległemu brzegowi jeziora, po czym znów popatrzył na mnie. Chyba nawet mrugnął, choć może tylko strzepywał wodę z rzęs. - Ale kto wie, co lubią młode dziewczęta w dzisiejszych czasach? Może jeszcze miałbym szansę. - Mówiąc te słowa, odwrócił się i odepchnął od łodzi, toteż chlupot wody prawie je zagłuszył, ja jednak na pewno je usłyszałam. W przeciwnym razie, czemu ogarnęło mnie takie lodowate przerażenie, że aż mnie ciarki przeszły?

I wtedy poczułam palące promienie słońca, krew zawrzała w moich żyłach. Miałam ochotę staranować go łodzią, przejechać obracającą się śrubą po jego białych, lśniących plecach, podrzeć je na pasy, jak stare prześcieradło. Chciałam wskoczyć do jeziora i własnymi rękami przytrzymać mu głowę pod wodą. Ale nie zrobiłam tego. Oczywiście, że nie zrobiłam. Nie potrafiłabym zdobyć się na żadną z tych rzeczy.

Zamiast tego stanęłam w łodzi i krzyknęłam na całe jezioro:

- Ona jest twoją córką! Twoją córką!

On jednak nie zatrzymał się. Szarpnęłam z wściekłością linką rozrusznika i silnik zaczął warczeć. Musiał podnieść głowę, gdy usłyszał ten hałas, musiał przyglądać się ze zdumieniem, jak odpływam. Ale ja się nie obejrzałam.

Motorek był taki słaby i łódź płynęła tak strasznie wolno, że miałam wrażenie, iż oddalam się od niego godzinami, iż miną dni, zanim dotrę do brzegu. W połowie drogi do domu, wyrzuciłam niebieski płaszcz kąpielowy z łodzi. Frunął w powietrze z rozpostartymi rękawami, opadł na powierzchnię jeziora, po czym, nasiąknąwszy wodą, zaczął powoli tonąć.

Gdy wyciągałam łódkę na błotnisty brzeg, wyobraziłam sobie, że Clement wychodzi z wody, wołając o kanapkę. Będzie miał wilczy apetyt po takim długim pływaniu, moja wściekłość nie ostudziła również jego innych apetytów. Przynajmniej będzie musiał przedrzeć się przez te cuchnące wodorosty. Jest potworem! Potworem! Jego zapach przylgnął do mojej skóry, weszłam do wody, żeby wyszorować ręce i ochłodzić twarz, która nadal płonęła z oburzenia.

Nagawaukee nie jest dużym jeziorem, każdy może je bez trudu przepłynąć wszertz. Jak mogłam przypuszczać, że nie uda mu się to, co leży w możliwościach dziesięcioletniego dziecka? Zapomniałam o jego słabym sercu.

Czy to prawda? Szczerze mówiąc, nie wiem.

# Rozdział siedemnasty

## *A m a n d a*

Nie byłam gotowa na przyście dziecka. Chciałam zostać na zawsze w stanie zawieszenia, nie iść naprzód, nie cofać się, po prostu tkwić nieruchomo w miejscu. Ale dziecku nie odpowiadał stan zawieszenia. Musiałyśmy posuwać się naprzód, czy mi się to podobało, czy nie.

Bóle zaczęły się w południe, słonecznego, dotkliwie zimnego dnia. Stałam nieostrożnie na samym skraju wyspy, smakując po raz ostatni powietrze, nie zważając na to, że ktoś może mnie zobaczyć. Radowałam się siłą wiatru, dmącego w szalonych porywach nad świeżym zielonkawym lodem, tak przejmującego, że wyciskał mi łzy z oczu. I wtedy znowu poczułam skurcz.

Wody odeszły mi około siódmej. Wysterylizowałam nożyczki, tłumiąc myśli o tamtym idiotycznym pojemniku próżniowym, i położyłam je razem z nicią na czystym ręczniku. Ustawiłam moje buty z boku pod łóżkiem w pokoju Mathildy, tym, które postanowiłyśmy wykorzystać. Zdjęłam sukienkę i powiesiłam ją starannie na wieszaku obok drzwi. Mathilda, biedactwo, kursowała między kuchnią a sypialnią, nosząc to szklankę wody, to koc, przede wszystkim po to, żeby zająć się czymkolwiek. Ale ja byłam spokojna. I gotowa.

Gdy nadszedł skurcz, wydałam z siebie dźwięk, który musiał przstraszyć Ruth.

- Ciocię Mandy coś boli?
- Chodź, kochanie - powiedziała Mathilda, biorąc dziecko za rękę. - Pójdziemy do twojego pokoju.

Ruth pokręciła głową.

- Tak, musimy iść. Bądź grzeczna, Ruthie.

Ale Ruth kucnęła i zanim Mathilda zdążyła ją podnieść, dała nurka pod łóżko, wciągając za sobą dywanik i używając go jako barykady.

Mathilda sięgnęła w głąb, próbując ją wyciągnąć, lecz Ruth uczepiła się jednej nogi łóżka i zaczęła głośno płakać. Ja miałam lepszy pomysł. Zsunęłam się z łóżka i poszłam do kuchni po miętowego lizaka.

- Ruth, spójrz tylko - powiedziałam, przysuwając lizak jak najbliżej podłogi. - A teraz cicho sza. Ciocia Mandy ma cukierka.

Ale kolejny skurcz pozbawił mnie na chwilę oddechu. Miętowy lizak upadł ze stukiem na podłogę, gdy uchwyciłam się Mattie. Pomogła mi wejść z powrotem na łóżko i przestałyśmy zajmować się Ruth.



Ruth unosiła się na falach, twarzą w dół, jej ciało było rozpostarte na wodzie niczym niebieski frotowy płaszcz kąpielowy. Sięgnij, dalej, dalej, tam - włosy, chwyć mocno, ciągnij do góry, wyciągnij ją. Amanda obudziła się, jej palce chwyciły powietrze, krztusiła się, jak gdyby próbowała oddychać pod wodą. Ruth nie utonęła, powiedziała sobie stanowczo. Ruth czuje się dobrze.

Zasnęła w ubraniu, brzeg jej sukni wciąż jeszcze był wilgotny tam, gdzie włożył się po wodzie, gdy Amanda wyciągała łódź na brzeg. Kiedy spała, kołnierzyk zacisnął jej się mocno na szyi - być może dlatego miała trudności z oddychaniem - i teraz odpięła dwa górne guziki.

Dzień miał się ku końcowi, ale zmierzch jeszcze nie zapadł. Ruth wkrótce wróci do domu, o ile już nie wróciła.

- Ruth? - zawołała Amanda, stając na szczycie schodów. Odpowiedzi nie było.

Odwróciwszy się, stanęła twarzą w twarz ze swoim odbiciem w lustrze. Skórę miała zaczerwienioną od słońca, włosy potargane i splątane, suknię wymiętą. Podniosła niepewną dłoń do policzka. Jej twarz nigdy nie była - jak to ludzie nazywają - pełna, ale ostatnimi czasy jej kości policzkowe uwydatniły się, a policzki zapadły. We włosach srebrzyły się nitki siwizny.

Co za dziewczynka tak się brudzi? - usłyszała w myślach głos matki tak wyraźnie, że się odwróciła, niemal spodziewając się, że ją tam zobaczy, stojącą z myjką i kostką lawendowego mydła domowej roboty. Ale to byłoby na dole przy wanience, obok pieca w kuchni. Carl dawno już urządził łazienkę na górze, oddzielając ścianą róg pokoju Ruth, tego, który kiedyś dzieliły Amanda i Mathilda.

Wyjęła z szafy świeżą suknię i powiesiła na drzwiach łazienki. Czekając, aż wanna się napełni, wymyła zęby odrobiną sody i wyszorowała proszkiem umywalkę oraz sedes. Włosy nadal cuchnęły jej zdechłymi rybami i wodorostami. Musi je umyć, mimo że prawdopodobnie jest zbyt późno, żeby dobrze wyschły.

Weszła powoli do wanny. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo była spięta i zziębnięta. Ciepła woda ukoiła ją. Amanda leżała na plecach, pozwalając, by jej nogi i ręce unosiły się na wodzie. Leniwie



pieściła swoje ciało, brzuch i uda, kości obojczyków i dołek u nasady szyi, piersi. Następnie zanurzyła się głębiej, odchylając głowę do tyłu, żeby zamoczyć włosy. Woda podniosła się lekko niby ciepły kaptur, otulający jej głowę, a włosy rozpostarły się wokół szyi i na piersiach niczym wodorosty. Woda zalała jej uszy, oddzielając ją od dźwięków na zewnątrz, ściągając ją coraz bardziej w dół.

Amanda usiadła gwałtownie i wyszła z wanny, mocząc matę. Wytarła się pobieżnie i owinęła włosy ręcznikiem. Ubrała się spieszenie, mimo że skórę miała jeszcze wilgotną. Tak naprawdę chciało jej się jeść. Kiedy jadła po raz ostatni? Musi przygotować coś na kolację. Ruth jest zawsze okropnie głodna po całym dniu zmagania się z tymi maszynami.

Gdy obierała ostatni ziemniak, na podjeździe zazgrzytał żwir i zapyszczwały opony. Amanda podkrađła się do okna i wyjrzała. Chłopak, syn Owensów, Clement i nie Clement, pomagał Ruth wysiąść z samochodu. Amanda ściągnęła ręcznik z włosów i obwiązała głowę chustą. Usłyszała jednak, że trzasnęły drzwi samochodu, raz, potem drugi. Rozległ się warkot silnika, który po chwili się oddalił, i do kuchni weszła Ruth. Sama.

- Byłaś z chłopakiem Owensów? - spytała ją Amanda, najbardziej rzeczowo, jak potrafiła. Podniosła pokrywkę z rondla, w którym dusiło się mięso, kryjąc twarz za osłoną pary.

- Z Arthurem. Podwiózł mnie.

- Ale bez Imogeny?

- Bez.

A więc teraz musi pilnować Ruth? Amanda zmarszczyła brwi, śledząc ruchy młodej kobiety, gdy Ruth zaczęła nakrywać do stołu.

- Czy ty... - Przerwała, nie bardzo wiedząc, jak to powiedzieć. - ...piłaś coś? - dokończyła delikatnie.

- Oczywiście, że nie.

Gniew, gorzki jak żółć, narastał w Amandzie, gdy myślała o ojcu i synu. Czemu nie zostawią w spokoju jej oraz najbliższych jej osób. Wiedziała jednak, że to jej wina. Ukrywając się i udając, kłamiąc, w pewnym sensie zatrzymała przy sobie Clementa Owensa na zawsze. Jedna noc z nim stała się czymś w rodzaju węzła, wokół którego rosła przez ostatnie dwadzieścia lat. Czemu miałyby się teraz dziwić, że zamiast się rozwiązać, podwoił się?

Ale wszystko będzie dobrze, zapewniała sama siebie. Lato się kończy i wkrótce wyjadą. Musi tylko poczekać jeszcze trochę, utrzymując wszystko na swoim miejscu.

Ruth jest bezpieczna w domu, a teraz zjedzą zdrowy posiłek, pomyślała Amanda, nakładając czerwoną kapustę na talerz Ruth. Wobec tego wszystko jest w porządku. Wszystko jest tak, jak być powinno, myślała, przyglądając się stołowi, z wyjątkiem jednego szczegółu.

- Masz ochotę na mus jabłkowy, Ruth? Jest trochę w lodówce. Może podasz?

- Nie, wcale nie mam ochoty.

- Myślę jednak, że powinniśmy go zjeść. Mówiłam, jest w lodówce, na małym zielonym półmisku.

- Naprawdę nie mam dziś ochoty na mus jabłkowy.

- Ale powinniśmy go zjeść. W przeciwnym razie nie będziemy miały owoców na kolację, a owoce są bardzo ważne. Postaw go przynajmniej na stole, na wypadek gdybyśmy zmieniły zdanie.

- Pragnę, żeby Imogena była szczęśliwa - powiedziała Ruth, wstając od stołu. - Naprawdę tego chcę.

Nie, nie powinna mówić o Imogenie, przynajmniej nie dziś wieczorem, nie wtedy, gdy wszystko musi być utrzymane tak, jak jest.

- Wszyscy chcemy, żeby Imogena była szczęśliwa, to oczywiste. Ruth, na górnej półce, z tyłu za mlekiem. Wiesz, zastanawiam się, czy nie będzie zbyt zimny. Jak myślisz? Nie powinien być na tyle zimny, żeby oziębził mięso. Może powinniśmy ogrzać go przez chwilę, żeby nie był lodowaty.

- Ale my zamierzałyśmy wynająć razem mieszkanie!

- Mieszkanie? Jakie mieszkanie? - Amanda odsunęła się lekko z krzesłem od stołu. Nagle zrobiło jej się niewygodnie, z nogami uwięzionymi pod stołem.

- Nie będzie żadnego mieszkania. Już nie. Genie zamierza wyjść za Arthura Owensa. Nie poprosił jej jeszcze o rękę, ale to zrobi.

Słyszając te gorączkowe słowa, Amanda poczuła szum w uszach, a następnie dzwonienie. Odepchnęła krzesło całkiem od stołu, kręcąc głową.

- Nie - powiedziała stanowczo, niemal pogodnie. - To niemożliwe.

- Ciociu Mandy, o co chodzi? Źle się czujesz? Czy coś się stało?

Amanda wstała tak gwałtownie, że przewróciła krzesło.

- Musimy ich powstrzymać.

- O czym ty mówisz? Co ci jest? - Ruth okrążyła stół i przycisnęła dłoń do wilgotnego czoła ciotki. - Może powinnaś się położyć. Chcesz się położyć? - spytała, popychając Amandę w kierunku dużego pokoju. Starła się, by jej głos brzmiał troskliwie, ale była przestraszona. Czy to dlatego Amanda musiała jechać do St. Michael's? - Mam zadzwonić do doktora Karblera?

- Nie! Nie chcę nikogo, Ruth. Nikogo, poza tobą.

Stały obok starej kanapy, ale gdy Ruth próbowała posadzić na niej ciotkę, Amanda uczepliła się dziewczyny i pociągnęła ze sobą.

- Obiecuj, że mi pomożesz, Ruth - wyszeptwała.
- Obiecuj.
- Oczywiście, że ci pomogę. Ale w czym?

Amanda nadal mówiła szeptem, jak gdyby w ten sposób słowa nie zostały naprawdę wypowiedziane, lecz przekazywała je do świadomości Ruth za pomocą jakiegoś fluidu.

- Imogena jest córką Clementa Owensa.

Ona oszalała, pomyślała Ruth, mimowolnie odsuwając się od Amandy, a gardło ścisnęło jej przerażenie, pomieszane ze wstrętem, wywołując niemal mdłości.

- Uspokój się - powiedziała. - Co się z tobą dzieje? Przestań się tak zachowywać. - Miała ochotę uderzyć ciotkę, ale Amanda wybuchnęła płaczem i zamiast tego Ruth pogłaskała ją po ramieniu. - Ciociu Mandy, wiesz, że to niedorzeczne. Nie wiem, kto ci naopowiadał tych głupstw, ale nie wolno ci wierzyć w każdą bzdurę! Pan Owens i pani Lindgren nawet się nie znają. I pani Lindgren nigdy by nie...! - Ruth przyszła do głowy pewna myśl.

- Założę się, że wiem, kto rozpuszcza te plotki. Jak one śmiały? To ta paskudna Zita i Kitty. Gorzko tego pożałują!

Amanda przestała płakać. Wbiła palce, zakrzywione jak szpony, w ramię Ruth i potrząsnęła nią.

- To ty przestań, Ruth! Spójrz na mnie! Wysłuchaj mnie! Nikt mi o niczym nie mówił, to moja historia, wyłącznie moja. Tylko ja ją znam. Wiem, że Clement Owens jest ojcem Imogeny, ponieważ ja jestem jej matką. To moje dziecko.

Ruth wyrwała się Amandzie i odwróciła twarz, zasłaniając uszy rękami.

- Przestań! Jak możesz mówić coś podobnego?

Gdyby Amanda usiłowała nagle wmówić jej, że niebo jest zielone, a trawa czerwona, Ruth nie czułaby się bardziej zagubiona, bardziej zdradzona.

- Ale przecież powiedziałaś, że dziecko nie było prawdziwe - wyszeptała tym razem Ruth, odwracając się, żeby spojrzeć na Amandę.

### *Ruth*

Mama chodzi w tę i z powrotem, w tę i z powrotem. Ciocia Mandy wydaje przerażające dźwięki. „Cicho, cicho”, mówię, ale nikt mnie nie słyszy. Przytulam głowę do dywanika „teraz-położę-się-spać” i przyglądam się lizakowi. Buty cioci Mandy obserwują mnie. Lepiej, żebym teraz była grzeczna, grzeczna i cichutka. „Cśśś, cśśś”, mówię, ale nikt mnie nie słucha. But mamy trąca cukierek, który toczy się do mnie. Biorę go do ręki i zdejmuję z niego kłaczki palcami. Jest jeszcze dobry, myślę. Tak powiedziałyby ciocia Mandy. Odrobina brudu nam nie przeszkadza.

Ciocia Mandy wydaje przerażające dźwięki.

- Wszystko w porządku - mówi mama. - Wszystko będzie dobrze. - Ale ja wiedziałam, że to nieprawda.

Uciszam się i ssę, uciszam się i ssę. Jestem grzeczna, ale wciąż słychać te przeraźliwe dźwięki. Tak bardzo chcę, żeby ustały.

- Przestań - mówię, ale z moich ust wydobywa się tylko szept. - Będę cicho. Będę grzeczna.

Mój lizak jest taki ostry, że rani mnie w język. Krew ma słodki smak, więc ją połykam.

- A teraz położę się spać - mówię, ale nie mogę zasnąć.

Mama też jest teraz na łóżku. Ja także chciałabym już pójść do łóżka, ale jestem przestraszona. Niech te okropne dźwięki wreszcie się skończą! I nagle rzeczywiście cichną.

- Och, Mandy - mówi mama - małeńka dziewczynka.

Ale mała dziewczynka jest pod łóżkiem.

Dziecko płacze, więc i ja próbuje płakać, ale to nie ja.

- Musisz jej powiedzieć, ciociu Mandy.

Wrzuciły zastygłą duszoną wołowinę i czerwoną kapustę, które wyglądały na talerzach jak masa siniaków, do wiadra z resztkami dla psów i świń, po czym usiadły przy kuchennym stole. Amanda naląła kawy do filiżanek, jak gdyby miały zamiar omówić najzwyczajniejszy problem.

- Nie - pokręciła głową Amanda, mieszając cukier w kawie. - Nie, musimy się zastanowić, Ruth. Myśl. - Poruszała łyżeczką w tę i z powrotem, stukając o brzegi filiżanki. - Imogena nie może się nigdy dowiedzieć.

- O czym mam myśleć? Jak się ubrać na jej ślub? Jeśli ty jej nie powiesz, to ja to zrobię.

Amanda starała się mówić spokojnie, cierpliwie. Nie spuszczała oczu z twarzy Ruth. Ruth zachowywała się nierozsądnie. Musi jej to uświadomić.

- Wcale nie chcesz tego zrobić. Pomyśl o Mary Louise. Zabije to ją, jeśli Imogena dowie się prawdy w taki sposób. Jeśli Imogena w ogóle pozna prawdę. - Podniosła filiżankę do ust i upiła łyk kawy. Czuła, że przedstawia dobre, przekonujące argumenty, przy których może obstawać. - Nie, to nie byłoby w porządku wobec Mary Louise. Przecież była naprawdę dobrą matką. Musisz się ze mną zgodzić, prawda, Ruth?

Gdy Ruth nie odpowiedziała, Amanda powtórzyła pytanie:

- Zgadzasz się, że Mary Louise jest wspaniałą matką, prawda?

- Tak! - odpowiedziała niecierpliwie Ruth. - Tak, oczywiście, ale to nie ma nic do rzeczy!

- Och, Ruth, nie jesteś jeszcze matką. Zrozumiesz, kiedy nią zostaniesz.

Rozdrażniona Ruth odsunęła filiżankę tak gwałtownie, że kawa wychlapała się na stół.

- Ck-ck - Amanda cmoknęła językiem. - Jesteś zdenerwowana, Ruth, ale spróbuj spojrzeć na to z mojego punktu widzenia. - Wstała, by wziąć zmywak. - Pomyśl o Imogenie - mówiła, ścierając rozlaną kawę. - Pomyśl, co sama czułaś, gdy się o tym dowiedziałaś. Wyobraź sobie, czym by to było dla niej - oznaczałoby koniec wszystkiego, co dobre. Zniszczyłabyś wszystko, w co wierzy. Kochasz Imogenę. Czy naprawdę chcesz jej powiedzieć, jak przyszła na świat? Musisz pomyśleć, co jest słuszne.

- Tak jak ty? - słowa rozległy się w kuchni niczym wystrzały.

Amanda stała przy zlewie, trzymając ściereczkę pod bieżącą wodą. Nagle zgięła się w pół, jak gdyby chwycił ją bolesny skurcz, i osunęła się na podłogę, opierając czoło o szafkę pod zlewem.

- Nie mogę pozwolić, żeby mnie znienawidziła, Ruth - wykrztusiła Amanda przez łzy. - Nie mogę.

- Cicho, cicho - uspokajała ciotkę Ruth, przykucając obok i próbując ją podnieść. - Wobec tego powiemy Arthurowi, a potem panu Owensowi. Znajdą jakiś pretekst zerwania.

- Ale ona dowie się, Ruth, jeśli oni będą wiedzieli. - Amanda otarła twarz ścierką do naczyń. Wdychając jej kwaskowy zapach, przygotowywała się, żeby uciec się do ostateczności. - Wszyscy popełniamy błędy - powiedziała, wstając, tyłem do Ruth. Gdy się odwróciła, wyprostowała ramiona, lecz nadal przytrzymała się mocno jedną ręką zlewu. Zmusiła się, by jej głos brzmiał surowo. - Nawet ty, Ruth, popełniłaś błąd.

- Co masz na myśli? - Ruth przypominała sobie palce Arthura na swoim czole i splonęła rumieńcem.

- Twoja matka zamierzała wychowywać dla mnie Imogenę. Byłybyście wtedy siostrami. Podobałoby ci się to, prawda? Ale gdy kazałam ci zejść z lodu, to nie - pokręciła głową - nie zesłaś. Biegłaś dalej. A potem... - spuściła na chwilę wzrok, a potem spojrzała twardo na Ruth - ...twoja matka umarła, a ja musiałam oddać moje dziecko.

Ruth cofnęła się, krzyżując ręce na piersi. Ale słowa Amandy zapadły w nią głęboko.

- Nie, ja nie... - zaczęła. Ale jej oddech przyspieszył się, ponieważ wiedziała, że faktycznie biegła. Nawet teraz, stojąc na gładkich deskach kuchennej podłogi niemal czuła, jak nogi ślizgają się pod nią, jak szukają punktu zaczepienia na śliskiej czarnej gładzi, pamiętała też, że nie mogła biec dość szybko, bez względu na to, jak bardzo się starała.

Amanda wyciągnęła rękę i dotknęła karku Ruth czubkami palców. Przyciągnęła ją delikatnie do siebie, wsuwając pochyloną głowę dziewczyny pod swoją brodę.

- Już dobrze - mruzczała, kołysząc ją lekko. - Byłaś tylko małym dzieckiem. Jeszcze głupiutkim dzieckiem. Ale, widzisz - w głosie Amandy zabrzmiała wyraźna duma - ja zrezygnowałam dla ciebie ze wszystkiego. Absolutnie wszystkiego. Chyba zdajesz sobie sprawę, że gdybym nie musiała zająć miejsca twojej matki, wróciłabym do pracy lub założyła własną rodzinę? Ale ja zajęłam się tobą. Teraz, Ruth - Amanda westchnęła niemal z zadowoleniem - nie sądzisz, że mam prawo prosić cię, żebyś zrobiła coś dla mnie?



Zimny blask księżycy wdzierał się do sypialni Ruth, która przewracała się niespokojnie w jego smudze. Próbowwała dopuścić do siebie myśl, że to ona jest winna utonięcia, a ściślej, że bezwiednie pociągnęła za pierwszą nitkę, która spowodowała, że jej rodzina się rozpadła. Dlaczego próbowała biec po tej czarnej powierzchni? Od czego uciekała? Zegar w kuchni tykał bezlitośnie, a ona miała wrażenie, że stoi tuż przy jej uchu. Usiadła i rzuciła poduszką w ścianę, oddzielającą jej pokój od pokoju Amandy. Poduszka uderzyła głośno o tynk, ale nie wywołało to żadnej reakcji.

Ruth wstała i ubrała się, bynajmniej nie starając się zachowywać cicho. Wychodząc z domu, zdjęła z haka przy drzwiach starą marynarkę ojca.

W poświacie księżycy wszystko wyglądało inaczej niż za dnia i Ruth miała kłopoty z utrzymaniem równowagi, gdy schodziła ścieżką w dół przez las. Przy każdym kroku wydawało jej się, że ziemia umyka jej spod stóp, tak jak wtedy, gdy źle policzyła schodki w ciemności i nieoczekiwanie zeszyła z ostatniego. Nie była pewna, czemu idzie nad jezioro, czuła tylko, że musi wyjść z domu na powietrze, strząsnąć z siebie brzemię tajemnic Amandy.

Ruth wystawiała twarz na rześki powiew nocnego powietrza, obchodząc łódź dookoła i odwiązując brezent. Następnie zepchnęła łódź na wodę i zaczęła wiosłować.

Po kilku pociągnięciach wiosł, zauważyła, że jej stopy są mokre. Zapomniała włożyć zatyckę. Pochyliła się w stronę rufy, zanurzając palce w kilkucentymetrową warstwę wody, która zebrała się na dnie, i bez trudu odnalazła gumowy czop. Coś jednak blokowało otwór.

Gdy wyjęła przedmiot z wody, okazało się, że jest to srebrne puzderko z pokrywką, z ornamentem w stylu art déco. Trzymając je w

dłoni, odpięta mały zameczek. W środku znajdowały się drobne pigułki, niczym monety w miniaturowym skarbczyku. Ruth odłożyła na chwilę wiosła, pozwalając, by łódź unosiła się na wodzie. Polerując pokrywkę mankietem, zastanawiała się, kto mógł tutaj zostawić puzderko. Prawdopodobnie jakiś włóczęga wykorzystał łódkę jako łóżko. Robili to od czasu do czasu, ale zwykle pozostawał po nich odór starego potu i tytoniu, jakaś butelka, ale nie srebrne puzderko.

Ruth pomyślała, że był taki czas, kiedy wyobrażałyby sobie, iż taki uroczy przedmiot jest prezentem od matki, wykutym jakimś cudem na dnie jeziora i podrzuconym na brzeg dokładnie w miejscu, gdzie ona miała go na pewno znaleźć. Był taki czas, gdy pobieglaby pokazać swój skarb Amandzie, tak jak kiedyś przynosiła jej strzałkę wodną, ptasie jajeczka i skamieliny, które znajdowała. Zbudowałyby razem z tektury mały okręt dla piratów, którzy skradliby mikroskopijny skarb i, być może, narysowałyby mapę, ukrywając puzderko pod krzakami bzu. Był taki czas, gdy schowałyby je do kieszeni sukienki, by pokazać potem Imogenie. Opowiadałyby sobie wzajemnie o młodzieńcu, cierpiącym na jakąś romantyczną chorobę, na przykład, na gruźlicę, porzuconym przez bogatą rodzinę i skazanym na samotne błąkanie się po świecie, ośmielił się bowiem pokochać niewłaściwą dziewczynę. Przyglądałyby się twarzom włóczęgów, którzy czasami siadywali wieczorami na schodkach, jedząc swoją kolację, i próbowałyby odnaleźć wśród nich i uratować chłopca, który zgubił srebrne puzderko z pigułkami.

Tamte czasy, myślała Ruth, wybierając gąbką wodę z dna łódki, minęły bezpowrotnie. Ona sama ledwie pamiętała matkę, Amanda oddała swoją córkę, a Imogena kochała mężczyznę, którego nie może poślubić. Czy naprawdę ona, Ruth, jest winna temu wszystkiemu?

Wycisnęła ze złością gąbkę. Przecież miała wtedy zaledwie trzy lata.

- Czemu nikt mnie nie powstrzymał? - zawołała głośno w ciemność. Gdzieś na brzegu zaczął szczekać pies.

- Cicho bądź! - krzyknął mężczyzna.

Pies szczekał nadal, a Ruth nie odważyła się już więcej wydać z siebie głosu. Włożyła puderko do kieszeni i wiosłowała dalej.

Klucz do domu na wyspie wisiał na gwoździu pod daszkiem, tam gdzie go zostawiła za ostatnią bytnością, gdy dołożyła nowe pocztówki od ojca do swojej kolekcji. Zawahała się jednak przy drzwiach, obeszła cichutko dookoła cały dom, zaglądając do środka między deskami, które teraz zasłaniały okna tylko w połowie. Dopiero gdy zidentyfikowała ciemne bryły jako łóżko, komódkę czy krzesło, otworzyła drzwi i weszła.

W sypialni wciąż unosił się zapach jej matki, który obecnie rozpoznawała jako lawendę, zwłaszcza tkwił uparcie w szufladach komody. Położyła się na podłodze, na zielonym dywaniku, i zajrzała pod łóżko. Miejsce wydawało się jej zbyt ciasne jak na kryjówkę, gdzie leżała, słuchając krzyku nowo narodzonego dziecka. Słuchając Imogeny.

Ruth skuliła się na gołym materacu i otuliła się ciasno obszerną marynarką ojca. Jeśli ona i jej matka wpadły pod lód, myślała, zapadając w sen, i matka utonęła, a ona nie, to kto ją uratował? I czemu nie uratował Mathildy?

## Rozdział osiemnasty

Od chwili, gdy Clement Owens wyszedł z domu, żeby popływać, jak zwykle rano, i już do niego nie wrócił, minął cały dzień i noc.

- Martwi mnie, że Clement zniknął, a samochód stoi w garażu - mówiła Theresa Owens. - Przecież Clement nigdzie się nie rusza bez samochodu. - Powtarzała to bez przerwy swoim dzieciom. Powiedziała Ellen, kucharce Annie, jak również Augiemu, który zajmował się samochodami i podwórzem. - Jesteś pewien, że nie brakuje żadnego samochodu? - pytała po raz kolejny.

Augie czuł się urażony tym pytaniem. Pani Owens wiedziała równie dobrze jak on, że Owensowie mają trzy samochody i wszystkie trzy stoją bezpiecznie w garażu. Za każdym razem jednak odpowiadał cierpliwie:

- Nie, pani Owens, nie brakuje żadnego samochodu. Nie tym razem.

Theresa zdradziła swe obawy szeryfowi, który nawet w sytuacji, gdy nie brakowało samochodu, nie wykluczał ewentualności, że Owens zniknął celowo. Na stanowisku szeryfa człowiek spotyka się często z takimi wypadkami.

Ale ten facet nie zabrał z szafy ani garnituru, ani butów, tak przynajmniej twierdzi jego żona, a generalnie można w takich sprawach

polegać na opinii żony. To dość niezwykle, żeby mężczyzna wychodził z domu bez ubrania, chyba że chce, by ludzie pomyśleli, iż nie żyje. Szeryf Kutzt słyszał o takich przypadkach.

Z drugiej strony, pomyślał, najlepiej zacząć od rzeczy oczywistych. Chociaż, jeśli przyjąć, że Owensa złapał kurcz, bardzo dziwne było, że nie znaleziono na pomoście niebieskiego płaszcza kąpielowego, choć służąca zaklinała się, że miał go na sobie.

Trzeciego dnia zaczęto przeszukiwać jezioro. Było to po prostu rutynowe postępowanie. Trudno raczej byłoby przeoczyć delikwenta. Rodzina odczuła ulgę, gdy niczego nie znaleziono, ale szeryf wiedział, że ciała często wypływają powoli na powierzchnię jeziora Nagawaukee. Przez dziesiątki lat ludzie wrzucali do niego drzewa i traktory, całe flotylle łodzi, nawet domy. Zwłoki mogły utkwąć w tym śmietniku.

Imogena dzwoniła do Ruth prawie co godzinę z najświeższymi wiadomościami. Ponieważ nikt nic nie wiedział, miała do przekazania niewiele faktów, mimo to jednak było mnóstwo tematów do rozmowy. Kucharka wysnuła swoją teorię, a mianowicie, że pan Owens był zamieszany w porachunki chicagowskich gangsterów. Pani Owens zauważyła, że z apteczki zniknęły jego pigułki na serce. Kierowca Augie podejrzewał zazdrosnego męża - tę ostatnią rewelację Imogena wyszeptała do słuchawki.

Oczywiście, nie opuszczała ani na chwilę ich domu. Gdyby nie ona, nikt nie zjadłby ani kęsa, nie zmrużyłby na chwilę oka. Pani Owens nie chciała nawet, żeby poszła do domu po szczoteczkę do zębów, no i oczywiście Arthur jej potrzebował. Przyjechała jego siostra i starszy brat. Wszyscy natychmiast ją polubili, a siostra zaproponowała jej nawet, żeby spały razem w jej sypialni.

- Arthur mówi, że ojciec robił to już przedtem, wyjeżdżał na kilka dni, nie wracał do domu, gdy się go spodziewano - powiedziała Imogena w dzień po przeszukaniu jeziora.

- To znaczy, że się odnajdzie.

- Ale Arthur twierdzi, że tym razem jest inaczej. Poprzednio zawsze byli świadkami tego, jak wyjeżdża. Wiedzieli przynajmniej, że dokądś się udaje, nawet jeśli nie mieli pewności, dokąd i na jak długo. Machał im na pożegnanie - nie znikał po prostu jak kamfora.

Ruth odłożyła słuchawkę i otworzyła szufladę swojej szafki nocnej. Popatrzyła na srebrne puzderko, które znalazła w nocy. Ostrożnie dotknęła palcem pokrywki. Co to znaczy?

Czy Clement Owens spał w łodzi jak włóczęga? Albo czy Amanda zabrała mu pigułki? Ale czemu miałyby zostawić je na dnie łodzi? Czy Owens był z nią w łodzi? Był w łodzi, a potem zniknął jak kamfora. Albo jak kamień w wodę. Tak jak matka Ruth. Tak jak sama Ruth omal nie spowodowała swego zniknięcia.

- Ruth! - dobiegł ją z dołu głos Amandy. Ruth wyobrażała ją sobie wyraziście, jak stoi w dole schodów, z jedną dłonią zaciśniętą tak mocno na słupku balustrady, że aż zbiełały jej kostki. - Co powiedziała Imogena?

Ruth otworzyła usta. Gardło miała ściśnięte, musiała odchrząknąć.

- Nic - zawołała słabym głosem, po czym spróbowała jeszcze raz. - Nic nowego.

## *Ruth*

Nie wiedziałam właściwie, co mam o tym myśleć, przypuszczałam tylko, że ciocia Mandy była z ojcem Arthura kiedyś po tym, gdy

używałam łodzi po raz ostatni, co miało miejsce wiele, wiele tygodni temu. Teraz, gdy już wiedziałam, że się znali, nie było to dla mnie tak całkiem zaskakujące. Nie sądziłam jednak, że ktokolwiek inny, nawet Imogena, dowie się o tym, przynajmniej dopóki nie wróci pan Owens i nie przedstawi sensownego wyjaśnienia, gdzie się podziewał. Gdy się nad tym zastanawiałam, przyszedł mi do głowy absurdalny pomysł, że ciocia Mandy może ukrywać go gdzieś na farmie, i zaczęłam oglądać się co chwila przez ramię, gdy byłam w oborze albo w ziemnej piwniczce. Bałam się, że ciotka ma jeszcze jakieś tajemnice, których mi nie zdradziła, i nie chciałam natknąć się na którąś z nich bez przygotowania.

Miałam jeszcze mniejszą ochotę dzielić z nią tą jedną, toteż zapewniłam ją, że nie istnieje niebezpieczeństwo, by Arthur i Imogena wzięli ślub, dopóki nie odnajdzie się pan Owens. Możemy odłożyć jej plan.

- Ale przecież mówiłaś mi chyba, że Imogena przebywa w ich domu dzień i noc. Dzień i noc - powtórzyła, a ja musiałam przyznać, że to prawda.

Od kiedy ciocia Mandy postanowiła, co chce zrobić, nie dawała za wygraną. Tego samego wieczora przyszła do mojej sypialni, wymachując złożonymi kartkami, które przyniosłam w torebce z domu Owensów. Musiała wyciągnąć je ze śmieci.

- Skąd to masz? - spytała.  
- Od pani Owens. Robiłam błędy w pisaniu na maszynie.  
- Są idealne. Pozna papier, prawda? - Podniosła kartkę, oglądając pod światło znak wodny.

Wyciągnęłam rękę, chcąc zabrać jej arkusik.

- Wiem, że nie powinnam była zmarnować tylu kartek, ale ona ma ich mnóstwo. Naprawdę, to dla niej niewielka strata.

- Ależ nie, ja mam na myśli Imogenę. Imogena pozna papier, prawda? - Przesunęła pieszczotliwie palcami po gładkiej powierzchni. - Przecież używa go codziennie. Moja Imogena z pewnością pamięta taki luksusowy papier.

Gdy położyłam się spać, narysowała leciutko ołówkiem linię, żeby mieć pewność, iż obetnie papier idealnie równo, i odcięła moje literówki kuchennymi nożycami. Nazajutrz rano ułożyła pięć arkusików w szeregu przed moim talerzem.

- Który twoim zdaniem wygląda najlepiej, Ruth? Który jest obcięty najbardziej prosto?

Nie miałam ochoty przyglądać się im.

- Nie wiem - odparłam ponuro.

Chyba sprawiłam jej przykrość.

- Myślałam, że rozumiesz, Ruth, iż tak będzie najlepiej. Dla Imogeny. Chcesz pomóc Imogenie, prawda? Te drobne romansiki nie mają wielkiego znaczenia. Uwierz mi. - Chciała położyć mi dłoń na głowie, ale się uchyliłam. Nie myślała o Imogenie, lecz o sobie. - Co powiesz na ten? - spytała, wskazując na kartkę.

Mimo że nie odpowiedziałam, udawała, że przyjęłam to do wiadomości.

- Dobrze, wobec tego najpierw spróbujemy na tym.

- On pewnie ma własny papier listowy - zauważyłam.

Zastanawiała się przez chwilę nad moją sugestią, po czym pokręciła głową.

- Nie widzę sposobu, żebyś mogła zdobyć choć jeden arkusik, nie kradnąc go. Nawet gdybyś zdołała dostać się do jego pokoju, nie masz pojęcia, gdzie trzyma papeterię.

- Nie zamierzam zakradać się do jego pokoju!

- Jasne, że nie. Nie poprosiłabym cię o coś podobnego. - Poklepała mnie po ramieniu. Było tak samo, przypomniałam sobie,



gdy trzymała mnie w domu, nie puszczając do szkoły. Zawsze mnie dotykała, dodając sobie otuchy, że jestem z nią, że obie tkwimy w tym po uszy. Wtedy to lubiłam.

Gdy wróciłam do domu tego samego popołudnia, wepchnęła mi do ręki kartkę szarego papieru i pióro.

- Ruth, musisz mi pomóc. - Zaprowadziła mnie do kuchennego stołu i próbowała posadzić na krześle. - Nie udaje mi się utrafić we właściwy ton. Nie wiem, jak on by to powiedział. Ty go znasz, Ruth. Wiesz, jak wyraziłby pewne rzeczy.

- Muszę powiesić płaszcz.

- Ruth, proszę - powiedziała błagalnym tonem, idąc za mną z żalosną kartką papieru w obu rękach. - Proszę cię. Nie potrafię zrobić tego sama.

Nie dała mi spokoju. Nigdy nie da mi spokoju. Wyrwałam jej papier z dłoni i usiadłam ze złością na krześle. Nogi krzesła zgrzytnęły o podłogę, rysując drewno. Gdy jednak siedziałam nad czystą kartką papieru, a ciocia Mandy pochylała się nade mną, nerwowo pocierając bliznę u nasady kciuka, wiedziałam, że coś się zmieniło między nami. Nie dlatego, że prosiła mnie o pomoc - zawsze prosiła mnie o pomoc, o radę, o zdanie. Ale przedtem pytała mnie, co myślę, wyłącznie po to, żeby potwierdzić to, co już postanowiła. Gdy pytała, czy podobają mi się żółte pasiaste zasłony, czy też wolę te z wzorkiem w małe czerwone taczki, wiedziała, które jej się podobają albo które - jak by to ujęła - są najlepsze. Zazwyczaj trafiałam w dziesiątkę i zadowalałam ją. Ale tym razem było inaczej. Tym razem rzeczywiście potrzebowała mojej pomocy. Tym razem była naprawdę przekonana, że ja wiem najlepiej. Naprawdę nie potrafiła zrobić tego beze mnie.

- Usiądź - powiedziałam, biorąc pióro. - Nie mogę myśleć, gdy tak stoisz nade mną. - A potem zaczęłam pisać.

W końcu musiałyśmy to zrobić.

Nie, to jej słowa. Nie musiałyśmy tego robić - były inne wyjścia. Ale potajemnie, w głębi serca, musiałam przyznać się przed sobą, że chciałam to zrobić w takim samym stopniu, jak ciocia Mandy. Nawet żałowałam, że nasza historia nie jest prawdziwa.

Ciocie Mandy zadowolili wreszcie szósty projekt.

- Doskonale, Ruth, naprawdę doskonale. Nigdy nie potrafiłabym wymyślić czegoś równie dobrego.

Droga Ruth,

Zwracam się do ciebie z prośbą o radę w najczarniejszej godzinie mego życia, ponieważ mam pewność, że kochasz Imogenę i lepiej od innych wiesz, co zrobić, żeby była szczęśliwa. Przytrafiło mi się coś, czego nie potrafię wyjaśnić ani nawet zrozumieć. Oddałbym całe moje przyszłe szczęście, żeby tego uniknąć. Nie ma sposobu, żeby ująć to w ładnych słowach, toteż wyznaję ci z całą nikczemną szczerością - zakochałem się w innej. Tak, to prawda. Imogena zawsze pozostanie dla mnie droga, ale jako siostra, nie „żona. To moja straszliwa tajemnica. Zachowam tę tajemnicę dla siebie, jeśli tak mi doradzisz. Znam Imogenę i wiem, że możemy ułożyć sobie życie. Wiem, że potrafię zapewnić jej wygody i uczynić ją szczęśliwą. Ale czy nie popełnię błędu, żeniąc się z nią teraz, gdy zdałem sobie sprawę z moich uczuć wobec innej? Czy, jeśli zwrócę jej wolność, nie znajdzie wkrótce kogoś lepszego, kto pokocha ją tak, jak na to zasługuje? Wierzę, że to prawda, a jednak nie mogę znieść myśli, że ją zranię. Chcę postąpić tak, jak ona by sobie tego życzyła, i piszę do ciebie jako do osoby, która zna jej życzenia najlepiej. Co mam zrobić?

Pomyślałam, że list jest trochę zbyt sztywny. Sformułowania takie, jak „najczarniejsza godzina”, „nikczemna szczerość” czy

„przyszłe szczęście” brzmiały nienaturalnie, jak gdybym przepisała je z książki, ale ciocia Mandy stwierdziła, że list jest właśnie taki, jaki napisałby mężczyzna, który stara się pokazać, że traktuje sprawę poważnie.

Miałyśmy wzór jego podpisu w książce, którą mi pożyczył, ale nie potrafiłyśmy podrobić jego charakteru na tyle dobrze, żeby napisać cały list. Ciocia Mandy twierdziła, że przecież Imogena prawdopodobnie nie uzna za dziwne tego, że Arthur napisał na maszynie list tego rodzaju. Skąd wiadomo, jaką formę powinna mieć taka wiadomość?

Miałam go napisać na maszynie podczas południowej przerwy, ale gdy nazajutrz wyjęłam brudnopis z teczki, nie mogłam zdobyć się na to, żeby na niego spojrzeć. Wyrzuciłabym go do kosza na śmieci, gdybym nie obawiała się, że znajdzie go ktoś w rodzaju Myrtle czy Lillian.

- Za dużo ludzi kręciło się w pobliżu - skłamałam bez mrugnięcia okiem po powrocie do domu. - Nie widziałam sposobu, żeby to zrobić.

Ciocia Mandy poszła na górę i zamknęła drzwi. Jednakże rano miała znowu dobry humor.

- Wiem, że uda ci się znaleźć okazję, by napisać list dzisiaj, Ruth - powiedziała. - Musimy działać szybko.

Nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć.

W południe, tego samego dnia, gdy Lillian, która wyszła na korytarz po kanapkę, wróciła biegiem do sali, piszcząc: „Jakaś pani przyniosła małe kocięta”, wiedziałam doskonale, o kim mowa. Jedna z naszych kotek w stodole odstawiła właśnie od piersi swoje ostatnie potomstwo.

Nigdy bym nie przypuszczała, że pudełko kociąt może narobić takiego zamieszania w sali pełnej bądź co bądź dorosłych uczennic. Ale przynajmniej dziewczęta, z którymi zwykle jadłam lunch, nie

będą zastanawiały się, czemu stukam w moją maszynę. Nawet Myrtle, która wróciła do sali, kiedy byłam w połowie drugiego akapitu, miała na ramieniu szarego przegowanego kotka.

- Nigdy nie mówiłaś, że twoja ciocia jest taka miła, Ruth. Ona uważa, że to słodkie maleństwo jest w sam raz dla mnie. - Pocałowała kociaka w łeppek. Przerażony, że znalazł się nagle na tak dużej wysokości, zamiauczał żałośnie. - Malutki, co się stało? - zagruchała do niego, przytulając go do piersi. - Dokończę to za ciebie, jeśli chcesz pójść się przywitać. Brown na pewno się nie zorientuje.

- Już prawie skończyłam - odpowiedziałam tak lekko, jak tylko potrafiłam, i machnąłam ręką, żeby mi dała spokój.

Pisałam powoli i zrobiłam tylko trzy błędy. Poprawiałam je, zaik-sowując słowa. Nie przejęłam się ani trochę błędami. Taki list nie powinien być nienaganny.

Tego samego wieczora przypominałam sobie o grubym piórze dziadka, przystosowanym do męskiej ręki, zanurzyłam je w czarnym atramencie i ćwiczyłam podpis Arthura tak długo, dopóki nie wyglądał identycznie jak ten w mojej książce, aż wreszcie mogłam podpisać list imieniem i nazwiskiem „Arthur Owens”, jak gdybym pisała własne. Oczywiście cioci Mandy, która siedziała po przeciwnej stronie stołu, świeciły jak żarówki. Udało się.

Nie mogłyśmy się rozstać tamtej nocy, nawet na czas snu. Ciocia odprowadziła mnie do pokoju i przyglądała się, jak się rozbieram, a potem przykryła mnie kołdrą, położyła się obok mnie na wierzchu, tak jak to robiła, gdy byłam dzieckiem. Zasnęłam, otulona szczelnie kołdrą, głowa Amandy spoczywała na poduszce obok mojej.

Gdy się obudziłam, usłyszałam, jak krząta się już w kuchni, miele kawę. W świetle poranka list na moim stoliku wyglądał na rażąco fałszywy. Trudno, i tak spróbuję, pomyślałam, przez wzgląd na ciocię Mandy. Jeśli się nie uda, zawsze jeszcze pozostaje prawda.



- Tak? - spytała Ellen, otwierając drzwi. - Ach, to ty.
  - Zmarszczyła brwi. - Nie sądzę, żeby pani Owens dzisiaj pracowała. Zresztą jest tutaj panna Lindgren.
  - Chciałabym się zobaczyć właśnie z Genie, to znaczy z panną Lindgren.
  - Panna Lindgren nie powinna zapraszać tutaj przyjaciółek w takiej chwili.
  - Nie zaprosiła mnie. Ja tylko na chwilę. Muszę po prostu powiedzieć jej o czymś. To bardzo ważne.
  - Coś o panu Owensie? Wiesz o czymś?
- Ruth pokręciła głową, zaskoczona.
- Nie, nie o to chodzi.

Ellen zatrzasnęła drzwi bez słowa i Ruth czekała niezdecydowanie. Miała zapukać jeszcze raz, gdy drzwi się otworzyły i na progu stanęła Imogena.

- Ruth! - Imogena zarzuciła jej ramiona na szyję.
- Skąd wiedziałaś, że tak bardzo chciałam, żebyś przyszła? Chodźmy na spacer - powiedziała, zamykając za sobą drzwi. - Muszę wyrwać się z tego domu. Martwię się - przyznała, gdy schodziły z boczem na brzeg jeziora. - Zachodzę w głowę, czy on po prostu uciekł, czy też nie żyje.

Zapatrzone w fale marszczące powierzchnię jeziora, na których lśniły złociste refleksy promieni słonecznych, szły pomostem aż do końca. Wiatr, który stał się nieco bardziej przenikliwy, co zapowiadało nadejście jesieni, wymiatał resztki lata. Gdyby nie zniknięcie Clementa Owensa, pomost, na którym stały, zdemontowano by

kilka dni temu, a dom, w którym teraz zebrała się cała rodzina Owensów, zostałby zamknięty na zimę. Ruth kręciło się w głowie ze zdenerwowania.

- Muszę ci coś pokazać - powiedziała wreszcie, wyjmując list z kieszeni. Palce jej drżały, serce waliło tak mocno, gdy podawała arkusik papieru Imogenie, że bała się, iż wpadnie do wody jak żaba.

Wiatr szarpał listem, lecz Imogeną trzymała go mocno, czytając raz, potem drugi.

- Nie rozumiem. Przysłał go tobie?

Ruth skinęła twierdząco głową.

- Kiedy?

- Wczoraj, a może przedwczoraj. Nie jestem pewna. Chyba przyszedł z wczorajszą pocztą.

Imogena przeczytała list jeszcze raz.

- Nie rozumiem - powtórzyła. - Jak może kochać kogoś innego? Kto to jest? - Popatrzyła na przyjaciółkę z taką rozpaczą w oczach, że Ruth miała ochotę wyrwać jej list i wyjaśnić całe kłamstwo. Nie chciała już, żeby to była prawda. Nie, omal nie krzyknęła, on kocha ciebie, tylko ciebie.

- To niemożliwe. Przecież nie widywał się z nikim innym. Nie wierzę. - Podniosła list do oczu i przeczytała go po raz kolejny.

Gdy Ruth patrzyła na kartkę, drżącą w dłoni Imogeny, sama zaczęła dygotać na całym ciele. Zaciśnęła zęby i utkwiała wzrok w białym trójkącie żagla, ślizgającego się po falach, hen, daleko na jeziorze. Pod jej stopami deski pomostu kołysały się, przyprawiając ją o mdłości. Imogena ścisnęła ją nagle za rękę i Ruth odwróciła się, podążając wzrokiem za spojrzaniem przyjaciółki. Od brzegu szedł w ich stronę Arthur.

W pierwszej chwili Ruth wpadła w panikę na myśl, że zostanie przyłapana na swoim kłamstwie. Na ich kłamstwie. Ciotki Mandy

i jej. Musiała opanować się, żeby nie wyrwać ręki z uścisku Imogeny i nie uciec z pomostu. Spokój, powiedziała sobie, tylko spokój. Zamknęła oczy. Jeśli się dowiedzą, to dobrze. Bardzo dobrze. Czy nie tego pragnęła od początku? Próbowała załatwić sprawę inaczej przez wzgląd na ciocię Mandy, ale nie wyszło. Arthur przysięgnie, że nie napisał tego listu, a Imogena mu uwierzy. Popatrzą na nią, zdumieni. Co ona wie?

Wyzna im prawdę. Trudno będzie, zwłaszcza teraz, gdy Clement Owens zniknął, mówić Arthurowi takie rzeczy o jego ojcu, o ich ojcu, i ciocia Mandy będzie zła. Ciocia Mandy, zdradzona, będzie... Ruth nie potrafiła nawet sobie wyobrazić... wściekła? Oszaleje? Będzie zdolna zabić?

Imogena wyciągnęła już do niego rękę z listem.

- Arthurze, czy to prawda?
- Czy co jest prawdą? Coś o moim ojcu? Co jest w tym liście?
- Nie udawaj. Wiesz doskonale, co jest w liście. Powiedz mi po prostu, czy to prawda.

Próbował zabrać jej list, ale Imogena wyrwała mu go z palców.

- Powiedz mi tylko - zażądała ostro, zadzierając wyzywająco głowę. - Kochasz inną? - Ostatnie słowa rozplynęły się w szlochu, wypuściła kartkę, którą natychmiast porwał wiatr.

Nie, Genie, myślała rozpaczliwie Ruth, oczywiście, że nie kocha innej. Niemal słyszała, jak Arthur mówi te słowa, niemal widziała, jak przytula Imogenę do swego ciepłego ciała, żeby ją uspokoić.

Ale Arthur cofnął się.

- Czemu pytasz mnie o to teraz? - Twarz wykrzywił mu gniewny grymas. - Być może mój ojciec nie żyje. Nie mogę teraz o tym rozmawiać!

- Ja nie chcę o tym rozmawiać. - Głos Imogeny brzmiał spokojnie, ale wyciągnęła rękę za siebie, szukając dłoni Ruth. - Proszę tylko o prostą odpowiedź. Tak lub nie.

Arthur spuścił wzrok. Ruth pomyślała, że wygląda jak zawstydzony chłopczyk. Woda toczyła kamyki, które uderzały o brzeg z głośnym szumem. Mów, ponaglała go w myśli, powiedz, że nie. Ale lina ratunkowa, którą próbowała mu rzucić telepatycznie, okazała się za krótka.

- Nie wiem - odpowiedział szeptem.

Imogena chwyciła z trudem powietrze; zachwiała się. Ruth wyciągnęła ramiona, by ją wesprzeć, ale słabość jej przyjaciółki trwała zaledwie chwilę. Rzuciła się naprzód, uderzając obiema pięściami w pierś Arthura. Nie była silna - gdyby stał pewnie, prawdopodobnie nie straciłby równowagi, ale być może przez zaskoczenie albo przez grzeczność, lub też widząc w tym drogę ucieczki, zatoczył się do tyłu i wpadł z pluskiem do wody. Imogena zaś puściła się pędem, utykając z powodu bolącej ciągle kostki, przez trawnik porastający strome zbocze, aż do podjazdu za domem, a rękawy jej bluzki i spódnica wydymały się jak żagle.



# Rozdział dziewiętnasty

## *Ruth*

Imogena czekała na mnie w połowie polnej dróżki, która wiła się pod górę do głównej drogi. Oddaliła się już na tyle od domu, że zniknęła z pola widzenia, skręciła do lasu i upadła na ziemię, szlochając. Osunęłam się obok niej, ale nie zdobyłam się na to, żeby jej dotknąć. Przepełniało mnie poczucie winy, które paraliżowało mi ręce. Byłam przyczyną jej nieszczęścia, ja oraz ciocia Mandy. Niczym czarownice, sprawiłyśmy, że Arthur zakochał się w kimś innym.

- Czuję się jak idiotka - odezwała się wreszcie Imogena, podnosząc głowę i wycierając nos.

- Nie jesteś idiotką. - Będąc na skraju decyzji, by wyznać jej prawdę, pogładziłam przyjaciółkę po włosach. - On cię kocha - oznajmiłam. Powiedziałabym wszystko, żeby ją pocieszyć, ale wierzyłam, że to prawda. - Sam mi to powiedział tego dnia, gdy tam byłam.

- Widziałas się z nim wtedy? - Imogena pociągnęła nosem i usiadła, opierając się o drzewo.

- Tak... - Zmieniłam jednak decyzję i nie dokończyłam zdania.

Na wspomnienie tamtego popołudnia aż mnie skręcało ze wstydu. Staralam się nie myśleć o tym, co czułam, gdy musnął palcem moje czoło. - Powiedział, że jesteś wyjątkowa - rzekłam głośno. - Ze każdym mężczyzną byłby szczęśliwy, mając taką żonę.

- Każdy, z wyjątkiem jego, prawda? - Imogena szarpała pierzaste łądyżki traw wokół kolan, wrywając je jedna po drugiej i rozrzucając ze złością. - Nienawidzę go! - zawołała, ciągnąc całą kępkę trawy. - Nienawidzę wszystkiego, co się z nim wiąże. - Gdy trawa się nie poddawała, Imogena pochyliła się do przodu, kryjąc twarz między kolanami. - Tak bardzo go kocham! Jak on mógł mi to zrobić? - Uderzała pięścią w ziemię. - Och, Ruth! - jęknęła nagle, prostując się i przyciskając dłonie do piersi.

- Nie potrafisz sobie wyobrazić, jak to boli, o, tutaj. Naprawdę boli, jak gdyby coś pękło w środku.

Czemu uważała, że nie potrafię sobie tego wyobrazić? Wiedziałam, co to znaczy być głęboko zranionym. Czułam się tak, gdy bez troski zrezygnowała z planów, które snuła dla nas obu, gdy zrozumiałam, że nigdy już nie będzie ze mną, nigdy tak samo jak przedtem.

- Może to z powodu jego ojca. Jak myślisz? Nie powinnam była zachowywać się tak natarczywie. Przecież to muszą być dla niego okropne chwile, po prostu okropne. Nie jest sobą.

Odwróciłam od niej wzrok. Las był tak gęsty, że mogłam go przeniknąć spojrzeniem zaledwie na kilka metrów, chociaż wiedziałam, że mniej więcej za miesiąc, gdy liście opadną, jezioro będzie widoczne w całej okazałości.

- Już wiem, co zrobimy - rzekłam, chwytając Imogenę za rękę. Chciałam, żeby poczuła, że mówię serio. - Jedźmy do Chicago.

Odsunęła się, ale ja nie dałam za wygraną.

- Pamiętaj, że zawsze o tym rozmawialiśmy. Możesz podjąć pracę, którą obiecała ci załatwić pani Owens. Może znajdzie coś i dla mnie. Zresztą, znajdzie sobie sama. - Puściłam jej rękę i usiadłam wygodnie.

Czekałam.

Imogena zaczęła obgryzać skórkę wokół paznokcia.

- Jechać do Chicago?

- Jasne, jechać do Chicago. Tak jak się umawialiśmy.

- Ale przecież nie znamy tam nikogo. Gdzie się zatrzymamy?

- Właśnie że ja znam kogoś. - Nie mogąc usiedzieć dłużej na miejscu, wstałam i zaczęłam chodzić tam i z powrotem. - Przyjaciółkę cioci Mandy, pannę Fox. Możemy zatrzymać się u niej, dopóki nie znajdziemy mieszkania. Zawsze zapraszała mnie, żebym ją odwiedziła, ale ciocia Mandy nigdy się na to nie zgadzała.

- Czemu sądzisz, że teraz się zgodzi?

- Och, nie zgodzi się, ale ja i tak pojedę. Nie jest moim szefem. Nie jest nawet moją matką. - Czułam się tak, jak gdyby moje wnętrze, skręcone ciasno i napięte jak sprężyna w zegarku, nagle się rozluźniły. Tak, mogę wyjechać. Są takie miejsca, całe miasta, gdzie nie sięga wpływ cioci Mandy, gdzie nie będę czuła jej rąk, nieustannie ciągnących mnie i popychających, cheszących i wygładzających, gdzie nie będę musiała zastanawiać się, czy Clement Owens kiedykolwiek wypłynie lub dlaczego moja matka utonęła. Uwolnię się od niej.

- Dobrze - powiedziała wolno Imogena. - Dobrze. Pojedziemy.

Muszę działać szybko, pomyślałam, błyskawicznie.

- Jedźmy zaraz. Dzisiaj wieczorem. - Pomyślałam o cioci Mandy, która siedzi przy kuchennym stole nad kawą, niczym pajak

w swojej sieci, czekając tylko, by owinąć mnie lepкими nitkami.

- Dzisiaj wieczorem? Ruth, muszę najpierw przekonać moich rodziców. Muszę się spakować. I porozmawiać z panią Owens. Nie wiem, kiedy będzie mogła porozmawiać z przyjaciółmi. Wiesz przecież, że ma teraz inne problemy. A ty powinnaś uprzedzić pannę Fox.

- Powiemy, że jedziemy tylko z krótką wizytą. Wyjaśnisz rodzicom, że musisz stąd wyjechać - machnęłam ręką w kierunku wzgórza - żeby zapomnieć o wszystkim. Być może rzeczywiście zabawimy tam tylko parę dni. Może nam się nie spodoba. Ale spróbujmy. Czemu miałybyśmy nie spróbować?

Patrzyła na mnie w taki sam sposób jak kiedyś, gdy uparłam się, że dam Bertowi Weissowi mój ząb - ten pomysł kusił ją, ale i trochę się bała.

- No, dobrze - zgodziła się wreszcie - jeśli dowiesz się, że panna Fox nie ma nic przeciwko temu, spotkamy się dziś wieczorem na stacji kolejowej. - Wstała, przyglądała włosy i obciągnęła sukienkę. Jej twarz wyglądała świeżo, tak jak gdyby łyzy ją obmyły. Tylko powieki miała lekko obrzmiałe. Nikt nie domyśliłby się nigdy, że przed chwilą leżała na ziemi ze złamanym sercem.

W pewnej chwili, gdy szłyśmy dalej pod górę krętą ścieżką, Imogena zatrzymała się i spojrzała za siebie.

- Miałam wrażenie, że Arthur idzie za nami. Że chce mi powiedzieć, iż to wszystko jest pomyłką, próbą lub czymś w tym rodzaju. - Spojrzała na mnie. - Czy myślisz, że mógł zdać sobie sprawę, że jednak mnie kocha?

Prawdę mówiąc, myślałam, że to bardzo prawdopodobne. Obejrzałam się również, niemal spodziewając się, że wynurzy się spośród drzew. Mimo to zaprzeczyłam.

- Nie - powiedziałam stanowczo. - Zresztą i tak go nie chcesz, Imogeno. Chcesz pojechać ze mną. - Mój głos zabrzmiał zupełnie jak głos cioci Mandy.

### *A m a n d a*

Byłam taka zmęczona, gdy Mattie podniosła to wijące się, machające rączkami, podobne do żaby stworzonko, żebym je zobaczyła. Wytarła je do czysta i owinęła w koc, a następnie położyła na mojej piersi. Maleństwo natychmiast zacisnęło wargi na sutku i pociągnęło tak mocno, że aż mnie zabolęło, jak gdyby chciało mi przypomnieć, że jest prawdziwe.

- Nasza dziecina - wyszeptwała Mattie, czule głaszcząc delikatną główkę. - Pozwól mi ją potrzymać.

Jakże idealnie razem wyglądały, istna Madonna z dzieciątkiem. Do dziś dnia widzę, jak stoją nade mną.

- Będę twoją mamusią, kochanie - powiedziała cicho. - Kocham cię, moje jagniątko. - Potem spojrzała na mnie z uśmiechem.

Zamknęłam oczy. Powinnam odczuwać wdzięczność, nieopisaną ulgę. Zamiast tego czułam się z czegoś odarta. Kim ja jestem, skoro Mathilda jest jej mamą? Nie, nie mogę być ciocią Mandy dla tej, która karmiła się moją krwią. Nie mogłam tego zrobić. I chociaż nigdy sobie tego nie wybaczę, nienawidziłam wtedy Mattie za jej słowa, nienawidziłam jej za to, że miała rację, gdy ja się myliłam, że była wspaniałomyślna, gdy ja byłam samolubna. A najbardziej nienawidziłam jej za pewność, że będę zadowolona, patrząc, jak zabiera mi dziecko.

- Nie - powiedziałam. - Ona jest moja. Nie możesz jej mieć.

Ona jednak mnie nie słyszała, ponieważ już spałam.

Obudziłam się nagle w środku nocy. Wiatr uderzał w okienne szyby, ale moja dziecina spała wygodnie w szufladzie, którą przyzykowaaliśmy dla niej. Byłam otumaniona. Moje mięśnie i mózg pragnęły nade wszystko odpoczynku, ale powoli, cichutko, zwlokłam się z łóżka. „Cicho, cicho, moja dziecinko”, szeptałam, choć maleństwo nie wydawało żadnego dźwięku. Zdjęłam suknię z wieszaka, wyjęłam buty spod łóżka. Wciągnięcie pończoch okazało się niezwykle trudne, ale musiałam zadbać o to, żeby było mi ciepło. Uciekałyśmy, moje dziecko i ja.

Pojedziemy tam, gdzie jest ciepło. Na przykład do Kalifornii. Zmienię nazwisko. Powiem, że mój mąż zginął na wojnie. Kto się dowie, że było inaczej? Kogo to obchodzi? Nie potrzebuję farmy jako źródła utrzymania - dzięki ojcu zostałam pielęgniarką.

Mathilda mi wybaczy. Ostatecznie, ona też będzie szczęśliwsza, ona, Carl i Ruth, jeśli moja tajemnica się nie wyda. A pewnego dnia, mam nadzieję, niedługo, zaczniemy się nawzajem odwiedzać, może nawet zamieszkamy razem, żeby Ruth mogła pokochać swoją małą kuzynkę, tak jak ja pokochałam Mattie. Czemu nie przyszło mi to na myśl od początku?

Okutałam moją kruszynkę w więcej koców, tak że w końcu przypominała raczej tobolek niż niemowlę. Nie obudziła się, umościła się tylko wygodniej w pościeli, otwierając i zamykając usteczka, jak gdyby ssła we śnie moją pierś. Włożyłam płaszcz, rękawiczki i czapkę, schowałam połowę domowych pieniędzy do kieszeni. I to wszystko. Czego jeszcze nam potrzeba? Mogę ją wykarmić. I utrzymać w ciepłe.

Gdy otworzyłam drzwi, wiatr uderzył we mnie z wściekłą siłą. W domu zapomniałam, jak zimno jest na dworze. Ciarki mnie przeszły.

Przecież to dopiero listopad, a nie środek zimy, pocieszałam się. Rozchyliłam płaszcz i ukryłam na piersi moje zawiniątko. Wszystko będzie dobrze. Poza tym musi być zimno ze względu na lód.

Właśnie, lód. Stałam na brzegu jeziora, zastanawiając się. Z pewnością zamarzło, co do tego nie miałam wątpliwości. Niepokoił mnie trochę zielonkawy kolor w pewnych miejscach, które zapamiętałam z popołudnia. Ale nie bardzo. Nie, naprawdę nie bardzo, muszę przyznać. Wydawało mi się, że jestem taka doświadczona, tak pewnie posuwałam się powoli naprzód, nasłuchując każdego trzasku, nie przenosząc zbyt gwałtownie ciężaru ciała. Bardziej obawiałam się, że poślizgnę się z moim cennym ładunkiem, niż że lód się załamie i wpadnę do wody.

Weszłam dalej na zamrznięte jezioro i posunęłam stopę po lodzie o kilka centymetrów. Nogi tak mnie bolały, że nie dałabym rady iść szybciej, nawet gdybym miała pewność, że jestem bezpieczna. Mało brakowało, a zawróciłabym, drżąc na myśl o odległości, jaką muszę pokonać, żeby zdążyć na pociąg. Ale byłam pewna, że lód jest mocny. Tak, bez wątpienia nas utrzyma. Stopniowo, ale konsekwentnie, posuwałyśmy się coraz bardziej ku środkowi jeziora.

- Zaczekaj!

Ledwie usłyszałam cieniutki głosik wśród zawodzenia wiatru.

- Zaczekaj na mnie, ciociu Mandy!

Obejrzałam się i zobaczyłam Ruth, która gramoliła się ze skały na lód.

- Ruth, stój! - zawołałam.

Popatrzyła na mnie, ale się nie zatrzymała.

---

Ruth nie zadała sobie trudu, żeby zamknąć drzwi do swego pokoju, gdy zaczęła się pakować. Nawet gdy były zamknięte, Amanda wchodziła, kiedy jej się żywnie podobało, żeby wyrównać książki na półkach lub ustawić porządnie drobiazgi na komódce Ruth, sprawdzając, jaki okruszek dnia pozostał jeszcze nieskontrolowany. Ruth próbowała kilkakrotnie zmusić ciotkę, żeby siedziała spokojnie, sama zostawiając wszystko w idealnym porządku, ale w takich wypadkach Amanda układała na nowo rzeczy w szufladach komody.

Tym razem wiele było do uporządkowania. W pokoju panował kompletny nieład - bluzki ześlizgnęły się z łóżka na podłogę, pod stopami zgrzytały szpilki do włosów, książki razem z bielizną leżały na krześle. Lecz Amanda stała nieruchomo w progu.

- Nie rozumiem. Skoro list spełnił swoje zadanie, po co ktośkolwiek ma dokądkolwiek wyjeżdżać? Czemu wszystko nie może po prostu wrócić do dawnego stanu?

- Wyjeżdżamy właśnie dlatego, że list spełnił swoje zadanie - powiedziała Ruth, wrzucając ubrania do starej torby podróżnej Amandy. - To ty mnie do tego zmusiłaś, a teraz Imogeną ma złamane serce. To nasza wina, że ona teraz cierpi, rozumiesz? - Pomachała Amandzie przed nosem stanikiem, który miała właśnie schować do torby.

Amanda skuliła się.

- Ruth, to wulgarne. Odłóż tę bieliznę.

- Ona cierpi, tak jak przewidywałam. - Ruth wrzuciła stanik do torby. - Myśli, że Arthur jej nie kocha, że nigdy jej nie kochał. Uważa się za idiotkę, dlatego że w to w ogóle wierzyła.



- Przejdzie jej. Minie trochę czasu i będzie zadowolona. Uratowałyśmy ją, Ruth. - Amanda pocierała palcami nasadę kciuka, co tak rozdrażniło Ruth, że omal nie zaczęła krzyczeć.

- Przecież ona o tym nie wie - parsknęła.

- Ale ty wiesz. Wiesz, że musiałyśmy to zrobić.

Naprawdę? Dlaczego napisała ten list? Dlatego że nalegała na to Amanda? A może zobaczyła w tym szansę dla siebie? Ruth była jednak pewna, że gdyby Amanda nie wciągnęła jej w swój plan, ona sama nigdy nie postąpiłaby tak egoistycznie.

- Nieważne - powiedziała. - Ona chce wyjechać, a ja jadę z nią.

- Ruthie, mam pomysł. - Amanda weszła do pokoju i zaczęła składać bluzkę, położywszy ją na zmiętej pościeli. Wyrównała rękawy, wygładziła materiał palcami.

- Może popłynęłybyśmy wszystkie trzy razem na wyspę na kilka tygodni? Nie jest jeszcze zbyt zimno, poza tym będzie tak pięknie, gdy liście zaczną zmieniać kolory. Ty nie pamiętasz, Ruth, jak tam mieszkaliśmy, ale naprawdę jest wspaniale, człowiek po prostu odżywa, relaksuje się. A gdy wrócimy na farmę, Owensów już tu nie będzie. - Lekko poklepała równiutko złożoną bluzkę.

Ruth przerwała pakowanie.

- Nie wyjadą, dopóki nie znajdzie się pan Owens.

Amanda stała przez chwilę w milczeniu, z opuszczonymi rękami.

- Clement świetnie pływa - powiedziała wreszcie. - Nie przypuszczam, żeby mógł utonąć.

- Podobno moja matka też świetnie pływała.

- Ruth, co masz na myśli?

Ruth trafiła w dziesiątkę, widziała to po twarzy Amandy i po strachu, prawdziwym strachu w jej głosie. Przeraziło ją to do tego

stopnia, że zamknęła torbę podróżną, nie przejmując się, czy zabrała wszystko, co potrzeba. Pragnęła tylko jednego - uciec.

- Nic, nic. Po prostu pozwól mi odejść.

Amanda stanęła w drzwiach.

- Nie możesz, Ruth. Nie pozwolę ci odejść.

- Dlaczego? Przecież pozwoliłaś mojej matce, prawda? Uratowałaś mnie, ale jej pozwoliłaś odejść. Teraz musisz pozwolić mnie. Jakie znaczenie ma jedna osoba więcej? - Wyrwała rękę Amandzie i zbiegła po schodach.

- Ruth, zaczekaj! Wróć! - Amanda stała na samej górze. Przystąpiła stopę do krawędzi stopnia. To nie będzie wcale takie trudne. Zawisnie przez chwilę w powietrzu, a potem runie w dół. To naprawdę całkiem łatwe.

Zdjęła rękę z balustrady. Spadnę, Ruth, spadnę, jeśli nie wrócisz, pomyślała. I, gdy trzasnęły drzwi, straciła równowagę.

## *Ruth*

Droga do stacji kolejowej była trudniejsza, niż przewidywałam. Torba objęła mi się o nogi, zapakowałam tyle książek, że musiałam zatrzymywać się co kilka kroków, przekładając bagaż z jednej ręki do drugiej. Gdy dotarłam do końca podjazdu, a potem do pierwszego zakrętu drogi, wydawało mi się, że słyszę zza drzew głos cioci Mandy. Obejrzałam się w stronę domu i wstrzymałam oddech, nasłuchując. Nie, wydawało mi się tylko, ten głos rozbrzmiewał wyłącznie w mojej głowie. Idź dalej, powiedziałam sobie, idź dalej. Spóźnisz się na pociąg.

Potykając się lekko, ponieważ moja ciężka torba ciągnęła mnie do przodu, szłam drogą w dół wzgórza. Minęłam pastwisko

Jungbluthów, gdzie trzy krowy rasy guernsey podniosły głowy, patrząc na mnie, gdy przechodziłam. Potem znów wlokłam się pod górę Glacier Road, pocąc się w zimowym palcie, które włożyłam, ponieważ był to chyba mimo wszystko najlepszy sposób niesienia go. Na szczycie minęłam lodownię, która była teraz całkiem pusta, gotowa do zimowej produkcji. Spodziewałam się, że podczas tego marszu poczuję, jak pępowina, łącząca mnie z ciocią Mandy, rozciąga się, rozciąga, aż wreszcie pęka, nie czułam jednak nic oprócz strasznego zmęczenia, gdy spieszyłam się szaleńczo, pokonując ostatni kilometr, dzielący mnie od Nagawaukee.

Miałam nadzieję, że Lindgrenowie zabiorą mnie po drodze swoim samochodem, pani Lindgren, nerwowo robiąca w myśli przegląd zawartości bagażu Imogeny, pan Lindgren, naciskający klakson, zanim zjedzie na pobocze i zatrzyma się przy mnie. Ale droga była pusta, domy, które mijalam - ciche. Wiedziałam, że wewnątrz ludzie siadają do wspólnych rodzinnych kolacji.

Wreszcie, cała obolała i spocona, wtargałam moją torbę po zniszczonych drewnianych stopniach na peron. Rozglądałam się na wszystkie strony, szukając grupki ludzi, która mogłaby być Imogeną i jej rodzicami, ale peron był pusty. Zęby bolały mnie, tak je zaciskałam przez całą drogę. Pomyślałam, że spóźniłam się na pociąg, odczuwając jednocześnie rozpacz i ulgę.

- Ruth!

Odwróciłam się i zobaczyłam biegnącą ku mnie Imogenę.

- Gdzie twoja walizka? - spytałam.

- W samochodzie. - Lekko zdyszana, schyliła się i wzięła moją torbę.

- Rodzice pozwolili ci wziąć samochód?

- To nie samochód rodziców. Odwiezie nas Maynard Owens. No, wiesz, brat Arthura. Wspominałam ci o nim. - Imogena wyprostowała się, stawiając moją torbę z powrotem na peronie. - Arthur powiedział mu o wszystkim - wyjaśniła - i on przyjechał do nas sprawdzić, czy dobrze się czuję. Spytać, czy może coś dla mnie zrobić. Mówił, że wszyscy za mną tęsknią i nawet jeśli Arthur jest głupcem, to on nie.

- Co to znaczy? Kochasz się teraz w nim?

- Och, Ruth! - oburzyła się Imogena. - Nic z tych rzeczy! On jest bardzo miły, ale nie mogłabym... nie teraz, nie po tym, co się stało. W każdym razie nie tak szybko. Czuję się naprawdę okropnie, Ruth. On złamał mi serce. Minie dużo czasu, zanim dojdę do siebie.

Wiedziałam jednak, że jej rany się zagoją. Prawdę mówiąc, już się zagoiły. Może ciocia Mandy miała rację, że to wszystko nie miało wielkiego znaczenia. Nie winię Imogeny. Przecież nie nosiła Arthura w sercu przez całe życie, tak jak ja ciocię Mandy.

Ciocię Mandy, którą opuściłam. Szukałam w sobie po omacku ziejącej dziury, podobnie jak kiedyś wtykałam język w lukę, którą pozostawił mój mleczny ząb. Nie znalazłam jednak nic, ani śladu dręczącego źródła rozpacz. Wszystko stanowiło zwartą całość.

Imogena położyła rękę na mojej dłoni.

- Przestań, Ruth.

- Co mam przestać?

- Robisz to, co twoja ciocia, pocierając tę brzydką bliznę.

Opuściłam rękę, uświadamiając sobie jednak, czemu nie mogę znaleźć rozdarcia, chociaż wydawało mi się, że się wyrwałam na wolność. Prawda była niezwykle prosta - Amanda wżarła się już we mnie tak głęboko, że nigdy się jej nie pozbędę. Gdybym nawet

zmieniła nazwisko i wyjechała na drugi koniec świata, i tak mnie nie puści. Jest niczym rzep w moich włosach. Nie, tkwi głębiej - można raczej porównać ją do kości lub narządu. Przedostała się do mojej krwi razem z powietrzem, które wdycham do płuc.

- Naprawdę bardzo się cieszę, że wyjeżdżamy, Ruth. Miałaś absolutną rację. Właśnie to powinnyśmy zrobić. - Imogena wzięła mnie za rękę, częściowo po to, żeby ruszyć mnie z miejsca, ponieważ mogłoby się wydawać, że zapuściłam korzenie tam, gdzie stałam, a częściowo po to, żeby pochylić się ku mnie bliżej i wyznać: - Żałuję, że nie zrobiłyśmy tego kilka miesięcy temu!

- Ja też - zgodziłam się, ale nadal nie mogłam uczynić kroku.

- Ruth? Maynard czeka. - Podniosła moją torbę, nie skarżąc się, że jest ciężka. - Musi obrócić dzisiaj w obie strony.

- Tak - powiedziałam. Imogena ruszyła peronem przede mną, trochę zdenerwowana, chcąc jak najprędzej wyjechać. Nie jestem pewna, czy sprawił to sposób, w jaki kołysała ramionami, gdy szła, czy też niecierpliwe spojrzenie, jakim mnie zmierzyła, gdy zorientowała się, że za nią nie idę, ale nagle poczułam się tak, jak gdybym od lat wpatrywała się w zarysy dwóch profilów i w końcu zobaczyła między nimi na białym tle kontur wazonu. Imogena była dzieckiem Amandy. Nie mogłam wprost uwierzyć, że nie domyśliłam się tego dawno temu. A potem równie szybko, jak zobaczyłam w niej odbicie Amandy, straciłam je z oczu.

Ciocia Amanda była egoistyczna, ale pragnęła dla siebie mnie. Może Imogeny również, ale przede wszystkim mnie. Zrezygnowała z Imogeny, ale mnie nie chciała puścić. Jak mogłabym zostawić kogoś, kto tak bardzo mnie kocha?

- Imogeno - powiedziałam, a ona odwróciła się. - Nie mogę jechać. Przepraszam.

Myślałam, że rozgniewa się na mnie, w końcu to ja namówiłam ją do wyjazdu, ale ona tylko westchnęła i przyglądała mi się badawczo przez długą chwilę. Musiała dojść do wniosku, że tym razem moja odmowa jest czymś zupełnie innym niż wtedy, gdy nie chciałam popłynąć na wyspę, pójść na tańce czy zastąpić jej w roli sekretarki u Owensów, ponieważ nawet nie próbowała nakłonić mnie do zmiany decyzji.

- Jesteś pewna? - spytała tylko.

Skinęłam głową.

Podeszła blisko i stanęła przede mną.

- Czy myślisz... - zaczęła, ale zawahała się. - Nie gniewaj się, ale czy będziesz miała mi za złe, jeśli pojedę bez ciebie?

- Chcesz jechać beze mnie?

- Nie - odpowiedziała - nie chcę jechać bez ciebie, ale jeśli nie pojedziesz... cóż, to przecież ty mi uświadomiłaś, że to dobry pomysł. Bo to jest naprawdę dobry pomysł.

W odrętwieniu sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam świstek papieru, na którym zapisałam adres Elizy Fox.

- Myślisz, że panna Fox nie będzie miała nic przeciwko temu?

Pokręciłam przecząco głową.

- Zaczekałabym, na wypadek gdybyś zmieniła zdanie, ale znajomi pani Owens oczekują mnie w poniedziałek. To ty kazałaś mi się spieszyć.

- To moja wina - powiedziałam. - Jedź.

- Będę szukała mieszkania dla nas obu, na wszelki wypadek.

- Tak, na wszelki wypadek.

Przy końcu peronu zatrzymała się, otworzyła torebkę i zaczęła w niej grzebać.

- Zapomniałaś czegoś? - zawołałam, czując lekkie ściskanie w żołądku. Pewnie była to nadzieja, że i ona też postanowiła zostać.

- Masz - powiedziała, biegnąc z powrotem. - Zachowaj ją dla mnie. - I wcisnęła mi do ręki błękitną kulkę.

Szłam peronem, patrząc, jak wsiada do samochodu. Machała mi, dopóki nie straciła mnie z oczu, a ja nawet dłużej, ściskając kulkę w drugiej dłoni. Wyjeżdża tylko do Chicago, pocieszałam się. To zaledwie dwie godziny drogi. Wiedziałam jednak z własnego doświadczenia, jak to bywa. Gdy ludzie wyjeżdżają, już nie wracają. Z wyjątkiem cioci Mandy. Wróciła do mnie, tak jak ja teraz wracam do niej.

# Rozdział dwudziesty

## *Ruth*

Imogena przyjeżdża w lecie razem z mężem - podobno ma na imię Jack - i małą córeczką, Louise. Nadano jej imię na cześć babki, powiedziała ciocia Mandy, mrugając do mnie, tak, mrugając. Teraz często dostrzegam, jaka musiała być kiedyś, zanim utonięcie mojej matki nie zmusiło jej do trzymania się w ryzach z obawy, żeby nie zjadło jej poczucie winy i zgryzota.

Tamtego wieczora, gdy Imogena wyjechała do Chicago, znalazłam Amandę zemdloną obok schodów. Miała złamaną rękę, obojczyk i trzy żebra.

- Wiedziałam, że wrócisz - wyszeptała, gdy przenieśliśmy ją z lekarzem na kanapę. - Wiedziałam, że pewnego dnia wrócisz do mnie.

- Nie było mnie tylko przez trzy godziny - powiedziałam, ale ona chyba mnie nie słyszała.

Pielęgnowałam ją. Musiała mi podpowiadać, co mam robić, ale chwaliła mnie, że robię to dobrze. Twierdziła, że mam bardzo delikatne ręce. Czytałam jej i przygotowywałam ulubione potrawy. Wypróbowałam nawet sama coś nowego - kurczaka po myśliwsku - i zgodziłyśmy się, że wyszedł mi doskonale.



- Twoja mama przyrządzała coś podobnego - powiedziała ciocia Mandy.

Wyczułam, że jest to jakby rodzaj zachęty, ale bałam się uczynić pierwszy krok.

- Kiedy biegłam po lodzie... - ośmieliłam się w końcu, po czym umilkłam.

- Tak? - spytała, dodając mi odwagi.

- Kiedy biegłam po lodzie - powtórzyłam - przed czym uciekałam?

- Uciekałaś? - Uśmiechnęła się, wyginając palce zgodnie z zaleceniem lekarza. - Nie uciekałaś przed niczym, Ruth. Biegłaś do mnie.

Gdy tylko mogłam zostawić ja samą w domu, popłynęłam na sam środek jeziora i wrzuciłam do wody srebrne puzderko. Nazajutrz rano jakiś mężczyzna, płynący piętrowym statkiem wycieczkowym, zauważył ciało pana Owensa obok betonowej podmurówki przystani Stoltzów. Miała to być ostatnia wycieczka w sezonie, ale sensacja, spowodowana tym odkryciem, sprawiła, że statek pływał jeszcze przez trzy tygodnie października.

Zrezygnowałam z maszynopisania. Okazuje się, że jestem jednak farmerką. Zawsze dobrze radziłam sobie ze zwierzętami, a teraz odkryłam, że lepiej prowadzę traktor, niż piszę na maszynie. Z pomocą pana Tully'ego wyszliśmy na czysto w zeszłym roku, a teraz, gdy namówiłam ojca, żeby rzucił pracę na „Rebecca Rae”, odbudujemy stado i założę się, że przyniesie nam to spory zysk. Smutne, że wojna w Europie pomogła nam stanąć finansowo na nogi.

Lubię naszą farmę. To świat sam w sobie, niezawodny wszechświat, gdzie zwierzęta przychodzą, wychodzą, jedzą, śpią i znowu

jedzą. Lubię świadomość, że czarne pola znowu się zazielenia, że zboże dojrzeje i zostanie zżęte, że pomidory będą pęczniały, aż skórka na nich popęka, a później gleba zaśnie pod zimną białą kołderką. Na farmie ziemia ma swoje tajemnice, a pogoda kaprysy, ale ludzie nie liczą się tak bardzo.

Arthur Owens prosił mnie dwukrotnie o rękę, ale choć za każdym razem serce błagało mnie, żebym się zgodziła, odmawiałam. Nie mogę się stąd wyprowadzić, a nie jestem pewna, czy on chciałby tutaj zostać. A co z mostami, które muszą być wybudowane w całym kraju - jak mówi, na całym świecie - gdy ukończy szkołę? Jednakże co niedziela przyjeżdża z miasta. Pomaga mi w pracy, a potem spacerujemy po lesie albo wybieramy się na przejażdżkę. Zimą, jeśli nie ma zbyt dużo śniegu, ślizga się ze mną bojerem. Przytuleni do siebie, pędzimy z turkotem po lodowej tafli, nasze nogi zamieniają się w kamienie w drewnianym bolidzie, przenikliwy wiatr wyciska łyżę z oczu, a okruchy lodu siekają nas po twarzy.

- Prędejj! - krzyczę. - Prędejj! - Arthur napina mocniej żagiel, aż jedna płoza unosi się w powietrze, tak że gdyby lód rozwarł się pod nami, po prostu przesunęlibyśmy nad szczeliną.

Imogena chce po przyjeździe zatrzymać się na wyspie. Spodziewa się, że jej mąż będzie nią zachwycony. Mnie nie spodobał się pomysł, żeby Jack zamieszkał na naszej wyspie, lecz ciocia Mandy stwierdziła, że będę musiała się do tego przyzwyczaić, i wiedziałam, że ma rację.

Czekałyśmy przez całą wczesną wiosnę, żeby lód wreszcie się poddał, jęcząc i wzdychając, aż do pewnego słonecznego ranka, gdy jezioro znowu ożyło i roztańczyło się, jak gdyby nigdy nie było nieruchome. Trzynasty kwietnia 1941 roku. To świetny moment na zakończenie. W płaszczach, rękawiczkach i kaloszach zepchnęliśmy

łódź na wodę i skierowałyśmy się w stronę wyspy, żeby sprawdzić, co trzeba przygotować dla Imogeny.

Fale, uwolnione z lodowego więzienia, uderzały o burty w ekstatycznym zapamiętaniu, wznosząc pył wodny, migocący w promieniach wiosennego słońca. Zanurzyłam palce w wodzie i natychmiast moja dłoń zdrętwiała mi boleśnie z zimna. Tak musiałam czuć się tamtej nocy, gdy tonęłam.

### *A m a n d a*

Ruth nie miała na sobie nawet paltka, tylko koszulę nocną i kapcie. Szczękała zębami z zimna. Nawet z daleka widziałam, że cała dygocze.

- Wracaj do domu, Ruth!

Ale ona mnie nie słuchała. Ślizgała się po lodzie, ach, tak ostrożnie, z rękami rozpostartymi dla utrzymania równowagi, z miętowym lizakiem w dłoni.

- Powiedziałam, wracaj!

Tym razem dosłyszała gniew w moim głosie. Zatrzymała się, ale nie zawróciła. Rozpłakała się. I moje dziecko chyba ją usłyszało, ponieważ zaczęło również płakać.

- Nie płacz - przemawiałam do nich obu. - Uspokój się. Musisz zachowywać się cicho. Nie płacz. - Samej zbierało mi się na płacz. Okropnie zmarzłam i byłam taka straszliwie wyczerpana.

Daleko za Ruth ukazał się trójkąt światła, gdy otworzyły się drzwi.

- Zaczekaj, ciociu Mandy, zaczekaj. Proszę, zaczekaj na mnie - wołała Ruth, puszczając się biegiem, najszybciej jak zdołała, przez śliski lód.

Serce się we mnie krajało, ale wiedząc, że Mathilda ją teraz usłyszy

i pobiegnie za nami, odwróciłam się w stronę ciemnego brzegu i brnęłam dalej przed siebie. Poruszałam się tak szybko, jak tylko mogłam, ślizgając się i tracąc równowagę, próbując utrzymać się na nogach, nie chcąc, żeby mnie złapano, chroniąc się desperacko przed upadkiem. Z każdym moim krokiem maleństwo płakało coraz rozpaczliwiej.

- Ruth, wracaj! - krzyczała Mathilda. - Mandy, przyprowadź ją z powrotem! - Wydawało mi się, że słyszę tupot jej nóg po lodzie. - Amando, wracaj! Wracaj! - Każdy, kto mieszkał wokół jeziora i miał otwarte okna, mógł ją słyszeć. Ale ja słyszałam tylko wiatr i widziałam tylko czerń nocy. Nie wróć. To dziecko jest moje.

Mattie chwyciła Ruth w ramiona.

- Zabierz Ruth do domu, Mattie! Zejdźcie z lodu!

Lecz Mathildą nie słuchała mnie. Byłyśmy już daleko od brzegu, a ona nadal sunęła ku mnie, przyciskając Ruth do piersi.

- Wracaj, Mattie! - krzyknęłam teraz rozpaczliwie.

Wiedziałam, zanim jeszcze łód zaczął się skarżyć, że obie razem są za ciężkie, żeby je utrzymał.

I wtedy łód zaczął trzeszczeć. Przerazona, zatrzymałam się i stałam nieruchomo. Mattie również usłyszała ten dźwięk.

- Postaw Ruthie! - zawołałam, ale wiatr zagłuszył moje słowa.

Głos Mattie natomiast przyplął do mnie, jak gdyby wołała mi prosto do ucha.

- Mandy, błagam, wróć, wróć do mnie!

Przeraziłam się wówczas. Łód trzeszczał pod moimi stopami i bałam się iść naprzód. Postanowiłam wrócić.

W chwili gdy ruszyłam z powrotem w stronę wyspy, stało się tak, jak dzieje się od tamtej pory każdej nocy, gdy tylko zamknę oczy. Łód trzeszczał, serce we mnie zamierało. Mathilda, trzymając Ruth

w ramionach, zatoczyła się w lewo i wpadła do wody po pas, potem po ramiona, aż wreszcie zniknęły całkiem.

Zaczęłam biec. Trudno jest biec po lodzie, a zwłaszcza gdy się niesie w ramionach nowo narodzone dziecko. Słyszałam plusk wody. Słyszałam, jak mnie woła: „Mandy! Pomóż mi, Mandy!”.

Ale nogi odmawiały mi posłuszeństwa. Poślizgnęłam się. Upadłam na kolana. Wydawało się, że nie zdołam podejść bliżej. Zostałam moje dziecko na lodzie i parłam do przodu, nie zaprzestając wysiłków i wykrzykując wciąż imię Mattie.

Gdy udało mi się dotrzeć do otworu w lodzie, Mathilda wypchnęła już Ruth na powierzchnię, ale sama zniknęła. Położyłam się na brzuchu i sięgnęłam w czarną otchłań. Woda była przeraźliwie zimna. Zanurzałam rękę głęboko, głęboko, aż wreszcie całkiem mi zdrętwiała, ale nie udało mi się namacać niczego.

I nagle, gdy już prawie straciłam czucie w palcach, zaplątały się we włosy Mathildy. Zaczęłam ciągnąć, delikatnie, żeby przypadkiem ich nie puścić, ale tak szybko, jak tylko mogłam.

Wynurzyła się na powierzchnię, z trudem chwytając oddech.

- Mattie!

Zarzuciłam sobie jej lodowate ręce wokół szyi. Przez chwilę zawisała, bezpieczna, w moich ramionach.

Ale lód nie chciał nas, utrzymać. Załamał się pod moim ramieniem i moja głowa zanurzyła się z pluskiem w czarnej otchłani. Mattie znowu poszła pod wodę, ja nie puszczałam jej jednak, ściszałam w dłoni kołnierzyk jej nocnej koszuli. Skoro już ją trzymam, nigdy nie pozwolę jej odejść, nawet gdyby pociągnęła mnie za sobą.

A ona naprawdę ciągnęła mnie za sobą. Łód pod moim drugim ramieniem również się załamał. Próbowałam się wycofać, kręcąc biodrami, wbijając stopy i kolana w lód. Byłam taka silna, a ona była taka drobna, nie mogłam uwierzyć, że nie uda mi się uratować nas obu. I wtedy lód pod moją piersią nie wytrzymał.

Gdyby Mathilda nie wynurzyła się znowu, gdyby jeszcze raz nie wypchnęła ku górze, ku życiodajnemu powietrzu, swego przemarzniętego, tonącego ciała, wszystkie cztery zginęłybyśmy, Ruth i Imo- gena zamarzłyby na śmierć na lodzie, a ja i Mattie pod nim. Ona jednak wróciła. Otworzyła usta, by schwytać oddech, a następnie zacisnęła zęby na mojej dłoni i ugryzła mnie z całej siły.

Ja bym ją utrzymała. Ja bym jej nie puściła. Nie czułam nawet bólu. Ale moje palce się rozwarły. Po prostu się rozwarły. I Mattie zniknęła.

Znowu nieprzytomnie sięgałam po omacku w głąb. „Mattie!” - krzyknęłam, zanurzając głowę w czarnej lodowatej wodzie. Ale jej tam nie było. Próbowałam ją namacać. Wołałam. Ale ona już nie wróciła.

Wreszcie dostrzegłam Ruth, nieruchomy mały cień na ciemnym lodzie. Minęło tyle czasu. Tchnęłam mój oddech między jej zziębnięte wargi. Przycisnęłam zdrętwiałe i zakrwawione palce do szyi dziecka, szukając pulsu. Ale było o wiele za późno. Ona również odeszła.

Wzięłam ją na ręce i zaniósłam tam, gdzie zostawiłam moje dziecko, owinęłam obie w mój sweter i płaszcz. Ruszyłam z moim tobołkiem najprędzej, jak mogłam, ku brzegowi.

I oto nastąpił cud. Przytulona do ciepłego drobnego ciała, Ruth odtajała. Wróciła do życia. Gdy dotarłam do brzegu, usłyszałam, jak kaszle.

Wiedziałam, że Mary Louise będzie dobrą matką, toteż oddałam jej maleństwo. Wyciągnęła ramiona, jak gdyby czekała na nie, jak gdyby tak właśnie było zapisane w gwiazdach. Nie pomyślałam wcześniej, co jej powiem.

- To było straszne - wykrztusiłam w końcu. I opowiedziałam im coś na kształt historyjki o służącej z farmy, którą wymyśliła Mattie. - Dziewuszka ma na imię Imogena. Weź ją.

Myślałam, że zapytają, czemu Ruth ma na sobie nocną koszulkę? Gdzie jest Mathilda? Chciałam sama to wykrzyknąć. Ale cała ich uwaga skupiła się na Imogenie.

Wkrótce wykradniemy się stąd z Ruth, ale na razie przytulałam ją do siebie w gościnnym łóżku Lindgrenów, żeby ją rozgrzać. Czułam, jak jej puls staje się coraz wyraźniejszy, objęłam ją więc jeszcze mocniej.

Będę cię miała, myślałam. Zatrzymam cię. Zaczniemy wszystko od nowa.

## Podziękowania

Jestem bezgranicznie wdzięczna Caitlin Flanagan, która obdarzyła mnie wielką przyjaźnią i zarazem udzielała niezwykle cennych porad redakcyjnych. Parokrotnie dałabym za wygraną, gdyby nie zachęcająca perspektywa pracy nad tekstem z Caitlin, i jeśli fabuła tej opowieści w jakikolwiek sposób przykuwa uwagę, jest to zasługa doskonałego wyczucia Caitlin. Dziękuję również Jennifer Rudolph Walsh, która niezwykle fachowo zrobiła dla mnie to, czego nigdy nie zrobiłabym sama. Ona oraz Deb Futter - której bystre oko wypatrzyło przegapione przeze mnie luki - całkowicie zmieniły moje życie dzięki ich zaangażowaniu w tę książkę. Linda Rudell-Betts pomogła mi uczynić pierwszy krok i wspierała mnie w dalszym pisaniu. Mary Ewens Meyer dostarczyła mi mnóstwa szczegółów na temat życia na farmie w Wisconsin i nad jeziorem w latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku, a Jennifer Stuart Wong dodała do tego wnikliwość psychologiczną. Timothy Audley, Kathleen Buster, Anthony Meyer, Nicholas Meyer, Sue Parilla, Ann Schwarz, Carol Waite oraz Barbara Wallraff podzielili się ze mną swoją wiedzą z rozmaitych dziedzin, poczynając od uprawy roli, na cięży kończąc. Jestem ogromnie wdzięczna Alanowi Busterowi za to, że namówił mnie, bym



zrezygnowała z codziennej pracy, Thomasowi Flanaganowi za życzliwą zachętę, Brianowi Mortonowi za radę dotyczącą początkowych rozdziałów, Barbarze i Carol Faculjakom za entuzjastyczne czytanie pierwszych wersji oraz Shelly Wall Reback za stanowczą reakcję na przełomowy moment fabuły. Mitchell Duneier, Mira Kamdar, Henning Gutmann, Linda Kent, Caitlin Flanagan, a szczególnie Silvana Paternostro i James Chace pomogli mi znaleźć właściwego agenta, za co jestem im ogromnie im zobowiązana. Dziękuję Belindzie Cooper za idealny wydruk, gdy zawiódł mój sprzęt, i Monie Simpson za troskę o moje zdrowie psychiczne. A nade wszystko dziękuję Benjaminowi Schwarzowi, bez którego nigdy nie zaczęłabym ani nie skończyła mojej książki i którego redakcja miała decydujący wpływ na jej ostateczny kształt. Poza wieloma innymi zaletami ma on również tę, że jest najlepszym czytelnikiem, jakiego znam.